Henryk Heine.

II.

PROZA.

Przedmowa.
Podróż po Harcu.
Włochy.

WARSZAWA.
Skład Główny w biurze i ekspedycyi
Spółki Nakładowej
Marszałkowska 95.

SPÓŁKA NAKŁADOWA

zawiązana przez grono pisarzów polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowéj i literackiej, oryginalnych i tłomaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt dla życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych, Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsięwzięcia.

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402—rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 rs. 2 kop. 50.

Gumplowicz L. System socyologii, str. 473—rs. 3. k. 30.

Heine Henryk. Wybór pism. I. W przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i innych. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298—rs. 1 k. 20.

Okolski A. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P.— rs. 3.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki), szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora—rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6. kop. 20.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 —kop. 60.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryg. angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej, str. 174—rs. 1 k. 80.

Warszawa, Marszałkowska, 95.

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Іюля 1890.

Druk Warszawskiej Drukarni i Litografii, Trębacka № 11.

PRZEDMOWA.

Dla Henryka Heinego chwila bieżąca nie jest w nowem państwie niemieckiem przyjazną. To, co mu zarzucają, stanowi tak wiele, że nie daje się wyliczyć nawet w skróceniu. Po pierwsze, jego stosunek miłosny do Francyi i owa związana z nim, tak zwana f r i v o l i t é. Po drugie, jego pochodzenie nie germańskie i dowcip, jego wrażliwość, dandysostwo, jego wyuzdanie; potem znów ton wyzywający, z jakim wystawiał na pokaz swoje pogaństwo. Nowe Niemcy są pod względem religijnym indyferentne, ale pokrywają to milczeniem; we względzie moralnym hołdują dyscyplinie. Gdy w dzisiejszych Niemczech najwyższe cnoty, jako to: miłość prawdy, samoistność, delikatność i duma znaczą mniej daleko, niż wypełnianie obowiązków, stateczność, karność obywatelska, polot militarny, jak się pospolicie wyrażają,—S c h n e i d i g k e i t, tedy za dni Heinego było

wprost odwrotnie. Dyscyplina nie była w wielkiej cenie. A podobnie jak religijność znaczyła więcej, niż religia, tak też i czucie ogólno-ludzkie znaczyło więcej, niż zmysł narodowy. Nawet w oczach najlepszych jednostek patryjotyzm był cnotą; której nie uważano za nieodzowną; mniemano, że sprawiedliwość nie przestaje być cnotą, nawet gdy chodzi o naród obcy.

Tak, mniej więcej, pojmuje, tłomaczy i określa stosunek ogółu współczesnego do wielkiego poety — Jerzy Brandes w swym tylko co wydanym tomie szóstym Głównych prądów literatury XIX stulecia *), mówimy „ogółu“, albowiem punkt widzenia teutoński jest dziś, niestety, punktem widzenia powszechnym.

Pamięć Heinego wciąż jeszcze stoi w krzyżowym ogniu klątw i uwielbień. Lwia część jednych i drugich przypada w udziale Obrazom z podróży. Żaden inny jego utwór nie był tak ostrzeliwany zaciekle; nawet właśni druhowie poety odwrócili się od niego za zjadliwą odprawę, jaką w drugiej części dał pisarzowi wygasłej już dzisiaj sławy, hr. Platenowi. We wstępie ogólnym do wydania niniejszego wyjaśnia czytelnikowi Aleksander Kraushar, na jaki okres życia przypadają Obrazy, w jakich okolicznościach powstały i jak ważne względy w obronie Heinego przytaczają nieuprzedzeni krytycy.

Tu dodamy tylko, że piekielnie palić go musiały obelgi więcej szczęśliwego, niż zasłużonego rymopisa, skoro na samą o nich wzmiankę krew w zelżonym kipi i raz po raz psuje wrażenie druzgoczącej jego ironii. Nie w tem bynajmniej leży błąd poety, jak twierdzi prof. Buchheim, zanadto skłonny do ustępstw na rzecz wrogów jego,— iż w polemice owej góruje ton naigrawania się z osoby i prywatnego życia, lecz, że za mało w niej godności i spokoju, za mało rozumnej taktyki.

*) Str. 120.

Platen, krom tego, iż był stroną zaczepną, plwał nie na Heinego-poetę, lecz na Heinego-żyda; nie było więc dlań kary zbyt dotkliwej; we Francyi lub Anglii za odzieranie z uczuć narodowych i pomawianie o jakąś odrębność plemienną, nagradzają kijem lub szpicrutą, — w Niemczech opinia wiedziała tylko o tem, że napastnik miał tytuł hrabiowski, a napastowany był plebejuszem, — powinien był więc cierpliwie, jak robak, dawać się deptać. Daleko cięższy, bo literacki grzech popełnił on, że gniewu swego nie ukrył, że nie okazał się wyższym nad sykanie ulicznika, tem lepszego od zwykłych pauprów, iż pieczętował się herbem. Zanadto ujawnił swój ból i rozdrażnienie i to w sposób brutalny i gminny. Pióro swoje maczał już nie w żółci, lecz w błocie, bryzgając niem, nie jak wielki talent, lecz jak mściwa i w sposobach nie wybredna intrygantka. Przeszedł właściwą miarę, nie pomny na to, że przy chłodniejszej strategii, wedle mądrej zasady: suaviter in forma — fortiter in re, łatwo było przeciwnika zgnieść, jak się to udawało u nas Węgierskiemu z Trembeckim.

W imię bezstronności nie należy prześlepiać, że dysonanse owe mniej-by raziły, gdyby nas sam Heine nie był rozpieścił delikatną swą liryką, która ma w sobie coś z muzyki elfów jego własnych pieśni i misterną jest a wytworną, niby melodye Mendelsohna Bartholdy. Po strofach skrzydlatych i wonnych, jak tchnienie majowe, usłyszeć ciężkie, tłuste, Arystofaniczne lub Rabelaisowskie koncepty — nie miło. Poza tem jednak zgodzić się trzeba, że wszystkie owe punkta, któremi autor Obrazów tak niemiłosiernie, z lwią wściekłością kąsa i targa hr. Platena, nie są urojeniem, fałszem, lecz faktami. Pieczeniarz i dłubirym nie został skrzywdzony, lecz tylko skarykaturowany, do czego dostarczyła rysów własna jego nicość i śmieszność. Twórca Fatalnego widelca i Romantycznego Edypa staje przed nami żywy, bo odmalowany z ogromną finezyą i znakomitą psychologią; skończony to portret.

Mawiał Heine, że jedyną postacią, wymodelowaną przezeń w naturalnych rozmiarach, był Hirsch Hyacynthos. Śmiało możnaby dodać, że w Obrazach z podróży jest ich cała galerya. Naprzód bowiem markiz Christoforo di Gumpelino wyśmienitą posiada plastykę. To cudowna para dla Fredrowskiego Geldhaba, z którym wiążą go liczne powinowactwa. Sądzimy nawet, że nikomu innemu nie udało się tak realnie odlać z tłustego mięsa — typowej postaci zbogaconego żyda i oświetlić jej ze wszystkich stron, jak Heinemu. Owo wzorowanie się w sprawach liberyi na Rotszyldach, trzymanie własnego kapelana obok tancerek i wyścigów, robiony zapał dla sztuki i poezyi, wielka bogobojność, zdolna oszukać co najwyżej dziada kościelnego, obok pewnej dozy prawdziwego sprytu i ironii oraz nie milknącego w nim nigdy głosu geszeftu, — składa się na kreacyę zlekka szarżowaną, ale znakomitą. Poeta wziął ją bardziej ze strony intelektualnej, kładąc więcej nacisku na dorobkiewiczostwo duchowe i na cały faryzeizm przechrzty, podczas gdy zwykle malują nam „naszych teściów“ ze strony zwyczajowej. Różnica bardzo prosto daje się objaśnić: Heine nie bał się drwić i z tych rysów komicznych, które gdzieindziej uważane są przez Tartuffe'ów za święte i nietykalne nawet w eks-paryasie, a co lepsza, umiał je wyławiać.

Na swojskim gruncie czytelnik znaleść może legion podobizn tego wizerunku; rzecby nawet można, iż pojmie je pełniej i jaśniej po zabraniu zaszczytnej wielce znajomości z panem Gumpelino. Bo on jest typem całkiem świeżym, — typem... przyszłości.

Natomiast Hirsch Hyacyntos stanowi raczej zlepek kilku ludzi, niż fotografię jednego. Wyśledzić w nim można: i samego poetę, który kładzie mu w usta najcenniejsze swojego skarbca perły — niezrównany dowcip religijny oraz kpiny z metryki poetyckiej, dalej — markiza Gumpla, którego „kolektor, taksator i operator“ jest poniekąd dopełnieniem, potem znów autentycznego Izaaka Roccamo-

rę, woźnego z urzędu z loteryi, wreszcie zwykły ogólny typ żyda biedaka w rodzaju „Gdali“ Orzeszkowej lub „Łaciarza“, Klemensa Junoszy, w którym z zaczątkami wyższej oświaty, nieuniknionej w Niemczech, kojarzy się bałwochwalcza miłość złota, pietyzm dla milionerów, dobre i poczciwe serce, skromne marzenia, nieśmiałe żądze ascety i zdrowy rozsądek. Cały jego sposób myśli, mowę i ruchy, Heine con amore odtwarza i skłania nas co chwila do wykrzyku: genialny! Niekiedy mistrzowski ten profil, pełen wybryków swawolnego humoru i gry słów —nieraz naciąganej—przeplata dźwiękami lirycznymi; wszelcy Srule z Lubartowa z ich szczerem uczuciem na tle chałatowem, robią nieomylny efekt; tak też i Hirsch-Hyacynthos opowieścią swą o „50,000 marek rzetelności“ i o szabasowej dumie Łachmanka niezatarte sprawia wrażenie.

Ucieszne są też i w wysokim stopniu prawdziwe figury na drugim planie, jak signora Letycya, Francesca, Matylda, signor Bartolo, podający spluwaczkę poeta i profesor z Bolonii. Naszkicowane szerokiemi liniami, a jednak odrazu znajome i wypukłe, każą podziwiać zmysł obserwacyjny i psychologiczny Heinego. Dobry rysownik kilkoma konturami uchwyci podobieństwo i odda całą fizyognomię. Ten iście francuski dar finezyi zdumiewa i wtedy, gdy poeta daje sylwetę narodu, plemienia lub epoki. Jednym rysem oddaje zbiorową duszę włochów, tych arystokratów rodu ludzkiego, pociągniętych warstwą barbarzyństwa: anglików, stanowiących z nimi kontrast, co z Baedeckerem w ręku „ obwąchują każde drzewko napotkane;“ świetnie maluje tyrolów, co w swej psiej wierności dali się zabijać za drogie, stare, czerwone spodnie swego cesarza“; rzymian, z ich światowładztwem i satyrą na prywatę; niemców, tych „kartoflanych filistrów“ w odróżnieniu od włoskich — pomarańczowych: „ gdy jest ich dwunastu — mówi — to tworzą tuzin a gdy ich jeden napadnie, wołają policyi“; niezrównanie symbolizuje upadek

Trydentu perkalikiem po aksamitach i jedwabiach i świetną jego rodową przeszłość odnajduje na twarzy grubej owocarki, na której podejmuje się odkryć ślady wszystkich antycznych cywilizacyj. Porównanie różnych klerów na zasadzie czysto psychologicznej jest istnym koncertem przenikliwości...

Niepodobna wyliczyć wszystkich tych momentów. Utwór Włochy roi się niemi i przez to budzi w nas osobiście zawsze jedną i tę samą upartą myśl, że gdyby był znanym gruntowniej i powszechniej, zmalałby podziw dla Hipolita Taine'a. Jako psycholog rasy i dziejów, Heine nie jest bynajmniej mniejszy; owszem, intuicya i wyobraźnia poetycka pozwalają mu być nawet więcej dosadnym. I nie jest-to cecha bezwiedna. Gdy usprawiedliwia lud, że woli brać historyę z rąk wieszcza, niż dziejopisa, to głosi całkiem te same idee historyozoficzne, które podniósłszy do systematu, ilustruje potem myśliciel francuski w studyum p. t. Renauld de Montaban. A kiedy charakteryzuje sławnych mężów stanu, wielkich artystów, lub filozofów, np. Cezara, Brutusa, Rubensa, Corneliusa, Hegla lub Schellinga, — zdaje się nam, że to któryś z najbardziej nowych i wrażliwych aż do nieurastenii krytyków francuskich, w rodzaju Bourget'a lub Goncourt'ów. Tylko paryżanin wpadłby na myśl porównania góry Brocken w Podróży przez Harc — albo raczej ścielącego się u stóp jej pejzażu, do suchego, kompilacyjnego ducha niemieckiego, z którym ma wspólną cechę planu i bezdni szczegółów.

Nerwy Heinego są z za Renu. Dla tego to właściwie tak go trapiły ustawicznie zakazy celne, rogatkowe i t. p. U niemców bywają one jak postronki grube i twarde. Dlatego też pewnie tak go lubili rodacy Musseta: podobieństwo organizacyi ogromne, aż do owej tępoty na muzykę, nienawistną zarówną Wiktorowi Hugo, jak Stendhalowi, Saint-Beuve'owi i całemu gronu z Dziennika Goncourtów.

Tylko, że poeta niemiecki mimo to śpiewał samymi swymi rymami najcudniejszą melodyę, którą kładli pod nuty tacy, jak Schubert. Pod tym względem zostaje nieodrodnym synem ludowej poezyi swej ojczyzny.

W Obrazach spotykasz na każdym kroku zwroty językowe tak subtelne, i opisujące wrażenia tak niepochwytne, że raz po raz bierze pokusa nazwać go impresyonistą lub symbolistą. Te wszystkie środki, którymi posługuje się literatura francuska w swej pogoni za taką ekspresyą języka, iżby mogła starczyć i za pędzel i za dłuto i za lirę, są Heinemu doskonale znane, ale nie z teoryi lub nauki, jeno z genialnej, przedziwnie psychologicznej intuicyi. Pomagała mu w tem zresztą znajomość sztuki Appellesa, której świetne dowody w tem samem dziele składa.

Tylko dobrej kompozycyi nie wymagajmy od niego! Dla dowcipu i swobody poświęci budowę. Ten rys znowu gniewa francuzów. Mówiąc o Podróży przez Harc której poświęca osobny rozdział w uczonem swem i pracowitem dziele Henri Heine et son temps (1799 — 1827) prof. Ludwik Ducros z Poitiers ma mu za złe, że jak motyl fruwa z kwiatka na kwiatek, że to rozswawolony na wakacyach student, który pisze samemi saltimortali! Czuć w owych naganach wrodzoną słabość dla galskiej dresury i szkoły; Francya, według trafnego określenia H. Tain'ea, jest „sekretarzem“ myśli europejskiej; nie dziw tedy, że ją owe waryackie wybryki rażą, ilekroć wypada jej mówić o stylu Heinego i prozie Obrazów z Podróży.

Nic tak jednak nie drażni filistrów w rodzaju Ducrosa, jak „owa niedorzeczna mania“ (cette absurde manie)*) szydzenia z czytelnika właśnie w chwili, kiedy ten jest blizki rozrzewnienia, kiedy ma dać poecie najpiękniejsze świadectwo i najszczytniejszą nagrodę jego geniuszu.“

*) W cytowanem dziele, str. 310.

Rodowód tej „samoparodyi“, gryzącej i czułej naprzemian, a tak obfitej w niniejszym tomie, szanowny profesor pojmuje bardzo dobrze, jako obznajmiony z romantyzmem niemieckim, ale jest zanadto klasykiem, by módz jak się należy ocenić te czarne, posępne perły poezyi...

Swoją drogą jest trochę prawdy w jego dalszej skardze. Porównywając Harzreise do Podróży sentymentalnej Sterne'a, powiada: „Nie dosyć mieszać żart z czułością i poezyą; trzeba nadto, żeby promyk ciepła (bonhomie) zlewał wszystkie te ostre kontrasty w jedno i rozgrzał stronicę, która ma nas roztkliwić i zarazem uśmiech na twarz wywołać; niestety, nic nie jest bardziej od tego ciepłego nastroju obcem sarkastycznemu naszemu turyście, temu, którego przezwano „szyderczym drozdem“ lasów niemieckich (Spottdrossel)... Humor Podróży po Harcu porywałby nas całkiem, gdyby autor do kaprysów fantazyi poetyckiej i wyuzdanego przekomarzania się dolewał nieco tego szczerego uczucia, bez którego niemasz może rzetelnego humoru.“

Wpada jednak w entuzyazm nad sławną Idylą górską, której całkowity przekład poprzedzają u niego następujące zdania:

„Heine opowiada, iż niekiedy śród Harcu dają się słyszeć z oddali tajemnicze dźwięki, niby dzwon kaplicy, zabłąkanej między kniejami: to dzwonki pasących się trzód grają tak czysto i przecudnie.

„Tak samo i czytelnik w tym lesie, tak pełnym wrzawy i rozhoworów, w Podróży przez Harc—słyszy nagle na tle ciszy nocnej, na szczycie góry, dźwięki prawdziwie czarujące, tak czyste i słodkie, jak tony sygnaturki w kniei: to poeta nawiązał nareszcie struny swej lutni, by nam zaśpiewać tę idylę, pełną świeżości i naiwnego wdzięku.“

Zaś do ostatnich zwrotek pieśni dostraja słuszne słowa: „Heine miał racyę, a twórca tej porywającej sielanki, którą, zda się, sam wyczytać możesz w błękitnych oczach ufnego i naiwnego dziecka, co siedzi u stóp poety“

— miał zupełne prawo obwołać się jednym z królów poezyi.“

Wracając jednak do umyślnych rozdźwięków na złość rozrzewniającemu się już czytelnikowi, jesteśmy raczej zdania, że jeżeli się kto zgodzi na to, iż Heine nie tyle jest lirykiem, ile rozdwojonym w sobie człowiekiem wiecznego dramatu i, co za tem idzie, zadaje kłam szablonowym formułkom jego indywidualności, ten przystać musi zarazem, iż igranie z uczuciem, jak z lalką, teraz całowaną, za chwilę bitą — nie zawiera w sobie ani dziwu, ani paradoksu.

Wbrew atoli różnym pozorom bezładu i nieporządnej, cygańskiej głowy, w słynnem Italien można się domacać planu, już choćby dlatego, że nie w jednym roku ujrzało ono światło dnia. Jest czemś w rodzaju symfonii, z trzech części złożonej, tak, iż każda ma swój odrębny nastrój i koloryt.

Po drodze z Monachium do Genui mamy do czynienia z poetą, który lekkim duchem wchłania uroki podróży przez Alpy i Włochy północne, tkając felietonowo „myśli swych przędzę“ i sypiąc hojną garścią „uczuć swych kwiaty“. Hurmem tłoczą się tutaj krajobrazy, wspomnienia, tęsknoty do napotykanych czarnycho czów, przycinki pod adresem swoich, refleksye historyczne, elegie i gromkie „Hosanna!“ na powitanie nowej ery świata — wszystkie bezprzykładnie śmiałe, dowcipne“—czułe lub druzgoczące, z zasadniczem allegro, które jednak zasępia od czasu do czasu ponurym zgrzytem mgliste wspomnienie o „umarłej Maryi“, pełne tego samego, bolesno-Nowalisowego czaru, jakim tchnie np. Pielgrzymka do Kevlaar.

Comparaison n'est pas raison, — znajdziemy jednak w Kąpielach Lucca, t. j. w części drugiej, wesołe Scherzo, którego bohaterami są pan markiz i jego sługa, nawet Menueta, dzięki ponętnej Francesce — baletnicy, i coś w rodzaju Tria; tylko cokolwiek zadługa wycieczka

przeciw Platenowi wtrącona jest sztucznie, co nie uszło uwagi samego twórcy, bo przeprasza za odskok parokrotnie. Waryacye na ten temat snują się, rzekłbyś, bez kresu.

Część trzecia, Finale, zawiera na razie echa dawniejszych tematów, lecz wkrótce ton poważnieje i zmienia się motyw. Snadź cierpienia wgryzły się głęboko w serce poety, bo nie potrafi drwić ze wszystkiego, co swięte, jak wprzódy, nie znosi nawet cynizmu Matyldy; w tem, czemu ongi urągał, odkrywa teraz strony dodatnie. Kocha wiarę i religię, klęka przed Ukrzyżowanym, broni podniosłej idei chrześcijaństwa, a uzbraja się tylko przeciw obłudzie, frymarkowi sumieniami, przeciw wyzyskowi prostoty dla samolubnych celów śmietanki, przeciw sojuszom możnych i świętobliwych. Niekiedy na całe stronice znika przeczenie Mefistofelesa, by ustąpić miejsca gorącym wywodom publicysty. Wtedy tylko wraca do swych dyablich bluźnierstw, gdy go ogarnia... szał miłosny. W takich razach staje się dawnym, niepoprawnym bałamutem i farmazonem.

Trwa to niedługo. Struna współczucia dla wszystkich, co cierpią, brzmi w nim coraz donośniej. Boleje nad księżmi, jako swymi braćmi w niedoli, których trawi sieroctwo i obrażona miłość. Zdawałoby się chwilami, że tęskni za grobem. Potem drżącym z żałości głosem opowiada o wielkim Don Kiszocie z Manszy; płacze nad losem jego następców, a więc i swoim, a czuć, że łzy te płyną z głębi serca, które, jak mówi Miron, pękło z miłości dla ludzi, gdy się za nich modlił. Jest coś rozdzierającego w tych gorzkich żalach tytana, na którego spiknęły się wszelkie ciemne potęgi, by mu zatruć wszystkie źródła życia. Bo każdy wie, że on swe rany zwykle weselem pokrywa, a jeśli teraz skarży się, to widocznie szpony psa Jowiszowego szarpią okropniej. Niekiedy znów wieje z jego słów groza Jezajasza.

Ale niebawem zdławia w sobie pognębienie. Dopiski, stanowiące właściwy finał symfonii, grzmią znowu tryumfem, jak uroczysty hymn wolności. Rok 30 nadszedł; nad Francyą i Europą zajaśniała znów jej dobra gwiazda i spłoszyła cienie z duszy poety, który w lepsze dla świata jutro wierzy i wiarą tą oddycha...

Z góry można przewidzieć, jakie komentarze wywołają Włochy. Będą się pytać ludzie, co znaczy owa zmienność godeł i ideałów. To drwi — powiedzą — to korzy się, macha toporem nad arystokracyą, a potem żali się na lud, że do wolności kroczy po przez gruzy i zwaliska muzeów i księgozbiorów, lży książęce trony, a potem broni ich, by napaść na magnatów i duchowieństwo, śpiewa marsyliankę, a za chwilę wynosi pod niebiosa Ludwika II i Metternicha rehabilituje.

Były niewątpliwie w życiu Heinego dni małoduszności, kiedy wprost truchleć musiał pod ogromem kutych przeciw niemu intryg i zdrad. Nieraz musiało go przerazić własne zuchwalstwo i, by je złagodzić, cofał się o krok jeden. Ale to były tylko mroczne interwale, po których zwykła przekora zrywała się z krótkiej drzemki. Heine był przedewszystkiem opozycyonistą i liberałem. Czcił swobodę, ale taką, która nie wyklucza wybujałej jaźni, nie zaś taką, która gwałtem poziomy zrównywa. Do haseł dzisiejszych, ogólno-etycznych nie dorósł był jeszcze, stąd często piorunował przeciw demokratycznemu „na Parnasie kartoflowi.“ Kochał stan upośledzony, o ile był w ucisku i poniewierce, ale, z chwilą gdy ten, sam lub w osobie swych rzeczników, zaczynał wywierać ochlokracyę — odstrychał się od niego. Nienawidził, jednem słowem, motłochu, zarówno tego, co ma w żyłach krew błękitną, jak i tego, co namulonemi z wczorajszej pracy dłońmi dziś burzy zabytki sztuki. Za prawa ludu walczył, za wolność czucia, i myśli—cierpiał, ale gdy owa wolność chciała pętać własną jego osobę, wysuwał żądło najjawniej w świecie. W jego więc kulcie było dosyć miejsca i dla wielkich despotów, jak Napoleon lub Cezar, bo wielbił geniusz, i dla maluczkich, bo szanował istotę ludzką i niepo-

zwalał nią pomiatać, Nie zapominajmy, że najwznioślejsze sztandary tracą swój powab z chwilą, gdy chorążowie stają się sekciarzami, ciasnymi, jednostronnymi. Pod tym względem natura Heinego bliźniaczo podobna jest do natury Byrona, którego sąd o sobie moglibyśmy zastosować do naszego poety:

Zawsze sympatye me po słabszej stronie,
Iż wierzę—gdyby ci, co dziś purpurę
Noszą, w pychy jeżdżą faetonie,
Runęli,—a „psy znowu wzięły górę,“
Zrazu szydziłbym i lojalną skórę
Wdział, walcząc w ultrarojalistów lidze,
Demokratyzmem rojalnym się brzydzę [1]).

Tylko że Heine, filozof z zawodu i prawnik z wykształcenia, musiał wyznawać pewne godła społeczne i polityczne daleko stalej od tych, którym napędza je kaprys i temperament. We własnym umyśle miał hamulec, nie dopuszczający zbyt gwałtownych wahań. Przekona się o tem czytelnik z dużego utworu p. t. Przyczynek do dziejów religii i filozofii w Niemczech, który wejdzie w skład tomu następnego, a już teraz nawet, w symfonii Włochy, co krok łatwo napotkać dojrzałe, przetrawione głęboko poglądy, których wyrazem są choćby zjadliwe przycinki, robione Heglowi za jego leib-filozofię państwową, uznającą za mądre wszystko, co jest, dlatego, że jest. Gdy w jego wyobraźni przesuwają się czyny roku 1789 i 1830, język bucha iście natchnionym żarem i staje się prawdziwą mową bogów, a Dopisek późniejszy do Włoch wart, żeby się go, jak pacierza, na pamięć nauczyć. W literaturze świata niewiele jest prozy, w którejby blask geniuszu poetyckiego promieniał z taką siłą, jak w dwu końcowych rozdziałach Włoch i obu dopełnieniach. Bo wogóle Heine ma tę właściwość,

[1]) Don Juan, pieśń XV. przekład E. Porębowicza.

że każdą myśl, każdy moment rozumowania wciela w obraz, ale nie retoryczny, lecz taki, co przenika na wskroś, wstrząsa dreszczem grozy, wzrusza liryzmem, rozśmiesza lub miażdży, a zawsze kolory swe z głębi uczucia bierze.

Jest zresztą mimo swój weltschmerz — optymistą, jak każdy szermiesz waleczny. W pierwszej części mówi:

„Tak, będzie piękny dzień, słońce wolności większem szczęściem rozgrzeje ziemię, niż arystokracya wszystkich gwiazd razem; wystrzeli kwieciem nowe pokolenie, poczęte w wolnym, wybranym uścisku, a nie w musowem łożu i pod kontrolą duchowych celników; z wolnemi narodzinami, w człowieku przychodzić będą na świat wolne myśli i uczucia, o których my, z urodzenia służalcy, nie mamy żadnego pojęcia. O! i oni również mało będą pojmowali, jak okropną była noc, w której pomroce musieliśmy żyć... O! biedni my wojownicy, co cały nasz żywot strawić musimy w takich zapasach, a gdy dzień tryumfu zaświta, będziemy zmęczeni i bladzi! Zorza słonecznego wschodu nie zaróżowi już lic naszych i serc naszych nie rozgrzeje! zamrzemy, jak ten żegnający nas księżyc—nadto krótką odmierzono człowiekowi pielgrzymkę, u której kresu nieubłagany grób.“

A potem idą słowa, jak gdyby napisane po to, żeby je wyryć złotemi głoskami na marmurowym w panteonie ludzkim sarkofagu:

„Nie wiem, doprawdy, czy zasługuję, by mi kiedyś trumnę ozdobiono wieńcem wawrzynu. Poezya, jakkolwiek ją kochałem, była mi zawsze tylko swiętą igraszką, albo poświęconym środkiem do celów niebiańskich. Nie przywiązywałem nigdy wielkiej wagi do sławy poetyckiej, a czy kto moje pieśni chwali, czy gani, — to mię mało kłopocze.

„Ale pamiętajcie położyć na mojej trumnie miecz, bo byłem dzielnym żołnierzem w wojnie o swobodę, którą prowadzi ludzkość.“

Cezary Jelenta.

SPIS RZECZY.

str.

PRZEDMOWA *Cezarego Jelenty*. . . . . I—XIII
PODRÓŻ PO HARCU. Przekład *Maryana Gawalewicza*. 3—76

Poezye w Podróży po Harcu:

„Czarne fraki i pończochy“. Przekład *Maryana Gawalewicza*. . . . . 3—4
„A więc wstańcie, sny me stare!“ Przekład *Maryi Konopnickiej*. . . . . 13—14
Idylla górska. Przekład *Maryi Konopnickiej* . . 36—43
„Królem jest — pastusze chłopię“. Przekład *Maryi Konopnickiej*. . . . . 44—45
„Już wyjaśnia się wschód złoty“. Przekład *Maryi Konopnickiej*. 64
„Księżniczka jestem Ilza“. Przekład *Maryi Konopnickiej*. . . . . 69—70

WŁOCHY (1828—1829). Przekład *Cezarego Jelenty*. . 77
Pro domo mea „ „ „ . . 79
Podróż z Monachium do Genui. Przekład *Cezarego Jelenty*. 81
Kąpiele Lucca. Przekład *Cezarego Jelenty*. . . 170
Miasto Lucca. „ . „ „ . . . 266
Późniejszy dopisek (1830). Przekład *Cezarego Jelenty*. 320
Ostatnie słowo (1830). Przekład *Cezarego Jelenty*. 323

PODRÓŻ PO HARCU

przekład

Maryana Gawalewicza.

„Nic nie jest trwałem oprócz zmiany, nic stałem oprócz śmierci. Każde uderzenie serca zadaje nam ranę i gdyby nie poezya, życie byłoby ciągłem krwi broczeniem. Ona udziela nam tego, czego nam natura odmawia: wiek złoty, który nie rdzewieje, wiosnę, która nie przekwita; pogodne szczęście i młodość wieczystą".

Boerne.

Czarne fraki i pończochy,
Gładki mankiet śnieżnej bieli,
Słodkie słowa, pocałunki—
Gdybyż tylko serce mieli!

Serce w piersi, w sercach miłość,
Co prawdziwie wre i czuje—
Ach, mnie ich kłamanych cierpień
Opiewana gorycz truje!...

Na gór wzniosłych pójdę szczyty,
Kędy chatki skromne stoją,
Gdzie wolniejsze płyną tchnienia,
Szerzej pierś otworzę moją.

Na gór wzniosłych pójdę szczyty,
Kędy sosny z ciemną skronią,
Szmer potoków, ptasząt śpiewy
I gdzie dumne chmury gonią.

Więc żegnajcie gładkie sale,
Gładkie panie i panicze!
Na gór wzniosłych wyjdę szczyty
Z śmiechem spojrzeć wam w oblicze.

Miasto Getynga słynie ze swoich kiełbasek i uniwersytetu, należy do króla hanowerskiego: liczy 999 dymów, ma rozmaite kościoły, jeden zakład położniczy, obserwatoryum astronomiczne, areszt, bibliotekę i piwnicę pod ratuszem, w której bardzo dobrego dostanie piwa. Strumień, przepływający opodal, nazywa się „Liną“ i latem można w nim kąpieli używać; woda Liny jest bardzo zimną, a w niektórych miejscach tak szeroką, że Lüder w istocie musiał się dobrze rozpędzić, zanim ją przeskoczył. Samo miasto jest piękne i podoba się najbardziej temu, kto się do niego plecami odwróci; stać musi od bardzo dawna, bo przypominam sobie, że kiedym się tam przed pięciu laty immatrykulował, a wkrótce potem wypisany został, miało już taki wygląd i było już zapełnie urządzone ze wszystkiemi swemi terkotkami, pudlami, dysertacyami, tańcującemi herbatkami, kompendyami, pieczonemi gołąbkami, orderami gwelfów, promocyami, fajkami, radcami dworu, radcami sprawiedliwości, radcami delegacyi, profaksami i innemi faksami. Niektórzy utrzymują nawet, że miasto to zbudowane zostało podczas wędrówki narodów i że każde niemieckie pokolenie zostawiło w niem po jednym nieoprawnym egzemplarzu swoich synów, z których pochodzą wszyscy ci wandale, fryzoni, szwabi, teutoni, sasi, turyńczycy i t. d., którzy, do dzisiejszego dnia gromadnie odróżnieni kolorem czapek i chwastów przy fajkach, włóczą się po Getyndze i jej okolicach, prowadzą wiecznie między sobą krwawe bójki, pod względem zwyczajów i obyczajów przypominają czasy wędrówki ludów i poczęści rządzeni są przez swoich książąt, którzy noszą tu nazwę kogutów, a poczęści przez odwieczny swój kodeks, nazwany komentarzem, a zasługujący na pomieszczenie wsród legibus barbarorum.

Wogólności ludność Getyngi dzieli się na studentów, profesorów, filistrów i bydło, które to cztery stany bynajmniej ściśle odgraniczone nie są. Stan bydlęcy jest najznaczniejszy. Nazwisk wszystkich studentów i wszystkich zwyczajnych, jako też nadzwyczajnych profesorów wyliczać mi niepodobna, byłoby to bowiem za rozwlekłe; zresztą nie mam w tej chwili wszystkich imion w pamięci, a pomiędzy profesorami są tacy, którzy sobie jeszcze żadnego imienia nie wyrobili. Ilość getyńskich filistrów musi być bardzo wielką, jak piasek, albo lepiej powiedzieć: jak błoto na dnie morza. Zaprawdę, kiedym patrzał na nich, stojących z brudnemi twarzami, a z nieczystemi rachunkami przed bramą akademickiego sądu, zaledwie pojąć mogłem, jakim sposobem Pan Bóg tyle tego gałgaństwa mógł nastwarzać.

Obszerniej o Getyndze można wygodnie czytać w topografii tego miasta przez K. F. H. Marxa. Jakkolwiek mam najświętsze zobowiązanie dla autora, który był moim lekarzem i wiele dobrego mi wyświadczył, nie mogę jego dzieła bez zastrzeżeń polecić i muszę mu zganić to, iż nie dość stanowczo zaprzeczył fałszywemu mniemaniu, jakoby getynianki miały za duże nogi. Od bardzo dawnego czasu nosiłem się z myślą poważnego sprostowania tej opinii i w tym celu słuchałem anatomii porównawczej, robiłem wyciągi z najrzadszych dzieł w bibliotece, całemi godzinami na ulicy studyowałem nogi przechodzących dam i w uczonej rozprawie, która wyniki tych studyów zawierać będzie, powiem: 1) o nogach wogólności, 2) o nogach u starożytnych. 3) o nogach u słoni, 4) o nogach getynianek, 5) zestawię wszystko, co o tych nogach w ogrodzie Ulrycha już powiedziano, 6) zbadam te nogi w ich związku z sobą i dotknę przy sposobności także łydek, kolan i t. d., a w końcu 7) jeżeli tylko znajdę tak duży papier,

dołączę kilka kopersztychów, przedstawiających facsimile getyngeńskich nóg damskich.

Było jeszcze bardzo wcześnie, gdy opuszczałem Getyngę, i uczony *** leżał podówczas zapewne jeszcze w łóżku, śniąc jak zwykle, że przechadza się po pięknym ogrodzie, na którego grządkach rosną same białe, zapisane cytatami karteczki, lśniące uroczo w słonecznym blasku, i że zrywa z nich niektóre, aby je mozolnie na inną grzędę przesadzić, podczas gdy słowiki najsłodszemi tonami jego stare serce rozradowują.

Przed weendejską bramą spotkałem dwóch miejscowych uczniaków, z których jeden mówił do drugiego: „z Teodorem zrywam na zawsze, to gałgan, wczoraj nie wiedział nawet, jaki jest genitivus od mensa“. Jakkolwiek słowa te nie znaczą wiele, muszę je jednakowoż powtórzyć; co więcej kazałbym je nawet jako motto miejskie wypisać na samej bramie miasta, bo młodzi tak piszczą, jak starzy gwiżdżą, a słowa powyższe określają całkowicie tę ograniczoną i sztywną dumę wysoko uczonej Georgii Augusty.

Na gościńcu wiał świeży wietrzyk poranny, a ptaszęta śpiewały tak radośnie, że i mnie jakoś świeżo i wesoło na duszy się zrobiło. Potrzeba mi było takiego orzeźwienia. W ostatnich czasach nie wychodziłem z pandektowej stajni, rzymscy kazuiści osnuli mi ducha, niby szarą pajęczyną, serce moje siedziało jak w kleszczach pomiędzy żelaznemi paragrafami samolubnych systematów prawnych, bez ustanku dźwięczały mi w uszach imiona: Trybonian, Justynian, Hermogonian i Głupian, a nawet jakąś czułą parę kochanków, siedzących pod drzewem, wziąłem za wydanie Corpus-juris, trzymające się za ręce. Na gościńcu już się ożywiało. Dziewczęta z mlekiem przeciągały ku miastu, tudzież osłopasy ze swymi siwymi wychowańcami. Za bramą miejską spotkałem dwóch pedelów uniwersyteckich, którzy bacznie przestrzegać mieli, by się studenci w Bovden nie pojedynkowali i żeby jaki

spekulatywny docent prywatny nie przeszwarcował przypadkiem jakich nowych idei, które i tak kilka dziesiątek lat przed Getyngą odbywać muszą kwarantannę.

Jeden z nich ukłonił mi się, bo i on jest także pisarzem i w swoich półrocznych pismach często o mnie wspominał, cytując mnie nadto nie rzadko, a ilekroć mnie w domu nie zastał, tyle razy miał tę uprzejmość, cytacyę wypisać mi na moich drzwiach kredą. Od czasu do czasu przemknęła jednokonka, wypakowana studentami, którzy na wakacye, albo też na zawsze wyjeżdżali z miasta. W takiem uniwerstyteckiem mieście ciągle jedni przyjeżdżają, drudzy wyjeżdżają, co trzy lata spotyka się nowe pokolenie studentów; to wieczny strumień ludzi, w którym jedna fala semestralna drugą spycha i tylko starzy profesorowie wśród tego ogólnego ruchu stoją nieporuszeni jak piramidy egipskie—ale w tych uniwersyteckich piramidach nie kryje się żadna mądrość.

Z mirtowej alei przy Rauschenwasser, widziałem wyjeżdzających dwóch młodzieńców pełnych nadziei. Niewiasta jakaś, która w tych stronach swoje poziome rzemiosło prowadzi, odprowadzała ich aż na gościniec, wprawną ręką klepiąc konie po wychudzonych udach; roześmiała sie głośno, gdy jeden z jeźdźców jej szerokiej samodzielności z tyłu złożył kilka grzecznostek spicrutą i zboczyła potem ku Bovdenowi. Młodzieńcy zaś popędzili ku Nörten, wykrzykując z zapałem i pośpiewując milutką pieśń Rossiniego: „Golnij piwa, luba, luba Liro!“ Odgłosy jej słyszałem jeszcze długo z oddali, ale miłych młodzieńców straciłem wkrótce z oczu, gdyż okrutnie popędzali ostrogą i biczykami swoich wierzchowców, mających, jak się zdaje, w gruncie swego charakteru dużo niemieckiej powolności. Nigdzie tak po hyclowsku nie obchodzą się z końmi jak w Getyndze; bardzo często, patrząc, jak takie spotniałe, kulawe szkapsko za odrobinę paszy dało się zamęczać zamiejskim kawalerzystom, albo musiało ciągnąć całą furę studentów, myślałem sobie:

„Oj, ty biedne zwierzę! pewnikiem twoi przodkowie w raju musieli skosztować zakazanego owsa“.

W szynkowni w Nörten spotkałem obu młodzieńców; jeden z nich spożywał śledziową sałatę, drugi zabawiał się z żółto-skórą dziewką, Fusią Caniną, także „kaczką“ nazywaną. Powiedział jej kilka przyzwoitych rzeczy i w końcu doszło do tego, że się pobili. Aby ulżyć mojemu tłumoczkowi, wyjąłem z niego niebieskie pantalony, bardzo ciekawe ze względów historycznych i darowałem je małemu kelnerczykowi, zwanemu Kolibrem. Bussenia, stara gospodyni zakładu, przyniosła mi tymczasem porcyę chleba z masłem, uskarżając się, że ją tak rzadko odwiedzam, a ona tak bardzo mię kocha. Po za Nörten słońce stało wysoko i błyszczało na niebie; ono uczciwe miało względem mnie zamiary, ogrzewało mą głowę, ażeby wszystkie zielone myśli w niej zupełnie dojrzały. Lubego „słonka“ nad szynkownią w Nordheim także lekceważyć nie należy; zaszedłem tam—obiad zastałem już gotowy. Wszystkie potrawy bardzo mi smakowały i lepiej były przyrządzone niż w owej niesmacznej akademickiej kuchni w Getyndze, gdzie mnie karmiono niesłonym, twardym stokfiszem w starej kapuście. Podkarmiwszy nieco mój żołądek, zauważyłem w tej samej izbie jakiegoś pana z dwiema damami już na samem wyjezdnem. Jegomość był cały zielono ubrany, nawet okulary miał zielone, które na jego czerwony nos z miedzi rzucały odcień, podobny do grynszpanu; wyglądał jak król Nabuchodonozor w późniejszym wieku, gdy według podania nakształt leśnego zwierza samą sałatą się żywił. Zielony pan życzył sobie, ażebym mu w Getyndze jaki hotel polecił; poradziłem mu, ażeby pierwszego lepszego studenta na ulicy zapytał o Hotel de Brühbach. Jedna z pań była małżonką zielonego jegomości; była to duża, obszerna dama z zarumienioną, kwadratowo-milową twarzą, z dołkami na policzkach, które wyglądały jak spluwaczki dla bożków miłości, z mięsistym, obwisłym podbródkiem, który stanowił nieszczególny ciąg dalszy samej twarzy, z wypiętrzonym gorsem, najeżonym sztywnemi koronkami i zębatemi kołnierzykami, nakształt wieżyczek i bastyonów u twierdzy, która jak wszystkie inne, zdaniem Filipa Macedońskiego, nie opierałyby się długo osłu złotem objuczonemu. Druga dama była siostrą i tworzyła najdoskonalszy kontrast z pierwszą. Jeżeli tamta pochodziła od tłustych krów Faraona, ta była potomkiem chudych. Twarz całą stanowiły tylko usta pomiędzy parą uszu,—piersi zaś rozpaczliwie jałowe przypominały lüneburską puszczę; cała ta wygotowana postać podobną była do gratysowych obiadów dla ubogich teologów. Obie panie spytały mnie jednocześnie, czy w hotelu de Brühbach stają także przyzwoici ludzie; odpowiedziałem z czystem sumieniem, że tak, a kiedy miły trójlistek odjeżdżał, pożegnałem go raz jeszcze ukłonem przez okno. Gospodarz „z pod słońca“ uśmiechał się przebiegle, bo zapewne musiał słyszeć o tem, że karcer w Getyndze przez studentów tamtejszych hotelem Brühbach był przezwany. Za Nordheimem okolica zaczyna być górzystą, tu i ówdzie występują już wysokie wzgórza. Po drodze spotykałem najwięcej kramarzy, idących na jarmark brunświcki, tudzież gromadkę kobiet, z których każda niosła na plecach wysoki, piętrowy niemal kojec, pokryty białem płótnem. W nim siedziały zamknięte ptaki śpiewające, które bezustanku piszczały i świegotały, podczas gdy kobietki, drepcząc, wesoło ćwierkały z sobą. Smiesznem mi się wydało, że jeden ptak drugiego na targ niesie.

W noc czarną jak smoła przybyłem do Osterode; zabrakło mi apetytu do jedzenia, więc poszedłem od razu do łóżka. Zmęczony byłem, jak pies, a spałem, jak bóg. We śnie powróciłem znów do Getyngi i mianowicie do tamtejszej biblioteki. Stałem w jakimś kącie jurydycznej sali, wertowałem stare dysertacye i zatopiony byłem w czytaniu; ukończywszy lekturę, spostrzegłem ze zdziwieniem, że się zciemniło i że kryształowe pająki zwie-

szone od sufitu oświetlały salę. Na poblizkiej dzwonnicy kościoła zegar wydzwonił właśnie dwunastą, drzwi na wrzeciądzach powoli się otwarły i weszła przez nie dumna, gigantycznych kształtów niewiasta, otoczona ze czcią przez członków i pachołków fakultetu prawniczego. Olbrzymka, jakkolwiek już wiekowa, nosiła w rysach ślady dawnej piękności,—każde jej spojrzenie zdradzało wielką tytankę, możnowładną Temidę; wagę i miecz trzymała obojętnie w jednej ręce, a w drugiej zwój pergaminu. Dwóch młodych doktorów juris niosło ogon jej szarej, spłowiałej szaty; z prawej strony nadskakiwał wykrygowany, chudy radca dworu Rusticus, Lykurg Hannoweru i deklamował ustępy ze swojego nowego projektu do prawa; po lewej stronie chromał z galanteryą i humorem cavaliere servente Temidy, tajny radca Cujacius, puszczając co chwila jurydyczne dowcipki, z których sam śmiał się tak serdecznie, że nawet poważna bogini kilkakrotnie nachylała się do niego z uśmiechem i uderzając go dużym zwojem pergaminu po plecach, szeptała mu uprzejmie: „Ty mały, rozpuszczony filucie, co drzewa od wierzchołków ścinasz[1])." Każdy z innych panów zbliżał się również z uwagą, z uśmiechem, z jakimś nowo wygrzebanym systemacikiem lub hypotezką albo z podobnym dziwolążkiem swej własnej główki. Przez otwarte drzwi sali weszło jeszcze kilku obcych ichmościów, którzy się przedstawili jako wielcy mężowie świetnego zakonu; po większej części same kańczaste, zaczajone figury, z wielkiem zadowoleniem własnem sypiąc od razu definicyami i zastanawiając się nad każdym podtytulikiem tytułu w pandektach. Coraz więcej przybywało nowych postaci, starych jurystów w zarzuco-

[1]) Heine robi tu aluzyę do ówczesnego sporu między dwoma jurystami w Getyndze w kwestyi tłumaczenia jednego ustępu w Corpus juris civilis: „de arboribus caedendis." Pod figurą radcy Cujaciusza (słynnego prawoznawcy z XVI-go wieku) ukrywa się profesor, Gustaw Hugo.

nych kostjumach, w białych długich perukach, z dawno zapomnianą fizyonomią, którzy zdawali się być bardzo zdumieni, że im, znakomitościom zeszłego wieku, nieszczególną poświęcano uwagę; wmięszali się każdy na swój sposób w ogólną paplaninę, ogólne ćwierkanie i krzyki, które rosły coraz bardziej jak huk morza i ogłuszały wysoką boginię, aż straciwszy cierpliwość, przeraźliwym krzykiem rozpaczy wybuchnęła nagle: „Przestańcie, umilknijcie! słyszę głos mego drogiego Prometeusza; szydząca siła i niemy gwałt przykuwają niewinnego męczennika do skały, a wszelkie wasze gadaniny i swary nie mogą ranom jego ulżyć i więzów jego zerwać"[1]). Tak wołała bogini, a z oczu jej dwa strumienie łez się rzuciły, całe zgromadzenie wyć zaczęło, jakby w śmiertelnej trwodze, powała sali trzeszczała, książki z półek spadały; napróżno stary Münchhausen (pierwszy kurator uniwersytetu w Getyndze) wylazł z ram swego portretu, aby przywrócić spokój, wszystko krzyczało i hałasowało coraz bardziej;—od tego wrzasku waryatów umknąłem do sali historycznej, gdzie święte wizerunki Apollona belwederskiego i Wenery medycejskiej obok siebie stoją; upadłem do nóg bogini piękności i zatopiony w jej widoku zapomniałem o dzikiej wrzawie; oczy moje piły z zachwytem symetryę i łagodność jej błogosławionego ciała, grecki spokój przeniknął moję duszę, a nad głową moją Foebus Apollo rozlewał jak niebiańskie błogosławieństwo najsłodsze tony swej liry.

Po zbudzeniu jeszcze słyszałem jakieś przyjemne dźwięki; trzody szły na pastwisko i dzwoniły swemi dzwonkami. Lube, złote słonko świeciło przez okno i oświecało malowidła rozwieszone na ścianach. Były to obrazki z wojny o wyzwolenie, na których wiernie przedstawiono, jakimi to wszyscy byliśmy bohaterami; były dalej sceny

[1]) Autor ma na myśli Napoleona, którego nazywa Prometeuszem.

tracenia z czasów rewolucyi, Ludwik XVI-y pod gilotyną i t. p., odcinania głowy, na które niepodobna było patrzeć, bez dziękowania Bogu, że się spokojnie w łóżku leży, dobrą kawę pije i własną głowę jeszcze tak wygodnie na karku nosi. Obok Abelarda i Heloizy wisiało nadto na ścianie kilka cnót francuskich, w postaci bezmyślnych główek dziewczęcych, pod któremi piękną kaligrafią wysztychowane były napisy: la prudence, la timidité, la pitié etc., a nakoniec jakaś Madonna, tak piękna, tak miła, tak skromna, że miałem ochotę odszukać modelkę, która malarzowi do niej pozowała i ożenić się z nią natychmiast. Rozumie się, że, zaślubiwszy raz tę Madonnę, byłbym ją pięknie prosił o zerwanie wszelkich dalszych stosunków z Duchem świętym, bo nie sprawiłoby mi to żadnej przyjemności, gdybym za pośrednictwem własnej żony zyskać miał aureolę, lub jaką inną ozdobę mojej głowy.

Wypiwszy kawę, ubrawszy się, przeczytawszy napisy na szybach i załatwiwszy wszystko w oberży, opuściłem Osterode. Miasto to ma tyle i tyle domów, tylu i tylu rozmaitych mieszkańców, pomiędzy którymi znajduje się także i dusz trochę, o czem czytać można dokładniej w Gotschalka „Podręczniku dla podróżujących po górach Hercyńskich.“ Zanim wyszedłem na gościniec, zwiedziłem ruiny przedwiecznego zamku osterodzkiego; stanowi je połowa dużej, o grubych murach wieży, jakby przez raka stoczonej. Droga do Klausthalu wspina się znowu w górę; z wyżyny spojrzałem raz jeszcze w dół, gdzie Osterode ze swojemi czerwonemi dachami z pośród zielonych lasów sosnowych wyglądało jak rożyczka pośród mchu.

Słońce przyświecało temu wszystkiemu milutko, naiwnie. Z pozostałej połowy wieży zobaczyłem ztąd jej imponującą stronę tylną. W tej okolicy znajduje się jeszcze wiele innych ruin; najpiękniejszą z nich jest Hardenburg pod Nörten. Jeżeli się ma nawet serce, jak przystało, po lewej, po liberalnej stronie, to i tak trudno się

jest oprzeć wszystkim elegicznym uczuciom na widok skalistych gniazd tych uprzywilejowanych ptaków drapieżnych, które swoje słabowite potomstwo tylko dobrym apetytem obdarzyły. Tak też było i ze mną. Im więcej się od Getyngi oddalałem, tem bardziej tajał mój umysł i znowu, jak niegdyś, nastrajałem się romantycznie, i taką pieśń ułożyłem sobie po drodze:

. . . . . .

A więc wstańcie, sny wy stare!
Otwórz, serce, swoje drzwi!
Słodycz pieśni, łza tęsknoty,
Znów niech płynie, znów niech brzmi!

Między jodły pójdę ciemne,
Gdzie wesoły pluszcze zdrój,
Gdzie pomyka jeleń dumny,
Gdzie drozd głosik nuci swój.

Na wysokie wstąpię góry,
Na urwistej skały szczyt,
Gdzie ruiny zamku szare
W blaskach stoją w ranny świt.

Tam w zadumie siędę cichy,
By wspominać dawne dnie
I kwitnące pokolenia,
Których przepych zaćmił się.

Trawa dziś zarasta szranki,
Gdzie się rycerz bił na schwał,
I przemagał najdzielniejszych,
I nagrodę męztwa brał.

Bluszcz się winie po krużganku,
Gdzie najmilsza stała z dam,

Gdzie zwycięzca, pięknem okiem
Zwyciężony, uległ sam.

Ach, rycerza i rycerkę
Przemógł dawno śmierci raz,
Owego to jeźdźca z kosą,
Co obala w piasek nas.

(przekład Maryi Konopnickiej).

Uszedłszy kawał drogi, spotkałem wędrującego czeladnika, który z Brunświku zdążał; opowiedział mi tamtejszą pogłoskę, jakoby turcy młodego księcia, jadącego do ziemi świętej, w niewolę zabrali i żądali za niego wielkiego okupu. Daleka podróż księcia mogła tę bajkę wywołać. Lud ma zawsze jeszcze swój tradycyonalny pociąg do bajek i bajecznego sposobu myślenia, który się tak wdzięcznie wyraża w „Księciu Erneście“ [1]). Mój podróżny narrator był krawcem z profesyi; mały, zgrabny młodzieniec, tak cienki, że gwiazdy mogły przez niego przeświecać, jak przez mgliste duchy Ossiana, przedstawił mi się w gruncie dziwaczną mieszaniną humoru i melancholii. Ta ostatnia przebijała szczególniej w zabawnie wzruszającym sposobie śpiewania cudownej pieśni o „chrząszczu, który na płocie siedział—zum, zum!“ To pięknie ze strony naszej, z niemców strony; żaden z nas nie jest takim waryatem, żeby nie mógł spotkać jeszcze większego waryata, który go zrozumie. Tylko niemiec może taką piosnkę odczuć i zaśmiać się przy niej, lub zapłakać na śmierć. Krawczyk

[1]) Ernest szwabski (1007—1030) był już pod koniec XII wieku bohaterem poematu i przez całe wieki średnie śpiewano o nim pieśni, romanse i ballady; książę Ernest, poróżniony ze swym ojczymem, cesarzem Konradem II-gim, wybrał się na wyprawę krzyżową do ziemi świętej, gdzie nadzwyczajnych, według poematu, miał doznać przygód.

śpiewał jeszcze kilka innych pieśni ludowych, w których same „czarne oczy“ świeciły, a zatem południowo-niemieckie pochodzenie zdradzały. Znam tylko jednę jedyną piosnkę, z której spozierają północno-niemieckie „modre oczy“ ale i ta nie wydaje mi się autentyczną. Jeżeli wszelako południowe Niemcy są ojczyzną ludowej pieśni, to północne są ojczyzną baśni ludowej, z którą się w mojej podróży tak często spotykałem. Liryka należy do południa, epika do północy. Tu i tam należy Goethe. Mój cienki towarzysz nucił też niekiedy: „Leidvoll und freudvoll, Gedanken sind frei!“ Taka korupcya tekstu jest u ludu czemś zwyczajnem. Śpiewał potem pieśń o „Loli, co nad grobem Wertera łzy lała;“ on sam rozlewał się w sentymentalizmie przy słowach; „Samotna tutaj łzy ronię, gdzie księżyc nas nocą widywał, błądzę stroskana u źródła, co nam rozkosznie szemrało.“ Ale wnet potem wpadł w dobry humor i opowiadał: „W gospodzie naszej, w Kaselu, mamy prusaka, który sam właśnie takie piosnki układa; nie umie marnego ściegu uszyć; kiedy grosz ma w kieszeni, to za dwa grosze czuje pragnienie, a gdy sobie podleje, to mu się niebo niebieską kamizelką wydaje i płacze, jak rynna po deszczu i śpiewa piosnki z dubeltową poezyą.“ Chciałem, żeby mi to ostatnie wyrażenie wytłumaczył, ale moje krawczątko z koziemi nóżkami poskakiwało to tu, to tam i wołało nieustannie: „Dubeltowa poezya, to jest poezya dubeltowa.“ W końcu wydobyłem z niego, że rozumiał pod tem podwójnie rymowane wiersze czyli stanze. Skutkiem zbytniego ruchu i wiatru przeciwnego rycerz od igły znużył się bardzo; zabierał się wprawdzie siarczyście do dalszego marszu i odgrażał: „No, teraz puścimy się w drogę,“ ale wkrótce zaczynał się skarżyć, że ma na nogach pęcherze od chodzenia i że świat jest za szeroki dla niego, aż wreszcie pod jakiemś drzewem usiadł i kiwając delikatną główką, jak zasmucony baran ogonkiem, z melancholijnym uśmiechem zawołał: „No i biedne ścierwo ze mnie, znów jestem zmęczony!..“

Góry były tu jeszcze bardziej strome, jodłowe lasy w dole falowały jak zielone morze, a na błękicie w górze żeglowały białe chmury. Dzikość okolicy łagodziła ich prostota i harmonijność. Natura jak dobry poeta nie lubi gwałtownych przeskoków. Obłoki, pomimo dziwacznych kształtów, niekiedy mają biały albo inny jaki, ale łagodny koloryt, harmonijnie odpowiedni błękitowi nieba i zielonej ziemi, tak, że wszystkie barwy pejzażu spływają się z sobą, jak cicha muzyka i każdy widok natury uspakajająco działa na ciało i na umysł. Nieboszczyk Hoffmann byłby obłoki pstro pomalował. Podobnie też jak wielki poeta natura umie małemi środkami wywoływać największe efekty. Oto tylko słońce, drzewa, kwiaty, woda i miłość. Rozumie się, że kiedy tej ostatniej zbraknie w sercu człowieka, to mu się całość nieszczególnie wyda i słońce będzie miało tylko tyle i tyle mil w średnicy, drzewa dobre będą jedynie na opał, kwiaty rozklasyfikują się tylko według pręcików, a woda będzie tylko mokrą.

Mały chłopak, który dla swego chorego wujka chrust zbierał w lesie, pokazał mi wioskę Lerrbach; domki jej z szaremi dachami rozciągały się przeszło pół mili w dolinie. „Tam, — mówił mi — mieszkają głupi gardlacze, ludzie z wolami: białe murzyny;“ w ten sposób lud określa albinosów. Malec pozostawał z drzewami w szczególniejszym stosunku znajomości; pozdrawiał je jak dobrych znajomych, a one zdawały się szmerem odpowiadać na jego powitanie. Gwizdał przytem jak czyżyk; dokoła odpowiadały świegotem inne ptaki, a zanim się spostrzegłem, już mi jego bose nogi i pęk chrustu zginęły w leśnym gąszczu. „Dzieci, pomyślałem, są młodsze od nas; mogą sobie zatem przypominać jeszcze, jak same były drzewami lub ptaszkami i dlatego łatwiej się z niemi rozumieją; ale ten i ów z naszego pokolenia jest już starym i ma głowę nabitą zbytkiem kłopotów, prawoznawstwa i lichych wierszy.“ Przy wejściu do Klausthalu przyszły mi żywo na pamięć owe czasy, kiedy to inaczej bywało. Do tego

schludnego miasteczka wśród gór, którego człowiek póty nie widzi, dopóki ono przed nim nie stanie, wchodziłem właśnie, gdy zegar wybijał dwunastą i dzieciaki wesoło ze szkoły wybiegały. Miłe chłopaki, przeważnie o rumianych policzkach, niebieskich oczach i płowych włosach, podskakujące i uradowane, zbudziły we mnie te tęsknowesołe wspomnienia, kiedym to ja sam jako mały berbeć całe przedpołudnie z drewnianej ławki w ponuro-katolickiej szkółce w Düsseldorfie ruszyć się nie śmiał, tyle łaciny, rózeg i geografii wytrzymać musiał, i potem rownież nie posiadał się z radości i uciechy, gdy stary franciszkański zegar godzinę dwunastą wydzwonił. Dzieci poznały po moim tłumoczku, żem obcy przybysz i pozdrowiły mnie bardzo uprzejmie. Jeden z chłopców opowiadał mi, że mieli właśnie lekcyą religii i pokazywał królewsko-hanowerski katechizm, z którego im chrystyanizm wykładano. Książeczka była bardzo źle drukowana i obawiam się, że artykuły wiary z tego powodu właśnie sprawiają na umysły dzieci od razu tak niepocieszne bibulaste wrażenie; okropnie mi się też nie podobało, że tabliczka mnożenia, która z nauką o Trójcy Św. w tak poważną wchodzi kolizyą, drukowaną była w tymże samym katechizmie i to na ostatniej stronicy, co przedwcześnie mogło sprowadzić dzieci na drogę grzesznych wątpliwości. Pod tym względem my (w Prusiech) jesteśmy o wiele rozsądniejsi i przy naszej gorliwości w nawracaniu ludzi, znających się dobrze na rachunku, przestrzegamy tego pilnie, aby tabliczka mnożenia nie była razem z katechizmem drukowana. „Pod koroną“ w Klausthalu zatrzymałem się na obiad; dali mi owsiano-zieloną zupę z pietruszki, fiołkową kapustę, pieczeń cielęcą rozmiarów Chimborassa w miniaturze i coś w rodzaju wędzonych śledzi, nazwanych bückingami od nazwiska swojego wynalazcy, Wilhelma Bückinga, zmarłego w r. 1447. Z powodu tego właśnie wynalazku, tak wysoce czcił go Karol V, że anno 1556 z Middelburga do Bievliedu w Zelandyi podróż odbył, aby tylko

zobaczyć grób tego wielkiego męża. Jak wybornie smakuje taka potrawa, kiedy się zna odnośne notatki historyczne przy jedzeniu!.. Tylko kawę po obiedzie obmierził mi pewien młody człowiek, który przysiadł się do mnie z rozmową i tak strasznie terkotał, na wiatr, że się mleko na stole zwarzyło. Był to jakiś młody praktykant handlowy w dwudziestu pięciu różnokolorowych kamizelkach i tyloma złotemi pieczątkami i pierścionkami i szpilkami na piersiach. Wyglądał jak małpa, która wdziała czerwony kaftan i powiada sobie: suknia—to człowiek. Umiał na pamięć mnóstwo szarad, jako też anegdotek, które przytaczał tam właśnie, gdzie najmniej przystawały. Pytał mnie, co tam nowego słychać w Getyndze: odpowiedziałem mu, że pod karą trzech talarów właśnie przed moim wyjazdem ze strony akademickiego senatu zabroniono obcinać psom ogony, z powodu, iż podczas kanikuły psy wściekłe trzymają ogon spuszczony pomiędzy nogami, przez co odróżniają się od niewściekłych, czegoby poznać nie można, gdyby wcale ogonów nie miały. Po obiedzie wybrałem się na zwiedzenie huty, kopalni srebra i mennicy tutejszej.

W hucie często jak i w życiu ominął mnie blask topionego srebra; w mennicy już mi się lepiej udało, mogłem zobaczyć sztukę robienia pieniędzy. Co prawda, dalej też nie mogłem nigdy zajść w życiu. Przy takich okazyach musiałem zawsze poprzestawać na roli widza i sądzę, że gdyby kiedy z nieba talary spadać zaczęły, to dzieci Izraela zbierałyby tę srebrną mannę z radością, a mnieby tylko dziury w głowie się dostały. Z komiczną mieszaniną szacunku i wzruszenia spoglądałem na te nowonarodzone, bite talary i wziąwszy jeden do ręki, rzekłem doń: „Młody talarku! jakie losy cię czekają! ile złego i dobrego zdziałać potrafisz! jak będziesz ochraniał występek i łatał cnotę! jakże kochanym, a potem przeklinanym będziesz! jak będziesz pomagał hulać, stręczyć, kłamać i mordować! jak będziesz bez wypoczynku błądził

przez czyste i brudne ręce całe stulecia, aż w końcu obładowany winami i znużony grzechami znajdziesz się wraz ze swoimi na łonie Abrahama, który cię stopi, oczyści i przekształci do nowego, lepszego bytu, nim z ciebie zrobią jeszcze kiedy niewinną łyżeczkę, którą mój własny praprawnuczek swą ulubioną papkę jeść będzie“!

Zwiedzenie dwóch najważniejszych szybów w Klausthalu „Doroty“ i ,,Karoliny“ było dla mnie bardzo zajmującem i dlatego muszę je obszerniej opisać.

Pół mili za miastem dochodzi się do dwóch poczerniałych budynków; tu zabierają człowieka od razu górnicy, w ciemnych, stalowego koloru, szerokich kurtach poniżej pasa sięgających, takichże spodniach, w skórzanym fartuchu z tyłu i w małych, zielonych, kapelusikach filcowych bez ronda na głowie, podobnych do uciętego ostrokręgu. W taki sam garnitur tylko bez fartucha ubierają gościa; jeden z górników zapaliwszy swój kaganiec, prowadzi go do ciemnego otworu, który wygląda, jak wejście do komina, włazi pierwszy powyżej pasa, daje wskazówki, jak się drabiny trzymać należy i uprasza, aby bez obawy za nim się spuszczać. Niema w tem niebezpieczeństwa, ale człowiekowi nie chce się temu wierzyć z początku, jeżeli zwłaszcza nie ma pojęcia o górnictwie. Już to samo, że trzeba się rozebrać i wdziać ciemny strój delinkwenta, przejmuje jakiemś szczególniejszem uczuciem; potem to złażenie na dół na czworakach, ta dziura, która wydaje się tak ciemną, a drabina, Bóg wie, jak długą!... Po pewnej chwili wszelako robi się odkrycie, że to nie po jednej drabinie schodzi człowiek w tę ciemną wieczność, ale, że ich jest więcej o piętnastu do dwudziestu szczeblach i że każda prowadzi na stopień, na którym stanąć można, zanim się przez nowy otwór i po nowej drabinie spuszczać zacznie. Zstąpiłem najprzód w Karolinę; jest to najbrudniejsza i najnieprzyjemniejsza Karolina, jaką kiedykolwiek znałem. Szczeble drabiny są zabłocone i wilgotne; z jednej schodzi się na drugą za górnikiem, który ciągle za-

pewnia, że niema żadnego niebezpieczeństwa, byle się tylko trzymać drabiny, nie patrzeć pod nogi i zawrotu głowy nie dostać, albo, Boże broń, nie stąpnąć na deski z boku, gdzie właśnie warczy lina od kubłów i skąd przed dwoma tygodniami spadł jakiś nieostrożny biedak i kark skręcił. W dole słychać chaotyczne szmery i szelesty, ciągle się potrąca o jakieś belki i windy w ruchu, które wyciągają w górę kubły z wydobytą rudą lub z naciekłą wodą od spodu. Niekiedy dochodzi się do wykutych korytarzy, zwanych sztolniami, w których można widzieć, jak srebro rośnie i gdzie samotny górnik po całych dniach młotkiem ze ściany kawałki kruszcu wypukuje. Nie dostałem się do najdalszej głębi, gdzie według zdania niektórych można już słyszeć, jak ludzie w Ameryce „Hurra Lafayette!“ wołają; i tak mi się wydawało, że dość głęboko zaszedłem, wsród tych nieustannych szmerów i szumów, niemiłych poruszeń maszyny, ściekania wód podziemnych i dusznych wyziewów, za coraz bledszem światełkiem kagańca w samotną noc. Zaprawdę było w tem wszystkiem coś ogłuszającego; coraz trudniej mogłem oddychać i z coraz większym wysiłkiem trzymałem się na ślizkich szczeblach drabiny. Nie uczuwałem ani trochę tak zwanej bojaźni, ale dziwna rzecz—tam w dole przypomniałem sobie, że zeszłego roku, mniej więcej o tej samej porze, przechodziłem burzę na oceanie północnym i myślałem teraz, że to szczególniejsza przyjemność w tem kołysaniu się okrętu, gdy wichry trąbią swoje sztuczki, a wśród tego wesołe wrzaski majtków słychać i wszystkich dreszczem przejmuje boskie, świeże, wolne powietrze. Ach, powietrze! chwytając je ustami, wyszedłem po kilku tuzinach drabin znowu do góry, a mój górnik zaprowadził mnie wązkim, bardzo długim, wykutym w skale kurytarzem do kopalni Doroty. Tutaj było powietrzniej i świeżej, drabiny czyściejsze, ale dłuższe i bardziej strome, niż w Karolinie; tu zrobiło mi się też weselej, zwłaszcza, gdy znowu ślady ludzkie zobaczyłem. W głębi bowiem pokazały się światełka wędrujące; to górnicy ze swymi kagańcami wstępowali powoli w górę i przechodzili obok nas z pozdrowieniem „Glückauf“ i jak przyjaźnie spokojne, a zarazem zagadkowo męczące wspomnienia spoglądały na mnie owe poważne nieco, blade i tajemniczo kagańcami oświecone twarze młodych i starych mężczyzn, którzy dzień cały w ciemnych, samotnych szybach pracowali, a teraz zatęsknili do światła bożego i do oczu swych żon i dzieci.

Mój Cycero był uczciwą, niemiecką nawskróś naturą. Z serdecznem zadowoleniem pokazywał mi to miejsce, gdzie Ks. Cambridge *), zwiedzając kopalnię z całem swojem otoczeniem jadł śniadanie i gdzie dotąd jeszcze stoi długi drewniany stół i duży stołek z kruszcu, na którym książę siedział. „Ten stołek będzie tu stał na wieczną pamiątkę,“ mówił mi poczciwina i z ogniem opowiadał, jakie to uczty wyprawiano wówczas, jak cała sztolnia obwieszoną była światłami, kwieciem i zielenią, jak jeden górnik grał na cytrze i śpiewał, jak kochany, gruby książę z zadowoleniem wiele spełnił toastów i jak wszyscy górnicy, a on szczególniej, daliby się zabić za kochanego, grubego księcia i za cały dom hanowerski. Wzrusza mnie to zawsze, gdy słyszę, jak się wierno-poddańcze uczucie swojemi prostemi tonami odzywa. To uczucie tak piękne i to tak prawdziwie niemieckie uczucie!... Inne ludy mogą być zręczniejsze, dowcipniejsze i zabawniejsze, ale żaden lud nie jest tak wiernym, jak wierny lud niemiecki! Gdybym nie wiedział, że wierność jest stara, jak świat, przypuszczałbym, iż ją jakieś niemieckie serce wynalazło. Wierność niemiecka!... to bynajmniej nie stylowa ozdoba w modnych adresach. Na waszych dworach, niemieccy książęta, powinnyby być śpiewane bez ustanku pieśni o wiernym Eckercie i o złym Burgundzie, który mu miłe dziatki jego kazał wymordować, a któremu on mimo wszy-

*) Ks. Cambridge, Fryderyk Adolf (1774—1850) syn króla hanowerskiego, Jerzego III.

stko wiernym pozostał. Macie lud najwierniejszy i mylicie się, przypuszczając, że stary, rozumny, wierny wasz pies wściekł się nagle i ugryźć was chce w poświęcane łydki.

Jak wierność niemiecka, przeprowadziło nas tutaj światełko kagańca bez wielkiego migotania, cicho i pewno przez labirynt szybów i sztolni; wyszliśmy wreszcie z ponurej ciemnicy górskiej, słońce świetlany okrzyk wznosiło: „Glückauf!“...

Większość górników mieszka w Klausthalu i w połączonem z nim miasteczku Zellerfeldzie. Odwiedziłem kilku tych dzielnych ludzi, obejrzałem ich małe gospodarstwa domowe, wysłuchałem kilku piosnek, do których sobie pięknie na ulubionej cytrze akompaniują, kazałem sobie opowiedzieć stare bajki górskie i odmówić modlitwy, które wspólnie odprawiają, a nie jednę dobrą w nich prośbę, powtórzyłem za nimi. Jakiś stary sztygar utrzymywał, że powinienbym zabawić dłużej z nimi i górnikiem zostać; kiedy mimo wszystko ich pożegnałem, dał mi polecenie do swego brata, który w Goslarze mieszkał i wiele całusów przekazał dla swej ukochanej synowicy.

Jakkolwiek zastałe i spokojne wydaje się życie tych ludzi, jest ono przecież prawdziwie ruchliwem. Ta zasuszona, drżąca staruszka, która siedziała tam za piecem, naprzeciw dużej szafy, musiała chyba tak od dwudziestu pięciu lat siedzieć na jednem miejscu, a jej uczucia i myśli zrosły się z wszystkiemi kantami pieca i wszystkiemi rzeźbieniami szafy i dlatego piec i szafa tam żyją, bo człowiek tchnął w nie cząstkę swojej duszy.

Tylko przez tak głęboką poglądowość w życiu, przez taką „bezpośredniość“ powstała bajka niemiecka, która ma swą właściwość w tem, że nietylko zwierzęta i rośliny, ale i na pozór zupełnie nieżywotne przedmioty mówią i działają. Zmyślnemu ludowi wśród cichej, spokojnej samotni gór i lasów objawiło się wewnętrzne życie tych przedmiotów; nabrały one konsekwentnego charakteru, łagodnej mieszaniny fantastycznego humoru i czysto ludzkich

pojęć; i tak widzimy w bajkach dziwne, a jednak jakby same z siebie zrozumiałe rzeczy: igła ze szpilką wychodzą z krawieckiej gospody i błądzą w ciemności; słomka i węglik chcą przedostać się przez rzekę i toną; szczotka i trzepaczka stoją na schodach, kłócą się i biją; zapytane zwierciadło pokazuje obraz najpiękniejszej kobiety; nawet krwi krople zaczynają przemawiać słowami współczucia. Z tego samego powodu nasz wiek dziecięcy ma tak ważne znaczenie; w owym bowiem czasie wszystko jest dla nas równie cenne: widzimy wszystko, słyszymy wszystko, wszystkie wrażenia mają swą równomierność; później szczegóły nas więcej i wyłączniej zajmują,—później czyste złoto naszych poglądów zamieniamy na papiery książkowych definicyj i zyskujemy na szerokości życia to, co na głębokości tracimy. Potem robią się z nas dorośli i znaczni ludzie; zmieniamy często mieszkania, w których służąca sprząta codziennie i według swego widzimisię przestawia meble, które nas mało interesują, bo albo są nowe albo dzisiaj do nas, a jutro do jakiego Izaaka należą; nawet nasze suknie pozostają nam obce,—nie wiemy, ile guzików mamy u surduta, który nosimy na sobie; zmieniamy jak się da najmniej naszę garderobę, która nie jest w żadnym związku z naszemi wewnętrznemi i zewnętrznemi dziejami; zaledwie przypomnieć sobie możemy, jak wyglądała ta bronzowa kamizelka, która nas ongi tak ośmieszyła, a na której szerokich pasach luba rączka kochanki spoczywała tak mile!—

Staruszka za piecem, naprzeciw dużej szafy, nosiła suknie w kwiaty z jakiejś odwiecznej materyi, w której jeszcze nieboszczka jej matka szła do ołtarza; jej prawnuczek, blondynek z iskrzącemi oczkami, w stroju górnika, siedział u nóg jej i liczył kwiaty na sukni prababki, a ona musiała mu o niej opowiadać wiele pięknych i ciekawych historyj, których chłopak nie zapomni tak rychło i które mu na myśl przyjdą, gdy jako dorosły mężczyzna samotnie w ciemnych sztolniach Karoliny pracować będzie, a które

kiedyś sam, po śmierci babuni, jako siwy i wygasły staruszek w gronie swych wnuków znów innym opowiadać będzie, siedząc za piecem naprzeciw dużej szafy rzeźbionej.

Pozostałem na noc także „pod Koroną“, dokąd tymczasem przybył radca dworu B. z Getyngi [1]). Miałem przyjemność złożyć temu sędziwemu panu moje uszanowanie. Zapisując się w księgę przyjezdnych i przeglądając karty z miesiąca lipca, znalazłem drogie mi nazwisko Wojciecha Chamisso, biografa nieśmiertelnego Schlemihla. Gospodarz opowiedział mi, że pan ten przybył w najszkaradniejszą niepogodę i w najszkaradniejszą pogodę wyjechał.

Na drugie rano musiałem znowu ulżyć mojemu tłumoczkowi i wyrzucić z balastu zapakowaną parę butów; stanąłem na równe nogi i poszedłem w stronę Goslaru.

Przyszedłem tam, nie wiedząc jakim sposobem. Tyle sobie tylko przypominam, że wlokłem się pod górę i z góry, że widziałem w głębi niejednę piękną dolinę, słyszałem srebrne wodospady, świegot ptasząt leśnych, miły odgłos dzwonków na pastwiskach; różno-zielone drzewa miłościwe słonko opromieniało złotemi blaskami, a w górze błękitna jedwabna zasłona niebios była tak przezroczystą, że można było przez nią zajrzeć aż do samego sanctissimum, gdzie aniołowie u stóp Boga siedzą i w jego obliczu generałbas studyują. Co do mnie, żyłem jeszcze snem wczorajszej nocy, którego z duszy mej spłoszyć nie mogłem. Śniłem starą bajkę o rycerzu, co to schodzi w głęboką studnię i znajduje najpiękniejszą księżniczkę w głębokim śnie zaklętą. Tym rycerzem byłem ja sam, a studnią — ciemna kopalnia Klausthalu; nagle zamigotało mnóstwo światełek, ze wszystkich szczelin powyłaziły czujne karzełki z twarzą nasrożoną, rzuciły się na mnie ze swymi krótkiemi mieczykami, uderzyły w rogi przeraźliwie na

[1]) Profesor F. W. Bouterwek (1766—1828) znany historyk literatury, wielce życzliwy Heinemu.

alarm i coraz więcej i więcej ich się waliło, szerokiemi głowami kiwając okrutnie. Kiedym na nich natarł i kiedy do krwi rozlewu przyszło, spostrzegłem dopiero, że to były brodate, czerwono kwitnące główki ostu, które poprzedniego dnia laską przy gościńcu ścinałem. Rozpędziłem całą czeredę i wszedłem do paradnej sali jasno oświetlonej; pośrodku stała w białym welonie, nieruchoma, jak posąg, sercu najmilsza i ucałowałem ją w usta i klnę się na żywego Boga! czułem ożywcze tchnienie jej duszy i słodkie drżenie jej rozkosznych usteczek. Zdawało mi się, jakbym słyszał głos Boga: „Niech się stanie światło!“ i z góry olśniewający promień światłości wiekuistej strzelił; ale w tej samej chwili noc zapadła znowu i wszystko chaotycznie zatonęło w dzikiem, pustynnem morzu. Dzikie, pustynne morze! nad wzburzonemi wodami w popłochu leciały upiory zmarłych w swoich białych, rozwianych całunach, a za niemi popędzając je trzaskającym batem, gonił pstry arlekin, a tym arlekinem ja byłem; — wtem z ciemnych bałwanów swoje niekształtne łby wysuwać zaczęły morskie potwory i pazurami chciały mnie pochwycić, aż się ze strachu nareszcie obudziłem.

Jak to niekiedy psują się najpiękniejsze bajki!.. Właściwie rycerz, znalazłszy śpiącą księżniczkę, powinienby odciąć kawałek jej kosztownego welonu, a gdy śmiałość jego zaklęty sen spłoszy; gdy zbudzona księżniczka w swoim pałacu na złotym stołku usiędzie; wówczas powinienby do niej przystąpić i spytać: „Najpiękniejsza moja księżniczko, czy znacie mnie?“ Wtedy ona by odpowiedziała: „Najwaleczniejszy mój rycerzu, nie znam was.“ On zaś powinien pokazać jej wycięty płatek z jej welonu, nadający się do całości, i wówczas powinniby dopiero paść sobie w objęcia przy fanfarach trębaczy i odbyć huczne weselisko.

To już naprawdę szczególniejsze nieszczęście, że sny miłosne rzadko kiedy tak piękne mają zakończenie.

Nazwa Goslaru brzmi tak wesoło i tyle się z niem prastarych wspomnień cesarskich łączy, żem się spodziewał

dużego, pokaźnego miasta, ale tak to bywa, kiedy się sławnych zblizka ogląda! Znalazłem miasteczko o wązkich przeważnie, pokręconych, jak w labiryncie, uliczkach, przez które środkiem ciekła sobie jakaś woda, zapewne Gosa; miasteczko podupadłe i ponure, z brukiem tak koszlawym, jak berlińskie heksametry. Tylko staroświeckość obramienia, mianowicie resztki murów, baszt i wież nadają miastu osobliwy wygląd. Jedna wieża, nazwana „Zwinger“ ma tak grube mury, że w nich całe komnaty wybito. Duży plac przed miastem, na którym słynne strzelanie do celu się odbywa, jest rozległą i piękną łąką otoczoną wysokiemi górami. Rynek jest mały, a w pośrodku stoi fontanna, z której woda wylewa się do dużej wanny metalowej. W razie pożaru biją w nią, jak w dzwon i donośnym głosem alarmują mieszkańców. O pochodzeniu tej wanny nic nie wiadomo; powiadają niektórzy, że dyabeł ją w nocy przyniósł i postawił na rynku. W owych czasach ludzie byli jeszcze głupi, i dyabeł był również głupi i dlatego wzajemnie sobie robili podarunki.

Ratusz goslarski jest właściwie pobielonym odwachem; stojący obok dom gildyjny ma już wygląd trochę lepszy. Niejako w równej odległości od dachu i od ziemi stoją posągi cesarzów niemieckich, okopcone, na czarno pozłocone miejscami, z berłem w jednej, a globem ziemskim w drugiej ręce; wyglądają jak upieczeni pedele uniwersyteccy. Jeden z cesarzy trzyma miecz zamiast berła; nie mogłem odgadnąć, co ta różnica ma oznaczać, a przecież z pewnością coś znaczy, bo niemcy mają ten szczególny zwyczaj, że przy wszystkiem, co robią, mają także myśl jakąś.

W Gottschalka „Podręczniku“ czytałem dużo o prastarej katedrze i o słynnym stolcu cesarskim w Goslarze; kiedy wszelako chciałem to wszystko obejrzeć, powiedziano mi, że katedrę zburzono, a stolec cesarski przeniesiono do Berlina. Żyjemy w czasach wielkiej wagi, w których się

tysiącletnie tumy rozwala, a trony wstawia między rupiecie do lamusu.

Niektóre osobliwości nieboszczki katedry są teraz ustawiane w kościele św. Szczepana: przecudowne malowania na szkle, kilka świętych obrazów, pomiędzy któremi ma się i jakiś Łukarz Cranach znajdować, tudzież drewniany Chrystus na krzyżu i ołtarzysko pogańskie z nieznanego metalu; ma ono kształt długiej czworograniastej lady, opartej na czterech karyatydach, siedzących w kucki i trzymających ręce ponad głową z bardzo nieprzyjemnym grymasem. Najprzykrzejszym wszelako jest stojący obok, wspomniany już duży krucyfiks drewniany. Głowa Chrystusa z prawdziwemi włosami, w czerwonej koronie, z pokrwawioną twarzą wyraża wprawdzie z wielkiem mistrzostwem oddane konanie człowieka, ale nie Zbawiciela boskiego pochodzenia; tylko fizyczne cierpienie zostało w tej twarzy wystruganem, ale nie poezya cierpienia. Taki wizerunek nadaje się raczej do anatomicznej sali, ale nie do świątyni bożej. Obznajmiona ze sztuką pani kustoszowa, która mnie oprowadzała, pokazała mi jeszcze jako szczególniejszą osobliwość wielograniną, gładką, czarną tablicę, zapisaną białemi cyframi i wiszącą nakształt ampułki w środku kościoła!.. Ktoby to pomyślał! Liczby pomieszczone na owej czarnej desce oznaczają numera psalmów, które zwyczajnie kredą pisze się na tablicy, a które na estetyczny zmysł wiernych nieco za trzeźwo oddziaływują; obecnie zaś skutkiem takiego wynalazku stają się ozdobą świątyni, zastępując dostatecznie nawet pominięte w niej obrazy Rafaela. Takie postępy radują mnie nieskończenie, gdyż jako protestant, a mianowicie ewangielik, głęboko bywałem zasmucony, słysząc, jak katoliccy przeciwnicy pusty i opuszczony wygląd protestanckich kościołów przedrwiwali.

Zamieszkałem w oberży blizko targu, gdzie byłby mi obiad jeszcze lepiej smakował, gdyby tylko sam gospodarz ze swoją, długą, zbyteczną fizyonomią i swoimi nudnemi zapytaniami nie był się przysiadł do mego stołu; na szczę-

ście, zostałem wybawiony od jego towarzystwa przez przybycie nowego gościa, który również musiał wytrzymać pytanie: quis? quid? ubi? quibus auxiliis? quomodo? quando?.. Ów przybysz był starym, znużonym, zużytym człekiem, który, o ile ze słów jego wnioskować się dało, dużo świata przeszedł, dłuższy czas bawił w Batawii, wiele pieniędzy zarobił i potem wszystko stracił, a obecnie po trzydziestoletniej nieobecności znowu do rodzinnego Quedlinburga powracał, „bo, jak mówił, familia jego miała tam zapewniony pogrzeb dziedziczny.“ Gospodarz nasz zrobił tę wielce oświeconą uwagę, że to przecież dla duszy rzecz zupełnie obojętna, gdzie nasze ciało pochowane zostanie. „Masz pan to na piśmie?“ — odparł zagadniony gość i do koła jego mizernych ust i wybladłych oczu zarysował się niemile filuterny grymas. „Jednak—dodał łagodząco — ja mimo to nie chcę nic złego powiedzieć o obcych grobach“.

„Turcy grzebią swoich nieboszczyków jeszcze piękniej, niż my; ich cmentarze są prawdziwymi ogrodami, w których siadają na swoich białych oturbanionych grobowcach pod cieniem cyprysów, gładzą swoje poważne brody i spokojnie palą turecki tytoń ze swoich długich tureckich fajek; a u chińczyków to prawdziwa rozkosz patrzeć, jak zgrabnie tańczą na grobach swoich zmarłych i modlą się, i herbatę piją, i na skrzypeczkach grają, i ukochane mogiły pięknie stoją upstrzone w wszelakie złocone łaty, porcelanowe figurki, szmaty jaskrawego jedwabiu, sztuczne kwiaty i kolorowe latarki... wszystko to bardzo pięknie wygląda!... Jak daleko nam jeszcze do Quedlinburga?“

Cmentarz w Goslarze nie bardzo mi się podobał; daleko więcej ta przecudna główka z loczkami, która podczas mego przybycia do miasta wyzierała przez zawysokie nieco okno parterowe. Po obiedzie poszedłem odszukać to lube okienko, ale teraz stała już na niem tylko szklanka z wodą, a w szklance białe dzwonki. Wspiąłem się do okna, wyjąłem z wody kwiatki i wetknąłem je sobie spokojnie za czapkę, nie wiele troszcząc się o pootwierane gęby, skamieniałe nosy i wybałuszone oczy świadków tej sceny, a zwłaszcza starych bab, przypatrujących się takiej wykwalifikowanej kradzieży. Kiedym w godzinę później przechodził obok tego samego domu, urocza moja stała znowu u okna, a dostrzegłszy dzwonki na czapce przechodnia pokraśniała jak wiśnia i cofnęła się szybko do wnętrza. Przypatrzyłem się teraz lepiej jej ślicznej twarzyczce; było to przezroczyste wcielenie tchnień letniego wieczoru, światła księżycowego, słowiczego śpiewu i różanej woni. Później, kiedy się już całkiem ściemniło, stała przed drzwiami. Przechodzę, zbliżam się, ona powoli cofa się do ciemnej sieni, chwytam ją za rękę i mówię: „Jestem lubownikiem pięknych kwiatów i całusów, a czego mi dobrowolnie nie dają, to kradnę“—i pocałowałem ją szybko, a kiedy umknąć chciała, szepnąłem jej na uspokojenie: „Jutro wyjeżdżam i nigdy pewnie tutaj już nie wrócę“, wtedy jej miłe usteczka i jej drobne rączki skrycie oddały mi uścisk i całusa; uśmiechnięty, oddaliłem się szybko. W istocie na śmiech mi się zbiera, gdy pomyślę, że mimowiednie wygłosiłem czarowne zaklęcie, którem nasze czerwone i niebieskie mundury częściej, niż przez wąsate grzeczności, serca kobiet zwabiają: „Jutro wyjeżdżam i nigdy pewnie nie wrócę“..

Z okien mego mieszkania wspaniały widok miałem na Hammelsberg; wieczór był piękny. Noc pędziła na swoim karym rumaku, a długie grzywy powiewały z wiatrem. Stałem przy oknie, przyglądając się księżycowi; czy też na prawdę siedzi tam na nim człowiek? Słowianie mówią, że mu na imię Klotar i że dolewaniem wody sprowadza pełnię księżyca. Kiedy byłem mały, słyszałem, że księżyc to owoc, który dobry Pan Bóg zrywa, gdy zupełnie dojrzeje i do innych miesiąców w dużej spiżarni składa na końcu świata, gdzie świat deskami już jest zabity. Kiedy zaś podrosłem, zauważyłem, że świat nie jest tak ciasny i ograniczony i że duch ludzki przełamał drewnianą zaporę i olbrzymim Piotrowym kluczem, ideą nieśmiertelności, otworzył nawet siódme niebo. Nieśmiertelność! piękna myśli, kto cię pierwszy

wymyślił?... byłże to norymberski mieszczuch w białej szlafmycy na głowie, z białą fajką w zębach, który w ciepły wieczór letni, siedząc wygodnie przed swoim domem, mówił sobie: „Jakby to ładnie było, gdyby można całą wieczność tak przewegetować i gdyby w fajeczce ogień, a w piersi oddech nie wygasł.“ Byłże to może jaki zakochany młodzian, któremu w objęciach kochanki taka idea nieśmiertelności zaświtała, a zaświtała, bo ją czuł, i inaczej czuć i myśleć nie mógł!... Miłość! Nieśmiertelność!... w mojej piersi zrobiło się nagle tak gorąco, żem zaczął przypuszczać, iż geografowie równik przełożyli i że on teraz wprost przez moje serce przechodzi. I z mego serca rozlały się strumienie miłości, rozlały się tęsknie po nocy szerokiej. Kwiaty pod mojemi oknami silniej zapachniały... Wonie są uczuciami kwiatów i tak samo, jak ludzkie serce w nocy, w samotności, nie podsłuchiwane i nie podglądane silniej czuje, tak zdają się i kwiaty zawstydzone oczekiwać dopiero okrywającej je ciemności, ażeby się całkowicie oddać swym uczuciom i wytchnąć wszystkie swoje słodkie zapachy. Rozlewajcie się wonie mego serca i tam za górami szukajcie kochanki moich snów! Ona leży już teraz i śpi; u stóp jej klęczą aniołowie, a ile razy przez sen się uśmiechnie, to uśmiech ten jest modlitwą, którą oni powtarzają; w jej łonie zamknięte niebo ze wszystkiemi swemi rozkoszami, a z każdym jej oddechem serce moje uczuwa drżenie w oddali; za jedwabnemi rzęsami jej oczu zaszło słońce a kiedy podniesie powieki, to się dzień robi, ptaki zaczynają śpiewać, dzwonią dzwonki na pastwiskach, góry w szmaragdowych połyskują szatach a ja tłumoczek mój pakuję i idę w dalszą drogę.

W tych filozoficznych rozmyślaniach i osobistych uczuciach zastał mnie radca B. *), który na krótko przedemną przybył również do Goslaru. W żadnej innej porze nie

[1]) Prof. Bouterwek, którego dzieło: „Religia rozumu“ ukazało się w r. 1824.

byłbym głębiej odczuł przyjemności tej wizyty. Uwielbiam go z powodu wybornej jego bystrości umysłu, a jeszcze więcej z powodu jego skromności. Znalazłem go niezwykle wesołym, świeżym i rzeźkim, a że jest rzeźkim, tego dowiódł swojem nowem dziełem: „Religia rozumu“, książką, która tak bardzo zachwyciła racyonalistów, zirytowała mistyków i wzruszyła szeroką publiczność. Ja sam jestem wprawdzie w tej chwili mistykiem, ze względu na moje zdrowie, unikając z zalecenia lekarzy wszelkich podrażnień umysłowych, mimo to nie lekceważę nieocenionej wartości racyonalistycznych usiłowań takiego Paulusa, Garlitta, Kruga, Eichhorna, Bouterweka, Wegscheidera i t. p. *).

Przypadkiem mnie samemu jest to bardzo na rękę, że ci ludzie usuwają niejedno zło zadawnione, zwłaszcza ów stary kościelny gruz, pod którym tyle gadzin i szkodliwych wyziewów się kryło. Powietrze w Niemczech stało się za gęste i za gorące i często obawiam się w niem udusić, albo też przez moich współ-mistyków w ich miłosnej spiekocie być uduszonym. Z tego powodu też nie gniewam się na tych dobrych racyonalistów, że nieco za bardzo to powietrze ochładzają. W gruncie rzeczy natura sama wytknęła granice racyonalizmowi: pod pompą powietrzną i na biegunie północnym człowiek i tak wytrzymać nie może.

Owej nocy, którą spędziłem w Goslarze, zdarzyło się mi coś bardzo szczególnego; dziś jeszcze nie mogę o tem wspomnieć bez strachu. Nie jestem z natury bojaźliwym i Bóg wie, że nie uczuwałem nigdy zimnego dreszczu, kiedy np. ostra klinga szukała znajomości z moim nosem, albo

[1]) Wymieniono tu najcelniejszych przedstawicieli racyonalizmu w filozofii: H. G. Paulus (1761—1851) prof. w Heidelbergu, J. G. Garlit (1754—1827) dyrektor Johanneum w Hamburgu W. T. Krug (1770—1842) prof. w Królewcu, wspomniany I. G. Eichhorn, J. L. Wegscheider (1771—1849) prof. w Halli.

gdym po nocy w osławionym jakim lesie zabłądził, albo gdy mi na koncercie jaki ziewający lejtnant połknięciem groził, ale duchów boję się tak samo, jak „Austryacki Obserwator“ [1]).

Co to jest bojaźń? pochodzi ona z rozumu, czy też z uczucia?

W tej kwestyi rozprawiałem tak często z doktorem Saulem Ascherem[2]), gdyśmy się w berlińskiej Café royal, gdzie się długi czas stołowałem, przypadkiem spotykali. On twierdził, że boimy się tego, co drogą wniosków uważamy za straszne. Tylko rozum jest siłą, uczucie nie. Podczas gdy ja smacznie jadłem i piłem, on wykazywał mi nieustannie wszystkie zalety rozumu. Pod koniec swojego wykładu, zwykł był zawsze patrzeć na zegarek i kończyć wykład temi słowy: „Rozum jest najwyższą zasadą.“ Rozum!... Kiedy teraz ten wyraz słyszę, to widzę jeszcze doktora Saula Aschera z jego abstrakcyjnemi nogami, w wązkim transcendentalnie szarym surducie, z szorstką, lodowato zimną twarzą, którą można było jako miedziorytniczą tablicę umieścić w jakim podręczniku geometryi. Ten człowiek daleko po za piątym krzyżykiem na barkach był uosobieniem linii prostej i przeto stanowił kontrast ze mną, który wówczas żyłem w hogartowskich liniach falistych. W swojem dążeniu do pozytywizmu biedny człowiek wyfilozofował sobie z życia wszystko, co piękne i świetne, wszystkie promienie słoneczne, wszystką wiarę i wszystkie kwiaty i nie pozostało mu nic więcej, jak tylko zimny, pozytywny grób. Do Apolla Belwederskiego i do chrystyanizmu miał złość szczególną; przeciw temu ostatniemu na-

[1]) Oficyalny organ rządu austryjackiego pomiędzy rokiem 1820 a 1830-ym.

[2]) Dr. Säul Ascher (1757—1822) w Berlinie, filozof ze szkoły Kanta i literacki obrońca swoich semickich współwyznawców. Wspomniana broszura nosi tytuł: Pogląd na przyszłe losy chrystyanizmu. (Berlin 1819).

pisał nawet broszurę dowodząc, że jest on nierozsądnym, i że utrzymać się nie może. Wogóle napisał mnóstwo książek, w których zawsze rozum sławiony był ze swej doskonałości, co biedny doktór zapewne na seryo twierdził i z tego względu zupełny mu się należał szacunek. To wszelako było najzabawniejszem, że tak poważnie głupią miał minę, ilekroć nie mógł pojąć tego, co każde dziecko pojmuje, właśnie dlatego, że jest dzieckiem.

Kilka razy odwiedziłem doktora rozumu w jego własnym domu, — i zawsze zastawałem u niego ładne dziewczęta, bo rozum nie zakazuje zmysłowości. Kiedy mu znowu pewnego razu wizytę złożyć chciałem, powiedział mi jego służący: „Pan doktór właśnie umarł.“ Zrobiło to na mnie wrażenie, jak gdybym usłyszał: „Pan doktór się wyprowadził.“

Ale wracajmy do Goslaru. „Rozum to najwyższa zasada!“... mówiłem sobie uspokajająco, kładąc się do łóżka, ale to mi nic nie pomogło. Czytałem właśnie w Varnhagena von Ense „Niemieckich opowiadaniach“ zabranych z Klausthalu, okropną historyę o synu, którego własny ojciec chciał zamordować, a duch matki umarłej w nocy o tem ostrzegał. Przedziwny opis tej historyi sprawił, że przy czytaniu ciarki mi po grzbiecie przechodziły. Powieści o duchach sprawiają jeszcze straszniejsze wrażenie w podróży, kiedy się je czyta nocą, w mieście, w domu, w pokoju, w którym się nigdy przedtem nie było. „Ile okropności mogło się już wydarzyć w tem miejscu, gdzie ty właśnie leżysz?“ powiada sobie człowiek mimowoli. Nadto, księżyc świecił jakoś tak dwuznacznie, na ścianach pokoju poruszały się jakieś niewzywane cienie, a gdym się podniósł z łóżka, aby zobaczyć, czy kogo niema, ujrzałem... Nic bardziej nieprzyjemnego, jak przy świetle księżyca zobaczyć w lustrze swoją własną twarz. W tej samej chwili ciężki jakiś, ziewający dzwon tak długo i tak powoli wydzwaniać zaczął północ, że po dwunastem uderzeniu myślałem, że to dwanaście godzin trwało i że znowu od początku

powinienby bić zacząć. Między przedostatniem a ostatniem uderzeniem, jakiś inny zegar bardzo szybko, prawie skrzecząc swarliwie, wydzwonił godzinę, jakby się gniewał na powolność swojego kuma. Gdy oba żelazne języki umilkły i grobowa cisza zapanowała w całym domu, zdało mi się nagle, że słyszę na korytarzu pod mojemi drzwiami jakieś stukania i jakby niepewne, ociężałe kroki starego człowieka. Nareszcie drzwi się otworzyły i powoli wszedł do pokoju zmarły doktór Saul Ascher. Zimny dreszcz przejął mnie do szpiku kości; drżałem, jak liść osiki i nie śmiałem nawet spojrzeć na upiora. Wyglądał tak samo, jak zwykle, w swoim transcendentalnie szarym surducie, z temi samemi abstrakcyjnemi nogami i z tą samą matematyczną twarzą; tylko, że był trochę żółciejszy, a usta, które tworzyły kąt $22^1/_2{}^0$ były teraz skrzywione, oczy zaś miały okrąg znacznie powiększony. Chwiejąc się i opierając swoim zwyczajem na hiszpańskiej trzcinie — zbliżył się do mego łóżka i swoim zwykłym nadgniłym dyalektem przemówił do mnie uprzejmie: „Nie bój się pan i nie sądź, ażebym był upiorem. Jest to tylko złudzenie pańskiej wyobraźni, jeżeli we mnie upiora widzisz. Co to jest upiór? daj mi pan jego definicyę. Wykaż mi pan warunki możliwości istnienia upiorów. W jakim rozsądnym związku z rozumem powstawałoby takie zjawisko? Rozum, powiadam, rozum...“ i tu widmo zaczęło analizę rozumu, przytaczało Kanta „Krytykę czystego rozumu“ część 2-gą, rozdział 1-szy, księga 2-ga, ustęp 3-ci, różnicę fenomenów i noumenów, konstruowało problematyczną wiarę w upiory, składało sylogizmy jedne po drugich i zakończyło logicznym dowodem, że upiory nie istnieją wcale. Podczas tego wszelako zimny pot mnie całego oblewał, zęby mi szczękały, jak kastaniety, ze strachu przytakiwałem bezwzględnie każdemu zdaniu, którem doktorskie widmo sprowadzało wiarę w duchy ad absurdum; dowodziło zaś z takim zapałem, że w roztargnieniu zamiast złotego zegarka, wyjęło garść robaków z kieszeni od kamizelki, a spostrzegłszy swą pomyłkę, z śmieszną szybkością włożyło je tam napowrót. „Rozum to najwyższa...“ Wtem uderzyła pierwsza na zegarze i widmo znikło.

Z Goslaru na drugi dzień rano wyszedłem po części bez celu, po części w chęci odszukania brata mojego znajomego górnika z Klausthalu. Dzień był znowu świątecznie pogodny. Szedłem przez góry i pagórki, patrzałem, jak słońce starało się mgły rozpraszać, wędrowałem wesoło przez chłodne lasy, a około rozmarzonej głowy mej dzwoniły mi goslarskie dzwonki. W swoich białych nocnych koszulach stały góry, sosny wyciągały ze snu swe członki, świeży wietrzyk poranny fryzował im obwisłe zielone włosy, ptaszki odmawiały ranne pacierze, dolina połyskiwała, jak obsiany brylantami kobierzec złoty, po którym stąpał pasterz ze swą dzwoniącą trzodą. Musiałem prawdopodobnie zabłądzić. Człowiek najczęściej wybiera boczne drogi i ścieżyny, bo mu się zdaje, że bliżej dojdzie do celu. Jak wogóle w życiu, tak samo dzieje się w górach hercyńskich; ale zawsze znajdzie się jakaś dobra dusza, która nas na właściwą drogę sprowadzi, a czyni to chętnie i ma w tem szczególniejszą przyjemność, kiedy może z zadowoloną miną, podniesionym głosem pouczyć nas, ileśmy to drogi zmarnowali, w jakie przepaści i moczary mogliśmy się dostać i co za szczęście, żeśmy jeszcze przed czasem tak świadomego wszystkich dróg przechodnia spotkali. Takiego przewodnika los nadarzył mi nieopodal Harzburga. Był to jakiś dobrze spasiony mieszczuch z Goslaru, z gładką, zawiesistą, głupiosprytną twarzą; wyglądał, jak gdyby był wynalazcą zarazy na bydło. Szliśmy z sobą kawałek drogi; opowiadał mi rozmaite historye o strachach, któreby były wcale ładne, gdyby na końcu zawsze się nie okazało, że strachów właściwie nie było, tylko, że owa biała postać była kłusownikiem, a owe kwilące głosy wydawały świeżo porzucone przez maciorę warchlaki, szmery zaś na strychu sprawiała tylko kotka domowa. „Jedynie, kiedy człowiek chory—mówił na końcu—wydaje mu się,

że widzi upiory;“ co do jego własnej osoby, to oświadczył, że rzadko zapada na zdrowiu; czasami tylko trapią go choroby skórne, ale wtedy za każdym razem leczy się własną śliną. Zwrócił też moją uwagę na celowość i pożyteczność w naturze. Drzewa są zielone, bo zielony kolor dobrze oddziaływa na oczy. Przyznałem mu słuszność i dodałem, że Pan Bóg stworzył bydło, ponieważ rosół z mięsa posilnym jest dla ludzi; że stworzył osły, aby ludziom do porównywań służyły i że ludzi stworzył, aby jedli rosół i nie byli osłami. Mój towarzysz był zachwycony tą zgodnością naszego zdania, oblicze jego promieniało jeszcze radośniej, a przy rozstaniu był widocznie wzruszony.

Dopóki z nim szedłem, cała natura zdawała się być odczarowaną, skoro wszelako mnie pożegnał, drzewa zaczęły na nowo mówić, promienie słoneczne dźwięczeć, kwiatki polne tańcować, a błękitne niebo ściskać zieloną ziemię. Ja to wszystko wiem lepiej od niego: Bóg stworzył człowieka, ażeby mógł wspaniałość tego świata podziwiać. Każdy autor, choćby największy, chce, aby jego dzieło chwalono. W biblii, pamiętniku bożym, stoi wyraźnie napisane, że Bóg stworzył człowieka na cześć i chwałę swoją...

Po długiem błądzeniu tu i owdzie, trafiłem wreszcie do domu brata mojego klausthalskiego przyjaciela, przenocowałem u niego i tam przeżyłem taki piękny poemat:

I.

Het, na górze stoi chata,
Stary górnik mieszka tam,
I zielona jodła szumi,
I nów błyska z złotych ram.

W chacie wielkie krzesło stoi,
Z dziwnych rzeźb ozdoby ma,
Kto w niem siedzi, jest szczęśliwy,
Tym szczęśliwym jestem ja.

Na podnóżku dziewczę moje,
Na mem łonie wspiera się.
Ustka — róża purpurowa,
Oczy — modre gwiazdy dwie.

A te drogie, modre gwiazdy
Jakby z niebios patrzą tak,
A paluszek mi liljowy
Na ust róży daje znak.

Nie, nie zważa na nas matka,
Za wrzecionem patrząc w ślad,
A znów ojciec gra na cytrze,
Nucąc pieśń na stary ład.

I cichutko dziewczę szepta,
Głos stłumiony ledwo brzmi,
Już niejedną tajemnicę
Powierzyła dzisiaj mi.

—„ Ale odkąd ciotka zmarła,
Już i chodzić trudno nam
Do Goslaru, a tak pięknie
Jest w myśliwskim zamku tam.

A tu za to — jaka pustka
Na tych martwych szczytach gór.
Zimą, to nas czasem śniegi
Tak okopią, niby mur.

Ja dziewczyna bojaźliwa,
Strach dziecięcy chwyta mnie
Przed duchami, co po górach
Przez noc całą włóczą się“.

Nagle milknie dziewczę lube,
Własnych słów ją trwoży dźwięk

I obiema rączynami
W modrych oczach kryje lęk.

Głośniej szumi jodła czarna,
Kołowrotek warczy rad,
Cytra brzęczy im do wtóru,
Starą pieśń na stary ład:

„Nic się nie bój, drogie dziecię,
Nie sięgnie cię złego moc,
Wszak cię strzegą, drogie dziecię,
Aniołowie dzień i noc!“

II.

Jodła palcem swym zielonym
Do okienka puka tam...
A ten księżyc, ten podglądacz
Srebrne światło rzuca nam.

Ojciec, matka, w ciasnej izbie
Zlekka chrapią, w pierwszym śnie,
My we dwoje gwarzym słodko,
Wzajem drzemce broniąc się.

„Żebyś ty się często modlił,
W to uwierzyć trudno mi,
Ej, to chyba nie z modlitwy
Tak ci czegoś warga drży.

Złe to, zimne ust twych drżenie —
Zawsze tak nastraszy mnie.
I dopiero mija trwoga,
Gdy w twe oczy patrzę się.

Wątpię także, czy ty wierzysz
Tak prawdziwie, jak to wiesz,

W Boga Ojca, w Boga Syna
I w świętego Ducha też?“

Ach, dziecino, z pacholęcia,
Gdym u kolan matki był,
Już wierzyłem w Boga Ojca,
W moc i dobroć twórczych sił.

W pięknej ziemi stworzyciela,
Którą osiadł piękny człek,
W tego, co słońc, gwiazd, księżyców
Znaczył drogi w wieków wiek.

A gdym wzrastał, to, dziecino,
Rósł i rozum wzdłuż i wszerz,
I pojąłem, zrozumiałem,
I dziś w Syna wierzę też.

W tego Syna, co miłując,
Dał nam całą miłość swą,
A w nagrodę, jak to bywa,
Lud do krzyża przybił go.

Teraz, kiedym dojrzał w męża,
Poznał księgi, życia ruch,
Z pełni serca kipiącego
Wierzę, iż jest święty Duch!

Ten największe sprawił cuda,
A dziś większe, niźli wprzód.
Zwalił grody możnowładne,
I wyjarzmił z więzów lud.

On wylecza rany stare,
Wznawia prawo mocą swą,
Wszyscy ludzie z urodzenia
Szlachetnego rodu są.

On rozprasza mgły złowieszcze
I przesądu ciemną moc,
Co nam truje rozkosz, miłość
I udręcza dzień i noc.

Tysiąc chrobrych wybrał męży
Święty Duch na hufiec swój,
By pełnili wolę jego
I zdzierżyli mężnie bój.

Wierne miecze ich błyskają,
Ich sztandary wieją w dal,
— Ej! tyś pewno widzieć rada
Tych rycerzy zbrojnych w stal?

A więc spojrzyj na mnie, dziecię,
I ucałuj mnie jak druh...
Bo mnie także wybrał sobie
Na rycerza święty Duch!

III.

Za zieloną księżyc jodłą
W pół ukryty cicho lśni,
A w izdebce lampa nasza
Mdłem światełkiem ledwie drży.

Ale z modrych gwiazdek moich
Błysk jaśniejszy strzela znów,
Purpurowa róża płonie,
Słychać szczebiot lubych słów.

„Krasnoludki, złe chochliki,
Jak te kradną — straszna rzecz!
Na noc w szafie chleb, okrasa,
Rano patrzę — wszystko precz.

Krasnoludki i śmietanę
Z mleka nam zgarniają też,
A co zbędzie, to znów kotka
Z niezakrytych żłopie dzież.

A ta kotka, to jest wiedźma,
Bo się nocą skrada tam,
Na tę górę, gdzie to straszy,
Do zapadłych wieżyc bram.

Dawno, dawno, stał tam zamek,
Zbroic, bogactw—wielka moc,
Przy pochodniach damy, pany
Tańcowali w każdą noc.

Aż raz wróżka zła zaklęła
Cały dwór ten, cały gmach...
Tylko wieże się zostały,
A w nich tyle sów—że strach!

Lecz nieboszczka moja ciotka
Zapewniła sama mnie,
Że ktoby znał klątwy słowo,
A tam w porę wyrzekł je,

To wnet jasny zamek stanie
Z tych rozwalin pełnych sów,
A rycerze, damy, giermki
W tan wesoły pójdą znów.

I stanie się panem zamku
Ten, kto powie słówko to,
Bębny, trąby i muzyka
Witać będą, sławić go...“

Tak z różanych ustek pączka
Kwitnie baśni barwnych rój,

A oczęta leją na nie
Gwiaździstego światła zdrój.

Wkoło rąk mi włosy winie,
Pieszczotliwie palce żmie,
To się śmieje, to całuje,
Aż uciszy w końcu się.

A w izdebce tak przytulnie,
Cicho—niby makiem siał...
Stół i szafa patrzą na mnie,
Jakbym je już kiedyś znał.

Zwolna zegar ścienny cyka,
A jak kiedy wietrzyk tchnie,
Cytra brzęczy sama z siebie,
A ja siedzę niby w śnie.

Teraz to jest miejsce prawe,
Teraz to jest prawy czas,
Zdumiejesz się, dziecię moje,
Gdy zaklęcie rzeknę wraz.

Gdy je rzeknę, pociemnieje,
Zadrży w sobie nocy zmierzch,
W głos zaszumią jodły, zdroje,
Starej góry ocknie wierzch.

Gędźba cytry, karłów pieśni
Z rozpadliny dźwięczą skał,
Jak szaloną zbudzon wiosną
Cały las tam kwiecia wstał.

Kwiaty — jak z tysiąca nocy,
Roztulony, wielki liść,
Dyszą wonią, niby żądzą,
Drżą—i chciałyby gdzieś iść.

Płomienieją z ciżby róże,
Jak czerwonych ogniów snop,
Lilie strzały kryształowe
Pod niebieski pędzą strop.

Gwiazdy wielkie niby słońca
Palą się tęsknotą swą,
I w olbrzymi kielich lilii
Promienisty płyn swój szlą.

Lecz nas samych, dziewczę, zmienił
Jeszcze więcej zaklęć czas,
Złoto, jedwab i pochodnie
Błyszczą raźno wkoło nas.

Ty zmieniłaś się w księżniczkę,
A ta chatka w zamek twój,
Tańczą damy i rycerze
I wesoły giermków rój.

A ja, ja posiadłem ciebie
Z całym zamkiem, z dwornią tą,
Bębny, trąby i muzyka
Sławią młodą rozkosz mą!

(przekład Marji Konopnickiej).

Słońce zeszło. Mgły pierzchły, jak widma, skoro kur po raz trzeci zapieje. Poszedłem dalej w góry i doliny, a przedemną wznosiło się piękne słońce, oświetlając coraz to nowe piękności. Geniusz gór miał widocznie dla mnie szczególniejsze względy; on musiał wiedzieć, że taki podróżujący poeta wiele pięknych rzeczy umie potem opowiadać i dlatego owego poranku pokazał mi swój Harz takim, jakim go zapewne nie każdy widział; ale i mnie też zobaczył Harz w zamian takim, jakim mnie mało ludzi oglądało. Na moich rzęsach połyskiwały również drogo-

cenne perły, jak na trawach w dolinie. Poranna rosa miłości zwilżyła moje lica, szemrzące sosny mnie rozumiały, ich gałęzie się rozsuwały, poruszając się na dół i do góry, nakształt niemych ludzi, którzy rękoma radość swoją objawiają, a w oddali dziwnie tajemnicze odzywały się głosy, niby dzwonek ukrytej jakiejś kapliczki leśnej. Powiadają, że to odgłosy dzwonków trzody, które w górach hercyńskich tak mile, czysto i dźwięcznie są nastrojone. Według słońca było już południe, kiedym na taką trzodę natrafił, a potem przyjemny, jasno-włosy młodzian powiedział mi, że góra, u której stóp stanąłem—to stary, słynny na cały świat Brocken. Na kilka mil wokoło niema tu żadnej chaty, więc byłem wielce zadowolony z zaproszenia pasterza, ażebym z nim coś przekąsił. Usiedliśmy obaj do naszego dejeuner dinatoire, które się składało z sera i chleba; owieczki chwytały okruszyny naszego śniadania, miłe, gładkie krówki skakały dokoła nas i filuternie dzwoniły dzwoneczkami, uśmiechając się do nas dużemi, zadowolonemi oczyma. Śniadaliśmy po królewsku; wogóle mój gospodarz wydawał mi się prawdziwym królem, a że dotychczas był to jedyny monarcha, który mi chleba udzielił, więc po królewsku pieśnią go uraczyć muszę:

Królem jest pastusze chłopię,
Tronem jego wzgórze, błoń,
A koronę ciężką złotą,
Słońce kładzie mu na skroń.

U nóg jego owce leżą —
To pochlebców miękich tłok,
A cielęta, jak rycerze
Chodzą, dumny stawiąc krok.

Z koźląt dworskich ma aktorów,
Polne ptaszki, trzody krów,

To z fletami, z dzwoneczkami,
Muzykanty dworskie znów.

Tak to mile dźwięczy, śpiewa,
Tak rozlega się wśród pól,
Plusk strumienia, jodeł szumy,
Aż zadrzemie sobie król.

A tymczasem rządzić musi
Pies—minister, stanu mąż,
Gniewne jego ujadanie
Wokół echa budzi wciąż.

Sennie szepce król młodzieńczy:
—„ Ciężki to jest państwa rząd!
Ach, już chciałbym do królowej
I do domu odejść stąd.

Na królowej mojej łonie
Mięko tulę głowę mą,
A w jej drogich oczach moje
Niezmierzone państwa są“.

(przekład Maryi Konopnickiej).

Pożegnaliśmy się uprzejmie i wesoło zacząłem na górę wstępować. Niebawem otoczył mnie las niebotycznych sosen, dla których pod każdym względem mam wielki respekt! Dla tych drzew bowiem wyrastanie w górę nie jest rzeczą tak łatwą i w młodości ciężko im to przychodzi. Góra pokryta jest tutaj wieloma granitowemi głazami i większość drzew musiała swojemi korzeniami je opasywać lub kruszyć, aby znaleźć grunt, z któregoby zaczerpnąć mogły pożywienie. Tu i owdzie leżą kamienie na sobie, tworząc jakoby bramę, na której szczycie stoją drzewa, rozciągające nagie korzenie po tych skalistych ścianach aż na dół, gdzie u stóp głazów dopiero

dotykają ziemi i wydają się, jakby w powietrzu rosły; a jednak zdołały wspiąć się do tak potężnej wyżyny i spojone ze skałami, jak gdyby zrośnięte z niemi, stoją silniej, niż ich wygodniejsi towarzysze na płaskim, podatnym gruncie. Tak samo w życiu stoją wielcy ludzie, którzy się zahartowali wpierw pokonywaniem zawad i przeciwności.

Po gałęziach sosen wspinały się wiewiórki, a u stóp ich przechadzały się płowe jelenie. Ilekroć spotykam takie miłe, szlachetne zwierzę, pojąć mi trudno, jak ludzie cywilizowani mogą mieć przyjemność w ściganiu go i zabijaniu; toż ono było litościwsze od ludzi, bo karmiło konającego z głodu syna św. Genowefy.

Prześlicznie przebłyskiwały złote blaski słońca przez gęstą zieleń drzew; naturalne schody tworzyły ich korzenie. Wszędzie stały miękie ławki mchem wyścielane; mech w najpiękniejszych gatunkach na stopę wysoko pokrywał kamienie, niby jasno zielonemi poduszkami z aksamitu. Dokoła przyjemny chłód i rozmarzający szmer źródeł. Tu i owdzie widać, jak woda srebrną strugą pod kamieniami się sączy, zwilżając nagie korzenie. Schyliwszy się ku takim pędom, można podsłuchać tajemną historyę tworzenia się roślin i spokojne bicie serca samej góry. W niektórych miejscach woda silniej z pod kamieni i korzeni wytryska, tworząc małe kaskady; tu spocząć miło. Tyle tu dziwnego szmeru, szumu; ptaki wydają urywane głosy tęsknoty; drzewa szepczą tysiącem dziewczęcych języków, tysiącem dziewczęcych oczu spoglądają górskie kwiaty, wyciągając ku tobie dziwacznie szerokie i postrzępione liście; wesołe promienie słońca migają tu i tam, sprytne ziółka opowiadają sobie zielone bajki, coraz większa tajemniczość cię otacza, jakiś prastary sen staje się jawą, widzisz kochankę swą przed sobą—ach, tylko, że znowu tak rychło ona z oczu ci znika!...

Im wyżej idzie się w górę, tem niższe i bardziej karłowate widać sosny, zdają się one skurczać coraz więcej, aż nareszcie zostają tylko krzaki borówek i górskie

zioła; tu także większy chłód uczuwać się już daje. Dziwaczne kształty granitowych głazów tutaj dopiero przedstawiają się oku; są one niekiedy zadziwiających rozmiarów. To będą zapewne te piłki, któremi rzucają złe duchy podczas nocy Walpurgii, kiedy tu czarownice na miotłach i widłach zjeżdżają i gdy się rozpoczyna osławiona ich i awanturnicza ochota, według opowiadania wiarogodnych mamek i pięknych ilustracyj mistrza Retzscha do „Fausta.“ [1]) Pewien młody poeta, w podróży z Berlina do Getyngi, przejeżdżając w nocy pierwszego maja pod Brockenem, widział nawet, jak kilka beletrystek na skraju góry zebrało się na herbatkę i odczytywało sobie „Gazetę wieczorną“, a swoje poetyczne koźlątka, beczące i skaczące dokoła ich stołu, jako uniwersalne geniusze wysławiało i o wszystkich utworach niemieckiej literatury wyrokowało w ostatniej instancyi; kiedy nareszcie natrafiły na „Ratcliffa“ i „Almanzora“ i autorowi jego odmówiły wszelkiej skromności i chrześciaństwa wszelkiego, młodemu człowiekowi włosy na głowie powstały ze zgrozy,—dałem koniowi ostrogę i popędziłem dalej.

W istocie, kiedy się przebywa wierzchnią połowę Brockenu, niepodobna się oprzeć wspomnieniom wszystkich zabawnych historyj z łysej góry, a zwłaszcza, mistycznej niemiecko-narodowej tragedyi o doktorze Fauście. Zdawało mi się też, jakgdybym słyszał ciągle obok siebie odgłos kroków końskiego kopyta i jakby ktoś śmiesznie oddech chwytał. Nawet Mefisto, jak sądzę, z trudnością oddycha, wspinając się tu na swoją ulubioną górę; droga to bardzo uciążliwa, byłem też prawdziwie zadowolony, ujrzawszy nareszcie od dawna wyglądaną gospodę u szczytu.

Budynek ten, znany z wielu reprodukcyj, jest tylko parterowym domem; na wierzchołku góry postawił go

---

[1]) F. A. M. Retzsch (1790—1857) znany rysownik i malarz, który się wsławił ilustracyami do „Fausta“, wydanemi w Sztutgardzie w 26 kartonach r. 1828.

dopiero w r. 1800 hr. Stolberg Wernigerode, na którego korzyść utrzymuje się tu gospoda. Mury jej zadziwiająco grube ze względu na wichry i mrozy podczas zimy; dach nizki, w pośrodku niego stoi czatownia, nakształt wieży, a obok głównego budynku znajdują się jeszcze dwa mniejsze, które w dawnych czasach służyły podróżnikom za schroniska.

Wejście do tego domu zrobiło na mnie jakieś niezwykłe, bajeczne trochę wrażenie. Po długiem, samotnem łażeniu między sosnami i skałami jest się nagle przeniesionym do domu wśród chmur; miasta, góry i lasy pozostały w dole, a na górze spotyka się dziwnie złożone, obce towarzystwo, które człowieka—co zresztą na takiem miejscu jest całkiem naturalnem—przyjmuje prawie jak oczekiwanego przybysza, na poły z ciekawością, na poły obojętnie. Zastałem tam pełno gości i, jak na rozsądnego człowieka przystało, pomyślałem zaraz o noclegu i wszystkich niewygodach posłania na słomie; gasnącym głosem zażądałem natychmiast herbaty, a pan gospodarz Brockenu był dosyć sprytnym, aby się domyśleć, że ja, człowiek chory, potrzebować będę na noc porządnego łóżka.

Urządził mi je w ciasnym pokoiczku, do którego się już jakiś młody kupiec, istny emetyk w bronzowym paltocie, przedemną wprowadził.

W szynkownej izdebce gwarno było i rojno; kręciło się wielu studentów z rozmaitych uniwersytetów. Jedni dopiero co przybyli, restaurowali swe siły, drudzy gotując się do wymarszu, sznurowali swoje tłumoczki, wpisywali swe nazwiska do książki pamiątkowej, przyjmowali od dziewcząt usługujących bukieciki z górskich kwiatów; szczypano tu w policzki, śpiewano, skakano, wykrzykiwano, pytano i odpowiadano, życzono sobie dobrej drogi i pogody, Prosit! Adies! Kilku wychodzących było już podchmielonych i dla tych piękne widoki miały być podwójną rozkoszą, bo pijany wszystko przecież widzi podwójnie.

Posiliwszy się dostatecznie, wyszedłem na czatownię na dachu i zastałem tam nizkiego pana z dwiema damami: jedną młodą i drugą starszą. Młodsza była bardzo piękną i wspaniałej postaci, w kapeluszu na kształt czarnego hełmu z atłasu, o białych piórach, z któremi igrały wiatry, w czarnym aksamitnym płaszczu, który uwydatniał szlachetne kształty jej smukłej kibici, z oczyma dużemi, jasnemi, które spoglądały spokojnie na duży, szeroki świat w dole.

Gdy byłem jeszcze małym chłopcem, myślałem tylko o czarodziejskich i cudownych bajkach, a każdą piękną damę z piórami strusiemi na głowie brałem za królowę elfów; jeżeli zaś zauważyłem, że ogon jej sukni był zmoczony, uważałem ją za rusałkę. Teraz mam inne o tem pojęcie, odkąd wiem z historyi naturalnej, że strusie pióra pochodzą ze skrzydeł najgłupszego ptaka, a ogony kobiecych sukien mokną w sposób bardzo naturalny. Gdybym wszelako był wspomnianą damę we wspomnianej pozycyi ujrzał na Brockenie chłopięcemi jeszcze oczyma, byłbym z pewnością pomyślał: „Oto jest czarodziejka gór: w tej chwili właśnie wypowiedziała zaklęcie, mocą którego wszystko to w dole tak cudownem się wydaje“. Rzeczywiście, od pierwszego wejrzenia ztąd, wszystkie struny naszego ducha drgają nowemi wrażeniami, a te po większej części różnolite, nawet sprzeczne ze sobą, łączą się w naszej duszy w jakieś wielkie, jeszcze nierozwikłane, niezrozumiałe uczucie. Jeżeli się nam uda uczucie to w należyte pojęcie ująć, wtedy poznajemy charakter tej góry. Charakter ten jest całkiem niemiecki, zarówno pod względem swoich ujemnych, jak i dodatnich stron. Brocken jest niemcem. Z niemiecką gruntownością pokazuje on nam jasno i wyraźnie w olbrzymiej panoramie owe setki miast, miasteczek i wiosek, leżących po większej części od północy, a dokoła wszystkie góry, lasy, rzeki i płaszczyzny nieskończenie daleko; ale właśnie dlatego wszystko to wydaje się, jak ostro rysowana, czysto kolo-

rowana karta geograficzna; nigdzie oko nie zajmie się prawdziwie pięknym krajobrazem. Tak to bywa zawsze, że my niemieccy kompilatorowie z powodu tej rzetelnej dokładności, z jaką wszystko a wszystko przedstawić chcemy, nie możemy nawet myśleć o tem, abyśmy coś prostego, w piękny sposób podać potrafili. Brocken ma też w sobie coś tak niemiecko-spokojnego, rozsądnego, tolerancyjnego; właśnie dlatego, że ma wszystko przed sobą w takiem oddaleniu i jasno ztąd spozierać może. A kiedy taka góra swoje olbrzymie oczy otworzy, toć przecie nieco więcej niemi zobaczy, niż my karły, łażące po niej, naszemi słabemi oczkami. Wielu utrzymywało wprawdzie, że Brocken ma filisterską naturę, a Claudius nawet śpiewał: „Łysa góra to duża filisterka!..“ ale to błędne twierdzenie. Łysina Brockenu, którą sobie czasami czapką z mgły nakrywa, daje mu pewien odcień filisterstwa, ale jak u wielu innych wielkich niemców dzieje się to tylko przez czystą ironię. Jest to faktem udowodnionym, że Brocken miewa swoje burszowskie chwile fantazyi, np. w nocy pierwszego maja. Wtedy rzuca wesoło swą czapkę z mgły w powietrze i jak my inni staje się prawdziwie z niemiecka romantycznym waryatem.

Spróbowałem od razu piękną damę zawikłać w rozmowę; pięknościami natury bowiem można się wtedy dopiero do syta rozkoszować, kiedy się człowiek od razu przed kim wygadać może. Nie była ona bardzo inteligentną, ale była należycie sprytną; miała prawdziwie wytworne formy. Nie rozumiem pod tem tej zwyczajnej, sztywnej, negatywnej wytworności, która dokładnie wie, co musi być zaniechanem, ale tę wytworność rzadszą, swobodną, pozytywną, która dokładnie powiada, co nam uczynić wolno i która przy wszelkiej swobodzie daje nam najwyższą towarzyską pewność obcowania. Ku mojemu własnemu zdumieniu rozwinąłem wiele geograficznej znajomości, wymieniłem owej pięknej, żądnej wiedzy pani nazwiska wszystkich miast, które przed nami leżały, odszukałem je i wskazałem na mojej mapie, rozkładając ją z prawdziwą miną docenta na kamiennym stoliku, ustawionym w pośrodku czatowni. Niektórych miast nie mogłem znaleść, może dla tego, że je więcej palcami, niż oczyma szukałem, bo oczy moje oryentowały się tymczasem w twarzy wdzięcznej damy i tam piękniejsze miejsca znajdowały, niż „Schierke“ albo „Elend.“ Twarz ta należała do rodzaju tych, które nigdy nie drażnią, rzadko zachwycają, ale podobają się zawsze. Lubię takie twarze, bo one moje wzburzone serce swoim uśmiechem uspokajają. Piękna dama nie była jeszcze zamężną, jakkolwiek znajdowała się w tym rozkwicie, który do małżeństwa dostatecznie uprawnia; ale to zjawisko bardzo zwykłe, że najpiękniejsze dziewczęta trudno za mąż wychodzą. Wypadek ten znany już był w starożytności; wszystkie trzy gracye zostały przecież na koszu.

Nie mogłem odgadnąć, w jakim stosunku nizki jegomość pozostawał do obu dam, którym towarzyszył. Była to cienka, dziwaczna figura; główkę miał małą, skąpo pokrytą siwemi włoskami, które po wązkiem czole sięgały aż do zielonawych oczu babki wodnej, nos okrągły na przód wystający, usta zaś z brodą zdawały się znowu lękliwie cofać ku uszom. Twarzyczka cała zdawała się być ulepioną z miałkiej, żółtawej gliny, z której rzeźbiarze pierwsze swoje modele ugniatają; kiedy zacisnął wązkie usta, tysiące półkulistych, cieniutkich zmarszczek pokrywało mu policzki. Mały człowieczek nie wymówił ani jednego słowa, tylko od czasu do czasu uśmiechał się, jak zakatarzony mops, gdy mu starsza dama coś miłego szeptem powiadała do ucha.

Starsza dama była matką młodszej; i ona miała najwytworniejsze formy. Jej oczy zdradzały jakąś chorobliwą, rozmarzoną zadumę; około ust znać było surową skromność, chociaż wydawało mi się, że te usta musiały brać dużo pocałunków i dużo pocałunków oddawać. Jej twarz przypominała Codex palimpsestus, w którym

pod świeżo wypisanym ręką mnicha tekstem jednego z ojców kościoła, znać na pół zatarte wiersze starogreckich erotyków. Obie panie ze swoim towarzyszem zwiedzały tego roku Włochy i opowiadały mi wiele pięknych rzeczy o Rzymie, Florencyi i Wenecyi. Matka mówiła dużo o obrazach Rafaela, o katedrze św. Piotra; córka więcej wspominała operę w teatrze Fenice. Obie były zachwycone talentem improwizatorów.

Pochodziły z Norymbergi, ale o jej starożytnej świetności mało miały mi do powiedzenia. Wdzięczny kunszt meistersaengerów, których ostatnie dźwięki przechował nam poczciwy Wagenseil, wygasł, a norymberskie obywatelki zachwycają się włoskiemi głupstwami ex improviso i kapłoniemi śpiewami. O święty Sebaldzie, cóż z ciebie teraz za biedny patron!..

Podczas gdyśmy rozmawiali, zaczęło się ściemniać; powietrze ochłodziło się jeszcze bardziej, słońce spadło jeszcze niżej, wieża zapełniła się studentami, rzemieślnikami i kilku szanownemi mieszczuchami, którzy w towarzystwie swych małżonek i córek chcieli zobaczyć zachód słońca.

Wzniosły to widok, nastrajający duszę do modlitwy. Około kwadransu stali wszyscy w milczeniu i przypatrywali się ognistej kuli, która na zachodzie powoli tonęła w przestrzeniach; oblicza opromieniały ostatnie blaski słońca, ręce mimowoli składały się nabożnie; zdawało się, że w cichej gromadce stoimy wśród głównej nawy jakiejś olbrzymiej katedry podczas podniesienia, a z organów rozbrzmiewa wiekuisty chorał Palestriny.

Kiedym tak stał w pietyzmie pogrążony, usłyszałem nagle tuż obok siebie czyjś wykrzyknik: „Jednak ta natura wogólności jest piękną!..“ Słowa te wyszły z przepełnionej uczuciem piersi mojego współlokatora, młodego kupca — i dzięki im wróciłem znowu do mego powszedniego usposobienia, mogłem teraz obu damom prawić wiele

pięknych rzeczy o zachodzie słońca i spokojnie, jakgdyby nic się nie stało, odprowadzić je do drzwi ich mieszkania. Pozwoliły mi też bawić się jeszcze przez godzinę. Nakształt ziemi rozmowa nasza obracała się dokoła słońca. Matka utrzymywała, że słońce w mgłę zapadając, podobne było do płonącej róży, którą niebo z galanteryą rzuciło w szeroko rozpostarty, ślubny welon swojej ukochanej ziemi. Córka uśmiechała się i twierdziła, że częsty widok takich zjawisk przyrody osłabia ich wrażenie. Matka sprostowała to błędne mniemanie wyjątkiem z „Podróży“ Goethego i spytała mnie, czy czytałem „Werthera“,.. Zdaje mi się, że mówiliśmy o kotach angorskich, wazach etruskich, tureckich szalach, makaronie i o lordzie Byronie, z którego starsza dama kilka ustępów o zachodzie słońca, wcale ładnym szeptem wzdychając, przytoczyła.

Młodszej damie, nie znającej języka angielskiego, a pragnącej poznać te poezye, poleciłem tłumaczenie mojej pięknej i inteligentnej rodaczki, baronowej Elizy Hohenhausen; przy okazyi nie zaniedbałem, jak to zwykle w obecności młodych dam czynię, powstawać przeciw bezbożności, pesymizmowi, bezmiłości i Bóg wie jeszcze jakim grzechom Byrona.

Potem zajęciu poszedłem jeszcze przejść się po Brockenie, gdyż na szczycie jego nie zciemnia się nigdy całkowicie. Mgła nie była zbyt gęstą, mogłem tedy napatrzeć się konturom obu wzgórzy, z których jedno nazywają „Ołtarzem czarownic,“ a drugie „Djabelską kazalnicą.“ Wystrzeliłem z pistoletów moich, ale echo nie odpowiedziało hukowi. Nagle usłyszałem znajome głosy i uczułem się wyściskanym i na wsze strony wycałowanym; byli to moi rodacy, którzy w cztery dni po mnie opuścili Getyngę i ku wielkiemu swemu zdziwieniu spotkali mnie samiuteńkiego na łysej górze. Co tam było opowiadań, zdziwień, postanowień, śmiechów i wspomnień! Duchem wróciliśmy znowu do naszej naukowej Syberyi, gdzie kultura jest tak wiel-

ką, że niedźwiedzie po karczmach piją [1]), a sobole myśliwym „dobry wieczór“ mówią.

W dużej izbie siedliśmy do wieczerzy. Przy długim stole zajęły miejsce dwa rzędy głodnych studentów. Z początku toczyła się zwyczajna rozmowa uniwersytecka: pojedynki, pojedynki i znowu pojedynki. Towarzystwo składało się przeważnie z halańczyków, więc Halla była też głównym przedmiotem naszych rozpraw. Okna radcy dworu, Schütza [2]) były egzegetycznie uiluminowane. Potem opowiadano o ostatniem świetnem przyjęciu u dworu króla cypryjskiego i o tem, że wybrał sobie naturalnego syna, że na lewą rękę zaślubić się dał z jakąś Lichtensteinską księżniczką, a metresie państwowej udzielił dymisyę i że całe wzruszone ministeryum podług przepisu płakało z tego powodu. Nie potrzebuję wspominać dopiero, że się to wszystko odnosiło do hallańskich dygnitarzy. Następnie przyszła kolej na dwóch chińczyków, którzy się przed dwoma laty w Berlinie ukazali, a obecnie w Halli przygotowują się na prywatnych docentów estetyki chińskiej. Wreszcie zaczęły się dowcipy. Zastanawiano się nad wypadkiem, w którym niemiec pokazywałby się za pieniądze w Chinach; w tym celu ułożono afisz z poświadczeniem dwu mandarynów, Czing-Czang-Czunga i Hi-ha-ho-a, o rzetelnem pochodzeniu niemieckiem owego niemca, z wyliczeniem dalej wszystkich sztuk jego, które głównie na filozofowaniu, kurzeniu tytuniu i cierpliwości polegają, z nadmienieniem w końcu, iż podczas karmienia o godzinie dwunastej w południe nie należy wprowadzać

[1]) Niemieckiej gry wyrazów „einen Bären anbinden“ niepodobna mi było oddać trafnie po polsku: znaczy to dosłownie: „uwiązać niedźwiedzia,“ a w przenośni: „zadłużyć się.“ Pozwoliłem sobie przeto odstąpić od tekstu. (przyp. tłum.)

[2]) Chr. G. Schütz (1747 — 1832) był wówczas profesorem historyi literatury w Halli.

psów ze sobą, gdyż one biednemu niemcowi najlepsze kąski podchwytywać zwykły.

Pewien młody bursz, który niedawno temu był na puryfikacyi w Berlinie, opowiadał wiele o tem mieście, ale bardzo jednostronnie. Był u Wysockiego i w teatrze, lecz o jednym i drugim sąd miał fałszywy. „Łatwo młodzież z słowem sobie radzi“ i t. d. Mówił o wydatkach na garderobę, o skandalach aktorów i aktorek i t. p. Młody człowiek nie wiedział, że ponieważ w Berlinie pozór najwięcej znaczy, co nawet w języku berlińczyków ma swoje określenie, więc i na deskach muszą pozory kwitnąć [1]) i dlatego intendentura teatralna musi dbać najgorliwiej o „kolor brody, z jaką pewną rolę grać trzeba,“ o wierność kostiumów, nakreślonych przez przysięgłych historyków, a szytych przez naukowo wykształconych krawców. I to jest komiczne, bo gdyby kiedykolwiek Marya Stuart miała na sobie fartuszek, wskrzeszający epokę królowej Anny, to z pewnością bankier Krystyn Gumpel [2]) uskarżałby się z całą słusznością, że mu to Maryę psuje; a gdyby znów lord Burleigh przez zapomnienie wdział kiedy spodnie Henryka IV-go, to najpewniej radczyni ministeryum wojny de Steinzopf, urodzona Lilienthau nie mogłaby przez cały wieczór tego anachronizmu z oczu stracić. Taka łudząca troskliwość generalnej intendentury rozciąga się nietylko na fartuszki i pantaliony, ale i na tych, którzy się niemi okrywają. W przyszłości też Otella ma grać prawdziwy murzyn, którego prof. Lichtenstein [3]) w tym celu już z Afry-

[1]) Dla zrozumienia następujących zdań, trzeba wiedzieć, że ówczesny intendent król. widowisk w Berlinie hr. Maurycy Brühl (1777—1838) szczególniejszą uwagę zwracał na kostiumy i dekoracye.

[2]) Hamburski bankier Lazarus Gumpel, współzawodnik stryja poety, Salomona Heinego, służył autorowi często za cel przedrwiwań; on to występuje także, jako marchese Gumpelino w „Kąpielach w Lucca.“

[3]) Prof. Lichtenstein (1780—1857) znany naturalista, założyciel ogrodu zoologicznego w Berlinie.

ki zapisał; w „Menschenhass und Reue“ rolę Eulalii dostanie na prawdę jedna z kobiet upadłych, Piotra odegra rzeczywisty głuptas, a nieznajomego prawdziwy rogacz, tem łatwiej, że całej trójcy nie potrzeba będzie aż z Afryki sprowadzać; w „Macht der Verhältnisse“ [1]) prawdziwy literat, który dostał kilka razy po twarzy, obejmie rolę bohatera; w „Ahnfrau“ Jaromirem będzie artysta, który na prawdę niegdyś rabował, a przynajmniej był złodziejem; lady Macbeth ma być grana przez taką damę, która według żądania Tiecka będzie z natury bardzo miłą, ale która jednak z krwawym widokiem skrytobójczego zakłuwania do pewnego stopnia jest obznajmioną; nakoniec do ról szczególniej płytkich, gminnych, niedowcipnych ma być angażowanym wielki Wurm [2]), sam wielki Wurm, który swoich duchowych towarzyszy zachwyca, ilekroć podniesie się w swej prawdziwej wielkości, wysoko, wysoko: „Gałgan w każdym calu!“. Jeżeli wspomniany wyżej młodzieniec źle pojmował stosunki berlińskiego dramatu, to jeszcze mniej rozumiał, że janczarska opera Spontiniego, z kotłami, słoniami, trąbami i tamtamami, była heroicznym środkiem do wzmocnienia wojowniczo-zgnuśniałego narodu, środkiem zalecanym już z państwową filuteryą przez Cycerona i Platona. Najmniej pojęcia miał młody człowiek o dyplomatycznem znaczeniu baletu. Z trudnością wyłożyłem mu, że w nogach Hoguet'a [3]) więcej mieści się polityki, niż w głowie Buchholtza [4]), że wszystkie jego wykrętasy oznaczają dyplomatyczne rokowania, że każdy ruch jego ma polityczną aluzyą: tak np. gdy tęskno naprzód pochylony, szeroko otwiera ramiona, ma na myśli nasz gabinet państwo-

[1]) „Macht der Verhältnisse“ (Siła okoliczności)—tragedya Ludwika Roberta.

[2]) A. F. Wurm—znany swego czasu komik.

[3]) Hoguet—słynny ongi baletnik.

[4]) P. F. F. Buchholz—poważany polityczny i historyczny pisarz ówczesny.

wy; gdy się sto razy obraca na jednej nodze, nie ruszając z miejsca, ma wtedy na myśli nasz sejm związkowy; gdy w kółko przebiera nóżkami, jak gdyby był spętany, przedstawić chce nasze drobne książątka; gdy zatacza się, jak pijany, przypomina nam równowagę europejską, a kongres cechuje przez splecenie rąk zaciśniętych; nakoniec, gdy nam zamierza przedstawić naszego wielkiego przyjaciela ze wschodu, powoli podnosi się w górę, w tej pozycyi dłuższy czas pozostaje i potem nagle w najokropniejszych skokach rzucać się zaczyna. Młodemu człowiekowi spadły łuski z oczu i dopiero teraz zrozumiał, dlaczego baletnicy lepiej są płatni, niż wielcy poeci, dlaczego balet stanowi niewyczerpany temat do rozmowy dla ciała dyplomatycznego i dlaczego często ładna tancerka utrzymywana bywa jeszcze prywatnie kosztem ministra, który zapewne dniem i nocą się trudzi, aby ją dla swego politycznego systematiku przystępną uczynić. Na Apisa, jak wielką jest liczba egzotycznych, a jak małą liczba ezotycznych bywalców teatralnych! Oto stoi głupi lud, gapi się, podziwia skoki i zwroty i studyuje anatomią w pozach takiej Lemiery, oklaskuje entrechats takiej Röhnisch, paple o gracyi, harmonii i łydkach — a nikomu na myśl nie przyjdzie, że w tańczonych cyfrach ma przed oczyma losy ojczyzny niemieckiej.

Podczas takich rozmów na wsze strony, nie zapomniano przecież i pożytku; kopiaste półmiski mięsiwa, kartofli i t. d. wypróżniały się szybko, ale jedzenie było niedobre. Zwróciłem się z tą uwagą do mojego sąsiada, który mi z akcentem, zdradzającym szwajcara, dość niegrzecznie odpowiedział, że my niemcy nieobeznani jesteśmy tak samo z prawdziwą wolnością, jak z prawdziwem umiarkowaniem. Wzruszyłem ramionami i nadmieniłem, że właściwą liberyą książąt i dostarczycielami łakoci dla lizusów wszędzie są sami szwajcarzy i że tamtych tak wogólności nazywają; dzisiejsi zaś szwajcarzy bohaterowie wolności, którzy publicznie rozsypują polityczno-śmiałe poglądy, podo-

bni są dla mnie do owych tchórzów, co to na jarmarkach z pistoletów strzelają, wszystkie dzieci i wszystkich prostych chłopów zadziwiają swoją odwagą, a jednak tchórzami być nie przestają.

Syn Alp nie miał zapewne nic tak złego na myśli, „był to otyły człowiek, a zatem dobry człowiek“ [1]), ale mój sąsiad z drugiej strony, greifswaldczyk z pochodzenia, uczuł się tem wyrażeniem bardzo dotkniętym; zapewniał, że niemiecka energia i prostoduszność jeszcze nie wygasły, przy czem uderzał się w piersi, że aż dudniło i wychylił ogromny kufel piwa. Szwajcar mówił tylko: „Nu! nu!...“ ale im łagodniej to powtarzał, tem goręcej nacierał greifswaldczyk. Pochodził on jeszcze z owej epoki, gdy białe baranki na głowach miały swe dobre czasy, a fryzyerzy obawiali się śmierci głodowej. Nosił długie, spadające włosy, rycerski birecik, czarny staroniemieckiego kroju surdut, brudną koszulę, zastępującą zarazem kamizelkę, z pod której wyglądał medalionik z kosmykiem włosia Blücherowskiego siwosza. Wyglądał, jak błazen w naturalnej wielkości. Lubię komocyę przy wieczerzy, więc dałem się przez niego wciągnąć w patryotyczną sprzeczkę; on utrzymywał, że Niemcy muszą być podzielone na trzydzieści trzy kantony, ja zaś twierdziłem, że na czterdzieści ośm, bo w takim razie łatwiej da się napisać systematyczny podręcznik o Niemczech, a przecież potrzeba praktyczność życia łączyć z teoryą umiejętności. Mój greifswaldzki przyjaciel był także bardem niemieckim i zwierzył mi się, że pracuje nad narodowym poematem rycerskim dla uczczenia Hermana i bitwy przez niego stoczonej. Dałem mu niejedną pożyteczną wskazówkę co do zrobienia tej epopei. Zwróciłem jego uwagę, że moczary i drążkowe drogi teutoburskiego lasu nader onomatopeicznie będzie mógł zaznaczyć w wodnistych i kulawych wierszach i że byłaby

[1]) Cervantes'a Don Quixote II: „Hombre que por ser muy gordo era muy pacifico.“

w tem patryotyczna finezya, gdyby Varusowi i innym rzymianom same głupstwa w swym poemacie mówić kazał. Sądzę, że ten artystyczny figiel uda mu się, jak i innym poetom berlińskim, z zastanowienia godną ułudą.

Przy naszym stole było coraz głośniej i coraz swobodniej; wino zastąpiło kufle z piwem, wazki ponczu zabłysnęły płomykami, pito, palono i śpiewano. Der alte Landesvater i świetne pieśni W. Müllera, Rückerta, Uhlanda i t. d. rozbrzmiewały w pięknych Methfesolskich melodyach. Najlepiej wydały się Arndta niemieckie słowa: „Bóg, co żelazo stworzył, nie chciał mieć niewolników.“ (Der Gott, der Eisen wachsen liess, der wollte keine Knechte). A na dworze huczało, jak gdyby stary Brocken śpiewał razem z nami, a niektórzy z chwiejących się naszych przyjaciół utrzymywali nawet, że potrząsa radośnie swoją łysiną, skutkiem czego nasz pokój uczuwa dreszcze i odbywa poruszenia z jednego boku na drugi. Butelki były coraz próżniejsze, a głowy coraz pełniejsze. Ten ryczał, drugi fistułą wyciągał, inny deklamował wyjątki z „Winy,“ jeszcze inny prawił kazanie o umiarkowaniu, a jeden stanął na krześle i wykładał: „Moi panowie, ziemia jest okrągłym walcem; ludzie zaś pojedyńczemi sztyfcikami, napozór rozrzuconymi na nim bezładnie; ale walec się obraca, sztyfciki uderzają to tu, to tam i wydają dźwięki, jedne częściej, drugie rzadziej, a to wszystko tworzy cudowną skomplikowaną muzykę, która się nazywa historyą świata! Będziemy tedy mówili najprzód o muzyce, potem o świecie, a na końcu o historyi; tę ostatnią dzielimy na positivum i na muchy hiszpańskie...“ I tak dalej plątało się głupstwo z sensem.

Pewien miły meklemburczyk, który nos miał wsadzony w szklankę z ponczem i błogo się uśmiechając, wciągał zapach trunku, przyznał się, że ma wrażenie, jak gdyby stał znowu przed bufetem teatralnym w Szwerynie; drugi swoją szklankę trzymał, niby perspektywę, przed oczyma i zdawał się nas pilnie obserwować, przy której to czyn-

ności czerwone wino spływało mu po policzkach do wystającej gęby. Greifswaldczyk w nagłym napadzie zapału rzucił mi się na szyję i zawołał: „O gdybyś mnie zrozumiał!.. ja jestem zakochany, jestem szczęśliwy, mam wzajemność i, niech mnie Bóg skarze, to dziewczyna wykształcona, bo ma pełne piersi i nosi białą sukienkę i gra na fortepianie!“... Szwajcar zaś płakał i całował czule moją rękę i jęczał nieustannie: „O Baebeli! O Baebeli!“...

Wśród tego chaosu, w którym talerze tańczyć, a szklanki latać się uczyły, siedziało naprzeciw mnie dwu młodzieńców, pięknych i bladych, jak marmurowe posągi; jeden podobny był więcej do Adonisa, drugi do Apolla. Zaledwie widoczne na twarzach mieli zaróżowienie od wina. Patrzeli na siebie z nieskończoną miłością, jak gdyby jeden umiał czytać w oczach drugiego, a te oczy błyszczały, jak gdyby w nie wpadło kilka kropel tej płonącej miłości, którą jakiś nabożny anioł w poświęcanej czarze z jednej gwiazdy na drugą przenosił. Rozmawiali z sobą po cichu, głosem drżącym tęsknotą; mówili o smutnych rzeczach, z których rozbrzmiewał ton dziwnie bolesny.

„Lora także już umarła!“ prawił pierwszy i westchnął, a po chwilowym przestanku opowiadał o jakiejś dziewczynie z Halli, która była zakochana w studencie, a po jego wyjeździe z nikim mówić nie chciała, jadła mało, po całych dniach i nocach płakała i wpatrywała się w kanarka, którego jej ukochany niegdyś darował. „Ptak zdechł, a wkrótce potem i Lora umarła!“—tak kończyła się opowieść i obaj młodzieńcy znowu zamilkli i wzdychali, jak gdyby im serca pęknąć miały. Nareszcie drugi odezwał się: „Smutna jest dusza moja! Pójdź, wyjdziemy na ciemną noc! Chcę odetchnąć tchnieniem chmur i promieniami księżyca. Towarzyszu mej tęsknoty! Kocham cię, słowa twoje brzmią, jak szept sitowia, jak szmer strumyków i rozbrzmiewają znowu w mojej piersi, ale smutna jest dusza moja!“

I podnieśli się obaj młodzieńcy, jeden, objął za szyję drugiego i wyszli tak z gwarnej izby. Wyszedłem także za nimi i widziałem, jak weszli potem do jakiegoś ciemnego alkierzyka, jak jeden z nich zamiast okna otworzył dużą szafę na rzeczy, jak obaj przed nią stanęli z wyciągniętemi ramionami i naprzemian mówili: „Tchnienia posępnej nocy! wołał—pierwszy,—jak orzeźwiająco chłodzicie moje lica! jak przyjemnie igracie z memi rozwianemi włosami! Staję na chmurami okrytym wierzchołku góry; podemną leżą uśpione osady ludzkie i połyskują błękitne wody—słyszysz, tam w dole szumią jodły!.. tam ponad wzgórza, w mgłach suną duchy ojców. O, gdybym mógł pędzić z wami na rumaku z chmur przez noc burzliwą, przez jezioro rozlane, w górę ku gwiazdom!... Ale, ach, jam obładowany cierpieniem i smutna jest dusza moja!“ Drugi młodzian zatęskniony wyciągnął również ramiona ku szafie, łzami zaszły mu oczy i do żółtych łosiowych spodni, które brał za księżyc, przemawiał smutnym głosem: „Pięknym jesteś, ty synu niebios! Błogi jest spokój twego oblicza! Płyniesz tak uroczo w przestworza! Gwiazdy suną za tobą twemi niebieskiemi śladami na wschodzie. Twój widok rozradowuje chmury i wyjaśniają się ich ponure postaci. Któż ci na niebie dorówna, płodzie nocy? Zawstydzone twą obecnością gwiazdy odwracają swe zielonkawe oczy. Dokąd umykasz z twojej drużyny, gdy rankiem blednie twoje oblicze? Czy i ty, mnie podobny, masz swoją Hallę? Czy przemieszkujesz w cieniu tęsknoty? Czy twoje siostry z nieba pospadały? Czy niema więcej tych, które z tobą radośnie noce spędzały! Tak, one spadły, o urocze światło, i ty ukrywasz się dlatego tak często, aby je opłakiwać. Ale kiedyś przyjdzie taka noc, w której i ty zagaśniesz i opuścisz swe szlaki niebieskie. Wtedy podniosą gwiazdy swe zielone czoła, zawstydzone niegdyś twą obecnością i radować się będą. Jednak teraz tyś strojny twą promienistą szatą i z góry spoglądasz z bram nieba. Rozedrzyjcie chmury,

o wiatry, aby syn nocy mógł zaświecić w pełni; aby krzaczyste góry zabłysnęły i znowu noc spienione fale w blaskach światła toczyła.

W tej chwili jeden z bardzo dobrych i nie bardzo chudych przyjaciół, który więcej się napił, niż najadł, jakkolwiek i dzisiejszego wieczoru swoim zwyczajem połknął porcyę mięsa, zdolną nasycić sześciu gwardyjskich oficerów i jedno niewiniątko, wypadł w zbyt dobrym humorze, to znaczy zupełnie en cochon; wpakował obu elegijnych przyjaciół nieco niedelikatnie do szafy i zaczął hałasować w okropny sposób za drzwiami. W sali krzyki mieszały się i głuchły coraz bardziej. Dwaj młodzieńcy w szafie biadali i jęczeli, skarżąc się, że rozbici leżą u stóp góry; z gardła spływało im szlachetne wino czerwone, którem oblewali się wzajemnie i jeden mówił do drugiego: „Bądź zdrów! Czuję, jak mi krew uchodzi. Dlaczego budzisz mnie, powiewie wiosenny? Zalecasz mi się i mówisz: skropię cię rosą nieba! Ale oto czas mego zwiędnięcia jest blizki, blizka jest burza, która liście moje obedrze! Jutro przyjdzie wędrowiec, przyjdzie, który mnie widział w mej piękności i oko jego dokoła szukać mnie będzie, ale nie znajdzie mię już więcej!“ Nad wszystkiem wszelako górował dobrze znany bas mojego przyjaciela, który tam na dworze, klnąc i pomstując bluźnierczo, żalił się, że na całej ulicy niema ani jednej latarni, przy której świetle możnaby przynajmniej zobaczyć, komu się szyby wytłukło.

Ja potrafię znieść dużo—skromność nie pozwala mi wymienić ilości butelek; dosyć jednak chwiejnie doszedłem do mego pokoju sypialnego. Młody kupiec leżał już w łóżku—na głowie miał kredowo-białą szlafmycę, na sobie szafranowego koloru „kaftanik zdrowia“ z flaneli. Nie spał jeszcze i próbował ze mną zawiązać rozmowę. Był on frankfurt-nad-meńczykiem i naturalnie musiał zaraz mówić o żydach, którzy całe poczucie piękna i szlachetności zatracili i którzy angielskie towary o 25% niżej cen fabrycznych sprzedają. Przyszła mi ochota zmistyfikować go

trochę; więc powiedziałem mu, że jestem lunatykiem i z góry proszę o przebaczenie na wypadek, gdybym mu w śnie przeszkodził. Biedaczysko z tego powodu nie spał noc całą, jak mi to na drugi dzień wyznał, bo się obawiał, abym w swym lunatyzmie nie nabroił jakiego licha z pistoletami, które leżały przy mojem łóżku. W gruncie rzeczy nie działo mi się tej nocy lepiej od niego: spałem bardzo źle. Trapiły mię dzikie, fantazyjne dziwadła—układ fortepianowy z „Piekła“ Dantego. W końcu śniło mi się, że patrzę na przedstawienie jurystycznej opery p. t. „Falcidia“, [1]) z prawno-dziedzicznym tekstem Gansa, a muzyką Spontiniego. Szalony sen!... Rycerskie forum było pysznie oświetlone. Serv. Asinius Goeschenus [2]), jako pretor na swoim stołku, obrzucony sfałdowaną togą, rozlewał hałaśliwie recitativa; Marcus Tullius Elvorsus [3]), jako prima-donna legataria, odsłaniając całą swą lubą kobiecość, śpiewał miłosną aryę brawurową: quicunque civis romanus [4]); na ceglasto uszminkowani referendarze ryczeli chór małoletnich; prywatni docenci, jako geniusze, w cielistych trykotach, wykonywali anti-justyniański balet i uwieńczali dwanaście tablic kwiatami. Wśród gromów i błyskawic wyszedł z pod ziemi duch rycerskiego prawodawstwa; poczem huknęły trąby, tamtamy, deszcz ognisty, cum omni causa [5]).

---

[1]) Falcidia lex, prawo rycerskie, ustanowione na 40 lat przed Chr. przez trybuna Falcidiusza, które zabraniało rozdawać na legaty więcej, niż trzy czwarte majątku. Gans napisał dzieło naukowe o rozwoju historycznym prawa dziedzicznego.

[2]) Słynny jurysta I. F. L. Goeschen (1787—1837) był prorektorem uniwersytetu w Getyndze za czasów Heinego.

[3]) Ch. Fr. Elvers (1797—1858) był również profesorem prawa tamże.

[4]) Tym frazesem rozpoczyna sią rozdział w Corpus jur. „Ad legem Felicidiam“.

[5]) Cum omni causa—często używany frazes prawniczy, tyle co: ze wszystkiemi następstwami.

Z tego zgiełku i hałasu wyrwał mnie gospodarz oberży, budząc nas ze snu, abyśmy zobaczyli wschód słońca. Na wieży zastałem już kilka osób oczekujących, które rozcierały zziębnięte ręce; inni z zaspanemi oczyma wlekli się dopiero po schodach chwiejącym krokiem. I staliśmy znowu w milczącej gromadce z wczorajszego wieczoru, a przed nami na widnokręgu podnosiła się mała, karmazynowa kula; zimowo mroczne oświetlenie rozlewało się dokoła; góry zdawały się pływać w jakiemś białem, zbałwanionem morzu, i tylko wierzchołki ich były widoczne, tak, że zdawało się nam, jakbyśmy stali wśród zalanej powodzią równiny na małem wzgórzu, z którego tylko tu i owdzie widać było suchszą piędź ziemi. Pragnąc to, com widział i odczuwał, w słowach przechować, skreśliłem następujące wiersze:

Już wyjaśnia się wschód złoty,
Pierwszym brzaskiem drżą błękity,
Jak szeroko i jak długo,
W mgłach się pławią górskie szczyty.

Gdybyż buty mi olbrzyma,
Gdybyż mi wichrowa siła,
Pędziłbym przez te wierzchoły
Tam, gdzie mieszka moja miła.

I z pościeli, gdzie śpi cicha,
Lekko ściągnąłbym zasłonę,
Lekko czoło ucałował
I usteczka rozchylone.

I lżej jeszcze, jeszcze ciszej,
Szepnął w uszko śnieżnej bieli:
Snij, że wzajem się kochamy
I że nic nas nie rozdzieli!

(Przekład Marji Konopnickiej).

Wszelako moja tęsknota do śniadania była również wielką; więc powiedziawszy moim damom kilka grzeczności, zbiegłem na dół, aby w ciepłej izbie napić się kawy. Wielki był czas po temu; w moim żołądku było tak pusto, jak w goslarskim kościele św. Szczepana. Z arabskim trunkiem gorący Wschód spłynął we mnie, wschodnie róże owiały mnie swem tchnieniem, słodkie bülbül pieśni rozbrzmiewały, studenci zamienili się w wielbłądy, dziewczęta z gospody stały się hurysami.

Ale książka, która obok mnie leżała nie była wcale koranem; nonsensów było w niej wprawdzie dosyć... Był to pamiętnik podróżnych na Brockenie, w którym każdy wędrowiec, doszedłszy na szczyt góry, wpisywał swoje nazwisko; wielu dodawało do nazwiska swoje myśli, a w ich braku spisywało swoje uczucia. Nie brakło i takich, którzy się wierszami wyrażali. W tej książce widać było, co za okropieństwa powstają, kiedy gawiedź filisterska przy nadarzonej sposobności, jak tu na Brockenie, próbuje poetyzować. Pałac księcia Patagonii [1]) nie zawiera w sobie tylu niesmacznych niedorzeczności, co ta książka, gdzie szczególniej błyszczą panowie poborcy od akcyzy ze swoją spleśniałą wzniosłością uczuć, młodzi kantorzyści z patetycznemi wylewami duszy, staro-niemieccy dyletanci rewolucyjni ze swoją gimnastyką, berlińscy profesorowie z nieszczęsnemi frazesami zachwytu i t. d. Tu ktoś majestatyczny przepych słońca opisuje; tam skarży się na niepogodę, na zawiedzione oczekiwania, na mgły, które cały widok zasłaniają. Sto razy powtarza się zszargany dowcip: „Zamroczony wyszedłem, zamroczony zeszedłem“. Jakaś Karolina pisze, że sobie nogi zamoczyła, idąc pod górę; pod nią naiwna jakaś Anusia żali się na to samo i dodaje lakonicznie: „I ja się przy tej historyi zamoczyłam.“ Całą

[1]) Pałac ks. Patagonii opisał Goethe w „Podróży włoskiej“.

książkę czuć serem, piwem i tytuniem; zdaje ci się przy niej, że czytasz jakiś romans Claurena.

Kiedym pił wyżej wspomnianą kawę i przeglądał pamiętnik, wszedł szwajcar z rumieńcami na twarzy i pełen natchnienia zaczął opowiadać o wzniosłym widoku, którym się na wieży rozkoszował, gdy spokojne, czyste światło słoneczne, symbol prawdy, staczało walkę z nocnemi mgłami; była to niby walka duchów, w której rozsrożone olbrzymy wznosiły swoje długie miecze, rycerze pędzili na rozhukanych rumakach, z najdzikszego odmętu wyłaniały się wojenne wozy, powiewające sztandary, dziwaczne potwory, aż w końcu wszystko to, skłębione ze sobą, blednąć i bez śladu niknąć zaczęło. Opuściłem to demagogiczne zjawisko natury i mogę pod przysięgą zeznać, gdy przyjdzie do śledztwa, że nie wiem o niczem, tylko o smaku dobrej, czarnej kawy. Ach, ona to była winną, żem zapomniał nawet o mojej pięknej damie, która teraz z matką i towarzyszem swoim miała właśnie siadać do powozu. Zaledwie miałem jeszcze tyle czasu, aby pospieszyć do niej i zapewnić ją, że jest zimno. Zdawała mi się być niezadowoloną, żem się wcześniej nie zjawił, ale wnet udało mi się wygładzić jej piękne czoło z chmurnych fałdów, ofiarując jej cudowny kwiat, który z narażeniem życia dnia poprzedniego z jakiejś stromej skały zerwałem. Matka chciała wiedzieć, jak się ten kwiat nazywa, jakgdyby uważała to za niestosowne, aby jej córka obcy i nieznany kwiatek nosiła na piersi, a na tem właśnie zazdrości godnem miejscu spoczął, nie marząc zapewne wczoraj na swej samotnej wyżynie o takiem szczęściu. Milczący towarzysz obu pań otworzył nagle usta i policzywszy pręciki kwiatu, rzekł suchym głosem: „Należy do ósmej klasy“.

Gniewa mnie to zawsze, ilekroć widzę, że boże kwiaty podzielono podobnie, jak nas, na kasty i to według zewnętrznych oznak, mianowicie według różnicy pręcików. Jeżeli jaki podział jest koniecznym, to lepiejby już było

przyjąć projekt Teofrasta [1]), który chciał kwiaty według woni klasyfikować. Co do mnie, mam w naukach przyrodzonych swój własny systemat i dzielę wszystko na to, co zjeść można i czego zjeść nie można. Dla starej damy wszelako tajemnicza natura kwiatów była niedostępną; przyznała się, że lubi widok kwiatka w ogródku lub w wazonie, ale, że przykre uczucie pierś jej napełnia, gdy zobaczy kwiatek uszczknięty, boć to trup przecie, a taki kwiatowy nieboszczyk spuszcza smutnie więdnącą główkę, jak umarłe dzieciątko. Dama była prawie przestraszona swoją własną refleksyą; więc poczuwałem się do obowiązku rozpogodzić sytuacyę kilku wierszami Woltera. Jak to kilka wierszy francuskich starczy niekiedy, aby nas w należyte, konwencyonalne usposobienie wprowadzić!..

Uśmiechy, ucałowanie rączek, znowu uprzejme uśmiechy, rżenie koni—i powóz powoli a ciężko zaczął się z góry staczać.

Studenci również wybierali się w dalszą drogę. Spakowano tłumoczki, zapłacono rachunki, które nad wszelkie spodziewanie tanio wypadły. Wrażliwe szynkareczki, ze śladami szczęśliwej miłości na licach, naznosiły według zwyczaju bukiecików i górskich kwiatów i pomagały przypinać je do czapek za cenę kilku groszy, lub kilku całusów; nareszcie wyruszyliśmy wszyscy z gospody. Szwajcar i greifswaldczyk poszli drogą ku Schierkie, a my reszta, około dwudziestu, pomiędzy którymi moi krajowcy i ja z przewodnikiem na czele, udaliśmy się na dół w stronę Ilsenburga.

Szło się na złamanie karku. Hallańscy studenci maszerują szybciej, niż austryacka landwera. Zanim się spostrzegłem, była już daleko za mną łysina góry ze swemi śmiesznemi zaroślami; schodziliśmy do sosnowego lasu, któ-

[1]) Teofrastus Paracelsus (1493—1541) słynny lekarz i teozof, który wielkie zasługi położył około ożywienia nauk przyrodniczych.

ry poprzedniego dnia widziałem. Słońce rzucało już pęki swoich promieni na ziemię i oświecało — z humorem pstro przybranych burszów, którzy wesoło przedzierali się przez gęstwinę, znikali tu, tam się znowu ukazywali, w miejscach bagnistych przebiegali zwalone pnie drzew, po stromych urwiskach czepiali się korzeni wystających, w najpocieszniejszych tonacyach wyśpiewując przytem, że aż im również wesoło odpowiadały ptaki leśne, szumiące jodły, niewidzialne źródła pluskające i donośne echo w oddali. Kiedy się młodość zetknie z piękną naturą, to się wzajemnie radują z siebie. Im niżej schodziliśmy, tem milej szumiały podziemne wody, wyzierając tylko tu i ówdzie z pod zarośli i kamieni, jakby skrycie podpatrywały, czy mogą zerknąć na słońce, aż wreszcie gdzieś jakaś mała fala odważyła się wyskoczyć. I wtedy, jak to zwykle bywa, odważny zaczyna, a za nim cała czereda niezdecydowanych, ku własnemu zdziwieniu, nabiera nagle śmiałości i spieszy, aby się z tym pierwszym połączyć. Mnóstwo innych źródełek powyskakiwało ze swoich kryjówek, połączyło się z pierwszym śmiałkiem i utworzyło razem wcale już znaczny potok, który w niezliczonych wodospadach i dziwacznych skrętach popłynął ku dolinie. To Ilza, miła i słodka Ilza!... Ciągnie się ona wzdłuż błogosławionej swojej doliny, którą po obu stronach zamykają wznoszące się coraz wyżej góry, porosłe u podnóży buczyną, dębiną i liściastymi krzakami, zamiast sosen i innych drzew iglastych. Liściasty bowiem rodzaj drzew przeważnie rośnie na niższym Harcu, jak nazywają wschodnią stronę Brockenu, w przeciwieństwie do zachodniej, wyższym Harcem zwanej, który rzeczywiście jest wyższym i odpowiedniejszym dla kultury drzew szpilkowych.

Nie da się to opisać, z jaką swobodą, naiwnością i wdziękiem spada Ilza po awanturniczych skał odłamach, które spotyka w biegu; w jednem miejscu rycząc dziko i pieniąc się, przelewa swe wody wierzchem, w innem wszelkiemi szparami wśród kamieni, jakby z pełnych dzbanów leje się czystą, wygiętą strugą, to znowu w dole po

drobnych kamyczkach biegnie, jak wesołe dziewczątko. Zaiste, podanie prawdę mówi, że Ilza jest księżniczką, która uśmiechnięta i świeża zbiega z góry. Jak połyska w słońcu jej biała, perlista sukienka!... Jak z wiatrem powiewają srebrne wstęgi od jej łona! Jak połyskują i iskrzą się jej brylanty! Wysokie buki stoją nad nią, niby poważni ojcowie, którzy uśmiechając się ukradkiem, patrzą na swawolę lubego dziecka; białe brzozy, jak ciotki, poruszają się zadowolone, ale i zaniepokojone zarazem z powodu jej zbyt ryzykownych skoków; dumny dąb, niby zgryźliwy wujaszek, spogląda z miną krewniaka, na którego koszt ta hulanka się odbywa; ptaszki w powietrzu ćwierkają pochwały, a kwiaty u brzegów szepczą czule: „O weź nas z sobą, weź nas z sobą luba siostrzyczko!“ Ale wesołe dziewczę pędzi dalej w podskokach i chwyta nagle rozmarzonego poetę, na którego spada kwiecisty deszcz dźwięczących promieni i promienistych dźwięków, który zmysły traci wobec takiej świetności i nic nie słyszy więcej, prócz fletniowych głosów, brzmiących mu w ucho:

. . . . . .

Księżniczka jestem Ilza,
Dom w Ilzensteinie mam,
Pójdź ze mną do mego zamku,
Szczęśliwi będziem tam.

Ochłodzę głowę twoją
Najczystszą z moich fal,
Zapomnisz o swoich bólach,
Ukoisz dawny żal.

W ramionach moich białych,
Na białem łonie mem,
Tam będziesz leżał i marzył
Rozkoszy dawnej snem.

Upieszczę, ucałuję
Jak ongi, dawnych lat,

Miłego cesarza Henryka,
Co już pożegnał świat.

Kto umarł, niech śpi w grobie;
Niech żyje, kto żyć ma...
Jam piękna i kwitnąca,
A w sercu śmiech mi drga.

A kiedy drga mi serce,
Dwór szklany dźwięczy mój,
I tańczą rycerze i damy,
I pląsa paziów rój.

Jedwabiów słychać chrzęsty,
I ostróg brzęk u nóg,
A karły bębnią i trąbią,
I grają, i dmą w róg.

A ciebie, jak Henryka,
W objęciu będę mieć,
Na uszach mu kładłam rączki,
Gdy trąba miała grzmieć.

(przekład Maryi Konopnickiej).

Nieskończenie błogiego doznajemy uczucia, gdy świat zjawisk zewnętrznych zejdzie się ze swiatem naszych uczuć i kiedy zielone drzewa, myśli, śpiew ptasząt, błękit nieba, wspomnienia i zapach róż w piękne splączą się arabeski. Kobiety najlepiej znają to uczucie i dlatego mają tak błogo sceptyczny uśmieszek na ustach, gdy ze szkolarską dumą chwalimy czyny logiczne i opatrujemy głowę naszą, jak kram apteczny, tysiącem szufladek, w których mieści się rozum, rozsądek, dowcip, lichy dowcip, a w jednej szufladce nic, czyli mianowicie idea.

Postępując, jak we śnie, nie zauważyłem prawie, żeśmy głębię doliny Ilzy przeszli i znów pod górę iść zaczęli. Stromo trzeba się było piąć w górę i z wielkim trudem; niejednemu z nas oddechu zabrakło. Na wzór wszelako nieboszczyka kuzyna naszego, który w Möllnie

leży pochowany (Till Eulenspiegel) myśleliśmy o schodzeniu na dół, idąc pod górę i to nam humor poprawiało. Nareszcie doszliśmy do Ilsensteinu. Jest to ogromna skała granitowa, która śmiało i wysoko wznosi się od podstawy. Z trzech stron lesiste ją zamykają góry, ale z czwartej, od północy, przez Ilsenberg, ma się widok otwarty daleko na niziny. Na skale, sterczącej niby wieża, stoi duży krzyż, żelazny, a od biedy znajduje się jeszcze przy nim miejsce na dwie pary nóg ludzkich.

Natura w kształtach i położeniu ozdobiła Ilsenstein fantastycznym urokiem, a legenda oblała go swoim różowym blaskiem. Gottschalk tak o nim pisze: „Opowiadają, że tu na szczycie stał ongi zamek zaklęty, w którym mieszkała piękna i bogata księżniczka Ilza, która teraz jeszcze co rano kąpie się w rzece; a kto ma szczęście trafić na właściwą chwilę, tego księżniczka prowadzi do swego zamku ukrytego w skale i wynagradza go po królewsku.“ Inni prawią o miłości pięknej panny Ilzy z rycerzem Westenbergiem ładne historye, które jeden z naszych najbardziej znanych poetów romantycznie opiewał w „Gazecie wieczornej“. A jeszcze inni jeszcze inaczej opowiadają! Starosaski cesarz, Henryk miał z piękną rusałką Ilzą w jej zaczarowanym pałacu skalistym cesarskie spędzać godziny. Jeden z naszych pisarzy, pan Niemann który wydał przewodnik po Harcu i w nim z chwalebną pilnością podał wszystkie wzgórza, odchylenia igły magnetycznej, budżety miejskie i t. p. szczegóły w dokładnych cyfrach, wyraził się wszelako, że „wszystko, co opowiadają o pięknej księżniczce Ilzie, należy do bajek“. Tak mówią wszyscy ci, którym taka księżniczka Ilza nigdy się nie ukazała; my zaś, którym piękne damy szczególniejszych względów nie skąpiły, znamy lepiej tę sprawę. Cesarz Henryk znał ją również. Nie darmo starosascy monarchowie trzymali się tak bardzo swego rodzinnego Harcu. Zajrzyjcie tylko do pięknej lüneburskiej kroniki, w której znajdują się cudnie wierne wizerunki tych starych po-

czciwych panów, uzbrojonych, na rumakach w żelazie, w poświęcanej koronie na głowie, z berłem i mieczem w dzielnych rękach; na ich lubych twarzach brodatych można wyczytać wyraźnie, jak często tęsknić musieli do słodkich serc hercyńskich swoich księżniczek i do szumu swych lasów rodzinnych, gdy na obczyźnie bawili, choćby nawet w cytrynowych i jadowitych krajach południa, gdzie tak często i ich i ich następców wabiła chęć zdobycia tytułu cesarzów rzymskich, czysto niemiecka tytułomania, przy której i cesarze i państwa marniały.

Każdemu wszelako, który stanie na szczycie Ilsensteinu, radzę nie myśleć o cesarzach, ani o imperyach, ani o pięknej Ilzie, tylko o swoich własnych nogach. Kiedy tam stałem w myślach zatopiony, usłyszałem nagle podziemną muzykę w zaczarowanym pałacu i zobaczyłem, jak góry dokoła na głowach stanęły, a czerwone dachówki w Ilsenbergu tańczyć zaczęły, zielone drzewa latały w powietrzu, aż się w oczach mieniło i byłbym z pewnością od tego zawrotu głową w przepaść runął, gdybym się nie był w dusznej bojaźni żelaznego krzyża uchwycił. Nikt mi tego zapewne za złe nie weźmie, żem to uczynił w tak wątpliwej sytuacyi.

„Podróż po Harcu“ jest i pozostanie fragmentem, a owe pstre nitki, które tak pięknie w nią wetkane zostały aby się w całość spleść harmonijnie, muszą być nagle, jakby nożycami nieubłaganej Parki, ucięte. Może je dosnuję w późniejszych pieśniach, a wtedy zostanie to wypowiedzianem, czego dzisiaj poskąpiłem i w milczeniu ukrywam. Wreszcie na jedno wychodzi, gdzie i kiedy się coś wypowiada, skoro się wogóle raz przecie wypowie. Niech sobie pojedyńcze dzieła fragmentami zostaną, byle tylko w połączeniu z sobą całość stanowiły. Przez takie połączenie tu i ówdzie uzupełnią się braki, wygładzą kanty, złagodzi gorycz.

Byłoby to się stało może z pierwszemi kartami „Podróży hercyńskiej“ i wrażenie mogłoby było wypaść mniej kwaśne, gdyby z innej strony stało się wiadomem, że moja niechęć w ogólności dla Gettyngi, większa, niż ją okazałem, nie jest jednak tak wielką, jak cześć, którą żywię dla pewnych w niej osobistości. I dlaczego miałbym o tem zamilczeć; mam tu na myśli szczególniej tego drogiego męża, który w dawniejszych czasach tak przyjaźnie mną się zajął, który już wtedy głęboką miłość dla studyów historycznych we mnie wpoił, a później mnie w gorliwości tej wzmacniał i w ten sposób skierował ducha mego na spokojniejsze tory, wskazał mi bardziej zbawienne kierunki i wogóle zgotował mi tę historyczną pociechę, bez której nie mógłby znieść udręczających objawów dnia dzisiejszego. Mówię o Jerzym Sartoriusie, wielkim badaczu dziejów i wielkim człowieku, którego oko jest jasną gwiazdą w naszych ciemnych czasach, a którego serce gościnne stoi otworem dla wszelkich cudzych cierpień i radości, dla utrapień króla i żebraka, dla ostatnich westchnień zanikających narodów i bogów.

Muszę również zaznaczyć tutaj, że Wyższy Harc, t. j. ta jego część, którą do początku doliny Ilzy opisałem, nie przedstawia tak przyjemnego widoku, jak romantycznie malowniczy Harc Niższy, z którym tworzy wielki kontrast w swej dzikiej, poważnej, ponurej od sosnowych borów piękności; podobnie różnią się między sobą trzy doliny Niższego Harcu utworzone przez Ilzę, Bodę i Selkę, jeżeli się charakter każdej z nich uosobić potrafi. Są to niby trzy kobiety, pomiędzy któremi trudno rozpoznać najpiękniejszą.

O kochanej, słodkiej Ilzie i o tem, jak lubo i mile mnie przyjęła, pisałem już w prozie i w poezyi. O ponurej piękności, o Bodzie, nie mogę powiedzieć, aby mnie równie łaskawie powitała, a gdym ją po raz pierwszy w ciemnym Rübelandzie zobaczył, wydawała mi się nawet zagniewaną i okryła się swym srebrno-szarym welonem

deszczowym, — ale z wybuchem nagłej miłości zrzuciła go z siebie, kiedym doszedł do wierzchołka Rosstrappy; lica jej błysnęły ku mnie w słonecznej krasie — z każdego rysu wiała ogromna czułość, a ze ściśniętej piersi skalistej słyszeć się dały niby tęskne westchnienia i omdlewające głosy. Mniej czule, lecz weselej za to ukazała mi się piękna Selka, nadobna, miła pani, której szlachetna prostota i pogodny spokój zdala trzymają wszelką sentymentalną poufałość, a która wszelako pół-ukrytym uśmiechem swą zalotność zdradza; i tej właśnie zalotności przypisać chyba muszę kilka drobnych wypadków, jakie mnie w dolinie Selki spotkały. Przeskakując przez wodę, upadłem właśnie w sam środek, a kiedym później mokre obuwie zamieniał na pantofle, jeden z nich z pod ręki, a raczej z pod nogi gdzieś mi się zapodział; wiatr mi czapkę z głowy porwał, ciernie mi nogę podrapały i niestety tak dalej. Ale wszystkie te przykrości wybaczam chętnie pięknej damie, dlatego, że jest piękną. I teraz widzę ją w mojej wyobraźni ze wszystkiemi cichemi wdziękami, jak stoi przedemną i mówi: „Chociaż się śmieję, mam jednak życzliwość dla pana i proszę, chciej pan tam zaśpiewać co o mnie!“ Wspaniała Boda staje również w moich wspomnieniach, a ciemne jej oko mówi: „Tyś podobny do mnie z dumy i cierpień; chcę, abyś mnie kochał.“ I piękna Ilza także zbliża się w podskokach, wdzięczna i czarująca w ruchach i całej postaci, podobna całkiem do tej lubej istoty, co sny moje uszczęśliwia i tak samo zupełnie spogląda na mnie z nieprzepartą obojętnością, a jednocześnie tak serdecznie, tak głęboko i prawdziwie... A teraz jestem Parysem: trzy boginie stoją przedemną, biorę jabłko i daję je pięknej Ilzie.

Dziś mamy pierwszego maja. Jako morze życia, rozlewa się wiosna po ziemi, biała piana kwiatów czepia się drzew, szeroko rozciąga się jakaś mgła świetlana na wsze strony, w mieście wesoło połyskują szyby w oknach, pod dachami wróble lepią swe gniazdeczka, po ulicach spacerują ludzie i dziwią się, że powietrze jakieś takie zaczepne, a im jakoś tak dziwnie na sercu, dziewczęta przynoszą bukieciki fjołków ze wsi, sierotki w niebieskich kaftanikach z nieślubnemi twarzyczkami idą trotuarem i mają takie wesołe miny, jak gdyby dziś ojców swoich odnaleść miały, żebrak przy moście spogląda z takiem zadowoleniem, jakby wielki los wygrał na loteryi... Nie, ja muszę wyjść za miasto!...

Dziś mamy pierwszego maja i ja myślę o tobie, piękna Ilzo—a może mam cię nazwać „Agnieszką“, bo mi to imię najlepiej się podoba?—myślę o tobie i chiałbym cię znowu zobaczyć, jak z góry zbiegasz błyszcząca. Najchętniej stanąłbym znowu tam w dolinie i schwycił cię w swoje ramiona. Piękny to dzień! Wszędzie widzę zielony kolor, kolor nadziei; wszędzie urocze cuda, wszędy wykwitają kwiaty i moje serce chce także znowu zakwitnąć. Serce to jest także kwiatem, nawet bardzo dziwnym. To nie skromny fiołek, ani śmiejąca się róża, ani czysta lilia, ani żaden z tych kwiatków, które z wdzięcznem przymileniem rozweselają dziewczęta i grzecznie za ładny gors dają się wsadzić i dzisiaj więdną, a jutro znowu rozkwitają. To serce podobne raczej do owych ciężkich, awanturniczych kwiatów z lasów Brazylii, które według podania raz tylko na sto lat kwitną. Przypominam sobie, żem w chłopięcych latach widział taki kwiat niegdyś. W nocy usłyszeliśmy huk, jakby wystrzał pistoletu, a na drugi dzień rano opowiadały mi dzieci sąsiada, że to ich „aloes“ z takim hukiem rozkwitnął. Zaprowadziły mnie do swego ogrodu i tam ze zdziwieniem wielkiem ujrzałem, że owa niska, twarda roślina, z waryacko rozszerzonymi i zębatymi liśćmi, którymi łatwo można było się skaleczeć, podniosła się w górę i na wierzchołku, niby złotą koronę, miała najwspanialszy kwiat. My dzieci nie mogłyśmy nawet dojrzeć tak wysoko i dopiero stary, uśmiechnięty Krystyn, który nas lubił, ustawił dokoła kwiatu schodki, po których wspinaliśmy się, jak koty, aby módz ciekawie zajrzeć do wnętrza kwia-

towego kielicha, pełnego żółtych promieni i dzikiej jakiejś, nieznanej nam woni.

Tak, Agnieszko, często i łatwo to serce nie rozkwita; o ile sobie przypominam, raz jedyny tylko kwitło, ale to musiało być bardzo dawno, zapewne jakich sto lat temu. Zdaje mi się, że pomimo wspaniałego wówczas rozkwitu, musiało z braku słońca i ciepła zmarnieć, czy też je jakaś gwałtowna burza zimowa zniszczyła. Teraz wszelako rusza się i znowu rozsadza coś w mojej piersi, a kiedy nagle usłyszysz wystrzał—dziewczyno, nie bój się!—to nie ja sobie w łeb palnąłem, tylko miłość moja rozdarła swój pąk i wystrzeliła w promienistych pieśniach, w wieczystych dytyrambach, w najradośniejszych pieniach.

Jeżeli ci wszelako ta miłość za wysoką dziewczyno, to urządź się wygodnie: przystaw sobie drewniane schodki i z nich spojrzyj w moje rozkwitłe serce.

Jeszcze tak wcześnie — słońce zaledwie połowę swej drogi przebyło, a moje serce wonieje już tak silnie, że zawrotu głowy dostaję i nie wiem już, gdzie się ironia kończy, a niebo zaczyna, że powietrze zaludniam swemi westchnieniami i że chciałbym się znowu rozwiać w słodkie atomy, w jakieś niestworzone bóstwo... Co to będzie dopiero, gdy noc zapadnie i gwiazdy zabłysną—„te gwiazdy nieszczęsne, co rzeknąć ci mogą“...

Dziś mamy pierwszego maja — najnikczemniejszy kupczyk z za kantoru ma prawo być sentymentalnym, a ty poecie chciałbyś tego wzbronić!..

WŁOCHY

(1828—1829)

przekład

CEZAREGO JELENTY

Ach, nawet Hafis i Ulryk von Hutten
Przywdziać musieli nie na żarty zbroje
Przeciw brunatnym sinym habitom—
Jak reszta chrześcian—wyglądają moje.

Goethe [1]

[1]) Z poezyj „Dywan zachodnio-wschodni“: Jak niegdyś Hafis ze współczłonkami swego zakonu, odzianymi w błękitne habity, i jak Ulryk v. Hutten z szarem i czarnem bractwem zakonów żebraczych i księży, tak samo Goethe walczyć musiał z głupcami wszelkiego gatunku. Oto dlaczego Heine, jednako wówczas przez chrześcian i żydów napastowany, wybrał ową strofę na dewizę dla tego tomu „Obrazów z podróży“, w którym zamierzał załatwić rachunki z przeciwnikami.

Pro domo mea.

Dla zapewnienia sobie względów czytelnika, powoływać się na to, iż proza Heinego zwłaszcza w „Obrazach z podróży“ jest najczystszą poezyą i nie wiele łatwiejszą do tłomaczenia, niż mowa wiązana, byłoby bezzasadnem. Możnaby bowiem łatwo otrzymać odpowiedź, iż liryka rymowana Heinego nastręcza jeszcze więcej trudności, a pomimo to doskonałych tłomaczów u nas znajduje. Korzystam więc z prawa przedmowy w innym celu. Oto chcę się zastrzedz przeciw możliwym zarzutom nieścisłości języka, która ludziom, mało przywykłym do stylowych wybryków Heinego, wydawać się może..... dodatkiem tłomacza. Kto obcował bliżej z utworami tego poety, wie dobrze, iż potrafi on wprawdzie z jednej strony wysławiać najbardziej niepochwytne i subtelne stany duszy, wrażenia i uczucia dostępne, zdałoby się, tylko dla delikatniejszych, niż mowa ludzka, instrumentów muzycznych—ale z drugiej strony skłonny jest do niedokładności, które wzięte oddzielnie rażą, ale wplecione w mowę ciągłą, bardzo często dają się wytłomaczyć rozmyślnem niedbalstwem albo swawolą. Takich zwrotów, jak „pośpieszna suknia“, „całowanie po-

ufnych nóg“ i innych podobnych, gdzie przymiotnik zastępuje przysłówek i na odwrót, naliczyć można w utworze „Włochy“ sporo. Owóż wszędzie tam, gdzie nieścisłość łatwiej przypisać felietonowej trzpiotowatości poety i wogóle jakiejkolwiek intencyi świadomej—starałem się być dosłownym i dziwactw logicznych składni nie poprawiać; uważam bowiem, iż stanowią one jeden z bardzo znamiennych rysów fizyognomii pisarskiej Heinego.

Tłomacz.

Podróż z Monachium do Genui.

Uczuć szlachetnych nigdy w rachubę nie bierzecie i o to rozbija się cała wasza mądrość. (Otwiera swoje biurko, wyjmuje dwa pistolety, z których jeden kładzie na stole, a drugi nabija).

Roberta „*Macht der Verhältnisse*“.

ROZDZIAŁ I.

Jestem najuprzejmiejszym człowiekiem na świecie. Zapisuję to na moje dobro, iżem nigdy nie był gburem na tej ziemi, gdzie taka moc nieznośnych wartogłowów, co to ni stąd ni z owąd przysiadają się do ciebie, opowiadają o swoich cierpieniach, albo co gorsza deklamują swoje poezye; z prawdziwie chrześcijańską cierpliwością słuchałem zawsze tych mizeraków, nie okazawszy nawet jedną miną, jak bardzo dusza moja nudziła się. Na podobieństwo pokutującego bramina, który ciało swoje oddaje na pastwę robactwu, ażeby i te stworzenia boże miały się czem nasycić, często dniami całymi jam dotrzymywał placu najfatalniejszemu tałałajstwu i przysłuchiwał się spokojnie, a wewnętrzne moje westchnienia słyszał tylko Ten, co nagradza cnotę.

Ale i mądrość życiowa każe nam być uprzejmymi a nie milczeć mrukowato, lub mrukowaciej jeszcze odpowiadać, gdy gąbkowaty radca handlowy, albo wyschły handlarz serów, przysiądzie się do nas i rozpocznie ogól-

nie europejską rozmowę w te słowa: „Ładną dziś mamy pogodę.“ Trudno przewidzieć, w jakich warunkach spotkamy się znowu z tego rodzaju filistrem, a wtedy można gorzko żałować, że się nie odrzekło uprzejmie: „Tak bardzo ładna pogoda.“ A może się nawet zdarzyć, czytelniku miły, że w Kassel, przy table d'hôte posadzą cię obok wzmiankowanego filistra, i w dodatku po jego lewej stronie, a on jest właśnie tym, co ma przed sobą półmisek z karpiami na szaro i rozdziela go naokół. Otóż jeśli ma do ciebie zadawnioną jaką urazę, wtedy podawać będzie talerze zawsze na prawo, a tobie nie zostawi najnędzniejszego nawet kawałka ogonka. Albowiem, ach! tyś właśnie trzynasty u stołu, a to jest niebezpieczne zawsze, ilekroć siedzi się po lewej stronie dzielącego, a talerze podawane są z lewej strony ku prawej. A nie dostać karpia—to wielkie nieszczęście, obok utraty kokardy narodowej—może największe. A nadto filister, który ci tę krzywdę wyrządził, drwi sobie jeszcze z ciebie i ofiaruje ci liście bobkowe, co ocalały w brunatnym sosie. Ach, cóż pomogą wszystkie laury razem wzięte, gdy niema przy tem karpia! A filister mruga oczkami i chichocze i szepce z cicha: „Ładną dziś mamy pogodę.“

Ach, duszo moja, może się nawet przytrafić, że na pewnym pięknym cmentarzu leżeć będziesz obok tegoż właśnie filistra, i usłyszysz w dzień sądu ostatecznego głos trąby i odezwiesz się do sąsiada: „Dobry przyjacielu, podaj mi pan z łaski swojej rękę, bo nie mogę wstać; lewa noga zasnęła mi od tego przeklęcie długiego leżenia.“ A wówczas nagle spostrzeżesz dobrze ci znany, filisterski uśmieszek i usłyszysz głos szyderczy: „Prawda, że ładna dziś pogoda?“

ROZDZIAŁ II

„Es ist heute eine schoene Witterung—“

Gdybyś, kochany czytelniku, słyszał ton, ów niezrównany, fistułowy bas, jakim te słowa zostały wyrzeczone,

albo co więcej, widział samego ich autora, jego arcy prozaiczne oblicze, jak gdyby żywcem wzięte z kasy wdów, jego przebieglutkie oczka, jego sprytny, zadarty, węszący dokoła nos; poznałbyś odrazu, że tego kwiatu nie zrodził zwyczajny piasek, i że te tony są językiem Charlottenburga, gdzie gwarą berlińską mówią jeszcze lepiej, niż w samym Berlinie.

Jestem najbardziej uprzejmym człowiekiem pod słońcem i lubię karpie na szaro i wierzę niekiedy w zmartwychwstanie, więc odrzekłem: W rzeczy samej, pogoda jest bardzo piękna.

Gdy syn Sprewy w ten sposób zarzucił swój hak, natenczas na dobre szturm do mnie przypuścił. Żadną miarą nie mogłem opędzić się jego pytaniom i własnym na nie odpowiedziom, a szczególnie jego paralelom między Berlinem a Monachium czyli nowoczesnemi Atenami, na których nie zostawił jednej suchej nitki.

Ja jednak wziąłem nowe Ateny w obronę, ile że wogóle mam zwyczaj chwalić miejsce, w którem w danej chwili przebywam. Że się to tym razem stało kosztem Berlina, wybaczysz mi chętnie, miły czytelniku, gdy ci w zaufaniu wyznam, że podobne rzeczy dzieją się jedynie ze względów czystej polityki. Jestem bowiem przekonany, że z chwilą, gdy zacznę chwalić poczciwych moich berlińczyków, wnet sława moja u nich w łeb weźmie. Będą wzruszali ramionami i szeptali do siebie wzajem: Ten człowiek staje się coś bardzo miękkim; chwali nas nawet. Nie znam bowiem miasta, któreby miało mniej patryotyzmu lokalnego niż Berlin. Tysiąc nędznych pisarków opiewało już Berlin, prozą i wierszem, mimo to ani jeden w Berlinie kogut nie zapiał im wtóru, ani jednego kurczęcia nie ugotowano im za to, i „pod lipami,“ zarówno jak i przedtem, wciąż jeszcze uważają ich za mizernych poetów. Za to również mało brano do serca, gdy jaki wierszokleta jął w parabazach obrzucać Berlin

wymysłami [1]). Ale niech się kto tylko ośmieli napisać coś uszczypliwego o Baraniogłowach, Innsbrucku, Poznaniu, Chamiopolu, Wroniej Wólce i innych stolicach! Jakże się tam wtedy obruszą odnośne patryotyzmy! Przyczyna tego następująca: Berlin nie jest zgoła miastem, Berlin udziela jedynie miejsca, gdzie zbiera się mnóstwo ludzi i w dodatku wielu z umysłem szerszym, którym samo miejsce jest obojętne. Oni to tworzą Berlin duchowy. Cudzoziemiec, przejeżdżając, widzi tylko wyciągnięte długiemi rzędami, jednostajne domy, długie i szerokie ulice wyrównane pod sznur, budowane przeważnie wedle kaprysu pojedyńczej jednostki, tak iż nie dają żadnego pojęcia o usposobieniu masy. Tylko dzieci niedzieli zdołają domyślić się czegoś o prywatnym nastroju mieszkańców, gdy przypatrują się długim szeregom domów, które, jak i sami ludzie, wyglądają, jak gdyby chciały trzymać się od siebie zdaleka, skamieniałe we wzajemnej dla siebie niechęci. Raz tylko, pewnej nocy księżycowej, gdym cokolwiek późno wracał do domu od Lutra i Wegenera [2]), widziałem jak ów twardy nastrój roztapiał się w łagodną smętność, jak domy, co dotąd wrogo naprzeciw siebie stały, wzruszone patrzyły na się z chrześcijańską miłością i słaniając się, pragnęły pojednane paść sobie w objęcia. Aż mnie biednego człowieka, idącego środkiem ulicy, zdjął lęk, iż zostanę zmiażdżony. Nie jednemu ten strach wyda się śmiesznym, i ja sam pokpiwałem sobie z niego, gdym nazajutrz z trzeźwem spojrzeniem wędrował przez te same ulice, a domy znowu tak prozaicznie na siebie ziewały.

---

[1]) Parabazy — przemowy do ludu wogóle, w szczególności zaś przemowy wodza chóru greckiego do widzów w imieniu poety (*przyp. tłom.*).

[2]) Słynna, dla literackiego swego znaczenia, winiarnia Lutra i Wegenera w Berlinie, w której w latach 1821-1823 z bierało się co wieczór pewne grono poetów, a między nimi Heine, Grabbe, Robert, Köchy, Uechtritz, Gustorf, Borch i inni.

Potrzeba doprawdy wielu flaszek poezyi, jeśli się chce w Berlinie widzieć coś innego, niż martwe domy i berlińczyków.

Tutaj trudno spotykać duchy. Miasto zawiera tak mało starożytności i takie nowe jeszcze. A jednak wszystko nowe jest tu już takie stare, zwiędłe i obumarłe. Albowiem, jak się rzekło, Berlin powstał po największej części nie z usposobienia masy, lecz z pojedyńczych jednostek. Wielki Fryc jest niewątpliwie śród tych niewielu najznamienitszy; to jeno, co on wynalazł zawczasu, było trwałą podstawą; dopiero od niego wzięło miasto właściwy swój charakter. A choćby nawet po jego śmierci nic już tam więcej nie budowano, pozostałoby ono bądź co bądź historycznym pomnikiem ducha owego prozaicznie-przedziwnego bohatera, który z męstwem iście niemieckiem potrafił wykształcić w sobie wyrafinowany bezsmak, obok kwitnącej swobody rozsądku, i to, co jego epoka miała płytkiego, razem z tem, co miała dzielnego. Potsdam, naprzykład, wydaje się nam takim pomnikiem. Jego puste ulice przebiegamy tak samo, jak pisma pośmiertne filozofa z Sanssouci. I Potsdam należy do jego „oeuvres posthumes“, a choć teraz jest to już kamienna makulatura i nie mało zawierająca w sobie śmieszności, to jednak patrzymy nań z poważnem zajęciem. Budzącą się kiedy niekiedy chęć śmiechu stłumiamy, jak gdybyśmy się bali, że lada chwilę zostaniemy poczęstowani w plecy, niby ową trzcinką hiszpańską starego Fryca. Ale ta obawa nie ogarnia nas nigdy w Berlinie; tam czujemy, że stary Fryc i jego hiszpańska trzcinka nie wywierają już żadnej władzy, bo w przeciwnym razie ze starych, oświeconych okien zdrowego miasta rozsądku nie gapiłaby się tu i owdzie chora twarz obskuranta, a głupie, zabobonne budowle nie osiedlałyby, się pomiędzy starymi, sceptycznie filozoficznymi domami. Nie chcę być źle zrozumianym i zaznaczam wyraźnie, iż nie piję tu bynajmniej do nowego kościoła Werderowskiego, tej katedry gotyckiej na odmłodzoną miarę. Postawiono ją między budynkami nowoczesnymi dla ironii chyba, ażeby pokazać

alegorycznie, jak niedorzecznie-głupio by to wyglądało gdyby dawno pogrzebane instytucye średnich wieków chciano wznowić śród nowych tworów nowego czasu.

To co zaznaczyłem wyżej, stosuje się jedynie do zewnętrznego wyglądu Berlina i gdyby chciał go ktoś porównywać pod tym względem z Mnichowem, miałby prawo twierdzić, że ten ostatni stanowi zupełne przeciwieństwo Berlina. Mianowicie Monachium jest miastem zbudowanem przez sam naród i w dodatku przez szereg idących po sobie pokoleń, których duch widnieje jeszcze z ich gmachów. Tak dalece, że ujrzeć tam można, niby w scenie czarownic z Makbeta, chronologicznie uszykowany szereg duchów, począwszy od mrocznego i surowego ducha średnich wieków, co to opancerzone występują z furty gotyckiego kościoła, aż do światłego i świetlanego ducha naszych czasów, który trzyma przed nami zwierciadło, gdzie każdy z przyjemnością może się przejrzeć. W tej kolejności tkwi właśnie czynnik pojednania; przestaje nas oburzać to, co jest barbarzyńskie, a co niesmaczne — nie razi nas, gdy patrzymy na nie, jako na początki i konieczne przejścia. Jesteśmy poważni, ale nie dąsamy się na widok owej katedry barbarzyńskiej, co to swą postacią chłopca do butów wznosi się nad całym grodem i kryje w swojem łonie cienie i widma średniowiecza. Również bez niechęci prawie i niemal z żartobliwem rozrzewnieniem patrzymy na harbajtlowe zamki późniejszego okresu, małpujące z niemiecką niezdarnością—gładką nienaturalność francuską, te gmachy bez smaku, nazewnątrz pokryte waryackimi zakrętasami, a wewnątrz upstrzone jeszcze śmieszniej madziubkiemi ozdóbkami, pełne krzycząco kolorowych alegoryj, złoconych arabesków, sztukateryj i malowideł, na których figurują konterfekty dostojnych państwa, świeć Panie nad ich duszami! Są to kawalerowie o czerwonych, pijacko trzeźwych twarzach z po nad których zwieszają się ogoniaste peruki, na kształt pudrowanej grzywy lwa; damy ze sztywnemi tupetami w stalowych gorsetach, sznurujących im

serca, i ogromnemi krynolinami, które powiększały jeszcze ich prozaiczną rozciągłość. Jak się rzekło, widok tego wszystkiego nie wprawia nas w zły humor, ale owszem przyczynia się do tego, iż teraźniejszość z całą jej jasną wartością odczuwamy daleko żywiej; a gdy spoglądamy na dzieła nowe, wznoszące się obok dawnych, wtedy jest nam tak, jak gdyby nam zdjęto z głowy ciężką perukę, a serce uwolniono od stalowych ków. Mówię tu o pogodnych przybytkach sztuki i szlachetnych pałacach, które śmiałą pełnią wykwitają z ducha wielkiego mistrza Klenzego[1]).

ROZDZIAŁ III.

Że jednak całe miasto nazywają nowemi Atenami, to mówiąc między nami, trochę śmieszne i kosztuje mię wiele trudu, gdy mam reprezentować ten jego charakter. Najgłębiej odczuwałem to podczas swego dyalogu z filistrem berlińskim, który mimo że już cały czas rozmawiał ze mną, był przecie o tyle nieokrzesanym, że odmawiał Mnichowu wszelkiej soli atyckiej.

Tego rodzaju rzeczy, wołał dosyć głośno, istnieją tylko w Berlinie. Tam tylko znaleść można dowcip i ironię, Tu dostać tylko można piwa białego w dobrym gatunku, ale doprawdy ironii ani za grosz.

Ironii nie mamy—zawołała Nannerl, smukła kelnerka, która w tej właśnie chwili fyrknęła obok nas — ale wszelkiem innem piwem możemy panu służyć.

Bolało mię to bardzo, że Nannerl wzięła ironię za gatunek piwa, może nawet za najlepsze szczecińskie, i aby uchronić bodaj na przyszłość od tego rodzaju poślizgnięć, zacząłem nauczać ją w następujący sposób: Piękna Nannerl, ironia to żadne zgoła piwo, a tylko wynalazek berlińczyków, najmędrszych ludzi na świecie. Złościło ich to, że

---

[1]) Leo von Klenze (1784-1864) sławny budowniczy, twórca najważniejszych gmachów nowego Monachium.

zbyt późno przyszli na świat, ażeby módz wynaleźć proch i oto zapragnęli zrobić wynalazek, również doniosły, dla tych zaś, co nie wymyślili prochu, również pożyteczny. Ongi, kochane dziecie, gdy ktoś popełnił głupstwo, cóż można było na to poradzić? Co się raz stało, nie mogło się przecie odstać, a ludziska mówili tymczasem: Ależ z niego bydlę rogate! Było to nieprzyjemne. W Berlinie, gdzie ludzie są najmędrsi i popełniają najwięcej głupstw, uczuwano tę niedogodność najdotkliwiej. Ministeryum starało się przedsięwziąć poważne przeciw temu środki; wolno było jedynie większe głupstwa drukować, mniejsze dozwolone były tylko w rozmowach, a pozwolenie to rozciągało się jedynie na profesorów i wyższych urzędników państwowych; bardziej maluczkim wolno było swe głupstwa jedynie w ukryciu wygłaszać. Ale wszystkie te przepisy zapobiegawcze nie odnosiły żadnego skutku; zdławione głupstwa przy sposobnościach nadzwyczajnych występowały tem gwałtowniej na jaw, a nawet cieszyły się pewną protekcyą z góry i szły z dołu jawnie, i bieda z niemi była wielka, aż wreszcie wynaleziono środek przeciwdziałający, przy pomocy którego można było każde głupstwo unicestwić, a nawet przemienić w mądrość. Jest to sposób bardzo prosty: polega on na oświadczeniu, że się owo głupstwo popełniło lub palnęło jedynie przez ironię. Tak to, kochane dziecię wszystko na tym świecie awansuje, głupota staje się ironią; chybione pieczeniarstwo staje się satyrą, wrodzona tępota kunsztowną uszczypliwością, rzeczywisty idyotyzm—humorem, ignorancya—smutnym dowcipem, a ty sama staniesz się jeszcze w końcu Aspazyą nowych Aten.

Byłbym jeszcze więcej powiedział, ale piękna Nannerl, którą przez ten czas przytrzymywałem za rożek fartuszka, wyrwała się raptownie, bo ze wszystkich stron zaczęto się już wprost burzliwie domagać: „A Bier—A Bier!“ Berlińczyk mój zaś wyglądał, jak sama ironia, gdy zauważył, z jakim entuzyazmem przyjmowano wysokie, pieniące się szklanice. A wskazując na grupę piwoszów, którzy z całego serca delektowali się nektarem chmielowym i rozprawiali o jego doskonałości, rzekł z uśmiechem: I to mają być ateńczycy?

Uwagi, jakie człek ten przy tej sposobności dosnuwał, sprawiały mi rzetelną przykrość; albowiem dla naszych nowych Aten żywię predylekcyę niemałą. Starałem się przeto wytłómaczyć pochopnemu krytykowi, żeśmy dopiero niedawno wpadli na myśl wystąpienia, jako nowe Ateny, żeśmy jeszcze młodzi i początkujący, a nasze wielkie umysły, ba, cały nasz wykształcony ogół nie przygotowany jeszcze do tego, by mógł być oglądany z bliska. Wszystko to dopiero tworzy się i dalecyśmy jeszcze od zupełności. Zaledwie niższe profesye, kochany przyjacielu, nadmieniłem, są obsadzone i nie uszło pewnie pańskiej baczności, że np. braku sów, sykofantów i fryn nie doznajemy. Brak nam jedynie wyższego personelu—i ten i ów musi grać naraz kilka ról. Tak, naprzykład, poeta nasz[1]) opiewający czułą miłość greków dla chłopców, musiał przejąć także arystofaniczną ordynaryjność; lecz on może wszystkiego dokazać; posiada wszystko to, czego się wymaga od wielkiego mędrca, z wyjątkiem może tylko fantazyi i konceptu,—a gdyby miał dużo pieniędzy, byłby bogaty. Ale czego nam brak pod względem ilościowym, to wynagradzamy sobie jakością. Mamy jednego tylko wielkiego architekta, ale to jest Lew![2]) Mamy jednego tylko wielkiego mówcę, ale przekonany jestem, że Demostenes nie piorunowałby w Attyce tak dzielnie przeciw podrożeniu słodu. Jeśli dotąd nie otruliśmy jeszcze żadnego Sokratesa, to zaprawdę nie przeto, by nam brakło trucizny. A jeśli nie mamy jeszcze prawdziwego demosu, a za to cały naród demagogów, to możemy jednak poszczycić się wspaniałym egzemplarzem tego gatunku, dema-

---

[1]) Platen. Por. Tom I, XXV i nast.
[2]) Aluzya do Leona v. Klenze.

gogiem z rzemiosła,[1]) który sam jeden waży tyle, co cała kupa krzykaczów, gęboszów, kuropłochów, oraz wszelkich innych odmian gałgańskiego motłochu — ale oto masz go pan przed sobą.

Nie mogę oprzeć się pokusie określenia cokolwiek dokładniej figury, która się nam teraz przedstawiła. Czy figura ta słusznie utrzymuje, że jej głowa ma w sobie coś ludzkiego i czy przeto jest upoważnioną prawnie do podawania się za człowieka, tego rozstrzygać nie chcę. Jabym tę głowę uważał raczej za małpią i tylko przez kurtuazyę pozwalam jej uchodzić za ludzką. Pokrycie jej składało się z czapki sukiennej, kształtem podobnej do hełmu Mambryna[2]), a sztywne, czarne włosy nisko zwieszały się z niej, przedzielone z przodu à l'enfant. Na tej przedniej stronie głowy, pragnącej uchodzić za twarz, bogini pospolitości wycisnęła swą pieczęć i przytem tak mocno, że znajdujący się tam nos omal nie został zgnieciony; spuszczone w dół oczy zdawały się daremnie szukać owego nosa i z tego powodu wyglądały, jakby zasępione[3]). Cuchnący uśmieszek igrał dokoła ust, pełnych ujmującej słodyczy, a które dzięki pewnemu, uderzającemu podobieństwu mogłyby naszemu greckiemu wierszorobowi posłużyć za natchnienie do najczulszych gazel. Odzież stanowił surdut staroniemiecki, wprawdzie zmodyfikowany już nieco w duchu najpilniejszych wymagań cywilizacyi nowoeuropejskiej, ale krojem zawsze jeszcze przypominający ten, jaki miał na sobie w lesie Teutoburskim Arminius, a którego pierwowzór przechowuje się w pewnem stowarzyszeniu patryotycznem krawców. z taką samą tajemniczością, jak niegdyś sztuka budownictwa gotyckiego w pewnym mistycznym cechu mularzów. Szmata biała, starannie wyprana, która z obnażoną szyją staroniemiecką tworzyła pełen głębokiego znaczenia kontrast, zakrywała kołnierz tego niezapomnianego surduta; z jego długich rękawów zwieszały się długie, brudne ręce; pomiędzy temi widniał nudnie-długi korpus, u którego dygotały dwie krotochwilne nóżki — cała ta postać była żałosną parodyą Apolina Belwederskiego.

I to jest demagog z Nowych Aten? Zapytał z szyderczym uśmiechem berlińczyk. Du juter Jott, ależ to mój landsman! Nie dowierzam swym oczom cielesnym— ależ to ten, który—Ne, des ist die Möglichkeit!

Tak, o zaślepieni berlińczycy—rzekłem nie bez ognia, nie poznajecie się na swych geniuszach rodzimych, a waszych proroków kamienujecie. Ale my potrafimy spożytkować wszystko!

Lecz na cóż się wam przydać może ta nieszczęsna mucha?

Można go spożytkować wszędzie, gdzie zachodzi potrzeba skakania, czołgania się, sentymentu, żarcia, pobożności, staroniemieczczyzny w wielkiej, łaciny—w małej ilości i gdzie greckiego nie potrzeba wcale! W rzeczy samej skacze bardzo dobrze przez kij; układa także tablice wszelkich możliwych skoków oraz spisy wszelkich możliwych sposobów czytania staroniemieckich poezyj. A nadto reprezentuje miłość dla ojczyzny, nie będąc bynajmniej niebezpiecznym. Jest bowiem doskonale wiadome, że od demagogów staroniemieckich, między którymi raz znajdował się przypadkiem, odsunął się w samą porę, jak tylko sprawa ich zaczęła przybierać trochę niebezpieczny obrót, i przeto nie zgadzała się z chrześciańskiemi uczuciami jego miękkiego serca. Z chwilą jednak, gdy niebezpieczeństwo minęło, męczennicy odpokutowali za swoje przekonania, przyczem wszyscy niemal porzucili je dobrowolnie, i nawet najognistsi nasi cyrulicy pozdejmowali z siebie niemieckie kapoty,

---

[1]) F. I. Massmann. Porów. tom I, str. 373.

[2]) Sławna miednica balwierska Sancho Panszy w Don Kichocie.

[3]) Ustępu od „cuchnący uśmieszek“ do „posłużyć za natchnienie“ we francus. wyd. niema.

nastała na dobre doba rozkwitu dla naszego przezornego zbawcy ojczyzny. On tylko jeden zachował kostium demagoga i nieodłączne odeń sposoby przemawiania; ciągle jeszcze wysławia cheruska, Arminiusa i panią Tusneldę, jak gdyby był jej jasnowłosym wnukiem. Ciągle jeszcze trwa w swej germańsko-patryotycznej nienawiści dla włoskiej wieży Babel, dla wynalazku mydła, dla Thierscha[1]) pogańsko-greckiej gramatyki, dla Quintiliusza Varusa, dla rękawiczek i wszystkich ludzi mających przyzwoite nosy. I oto stoi niby żywy pomnik ubiegłych czasów, a jak ów ostatni z Mohikanów, tak i on pozostał jedynym z całej czynnej i dzielnej hordy, on, ostatni z demagogów. A zatem widzisz pan, że w nowych Atenach, gdzie jeszcze zupełny brak demagogów, możemy tego człowieka potrzebować; mamy w nim prowodyra bardzo dobrego, a przytem tak oswojonego, że oblizuje każdą dzierzkę i je z ręki orzechy laskowe, kasztany, ser, kiełbaski, krótko mówiąc, żre wszystko, co mu się daje. A że jest teraz jedyny w swym rodzaju, przeto mamy jeszcze tę szczególną korzyść, że z czasem, gdy zdechnie, każemy go wypchać i jako ostatniego demagoga, ze skórą i włosem przechowamy dla potomności. Proszę pana jednak, nie chciej czasem powiedzieć o tem profesorowi Lichtensteinowi[2]) z Berlina; ten bowiem gotów by jeszcze zażądać go dla muzeum zoologicznego, co dałoby pochop do wojny między Prusami a Bawaryą, gdyż my go żadną miarą nie wydamy. Już nawet anglicy mają go na oku i ofiarowują za niego dwa tysiące siedemset siedemdziesiąt i siedem gwinej, już nawet austryacy chcieli dać za niego żyrafę; ale nasze

[1]) Fr. W. Thiersch (1784 — 1860) sławny językoznawca, od r. 1809 profesor w Mnichowie. Jego gramatyka grecka (Lipsk, 1826) była dziełem epokowem. Heine obcował z nim bardzo często, podczas swego pobytu w Monachium.

[2]) (1780 — 1857) głośny przyrodnik, założyciel ogrodu zoologicznego w Berlinie.

ministeryum miało oświadczyć: Ostatniego demagoga nie sprzedamy za żadną cenę, on będzie kiedyś chlubą naszego gabinetu przyrodniczego i ozdobą naszego miasta.

Wydało mi się, że berlińczyk słucha z pewnem roztargnieniem i że ładniejsze przedmioty pochłonęły jego uwagę; nagle wpadł mi w sam tok mowy: Wybacz pan najuniżeniej, że mu przerwę, ale racz mi powiedzieć, cóż to jest za pies, który tam oto biega?

To inny pies.

Ach, pan mnie nie rozumiesz, mam na myśli tego dużego psa, o białej, kudłatej sierści, bez ogona.

Panie mój kochany, to pies nowego Alcybiadesa.

Ależ, zauważył berlińczyk, w takim razie powiedz mi pan, gdzie sam Alcybiades nowy.

Otwarcie mówiąc, odrzekłem, posada ta jeszcze nie zajęta, i jak dotąd, mamy dopiero psa.

ROZDZIAŁ IV.

Miejscowość, w której się ta rozmowa toczyła nazywa się Bogenhausen, Neuburghausen, albo Villa Hompesch, albo Montgelasgarten, albo das Schlössel.[1]) Zresztą nie trzeba jej nawet wymieniać, gdy się chce jechać do niej z Monachium; doróżkarz domyśli się, o co nam chodzi z pożądliwego łypania oczami, z kiwania głową, jak gdyby w przedsmaku błogości, oraz z innych tym podobnych a znamiennych grymasów. Tysiąc wyrażeń arab ma dla oznaczenia miecza, francuz dla miłości, anglik dla wiszenia, niemiec dla piwa, a nowożytny ateńczyk nawet dla miejsc, w których pija. W rzeczonej miejscowości piwo jest istotnie bardzo dobre i nawet w Prytaneum, vulgo piwiarni, gdzie szynkują bocka, nie bywa lepszem; wyśmienite w smaku, osobliwie na owym tarasie przed schodami, gdzie się ma przed oczyma Alpy tyrolskie. Zeszłej zimy siady-

[1]) Miejsca rozrywki pod Monachium.

wałem tam często i patrzyłem na śniegiem pokryte góry, które w oświetleniu słonecznem błyszczały, jak gdyby ulane z czystego srebra.

I w duszy mej gościła wówczas zima: myśli i uczucia były, jak gdyby przysypane śniegiem, serce uschnięte jakieś i zmartwiałe, a do tego przyłączyła się ta nieszczęsna polityka i żałoba po stracie ukochanego dziecięcia i echo dawnej zgryzoty i katar. A nadto piłem wiele piwa, gdyż upewniano mnie, że ono daje krew lekką. Ale najlepszy breihahn atycki [1]) nie chciał skutkować u mnie, com się był przyzwyczaił w Anglii do porteru.

Wreszcie nadszedł dzień, w którym wszystko zmieniło się całkiem. Słońce wyjrzało na niebiosa i napoiło ziemię, starego dzieciaka, mlekiem swych promieni; góry zadrżały z radości, a ich śnieżne łzy spływały wartko; pękały i trzeszczały lodowe powłoki jezior, ziemia otworzyła modre swe oczy; z jej piersi wytrysły pełne miłości kwiaty i lasy, śpiewno-zielone pałace słowików; cała natura, uśmiechała się, a temu uśmiechowi było na imię Wiosna. A wtedy i we mnie zaświtała nowa wiosna, nowe kwiecie wyrosło z mego serca; niby róże strzeliły w górę uczucia wolności, a z niemi ukryta jakaś tęsknota, do młodych podobna fiołków, między którymi było, co prawda, trochę niepotrzebnej pokrzywy. Nad mogiłami pragnień moich nadzieja rozpostarła znowu wesołą swoją zieleń. I powróciły poezyi melodye, niby ptactwo wędrowne, co zimę w ciepłych spędziło krajach, a teraz odszukuje na północy osierocone gniazda, i osierocone serce północne dźwięczało i kwitło znowu, tak, jak niegdyś—tylko nie wiem, jak się to wszystko stało. Byłożto brunatno, czy blondwłose słońce, co na nowo w sercu mem zbudziło wiosnę i wszystkie drzemiące w tem sercu kwiaty na nowo okryło pocałunkami i rozuśmieszyło na nowo słowików? A może to sama, duchem mi pokrewna natura szukała

[1]) „Breihahn“ gatunek piwa (przyp. tłom.).

w piersi mej odgłosu i chętnie przeglądała się w niem z całym swym nowym blaskiem wiosennym? Ja nie wiem, ale widzi mi się, że na tarasie w Bogenhausen, w obliczu Alp tyrolskich, z sercem mojem stały się znowu podobne czary. Gdym siedział sam pogrążony w myślach, to zdało mi się nieraz, iż widzę cudnie piękną twarz młodzieńca, jak zaczajona wychyla się z nad owych gór, i pragnąłem dostać skrzydeł, by módz ulecieć do krainy, w której ma on swą rezydencyę, do Italii. Często też czułem, jak mnie owiewają wonie cytryn i pomarańcz, przypływające z gór, z obietnicami i pochlebstwami, ażeby mię zwabić do Italii. Raz nawet, w złotym zmierzchu przedwieczornym, na czubku jednego z olbrzymów alpejskich widziałem go całego, w naturalnej wielkości; widziałem młodego boga wiosny; kwiaty i wawrzyny wieńczyły jego radosne skronie i z śmiejącem się okiem i kwitnącemi usty wołał do mnie: Kocham cię, chodź do mnie, do Italii!

ROZDZIAŁ V.

Wzrok mój musiał tedy pałać pewną tęsknotą, kiedym, przyprowadzony do rozpaczy bezbrzeżną rozmową z filistrem, spoglądał ku górom tyrolskim i głęboko wzdychał. Ale mój berliński filister podchwycił właśnie owo spojrzenie i westchnienie, jako nowy wątek rozmowy i westchnął również: „Ach, tak, i ja chciałbym być teraz w Konstantynopolu! Ach! widzieć Konstantynopol było zawsze jedynem pragnieniem mego życia, a teraz pewno już rosyanie wtargnęli, ach, do Konstantynopola. Czyś pan widział Petersburg?“ Odrzekłem, że nie i poprosiłem, ażeby mi o nim opowiedział. Lecz nie on sam, jeno szanowny szwagier jego, członek Izby sądowej, był tam zeszłego lata i według niego ma to być jedyne w swoim rodzaju miasto. „Czyś pan widział Kopenhagę!“ A gdy i na to pytanie dałem odpowiedź przeczącą, i poprosiłem, żeby mi miasto opisał, uśmiechnął się zgoła przebiegle

i z wielkiem zadowoleniem kołysał głową na obie strony i zaręczał mi honorem, że nie potrafiłbym wytworzyć sobie żadnego wyobrażenia, jeżelim tam nie był. „To tak prędko jeszcze, odparłem, nie nastąpi, chcę teraz przedsięwziąć inną podróż, którą układałem sobie już na bieżącą wiosnę, mianowicie mam zamiar pojechać do Włoch.“

Usłyszawszy to słowo, jegomość mój skoczył nagle z krzesła, obrócił się trzy razy na jednej nodze i zatrylował: Tirili, tirili, tirili!

To była dla mnie ostatnia ostroga. Jutro puszczam się w drogę, postanowiłem z miejsca. Nie chcę dłużej zwlekać, chcę jak można najprędzej ujrzeć ten kraj, co nawet najsuchszego filistra w taką wprawił ekstazę, że na samą o nim wzmiankę poczyna tykotać, jak wahadło. Kiedym w domu pakował swoje rzeczy, ton owych „tirili“ dźwięczał mi wciąż w uszach, a brat mój Maksymilian Heine,[1]) który mię nazajutrz odprowadził aż do Tyrolu, nie mógł zrozumieć, dla czego przez całą drogę nie wyrzekłem ani jednego rozumnego słówka i bezustannie wywodziłem swoje „tirili.“

ROZDZIAŁ VI.

Tirili! Tirili! ja żyję! Czuję słodki ból istnienia; odczuwam wszystkie radości i męki świata; cierpię za zbawienie rodu ludzkiego, pokutuję za jego grzechy, ale też piję z nich rozkosz.

---

[1]) W brulionie oryginału „Obrazów z podróży“ zaznacza Heine jeszcze dokładniej, że jego brat Maksymilian Heine odprowadził go do miejsca kąpielowego Kreuth, na granicy tyrolskiej. Ten zaś przeciwnie w swoich mało wiarogodnych „Wspomnieniach“ (str. 81 i nast.) twierdzi, że był z bratem w Lucca i tam wraz z nim należał do owej przygody z herbatą, którą Heine sam w tak zabawny sposób opisuje.

I nie tylko z ludźmi, ale i z roślinami czuję pospołu; krociami swych zielonych języków opowiadają mi one milutkie historye; one wiedzą, że nie jestem dumny ze swego człowieczeństwa i z najniższem kwieciem polnem rozmawiam również chętnie, jak z najwyższemi jodłami. Z głębi doliny strzelają w górę aż pod same niebiosa, przerastają najzuchwalsze opoki. Ale długoż tej wspaniałości? Co najwyżej parę lichych stuleci, a potem zgrzybiałe walą się na ziemię i gniją. W nocy wychodzą wówczas skryte puszczyki, ze swych szczelin skalnych wywabione i na dobitkę szydzą z nich: A widzicie, wy silne jodły, myślałyście, że wam mierzyć się z górami, a teraz oto złamane leżycie w dole, a góry stoją niewzruszone!

Orłu, co siedzi samotnie na ulubionym swym głazie i słyszy te szyderstwa, musi być na sercu dosyć żałośnie. Duma on wtedy o własnym swym losie. I on nie wie, jak głęboko będzie kiedyś zagrzebany. Ale gwiazdy migocą tak uspokajająco, leśne wody szumią taką nadzieją, a własny duch tak butnie huczy po nad całym tym rojem małodusznych myśli, że o nich wkrótce znowu zapomina. A gdy słońce wzejdzie, to czuje się znowu takim jak dawniej i wzlatuje ku niemu, a gdy jest już dosyć wysoko, wyśpiewywa mu swoje radości i katusze. Jego współzwierzęta a osobliwie ludzie myślą, że orzeł nie umie śpiewać, a niewiedzą, że on wtedy jeno śpiewa, gdy się wydostanie z ich sfery, i że w swej dumie chce być słyszanym tylko przez słońce. I ma słuszność; jeszcze mogłoby komuś z pierzastej hołoty wpaść do głowy krytykować jego śpiew. Doświadczyłem ja sam, jak to brzmią owe recenzye: kura staje wtedy na jednej nodze i gdacze, że śpiewak nie ma uczucia, indyk gulgocze, że brak mu prawdziwej powagi, gołąb grucha, że nie zna prawdziwej miłości; gęś gęga, że nie jest dosyć naukowy; kapłon pieje, że nie moralny; gil ćwierka, że niestety nie ma religii; wróbel świegoce, że nie dość płodny, dudusie, sroczki, puhasie wszystko to skrzeczy, jęczy, trajkocze. Jeden tylko słowik nie wtóru-

je tym krytykom: co go obchodzi świat cały? Szkarłatna róża jest jedyną jego myślą i jedyną jego pieśnią; tęsklìwie trzepocze się dokoła szkarłatnej róży i rzuca się natchniony na ukochane ciernie i ocieka krwią i śpiewa[1]).

ROZDZIAŁ VII [2]).

W ojczyźnie niemieckiej jest orzeł, którego pieśń do słońca rozbrzmiewa tak potężnie, że nawet tu, w dole, można ją słyszeć, i nawet słowiki przysłuchują się jej, mimo wszystkie swe melodyjne bóle. Ty nim jesteś, Karolu Immermanie, i o tobie też dumałem bardzo często w kraju, o którymeś tak pięknie śpiewał. Jakżebym mógł zresztą przejeżdżać przez Tyrol i nie myśleć o Tragedyi [3])?

Co prawda, to w innem zabarwieniu widziałem ja rzeczy; lecz bądź co bądź podziwiam poetę, który samą pełnią uczucia, to, czego nigdy nie widział, stworzył tak podobnem do rzeczywistości. Najwięcej bawiło mię że, Tragedya w Tyrolu jest w Tyrolu zabronioną. Pomyślałem o słowach, jakie pisał do mnie przyjaciel mój, Moser, gdy mi donosił, że drugi tom Obrazów z Podróży zo-

[1]) W rękopisach, pozostałych po Heinem, znajduje się obraz, który swe powstanie zawdzięcza pewnie temu samemu biegowi myśli: Stara harfa leży w wysokiej trawie. Harfiarz skonał. Pełne talentu małpy złażą z drzew i brzdąkają na niej— sowa siedzi i krytykuje—słowik śpiewa róży pieśń swoją. Gdy się tylko zciemni zupełnie, miłość go przemaga; rzuca się on na krzak róży i poszarpany cierniami ocieka krwią; księżyc wschodzi, wiatr nocny szemrze w strunach harfy, małpy myślą, że to umarły harfiarz i uciekają.

[2]) Rozdział niniejszy oraz początek następnego od słów; „jest w ojczyznie niemieckiej“ do „Ludwika Bawarskiego“ w wydaniu francuskiem nie istnieją.

[3]) Poemat dramatyczny K. Immermana p. t. Tragedya w Tyrolu (Hamburg 1828) żywo zainteresował Heinego. Porów. jego list od Immermana l. c. II 121 i nast., 130 i nast.

stał zakazany. [1]) „Ależ rząd całkiem bezpotrzebnie wyklął tę książkę i bez tego byłaby czytaną“.

W Innsbruku „pod Złotym Orłem“ gdzie stał niegdyś Andrzej Hofer i gdzie każdy kąt jest jeszcze oblepiony wizerunkami i pamiątkami po nim, spytałem gospodarza, imci pana Niederkirchnera, czy ma dużo jeszcze do opowiedzenia o Sandwircie[2]). Stary człeczyna cały wezbrał radością, iż może się wygadać i chytrze mrugając oczyma, wyznał mi, że wprawdzie teraz już cała historya została wydrukowana, ale też całkiem potajemnie zakazana. A zaprowadziwszy mię do ciemnej izdebki, gdzie przechowywał swoje relikwie z wojny tyrolskiej, odwinął brudny papier niebieski z jakiejś rozsypanej już zielonej książczyny, w której ku zdziwieniu swemu poznałem Immermanowską Tragedyę w Tyrolu. Nie bez rumieńca dumy objaśniłem go, że człowiek, co to napisał, jest moim przyjacielem. Pan Niederkirchner zapragnął tedy dowiedzieć się jak najwięcej o tym człowieku, więc też opowiedziałem mu, że jest to mąż wytrawny, krzepkiej postaci, bardzo zacny i zręczny bardzo w pisaniu, tak, iż niewielu znalazłby sobie równych. Żeby jednak miał być prusakiem, w to pan Niederkirchner niechciał żadną miarą uwierzyć i wołał z pełnym politowania uśmiechem: I dlaczegóżby zresztą! Swego przekonania, jakoby Immerman był tyrolczykiem i brał udział w wojnie tyrolskiej, nie dał sobie wybić z głowy,—„jakżeby w przeciwnym razie mógł o wszystkiem wiedzieć?“

Szczególne dziwactwo ludu!—domaga się on swej historyi z dłoni wieszcza, a nie z dłoni dziejopisa. Nie żą-

[1]) Drugi tom Obrazów z podróży natychmiast po ukazaniu się został wzbroniony, jak mówią, z powodu uwag nad szlachtą hanowerską.

[2]) Sandwirth'em nazywano Hofera, przywódcę powstańców tyrolskich, gdyż urodził się w hotelu Sand, którego był właścicielem (*przypis. tłom.*).

da dokładnych wiadomości o nagich faktach, jeno chce mieć owe fakta na nowo rozpuszczone w pierwotną poezyę, z której powstały. Wiedzą o tem poeci i nie bez skrycie-złośliwego szkodnictwa samowolnie przekształcają wspomnienia narodów, w tym celu może, ażeby zadrwić sobie z wyniosłych a suchych historyografów i pergaminowych archiwistów. Nie mało mię zabawiło, kiedym na ostatnim jarmarku widział wywieszoną w budach historyę Belizaryusza z jaskrawo kolorowanymi obrazkami i to jeszcze nie według Prokopa [1]), lecz całkiem wiernie według tragedyi Schenka [2]). „W taki to sposób fałszuje się historyę!“—zawołał wielce uczony mój przyjaciel, który szedł ze mną—„nie wie ona nic o owej zemście obrażonej małżonki, o owym wziętym do niewoli synu, o owej kochającej córce i tym podobnych nowoczesnych płodach serca!“ Ale czy to tylko w rzeczy samej jest błędem? Czy należy z powodu tego fałszerstwa wytaczać zaraz poetom procesy? Nie, albowiem nie uznaję wcale oskarżenia. Poeci nie fałszują zgoła historyi. Oddają oni jej treść najwierniej w świecie, chociażby przy pomocy postaci i okoliczności własnego wynalazku. Są narody, u których historya w ten tylko, poetycki sposób bywa przekazywana, np. indusowie. A jednak takie pieśni, jak Mahabarata, oddają ducha dziejów indyjskich daleko wierniej, niżby to uczynił jakiś autor podręczników ze wszystkiemi swemi datami. W tym samym względzie miałbym odwagę twierdzić, że romanse Walter-Scotta odtwarzają niekiedy ducha historyi angielskiej daleko wierniej

[1]) O baśni tej nie wie wszakże nic Prokop, dziejopis bizantyjski, szóstego wieku po Chr., który towarzyszył Belizaryuszowi w jego wyprawach, jako tajny sekretarz i opisał jego życie.

[2]) Edward v. Schenk (1788-1841) poeta i minister, był przyjacielem Heinego w Monachium. Jego tragedya „Belizaryusz“ (Stutgard 1829) przedstawia zemstę małżonki (Antoniny) sławnego wodza, która mniemała że Belizariusz porwał pierworodnego syna wkrótce po jego przyjściu na świat, ażeby go uśmiercić.

niż Hume; [1]) a w każdym razie wielką ma słuszność Sartorius, gdy w swych Uzupełnieniach do Spittlera zalicza owe romanse do źródeł dziejów angielskich.

Z poetami bywa, jak ze śpiącymi, którzy uczucie, jakiego ich dusza doświadcza we śnie, w skutek rzeczywiście zewnętrznych przyczyn, maskują niejako, rojąc sobie w miejsce tych ostatnich—całkiem inne przyczyny zewnętrzne, które jednakże o tyle odpowiadają tamtym, że wywołują to samo uczucie. Podobnież w Tragedyi Immermana niektóre przedmioty świata zewnętrznego stworzone są dowolnie, ale sam bohater, punkt ogniskujący w sobie uczucie, wyśniony jest całkiem identycznie, a jeżeli ta postać z sennego widziadła sama wydaje się przywidzeniem, to jest to również zgodne z prawdą. Baron Hormayr, [2]) który w tej mierze może być najwiarogodniejszym sędzią,—kiedym niedawno miał przyjemność z nim rozmawiać, zwrócił uwagę moję na tę okoliczność. Mistyczną uczuciowość, zabobonną religijność, wszystko, co ten człowiek ma w sobie epicznego, Immerman zaznaczył bardzo dobrze. Odtworzył on nader wiernie ową wierną gołębicę,

[1]) Józef v. Hormayr (1781-1848) znany badacz historyczny, którego Heine poznał w Monachium, gdzie Hormayr mieszkał od r. 1828, jako radca ministeryalny. Jego Historya Andrzeja Hofera (Lipsk 1817) oraz Historya uksiążęconego hrabstwa Tyrolu (Tubinga, 1806-1808) są powszechnie znane. W swojem Arhiwum geografii, historyi, sztuki państwowej i wojennej (Wiedeń 1826 № 143) pomieścił też pełną ciepłego uznania krytykę dramatu Immermana.

[2]) Dawid Hume (1711-1776), znakomity dziejopis angielski, którego History of England (Londyn 1673) długi czas uchodziła za najważniejsze dzieło historyografii angielskiej. L. T. Spittler (1752-1810), historyk niemiecki, którego Zarys dziejów państw europejskich (Berlin 1793) wydany został w drugiej edycyi, 1807 r. przez prof. Jerzego Sartoriusa. Tam też znajduje się przytoczone przez Heinego miejsce. Tom. I, str. 364.

co to z gołym mieczem w dziobku, niby wojownicza miłość, tak bohatersko krążyła po nad górami Tyrolu, dopóki kule mantuańskie nie przeszyły jej wiernego serca.

Ale co najwięcej przynosi honoru poecie, to równie wierne odmalowanie przeciwnika, z którego nie uczynił bynajmniej wściekłego Gesslera, ażeby tem bardziej wywyższyć swego Hofera; jak ten—gołębicą z mieczem, tak tamten jest orłem z gałązką oliwną.

ROZDZIAŁ VIII.

W izbie gospody imci pana Niederkirchnera w Innsbrucku wiszą zgodnie obok siebie portrety Andrzeja Hofera, Napoleona Bonaparte i Ludwika bawarskiego.

Innsbruck sam jest miastem odstręczającem, mdłem. Być może, iż w zimie zyskuje ono na charakterze i bardziej swojo w niem wówczas, kiedy wysokie góry, okalające je ze wszystkich stron, pokrywają się śniegiem, kiedy huczą lawiny, a zewsząd lód trzeszczy i błyska.

Zastałem głowy owych gór owinięte w chmury, niby w szare turbany. Widać tam Marcinową ścianę[1]), widownię milutkich baśni o cesarzu; bo też wogóle pamięć o rycerskim Maksie wciąż jeszcze kwitnie w Tyrolu i rozbrzmiewa.

W kościele dworskim stoją owe, tak często wspominane posągi książąt, i księżnych z domu austryackiego oraz ich przodków, między których zaliczono niejednego takiego, co z pewnością do dziś jeszcze nie pojmuje, jakim sposobem dostąpił tego zaszczytu. Stoją w swej ogromnej, naturalnej wielkości, odlani z żelaza, dokoła grobu

---

[6]) Wpobliżu wsi Zirl, na zachód od Innsbrucku, wznosi się opoka górska o prostopadłej ścianie; tam, jak chce znana saga, cesarz Maksymilian I, który najchętniej bawił w Tyrolu, potknął się pewnego razu i z niebezpieczeństwa uratowany został przez anioła.

Maksymiliana. Ale że kościół jest mały, a dach niski, więc temu lub owemu zdawać się może, iż widzi czarne figury z wosku w budzie jarmarcznej. Większa ich część ma na piedestałach wyryte imiona dostojnych osób, które przedstawia. Kiedym oglądał owe posągi, do kościoła weszli anglicy; chudy, z twarzą na rozcież otwartą jegomość, który założył wielkie palce za pachy białej kamizelki, a w gębie trzymał skórzany Guide de voyageurs; za nim długa jego towarzyszka życia, dama już niebardzo młoda i trochę już draśnięta zębem miłości, ale zawsze jeszcze wystarczająco ładna; za nią wreszcie czerwona, porterowa twarz z białemi, jakby pudrowanemi wyłogami, sztywnie wkroczyła w tużurku—koloru jak wyżej, mając drewniane ręce całkowicie obładowane rękawiczkami mylady, kwieciem alpejskiem i mopsem.

Urocza trójca szła gęsiego ku wyższej części kościoła, gdzie syn Albionu tłomaczył swej małżonce znaczenie posągów i to według swego Guide de voyageurs, który opiewał szeroko: Pierwsza statua wyobraża Klodoweusza, króla francuskiego, druga—króla angielskiego Artura, trzecia—Rudolfa Habsburskiego i t. d. Że jednak biedny anglik rozpoczął szereg od góry, zamiast od dołu, jak to przypuszczał Guide de voyageurs, więc wpadł w najzabawniejsze powikłania, a te stawały się jeszcze komiczniejszemi, gdy zbliżał się do jakiego posągu kobiety, którą brał za mężczyznę lub na odwrót, tak, iż nie mógł zrozumieć dla czego Rudolfa Habsburgskiego przedstawiono w sukniach kobiecych, a natomiast królowa Marya ma żelazne spodnie i już nazbyt długą brodę. Ja, co tak chętnie przychodzę w pomoc swoją wiedzą, zauważyłem mimochodem, że prawdopodobnie ówczesny kostium wymagał tego, zresztą mogła to być szczególna wola dostojnych osób, ażeby je odlano tak właśnie, a nie, broń Boże, inaczej. Tak samo i teraźniejszemu cesarzowi może przyjść do głowy ochota kazać się odlać w krynolinie albo nawet w powijakach;—któżby mógł mieć coś przeciw temu?

Mops szczekał krytycznie, lokaj stał z wytrzeszczonemi oczami, jego pan wycierał nos, a mylady rzekła: A fine exhibition! very fine indeed! [1]).

ROZDZIAŁ IX.

Drugiem miastem tyrolskiem, w którem zatrzymałem się, było Brixen. Leży ono w dolinie, a kiedym tam przybył, oblane było mgłą i wieczornym mrokiem. Cisza zmierzchu, melancholijne granie dzwonów; owce dreptały ku swoim legowiskom, a ludzie do kościołów; wszędzie dech zapierająca, woń brzydkich obrazów ze świętymi i suszonego siana.

„Jezuici są w Brixen“—nakrótko przedtem wyczytałem w „Hesperusie“ [2]). Po wszystkich ulicach szukałem oczyma, alem niewidział nikogo, coby przypominał jezuitę, prócz chyba owego grubego jegomości w trójgraniastym z kapłańska kapeluszu i czarnym, skrojonym po księżemu surducie, który, już stary i znoszony, tworzył rażący kontrast ze lśniącemi nowością czarnemi spodniami.

Ale i to nie może być jezuita, rzekłem w końcu do siebie samego, albowiem jezuitów wyobrażałem sobie zawsze nieco chudszymi. Czy też rzeczywiście istnieją jeszcze jezuici? Niekiedy zdaje mi się niemal, iż cała ich egzystencya jest czczą chimerą, że to tylko strach przed nimi pokutuje po naszych głowach, choć niebezpieczeństwo dawno już minęło; a gromy ciskane na jezuitów, przypominają mi ludzi, co choć już dawno deszcz padać przestał, wciąż chodzą z rozpiętymi parasolami. Widzi mi się nawet czasami, że dyabeł, szlachta i jezuici istnieją tylko dopóty, dopóki się w nich wierzy. O dyable możemy twierdzić to napewno, albowiem dotąd widzieli go jedynie wierzący. Ale i co do szlachty, nabierzemy z upływem pe-

[1]) Pyszna wystawa, rzeczywiście pyszna! (przyp. tłom.).

[2]) „Hesperus“—tytuł poczytnej naówczas gazety.

wnego czasu, przeświadczenia, że la bonne société wnet przestanie być la bonne société z chwilą, gdy poczciwy mieszczanin nie zechce być o tyle łaskawym i uważać ją za bonne société. Ale jezuici? W każdym razie nie mają już oni swych starych spodni. Starzy jezuici leżą w grobie, a z nimi ich stare spodnie, żądze wszechświatowe, plany, intrygi, dystynkcye, rezerwacye i trucizny; a to, co widzimy teraz skradającem się po świecie, w nowych, błyszczących spodniach, to nie tyle ich duch, ile raczej widmo, głupie, niedołężne widmo, które codziennie usiłuje nam słowem i czynem dowieść, jak mało zdolne jest wzbudzić trwogę. Doprawdy, przywodzi mi to na pamięć historyę o innem podobnem widmie w lesie turyńskim; pewnego razu uwolniło ono od strachu wylęknionych ludzi w ten sposób, iż w oczach wszystkich zdjęło czerep z ramion, i pokazało każdemu z osobna, że wewnątrz całkiem pusty i próżny.

Nie mogę powstrzymać się od opowiedzenia w dalszym ciągu, że miałem później sposobność obejrzeć otyłego jegomości w lśniących, nowych spodniach dokładniej i przekonać się, że to żaden jezuita, jeno zwyczajne bydlę boże. Spotkałem go mianowicie w gościnnej izbie austeryi mojej, gdzie jadł wieczerzę w towarzystwie długiego, chudego, tytułowanego „Ekscellencyą“ mężczyzny, który tyle miał wspólnego z owym rozmiłowanym w starokawalerstwie szlagonem, którego odmalował Szekspir, że zdało się, jakoby natura popełniła plagiat. Obadwaj, by uczynić kolacyę swoją bardziej pieprzną, dręczyli usługującą karesami, które w młodem, ślicznem dziewczęciu budziły widocznie wstręt niemały, bo wyrywała się gwałtem, gdy ją jeden chciał poklepać z tyłu, albo drugi starał się objąć. Sadzili się przy tem na najbrutalniejsze i najtłustsze dowcipy, wiedząc, że dziewczyna nie może ich nie słyszeć—zmuszona była zostać w izbie, zarówno dla usłużenia gościom, jak i nakrycia dla mnie stołu. Gdy jednakże sprośność stawała się nie do zniesienia, młoda

kobieta nagle rzuciła wszystko, pobiegła ku drzwiom i wróciła do pokoju dopiero w parę minut, trzymając na ręku małe dziecię; nie spuszczała go też z ręki przez cały czas swego zajęcia w izbie gościnnej, pomimo, iż to ją jeszcze więcej krępowało. Ale obadwaj kompani, pan duchowny i pan szlachcic, nie dopuścili się już względem dziewczyny ani jednej nieprzyzwoitości; ona zaś usługiwała im bez niechęci, ale z dziwną powagą; rozmowa wzięła inny obrót: obadwaj pletli teraz zwykłe banialuki o wielkiem sprzysiężeniu przeciw tronowi i ołtarzowi; porozumiewali się co do surowych przeciw niemu środków i raz po raz podawali sobie święte swoje sprzymierzeńcze dłonie.

ROZDZIAŁ X.

Dla historyi Tyrolu dzieła Józefa v. Hormayr są niezbędne; dla historyi najnowszej jest to najlepsze a często i jedyne źródło [1]).

Jest on dla Tyrolu tem, czem Müller dla Szwajcaryi; zestawienie dwu tych dziejopisów ciśnie się samo pod pióro. Są to niejako sąsiedzi o ścianę: obadwaj w swej młodości jednako przejęci zapałem dla rodzinnych Alp, obadwaj pracowici, badawczy, z historycznym zakrojem myśli i nastrojem uczuć; Johan v. Müller, nastrojony nieco opiczniej, unosi się duchem po nad dziejami przeszłości, Józef Hormayr zaś, w uczuciach gorętszy, daje się porywać bardziej teraźniejszości—nie myśląc o sobie, narażał on życie dla wszystkiego, co mu drogiem było.

Bartholdy'ego [2]) Wojna chłopów tyrolskich w r. 1809—jest książką rozumnie i ładnie napisaną, a jeśli są w niej braki, to powstały one z konieczności, w skutek tego, że autor, jak to jest właściwe umysłom szlachetnym, żywi sympatyę widoczną dla strony uciśnionej, że w chwili, gdy opisywał wypadki, dym prochowy jeszcze je przysłaniał.

[1]) Ustęp od „Jest on dla Tyrolu“ do „drogiem było“ nie istnieje w wyd. francus.

[2]) J. S. Bartholdy (1779—1825) dyplomata pruski. Wyżej cytowana książka wyszła w Berlinie 1814.

Wielu godnych uwagi wydarzeń owego czasu nie zapisano jeszcze wcale; żyją one tylko w pamięci ludu, który niechętnie teraz o nich mówi, bo wynurza się przytem wspomnienie niejednej zawiedzionej nadziei. Biednym tyrolom sądzone było doświadczyć najrozmaitszych rzeczy, a gdy dzisiaj zapytać ich, czy przynajmiej w nagrodę swej wierności osiągnęli to, co im w niebezpieczeństwie przyrzeczono, wzruszają dobrodusznie ramionami i odpowiadają naiwnie: E, może nie trzeba było brać tego tak na seryo, a przytem cesarz ma tyle do myślenia, że niejedno może mu wywietrzeć z głowy.

Pocieszcie się, biedacy! Wyście nie jedni, którym coś było obiecane. Zdarza się przecież często na wielkich okrętach z niewolnikami, że gdy burza się sroży i okręt zagrożony, wzywa się na ratunek czarnych ludzi, co na mrocznym spodzie okrętu leżą powiązani. Kruszy się wtedy żelazne ich pęta i przyrzeka święcie i uroczyście, że odzyskają wolność, jeśli pracą swą zdołają ocalić okręt. Czarni głupcy z radosnemi okrzykami pędzą na górę, do światła, hurrah, biegną do pomp, tupią dokoła nich, co sił wystarczy, pomagają, gdzie trzeba pomódz, wdrapują się, skaczą, ścinają maszty, zwijają liny, słowem pracują póty, póki niebezpieczeństwo nie minie. A wówczas odprowadzają ich, rozumie się, napowrót—na spód okrętu, na nowo skuwają—najwygodniej w świecie, a wtedy oni w ciemnej swej niedoli snują demagogiczne refleksye o obietnicach handlarzy dusz, których jedyną troską po przebyciu niebezpieczeństwa jest przefrymarczenie nowych kilku dusz.

O navis, referent in mare te novi
Fluctus? etc.

Kiedy stary mój nauczyciel objaśniał nam tę odę Horacego, w której senat porównywany jest do okrętu, to miał sposobność do rozmaitych uwag politycznych. Przerwał je jednak, jak tylko stoczona została bitwa pod Lipskiem i całą klasę rozpuszczono.

Stary mój nauczyciel przewidział wszystko zawczasu. Gdy doszła nas pierwsza wiadomość o bitwie owej, pokiwał siwą głową. Wiem ja teraz, co znaczyło owo kiwanie. Niebawem nadeszły dokładniejsze wieści i pokazywano sobie pod ławką obrazki, na których jaskrawo i budująco odmalowane było, jak wysocy wodzowie klęczeli na polu bitwy i dziękowali Bogu.

Tak, tak, mogli dziękować Bogu—rzekł mój nauczyciel i uśmiechnął się, jak zwykł był uśmiechać się przy objaśnianiu Salustyusza—cesarz Napoleon sprawiał im tak często lanie, że w końcu mogli się od niego nauczyć tej sztuki.

Teraz dopiero przyszli alianci i kiepskie poematy wyzwolenia, Herman i Thusnelda, hurra!—i stowarzyszenie kobiet, i wszyscy zbawcy ojczyzny, i wieczne chełpienie się bitwą pod Lipskiem, i znowu bitwa pod Lipskiem—i tak bez ustanku.

Ludzie ci przypominają mi tebańczyków—zauważył mój nauczyciel,—którzy, gdy im raz wreszcie udało się pobić niezwyciężonych spartanów pod Leuktrą, wciąż jeno trąbili o tej bitwie, tak, iż Antystenes wyraził się o nich[1]): Są oni, jak chłopcy, którzy nie mogą się pohamować w radości, że raz dali w skórę swemu bakałarzowi. Lube malcy, lepiej byłoby, gdybyśmy sami dostali cięgi!

Wkrótce potem staruszek umarł. Na jego grobie rośnie trawa pruska, a w niej pasą się dobrze urodzone rumaki naszych odnowionych rycerzy.

---

[1]) Por. Plutarcha: Życie Likurga, rozdz. 30.

ROZDZIAŁ XI.

Tyrole są ładni, weseli, uczciwi, dzielni i bezdennie ograniczeni. Jestto zdrowa rasa ludzi, może dlatego, że są za głupi, by módz być chorymi. Możnaby ich nazwać także rasą szlachetną, albowiem w środkach pożywienia są bardzo wybredni, a w nawyknieniach okazują zamiłowanie czystości; jeno nie mają ani krzty uczucia godności osobistej. Tyrol ma pewien rodzaj humorystycznie uśmiechniętego serwilizmu, zdałoby się, iż z odcieniem ironii, ale w gruncie rzeczy najszczerszego. Kobiety w Tyrolu kłaniają ci się tak uprzedzająco życzliwie, mężczyzni ściskają ci dłoń tak rubasznie i robią przytem tak zabawnie serdeczne miny, iż gotów jesteś sądzić, że uważają cię za bliskiego krewniaka, a co najmniej za swego równego. Ale to gruby błąd: nie tracą oni na chwilę z pamięci, że są tylko prostymi ludźmi, ty zaś wielkim panem, który zapewne patrzy na to łaskawie, jak ludzie pospolici wspinają się ku niemu bez bojaźliwości. I w tym względzie mają oni z natury nieomylny instynkt; najzakamienialsi arystokraci zadowoleni są, gdy znajdą sposobność zstąpienia cokolwiek niżej; albowiem to właśnie daje im uczuć jak wysoko są postawieni. U siebie w domu tyrole praktykują tę służalczość za darmo; na obczyźnie starają się jeszcze ciągnąć z niej zyski. Sprzedają oni swą osobistość, swą narodowość. Ci kolorowi przekupnie koców, ci rzeźcy bua[1]) tyrolscy, których widzimy kręcących się w swych narodowych kostiumach, chętnie pozwolą stroić z siebie żarciki, ale musisz to czemś okupić. Owi rodzeństwo Rainer[2]), którzy byli w Anglii, pojmowali to jeszcze lepiej, a wdodatku mieli dzielnego doradcę, który znał doskonale ducha angielskiej nobility. Oto dlaczego ich tak dobrze przyjęto w foyer europejskiej śmietanki w the west end of

---

[1]) Bua—w narzeczu bawarsko-tyrolskiem oznacza zucha, kawalera, chłopca i t. d. (przyp. tłom.).

[2]) Znane towarzystwo śpiewaków tyrolskich.

the town.[1]) Kiedym zeszłego lata patrzył na to, jak w błyszczących salach koncertowych wyższego świata londyńskiego ci śpiewacy tyrolscy, przybrani w rodzinne swoje, narodowe stroje, wstępowali na estradę, i słyszał, jak z niej spływały owe pieśni tak naiwnie i niewinnie jodłowane zazwyczaj w tyrolskich Alpach i tak mile odbrzmiewające nawet w naszych północno-niemieckich sercach,—wtedy wszystko w duszy mojej wykrzywiało się w żal gorzki; zadowolone uśmieszki wytwornych ust kłuły mię, jak żądła żmij,—i było mi tak, jak gdybym widział przeczystość mowy niemieckiej kalaną w najbrutalniejszy sposób, a najsłodsze misterya uczuć niemieckich, przez obcą czerń profanowane. Nie mogłem zdobyć się razem z innymi na oklask dla tego bezwstydnego frymarku—tem, co najwstydliwsze, a jeden szwajcar, który z takiem samem, jak i ja, wrażeniem opuszczał salę, zauważył bardzo słusznie: My, szwajcarzy również dużo dajemy za pieniądze: najlepsze nasze sery, i najlepszą krew naszą; ale chyba niemoglibyśmy słuchać naszego rogu alpejskiego na obczyźnie, a tembardziej grać na nim za pieniądze [2]).

ROZDZIAŁ XII.

Ładny jest Tyrol, lecz i najpiękniejszemi krajobrazami trudno zachwycać się przy posępnej aurze i takiem samem usposobieniu ducha. To ostatnie jest

[1]) W zachodniej, arystokratycznej dzielnicy miasta (przyp. tłom.).

[2]) Tu pewnie przypada następujący urywek z rękopisu oryginalnego: Nie lubię republik (mieszkałem jakiś czas w Hamburgu, Bremie i Frankfurcie), lubię królestwo (widziałem Ludwika bawarskiego), prócz tego łatwiej mię, jako poetę, przekupić czynami wierności, niż czynami wolności, które mniej zawierają poezyi, bo gdy tamte mają swe korzenie w półmroku uczucia, te w matematycznie jasnych myślach. A przecież wolę szwajcarów niż tyrolczyków: czują oni więcej godność osobistą.

u mnie zawsze następstwem tamtego, a że nazewnątrz mnie deszcz padał, więc i we mnie była zła pogoda. Kiedy niekiedy tylko mogłem wychylić głowę z powozu, a wówczas widziałem niebotyczne góry, które patrzyły na mnie z powagą i ogromnemi głowami swemi i długiemi z obłoków brodami słały mi życzenie szczęśliwej drogi. Tu i owdzie dostrzegłem też siwiejącą w dali górkę, jak wspiąwszy się, rzekłbyś, na palcach, ciekawie wyglądała z za ramion innych gór, prawdopodobnie, ażeby mię zobaczyć. A przytem wszędzie warczą leśne potoki, co to rzucają się z wyżyn, niby szalone, i gromadzą swe wody w ciemnych, krętych jarach doliny. Ludzie siedzieli ukryci w swych ładniutkich, schludnych domkach, co to leżą rozsiane nad reglami po najspadzistszych stokach i aż do samych cyplów, milutkie, czyste domki, zazwyczaj z długą, nakształt ganku, galeryjką, która znowu ze swej strony ozdobiona jest bielizną, obrazkami świętych, donicami kwiatów i twarzyczkami dziewcząt. Są też owe domki ładnie pomalowane, najczęściej na biało lub zielono, jak gdyby i one chciały nosić rodzinny strój tyrolski, zielone szelki na białych koszulach. Kiedym patrzył na owe domki, stojące samotnie na deszczu, serce moje chciało wyskoczyć z powozu i podążyć do ludzi, którzy siedzą tam zapewne osłonięci dachem i zadowoleni. Tam, wewnątrz, myślałem sobie, żyje się pewnie przyjemnie i serdecznie, a stara babka opowiada pewnie strasznie-tajemnicze historye. Nieubłagany powóz mknął dalej, a ja nieraz jeszcze oglądałem się w tył i śledziłem, jak niebieskawe słupy dymu wychodziły z małych kominów; a tu padało coraz rzęsiściej, dokoła mnie i we mnie, że aż niemal z oczów występowały mi krople! Często też serce moje zrywało się i mimo szarugi biegło do ludzi, którzy mieszkają tam, na samej górze. i może zaledwo raz w życiu schodzą z niej i niewiele słyszą, co się tu w dole dzieje. Nie są oni przez to ani odrobinę mniej pobożni i szczęśliwi. Z polityki wiedzą tyle jeno, że mają cesarza, który nosi biały

surdut i czerwone spodnie; opowiadał im o tem stary wuj, który słyszał o tem na własne uszy od czarnego Józka, co to był w Wiedniu. Gdy patryoci wdrapawszy się do nich na górę, przekładali im wymownie, jako otrzymają teraz nowego monarchę, noszącego surdut niebieski i spodnie białe [1]), chwycili za strzelby, ucałowali żony i dzieci, zbiegli z gór i dawali się zabijać za biały surdut i drogie, stare, czerwone spodnie. W gruncie rzeczy wszystko jedno, za co się umiera, byleby się umierało za coś ukochanego, a taka ciepła, wierna śmierć lepsza od chłodnego, wiarołomnego życia. Już same pieśni o podobnym zgonie, słodkie ich rymy i przezrocze słowa rozgrzewają serce, kiedy wilgotna mgła i dokuczliwa troska zechcą je zasępić. Wiele takich pieśni przedźwięczało przez serce moje, gdym szlakiem gór tyrolskich mknął w dal. Nie jedno słówko miłosne, dawno zapomniane, wskrzesiły na nowo w pamięci jodłowe lasy szmerem swym poufnym. A zwłaszcza, gdy patrzyły na mnie z taką bezdenną tęsknicą wielkie, błękitne jeziora górskie, dumałem znowu o owem dwojgu dzieci, co się tak kochały i razem umarły. Jestto już bardzo stara historya, w którą też dzisiaj niktby nie uwierzył, bo i ja sam znam ją ledwie z kilku rytmów piosnki:

Dwoje ich było, królewiąt,
Co się tak czule kochały,
Lecz zejść się z sobą nie mogły,
Bo toń była za głęboka [2]).

---

[1]) Pokojem Preszburskim 1805 Tyrol ustąpiony został Bawaryi, co w r. 1809 wywołało znane powstanie ludu pod wodzą Andrzeja Hofera.

[2]) Z książki: „Des Knabens Wunderhorn“, str. 467, gdzie pierwsza strofa brzmi:

Es waren zwei Edelkönigs-kinder,
Die beiden, die hatten sich lieb,
Beisammen konnte sie dir nit kommen,
Das Wasser war viel zu tief.

W przytoczeniu Heinego—inaczej (przyp. tłom.).

ROZDZIAŁ XIII.

W południowym Tyrolu wypogodziło się, słońce włoskie dało już uczuć swą bliskość, góry miały więcej ciepła i blasku; widywałem nawet winne grona, jak się ich czepiały, i mogłem już częściej wychylać się z powozu. A gdy ja się wychylam, to ze mną i moje serce, a z sercem cała jego miłość, jego tęsknota i jego głupota. Nieraz mi się zdarzało, że serce, nieboże, omal nie zostało poszarpane przez ciernie, mianowicie, gdy się wychylało ku krzakom róży, kwitnącym po drodze, a róże tyrolskie nie należą do brzydkich. Gdym przejeżdżając przez Steinach oglądał rynek, na którym Immermann wyprowadza Sandwirtha Hofera z towarzyszami, znalazłem, iż plac byłby dla wiecu powstańczego już nazbyt małym, ale jeszcze dosyć dużym, by się na nim zakochać. Jest tam zaledwie parę białych domków, a z jednego małego okienka wyzierająca mała Sandwirtka celowała i strzelała wielkiemi swemi oczyma. Gdyby powóz był mniej szybko koło niej przejechał i gdyby zdążyła jeszcze raz nabić, z pewnością otrzymałbym śmiertelny postrzał. Krzyknąłem: Hej, stangret, popędź konie, z taką Elzą-krasnolicą [1]) nie ma co żartować; gotowa człekowi chałupę nad głową podpalić! Jako sumienny turysta winienem nadmienić, że pani gospodyni w Sterzingu jest wprawdzie sama podżyłą już niewiastą, lecz za to ma dwie młode córuchny, których widok potrafi dziwnie dobroczynnie rozgrzać serce, gdy przypadkiem wysiądzie ono z powozu. Ale ciebie nie zapomnę nigdy, o najpiękniejsza ze wszystkich, śliczna prządko z kresów Italii! Ach czemuś mi, jak Aryadna Tezeuszowi, nie podała nici twojego przędziwa, ażeby mię przeprowadzić przez labirynt tego życia? Dziś Minotauros leżałby powalony, a jabym cię kochał i całował i nieopuszczał nigdy! Jestto dobry znak,

---

[1]) Elza—imię gospodyni w dramacie Immermanna.

gdy się kobiety śmieją, mówi pewien pisarz chiński, a pewien pisarz niemiecki był całkiem tego samego zdania, gdy w południowym Tyrolu, gdzie się już zaczynają Włochy, mijał pewną górę. U podnóża jej, na niezbyt wysokiej grobli kamiennej, stał jeden z owych domków, co to ze swymi przytulnymi ganeczkami i naiwnemi malowidłami patrzą na nas tak życzliwie. Po jednej stronie stała wielka drewniana bożamęka, służąca za podporę winnej latorośli, tak żeś się wzdrygał i cieszył zarazem, widząc, jak życie tuli się do śmierci, a soczyste, zielone grona do krwawego ciała, ukrzyżowanych rąk i nóg Zbawiciela. Po drugiej stronie domku stał okrągły gołębnik, którego skrzydlaty ludek latał dokoła, a jedna szczególniej wdzięczna, biała gołąbka siedziała na ładniutkim, śpiczastym daszku, co wystawał nad głową pięknej prząśniczki, niby pobożna korona z kamienia nad niszą świętej. Ona zaś, siedząc na ganeczku, przędła, ale nie niemiecką modą kołowrotkową, jeno owym prastarym sposobem, kiedy to trzymało się pod pachą kądziel owiniętą lnem, nitka zaś wyrobiona uciekała na zwieszonem swobodnie wrzecionie. Tak przędły córy królów w Grecyi, tak przędą i dziś jeszcze parki i wszystkie włoszki. Przędła i uśmiechała się, gołąb siedział nieruchomie nad jej głową, a ponad domem wznosiły się wysokie góry, których śnieżne szczyty opromieniało słońce, przez co wyglądały, jak poważne czaty z olbrzymów w błyszczących hełmach na głowach. Ona przędła i uśmiechała się, a jam myślał, że mi omotała serce, bo właśnie wtedy powóz zwolnił trochę biegu z powodu szerokiego strumienia Izachy, która po drugiej stronie drogi rwie się kędyś naprzód. Lube rysy nie wychodziły mi z pamięci przez dzień cały; wszędzie widziałem owe nadobne lica, które, zdało się, rzeźbiarz grecki ulepił z zapachu białej róży, jak tchnienie delikatnemi, i tak nad-niebiańsko szlachetnemi, jak może je wymarzył kiedyś młodzieńcem, w kwiecistą noc wiosenną. Oczów, co prawda, grek wymarzyć by nie mógł, a tem mniej pojąć je. Lecz jam widział je i zrozumiał te gwiazdy romantyczne, co tak czarodziejsko oświetlały antyczną wspaniałość. Przez cały dzień widziałem owe oczy i jeszcze nocy następnej śniłem o nich. Oto siedzi ona znowu uśmiechnięta, gołąbki trzepoczą się dokoła, niby anioły miłości, nawet biała gołębica nad jej głową mistycznie porusza skrzydłami; za nią piętrzą się coraz potężniej hełmiaste straże; przed nią potok mknie w dal coraz burzliwiej i wścieklej; winograd z trwożliwym pośpiechem tuli się do drewnianej figurki Ukrzyżowanego, który poruszył się boleśnie, otworzył zbolałe oczy i ocieka krwią ran swoich. Ona zaś przędzie i uśmiecha się, a na nitce jej kądzieli, nakształt skaczącego wrzeciona, zawisło własne moje serce.

ROZDZIAŁ XIV.

Gdy tak słońce coraz piękniej i wspanialej wykwitało z nieba, a na górach i zamkach kładło złote welony, i w mojem sercu stawało się coraz goręcej i świetliściej, znowu pierś moja pełną była kwiecia, które bujnie strzelało w górę i przerastało mi głowę, a z po za kwiatów własnego serca uśmiechała się znowu niebiańsko piękna prządka. Uwikłany w takie sny, sam mara senna, przybyłem do Włoch, a że przez drogę zdążyłem był prawie zapomnieć, iż tam właśnie jadę, więcem się niemal zląkł, gdy nagle spojrzały na mnie wszystkie owe wielkie włoskie oczy, a bezładnie pstre życie włoskie namacalnie, gorąco i brzęcząco hurmem we mnie uderzyło. A stało się to w mieście Trydencie, dokąd przybyłem pewnej pięknej niedzieli po południu, w czasie, kiedy spiekota słabnie, a włosi wstają i spacerują po ulicach. Miasto stare i na poły w gruzach, leży otoczone szerokiem kołem kwiecistych, zielonych gór, które niby młode bogi spoglądają z wysoka na rumowiska dzieł ludzkich. W gruzach też i popiołach leży nieopodal wysokie zamczysko, co niegdyś panowało miastu, awanturnicza budowla awanturniczego wieku,

pełna śpiczastych wierzchołków, przystawek, blanków, z szeroką, okrągłą basztą, w której gospodarują już tylko sowy i inwalidzi austryaccy. I sam gród budowany jest awanturniczo, i dziwnie robi się na sercu człowiekowi, gdy po raz pierwszy rzuci okiem na te prastarożytne domy, na ich wyblakłe freski, pokruszone figury świętych, na ich wieżyczki, ganki, zakratowane okienka i owe silnie wystające facyatki, co to spoczywają estradowo na szarych filarach, tak zgrzybiałych, że im samym przydałaby się podpora. Taki widok byłby nazbyt żałosny, gdyby natura nie tchnęła w te obumarłe głazy nowego życia, gdyby owych kruchych filarów nie oplatały słodkie grona winne, jak młodość oplata starość, szczerze i tkliwie, i gdyby słodsze jeszcze twarzyczki dziewcząt nie wyzierały ciekawie z owych posępnych okien łukowych, roześmiane na widok niemieckiego wędrowca, który podobien lunatykowi, chwiejnym krokiem po umajonych błądził ruinach. Byłem rzeczywiście, jak we śnie, jak w jednym z tych snów, kiedy to chcemy przypomnieć sobie coś, co również śniło się nam niegdyś. Patrzyłem naprzemian to na domy, to na ludzi, i zdawało mi się prawie, żem te domy widział już kiedyś w lepszych dla nich dniach, gdy ich ładne malowidła lśniły się w pełni swych kolorów, gdy złociste ozdoby na fryzach okien nie były jeszcze tak poczerniałe, a marmurowa Madonna z dziecięciem na ręku miała jeszcze przecudną swą głowę, którą dzisiejsze, obrazoburcze czasy tak po plebejsku strąciły. Nawet twarze starych kobiet wydały mi się tak znajomemi, i doznawałem wrażenia, jak gdyby wykrojone były z owych płócien starowłoskich, które niegdyś, chłopięciem, widziałem w galeryi Düsseldorfskiej. Podobnież i starzy mężczyźni patrzyli na mnie wzrokiem poważnym, jak gdyby z otchłani tysiącolecia. Nawet wyzywające dziewczęta miały w sobie coś tak odwiecznie umarłego, a jednak świeżem życiem rozkwitłego, że mię niemal dreszcz przechodził, słodki dreszcz, jakiego doznałem ongi, kiedym to samotny w północnej godzinie, przy-

ciskał usta do ust Maryi, przepięknej kobiety, grzeszącej tą tylko drobnostką, iż była umarłą. Wtedy znowu musiałem się śmiać z samego siebie, bom roił, że całe miasto nie jest niczem innem, jak ładną nowellą, którą czytałem niegdyś, co mówię, którąm sam napisał,—a teraz oto czary jakieś wklęły mię we własny mój poemat, i lękam się tworów własnej wyobraźni. A może też, dumałem, wszystko to w rzeczy samej snem? I z całego serca byłbym dał talara za jednego, jedynego szczutka w nos, byleby się przekonać, czy jestem na jawie, czy we śnie. Nie wiele brakło a byłbym wytargował ten artykuł o wiele taniej, w rogu rynku potknąwszy się o grubą owocarkę. Poprzestała jednak na rzuceniu mi w twarz kilku fig, dzięki czemu zyskałem pewność, że się znajduję w najrzeczywistszej rzeczywistości, w samym rynku Trydentu, tuż obok wielkiego wodotrysku, z którego spiżowych trytonów i delfinów dziwnie orzeźwiająco tryskała woda srebrzysta. Na lewo wznosił się stary palazzo; mury jego pokryte były jaskrawemi figurami alegorycznemi, a na tarasie kilku szarych austryackich żołnierzy mustrowano na bohaterów. Na prawo stał dom fantazyjny, gotycko-lombardzki, w którego wnętrzu jakiś słodki, trzpiotowaty głos dziewczęcia trylował tak wyzywająco i wesoło, że nadpróchniałe mury drżały z roskoszy, a może i z osłabienia. W górze zaś śpiczastem oknem wyglądała czarna, pokarbowana w istny labirynt, fryzura komedyancka, z pod której wyzierała twarz ostro zarysowana, subtelna, a że miała umalowany jeden tylko policzek, więc podobna była do omletu, usmażonego dopiero po jednej stronie. A przede mną, w pośrodku, stał prastary tum, niezbyt wielki, nie ponury, lecz wesoły, mimo swój późny krzyżyk, staruszek—przyjacielski i gościnny.

ROZDZIAŁ XV.

Kiedym, odchyliwszy zieloną zasłonę, zakrywającą wejście do katedry, wstąpił w dom boży, na ciało moje

i serce spłynęła świeżość miła, z powiewów przyjemnego powietrza i kojąco magicznego światła, które wpadało przez jaskrawo pomalowane okna na zgromadzenie modlących się. Były to przeważnie kobiety, długimi rzędami rozciągnięte na klęczkach w niskich ławkach. Modliły się jedynie cichym ruchem warg, a przytem chłodziły ustawicznie wielkimi, zielonmi wachlarzami, tak iż słyszałeś tylko ciągły, tajemniczy łopot i nie widziałeś nic, prócz poruszanych wachlarzów i powiewających kwefów. Skrzypiące buty moje przerwały modlitwę niejednej pięknej nabożnisi i wielkie oczy katolickie spojrzały na mnie pół-ciekawie, pół-wabiąco i pewnie radziły mi, ażebym również rozciągnął się i odbył duchową siestę. Doprawdy, taka katedra ze swem przytłumionem światłem i swym wiewem chłodzącym daje miłe schronienie, gdy na dworze słońce kole w oczy, a żar dławi. O tem niema się żadnego pojęcia w północnych naszych, protestanckich Niemczech, gdzie światło tak zuchwale wdziera się przez trzeźwe, niepomalowane szyby, i nawet chłodne kazania nie dają dostatecznej osłony przed upałem. Niech mówią, co chcą, ale katolicyzm jest doskonałą religią na lato. Na klęcznikach tych starych tumów leży się tak dobrze, używa się chłodnej pobożności, świątobliwego dolce far niente. Tam człowiek modli się i marzy i grzeszy myślą; madonny tak pobłażliwie kiwają głowami w swoich niszach, i same będąc kobietami, przebaczają nawet, gdy kto ich własne rysy nadobne wplecie w grzeszne swoje myśli. A na dobitkę w każdym kącie brunatni się ratunkowy fotel sumienia, gdzie można złożyć swoje grzechy. W jednym z takich fotelów siedział z miną poważną mnich młody; twarz damy, która spowiadała się przed nim ze swoich grzechów, zakrywał po części biały jej woal, a poczęści boczna ścianka konfesyonału. Ale z zewnątrz dojrzeć można było rękę, która po prostu przykuła mię do miejsca. Nie mogłem oderwać się od widoku tej ręki; błękitnawe żyłki i wytworny glans białych palców były mi coś tak zastanawiająco znajome, iż przywołałem na pomoc całą siłę wyobraźni, ażeby dotworzyć sobie lica, do których owa dłoń należała. Była to piękna dłoń, nie taka, jaką się widuje u młodych dziewcząt, co to półjagnięcia, pół-róży, miewają tylko bezmyślne, roślinno-zwierzęce dłonie; ta miała w sobie raczej coś duchowego, coś tak ponętnie historycznego, jak ręce ludzi, co wiele umysłem pracowali lub wiele przeboleli. A przytem w dłoni tej było coś tak wzruszająco niewinnego, iż zdawało się, jakoby ona nie miała obowiązku należeć do spowiedzi i nie chciała też wcale słyszeć, z czego się zwierza jej pani i ot czeka sobie na zewnątrz, aż ta się załatwi. Ale to trwało długo; dama miała snadź do wyznania wiele grzechów. Nie mogłem czekać dłużej; dusza moja wycisnęła na pożegnanie niewidzialny całun na pięknej dłoni, która w tej chwili drgnęła i to tak dziwnie, jak ongi drgała ręka umarłej Maryi, gdym się jej dotykał. Na miłość Boga, pomyślałem, co robi umarła Marya w Trydencie?—i wybiegłem z katedry.

ROZDZIAŁ XVI.

Kiedym powtórnie przechodził przez rynek, w rogu przywitała mię wspomniana wyżej owocarka, bardzo grzecznie i poufale, jak gdyby starego znajomego. Mniejsza o to, pomyślałem, w jaki sposób zawarło się z kim znajomość, bylebyśmy się znali ze sobą. Garść rzuconych w twarz fig, to wprawdzie niezawsze najlepsza introdukcya, ale ja i owocarka patrzyliśmy na siebie tak przyjaźnie, jakby po wzajemnem doręczeniu sobie najlepszych listów polecających. Jejmość ta nie miała też bynajmnej złego wyglądu. Była już, prawda, w wieku, kiedy to czas zakarbowywa lata naszej służby fatalnymi na czole wałkami, ale natomiast wyglądała korpulentniej i co straciła na świeżości, to zyskała na tuszy. A przytem oblicze jej wciąż jeszcze miało na sobie ślady wielkiej piękności, i jak na starodawnych garnkach stało na niem wypisane: „Kto kocha i bywa

kochany, ten jest z najmędrszych wybrany.“ Ale co dodawało jej nieocenionego powabu, to fryzura, w loki ukarbowana, biała od pudru, jak kreda, suto umierzwiona pomadą i idyllicznie przetykana białymi dzwonkami polnymi. Przyglądałem się tej kobiecie z takiem samem zajęciem, jak antykwaryusz—świeżo wykopanym swym torsom z marmuru i mógłbym na tej żyjącej ruinie człowieczej dociec jeszcze więcej, mógłbym wykazać ślady wszystkich cywilizacyj Włoch—etruskiej, rzymskiej, gotyckiej, lombardzkiej, aż do współczesnej, pudrowanej; i nie mało interesującym był dla mnie kontrast między cywilizowanem tłem tej kobiety a jej procederem i gwałtownemi manierami. Nie mniej zaciekawiały mię przedmioty jej procederu, świeże migdały, których nigdy jeszcze nie widziałem w ich pierwotnych, zielonych łupinach, wonne, świeże figi, usypane w wysoki stos, jak u nas gruszki. Nawet wielkie kosze świeżych cytryn i pomarańcz bawiły mię. Ale oto cudnie miły widok! W jednym z próżnych koszów leżał śliczny chłopczyk i trzymał w rękach dzwoneczek, a że w tym czasie bito właśnie w wielki dzwon tumu, więc chłopczyk po każdem jego uderzeniu dzwonił swoim małym dzwoneczkiem i przytem z taką nadziemską błogością uśmiechał się do błękitnego nieba, że mnie samemu strzeliła do głowy najzabawniejsza pustota dziecinna i stanąłem przed szeregiem koszów, jak dzieciak i łasowałem i z owocarką rozprawiałem. Z powodu mojej łamanej włoszczyzny wzięła mię z początku za anglika; ale przyznałem się jej, że jestem tylko niemcem. Zarzuciła mię wnet geograficznemi, ekonomicznemi, hortologicznemi, klimatycznemi pytaniami co do Niemiec, i dziwiła się, gdym jej wyznał wzamian, że u nas nie rosną wcale cytryny, że te marne cytryny, jakie otrzymujemy z Włoch, musimy mocno ściskać, gdy przyrządzamy poncz, i że z rozpaczy dolewamy tem więcej rumu. Ach, kochana pani, rzekłem, w naszym kraju bardzo mroźno i wilgotno, nasze lato to tylko na zielono pomalowana zima, nawet słońce musi u nas nosić kaftan flanelowy,

jeśli nie chce się zaziębić. Przy tem żółtem, flanelowem świetle, owoce nasze nie mogą nigdy dojrzeć, i między nami mówiąc, jedynym owocem dojrzałym, jaki miewamy, są jabłka pieczone. Co się zaś tyczy fig, to podobnie, jak cytryny i pomarańcze, musimy je sprowadzać z obcych krajów, a w skutek długiej podróży, stają się one głupiemi i mączystemi; jedynie najpodlejszy ich gatunek otrzymuje się świeżo z pierwszej ręki, ale za to są one tak gorzkie, że nawet ten, co je dostaje darmo, czuje się przez to obrażonym i skrzywdzonym. Z migdałów zaś miewamy tylko nabrzmiałe. Słowem, brak nam wszelkiego szlachetniejszego owocu i nie mamy nic, prócz agrestu, gruszek, laskowych orzechów, śliwek węgierek i tym podobnego pospólstwa.

ROZDZIAŁ XVII.

Rad byłem w rzeczy samej, iż zaraz po przybyciu do Włoch zrobiłem tak dobrą znajomość, i gdyby mię silniejsze uczucia nie ciągnęły na południe, byłbym został w Trydencie, u poczciwej owocarki, przy smacznych figach i daktylach, przy malutkim dzwonniku, i jeśli mam wyrzec prawdę, przy ładnych dziewojach, które przepływały koło mnie całemi gromadami. Nie wiem, czy inni turyści usprawiedliwiliby tutaj przymiotnik „ładny,“ lecz mnie trydentki podobały się całkiem wyjątkowo. Był to akurat ten rodzaj, który ja lubię, a lubię te blade, elegijne twarze, w których czarne oczy płoną takiem miłośnie-chorobliwem światłem; lubię także smagłą cerę owych dumnych szyj, które już Febus ongi ukochał, i wycałował do brunatności; lubię nawet owe tak mocno dojrzałe karki z purpurowemi punkcikami, jak gdyby od dziobków pożądliwego ptactwa; lecz nadewszystko lubię ów gienialny chód, tę niemą muzykę ciała, owe członki poruszające się w najsłodszych rytmach, bujne, gibkie, bosko-niedbale, mrąco leniwe, potem znów eterycznie wzniosłe, a zawsze wysoce poetyczne. Lubię to wszystko, jak lubię samą poezyę, a te melodyjnie po-

ruszające się postacie, ten przedziwny koncert z ludzi, szeleszczący dokoła mnie, znalazł odgłos w mem sercu i zbudził w niem tony pokrewne.

Nie była to czarodziejska moc pierwszego oszołomienia, ani dzika nadzwyczajność tchnącego cudowną baśnią zjawiska; był to już duch spokojny, który przypatrywał się owym postaciom niewieścim, okiem zachwytu, ale i rozwagi pełnem, podobnie, jak czyta poezyę prawdziwy krytyk. A przy takiem rozważaniu odkrywa się wiele, wiele smutku, bogactwo przeszłości, nędzę teraźniejszości i zapóźnioną dumę. Córy Trydentu chętnieby jeszcze stroiły się tak, jak za czasów soboru,[1]) kiedy miasto kwitło w aksamitach i jedwabiach; lecz sobór nie wiele dokonał, aksamity dziś już wypełzły, jedwabie w strzępach, a biednym dzieciom nie zostało nic, prócz nędznego blichtru, a i nad tym trzęsą się przez cały tydzień, by się nie zniszczył i paradują w nim tylko w niedziele. Ale nie brak takich, co i tych resztek przebrzmiałego zbytku są pozbawieni i muszą radzić sobie wszelkiego rodzaju poślednimi i tanimi wyrobami naszych czasów. W takich razach szczególne zdarzają się kontrasty między ciałem a ubiorem; delikatnie wykrojone usta są jakby stworzone do książęcych rozkazów, a tymczasem ocienia je szyderczo mizerny łyczkowy kapelusz, a na nim pomięte kwiaty z papieru. Pyszna pierś faluje w krezie z niezdarnie fałszowanych koronek, a najinteligentniejsze w świecie biodra opina najgłupszy perkalik i to perkalik w bronzowe prążki. Albowiem, ach, nic mię nigdy tak żałośnie nie nastrajało, jak widok jednej trydentki, która postawą i kolorem twarzy podobną była do bogini z marmuru, a na tym antycznie szlachetnem ciele wisiała spódnica perkalowa w bronzowe prążki. Wyglądało to, jak gdyby kamienna Niobe wpadła

[1]) W trydencie odbył się w latach 1545—63 sławny sobór Trydencki.

nagle w dobry humor, przebrała się w nasz nowomodny strój maluczki i oto, dumna w swem żebractwie, majestatycznie-bezporadna kroczy przez ulice Trydentu.

ROZDZIAŁ XVIII.

Kiedym wracał do locandy dell'Grande Europa, gdziem zamówił sobie porządny pranzo, było mi naprawdę tak żałośnie na duszy, że nie mogłem jeść, a to znaczy bardzo wiele. Usiadłem tedy pode drzwiami sąsiedniej botegi, i chłodząc się sorbetem, mówiłem do siebie: Kapryśne serce! Jesteś przecie we Włoszech—czemu nie śpiewasz tirili? A może to dawne bóle niemieckie, co się tak głęboko w ciebie wgryzły, przybyły teraz z tobą do Italii i mają uciechę, i ich to właśnie wspólna radość budzi w twej piersi ową malowniczą boleść, co w niej tak dziwnie kłuje, podryguje i wygwizduje? Dla czegożby i stare bóle nie miały sobie raz pohulać? Tu, we Włoszech, tak pięknie, nawet samo cierpienie jest tu tak piękne: w tych rozwalonych pałacach z marmuru westchnienia dźwięczą daleko romantyczniej, niż w naszych porządnych domach z cegły, w cieniu owych laurów płacze się daleko roskoszniej, niż u nas, pod mrukliwemi, śpiczastemi jodłami, a ku idealnym postaciom obłocznym daleko słodziej rozanielać się, niż ku naszym, jak popiół szarym, powszednim niebiosom, gdzie nawet chmury układają się jeno w poczciwe, mieszczańskie gęby i nudnie nas obziewują. Hej, wy bóle, zostańcie tylko w mojej piersi! Nigdzie nie znajdziecie lepszego schronienia. Jesteście mi drogie i szacowne, i nikt nie potrafi troskliwiej chuchać i dmuchać na was, i, mówię wam otwarcie, to mi sprawia przyjemność. Przyjemność to nic innego, jak w najwyższym stopniu miły ból.

Sądzę, że muzyka, którą, choć nie zwracałem na to uwagi, słychać było przed botegą, a która ściągnęła już koło gapiów, melodramatycznie wtórowała mojemu monologowi. Było to szczególne trio, złożone z dwu mężczyzn

i młodej dziewczyny, grającej na harfie. Jeden z owych dwu, odziany po zimowemu, w biały surdut z grubej wełny, był to człek krępy, jak pień, z grubą, czerwoną twarzą bandyty, która pałała z pomiędzy czarnej czupryny i brody, niby groźna kometa, a między nogami trzymał ogromną basetlę i tę piłował tak zapamiętale, jak gdyby powalił był w Abruzzach podróżnego i chce mu oto czemprędzej odrzępolić gardziel; drugi był to chudy, wyciągnięty starzec, którego nadpróchniałe gnaty dygotały w przeżytym, czarnym garniturze, i którego białe, jak śnieg, włosy żałośnie kontrastowały z bufonowym śpiewem jego i błazeńskiemi kapriolami. Smutnem już jest, gdy człek stary sprzedać musi szacunek, przynależny jego wiekowi, z nędzy, a siebie samego skazać na arlekinadę, lecz o ileż boleśniejszem, gdy czyni to w obecności albo nawet ze współudziałem swego dziecka! A owo dziewczę było właśnie córką starego bufona; akompaniowała ona na harfie najsprośniejszym żartom starego ojca, albo też, odstawiwszy harfę na bok, śpiewała z nim komiczny duet, w którym on grał rolę starego rozamorowanego cymbała, ona zaś—młodej, przekomarzającej się amantki. A przytem dziewczyna snadź niedawno wyszła z lat dziecięcych, i zdało się nawet, że dziecko to. nim dorosło dziewictwa, wnet zrobiono kobietą, i to jak najmniej kobietą uczciwą. Stąd ów anemiczny uwiąd i gorycz, drgająca w pięknej twarzy, której dumnie polotne kształty wyszydzały, rzekłbyś, zawczasu wszelką przewidującą litość; stąd ukryta w jej oczach niedola, w oczach, które z pod czarnych łuków brwi swoich tak wyzywająco świeciły; stąd głęboki akcent bólu, co tak złowieszczy tworzył kontrast ze śmiechem pięknym ust, z których się wymykał; stąd jakaś chorobliwość przewątłych członków, które opasywała kusa, jedwabna sukienczyna niepewnie-fioletowego koloru, podfruwając, jak można najwyżej. A przytem na przedawnionym kapeluszu słomkowym, powiewały jaskrawo kolorowe wstążki z atłasu, a pierś całkiem symbolicznie zdobił rozchylony pąk róży, która

wydawała się raczej rozerwaną gwałtem, niż własnym rozwojem wykwitłą z zielonej powłoki. A przecież był w tem nieszczęśliwem dziewczęciu, na które wionęła już zgubnym podmuchem śmierć, nieopisany wdzięk, gracya, która się ujawniała w każdej minie, każdym ruchu, każdym dźwięku i nie zawiodła całkiem nawet wtedy, gdy dziewczę z podanem naprzód ciałkiem i ironiczną lubieżnością drobiło kroczki w stronę starego ojca, który również bezecnie, z wysuniętym naprzód, kościotrupim brzuchem drygał ku niej, trzęsąc się. Im czelniej się ona miiżdżyła, tem głębszą wzbudzała we mnie litość, a gdy wówczas śpiew jej miękko i prześlicznie wychodził z piersi i jak gdyby o przebaczenie prosił, wtedy w mojej piersi wywrzaskiwały małe żmijki i z zadowolenia aż się kąsały w ogony. I nawet róża jakby błagalnie patrzyła na mnie; raz nawet dostrzegłem, jak drgnęła, zbladła, lecz w tej samej chwili tryle dziewczęcia z większym jeszcze śmiechem wzbiły się w powietrze, stary beknął jeszcze miłośniej, a czerwona, kometowa twarz znęcała się nad swą basetlą tak zażarcie, że z niej wychodziły najokropniejsze i najzabawniejsze tony, a słuchacze jeszcze wściekłej z zachwytu wrzeszczeli.

ROZDZIAŁ XIX.

Była to próbka czysto włoskiej muzyki, zapewne z jakiej ulubionej opery-bufy, owego przedziwnego gatunku, co to humorowi daje najswobodniejsze pole; na niem puścić on może wodze całej swej hasającej ochocie, swej cudackiej nadwrażliwości, rozchichotanej tęsknicy, i swej życia-żądnej egzaltacyi śmierci. Była to całkiem Rossini'owska maniera, ta sama, co się ujawniła najwdzięczniej w „Cyruliku Sewilskim.“ Wzgardliwi wrogowie muzyki włoskiej, którzy i nad tym jej rodzajem łamią wyroczną laskę, nie ujdą kiedyś w piekle swej dobrze zasłużonej kary i są może skazani na to, iż przez całą wie-

czność będą musieli słuchać tylko fug Sebastiana Bacha. Żal mi jeno niektórych moich kolegów, jak naprzykład Rellstaba,[1]) który również nie ujdzie potępienia, jeśli się przed śmiercią nie nawróci. Rossini, divino maestro, Heliosie Italii, co rozsypujesz na świat ten dźwięczące swe promienie! Wybacz moim ziomkom, bluźniącym tobie na papierze i na bibule! Ale ja napawam się złotymi twymi tonami, melodyjnem twem światłem, skrami motylich snów, które mię tak mile mamią dookoła i całują po sercu, jak gdyby ustami gracyi! Divino maestro! Przebacz biednym moim ziomkom, którzy głębi twej nie widzą, boś zakrył ją różami i dla których jesteś nie dosyć ciężki i gruntowny, albowiem fruwasz tak lekko, tak bosko oskrzydlony! Doprawdy, ażeby dzisieszą muzykę włoską módz pokochać, a przez miłość zrozumieć, trzeba mieć przed oczami sam naród, jego niebo, jego charakter, jego miny, jego cierpienia, jego radości, słowem całą jego historyę, od Romulusa, który założył święte państwo rzymskie, aż do najnowszej doby, kiedy ono pod Romulem Augustulem II upadło. Biednej, ujarzmionej Italii, mowa została wzbronioną; wolno jej tylko muzyką wyrażać uczucia swego serca. Cała jej tajona nienawiść dla obcej przemocy, cały entuzyazm dla wolności, cały jej szał, płynący z uczucia niemocy, jej boleść na wspomnienie minionej potęgi, a przytem jej cicha nadzieja, jej czujność, jej łaknienie pomocy, wszystko to zakapturza się w owe melodye, co to prześlizgują się od groteskowego upojenia życiem do elegijnej rzewności, i w owe pantominy, co to od głaszczących pieszczot przedzierzgają się nagle w groźną zawziętość. Oto ezoteryczna treść opery, bufy. Egzoteryczne szyldwachy, w obecności których bywa ona śpiewaną i przedstawianą, nie przeczuwają nigdy znaczenia tych wesołych historyj

[1]) Ludwik Rellstab (1799—1860), znany krytyk, który w swych artykułach, drukowanych w Vossische Zeitung, gwałtownie napadał na muzykę włoską, a szczególnie na Rossiniego.

miłosnych, miłosnych nut i miłosnych przekomarzań, któremi włoch osłania swe najbardziej mordercze mrzonki wyzwolenia, jak Harmodius i Arystogiton[1]) ukryli swoje sztylety w wieńcu mirtowym. „To ci dopiero błazeństwa!“ mówi egzoteryczna warta i dobrze, że nic nie spostrzega. Bo inaczej pan impressario razem z primadonną i z panem primo-uomo wystąpiliby wkrótce na owych deskach, co to oznaczają twierdzę; wysadzonoby komisyę śledczą, wszystkie groźne dla państwa tryle i perfidyotyczne koloratury stanęłyby do protokółu; wziętoby do kozy moc arlekinów,[2]) zawikłanych w dalsze rozgałęzienia zbrodniczych knowań, a także Tartaglię, Brighellę, nawet starego, rozważnego Pantalona, doktorowi z Bolonii opieczętowanoby papiery, on sam wgęgnąłby się w większe jeszcze podejrzenia, a Kolumbina miałaby aż oczy czerwone z płaczu nad klęską familijną. Myślę jednak, że podobne nieszczęście nie zwali się tak rychło na tych poczciwców, albowiem demagogowie włoscy są daleko sprytniejsi od biednych niemiaszków; bo ci, gdy raz zamierzyli coś podobnego, przebrali się za czarnych błaznów z czarnymi kapturami błazeńskimi, ale mieli tak rażąco rzadkie miny, i przy swych sumiennych błazeńskich susach, które nazywali gimnastyką, tak groźnie dopadali do siebie, i z tak poważnemi minami, że to w końcu zwróciło uwagę rządów i—capnięto ich.

ROZDZIAŁ XX.

Mała harfiarka musiała snadź zauważyć, że często podczas jej gry i śpiewu zerkałem ku róży na piersiach,

[1]) Harmodius i Arystogiton, dwaj młodzieńcy ateńscy, zamordowali w 514 r. przed Chr., w Atenach, syna Pizystratesowego sztyletami, które ukryli w gałązkach myrtu.

[2]) We włoskich komedych improwizowanych (commedia dell'arte) arlecchino łączy pojedyncze sceny swemi żartami. Do najulubieńszych masek charakterystycznych należeli Tartaglia, Pantalone, Brighella, Columbine i Dottore z Bolonii.

i gdym później rzucił na talerz, na którym zbierała swoje honoraryum, sztukę monety nie tak całkiem drobną, uśmiechnęła się przebiegle i spytała pocichu, czy życzę sobie mieć jej różę. No, a ja jestem najgrzeczniejszym na świecie człowiekiem, i klnę się na świat, nie chciałbym obrazić róży, choćby to była nawet róża, co straciła już nieco ze swej woni. A jeśli nawet, myślałem sobie nie pachnie tak całkiem świeżo, i nie jest już w zapachu cnoty [1]), jak, dajmy na to, róża z Saronu, cóż to obchodzi mię, który mam i tak suchy katar! Tylko ludzie biorą rzecz tak skrupulatnie. Motyl nie pyta wpierw kwiatu: czy całował cię już inny? A ona nie pyta: czyś muskał już inną? A przytem noc już zapadała, a w nocy, pomyślałem, wszystkie kwiaty szare, zarówno najgrzeszniejsza róża, jak i najcnotliwsza pietruszka. Krótko mówiąc, bez długiego namysłu rzekłem do małej harfiarki: Si, signora. Tylko nie miej nic złego na myśli, miły czytelniku. Zrobiło się ciemno, a gwiazdy zaglądały w moje serce tak jasno i przeczysto. Lecz w samem sercu drgało wspomnienie umarłej Maryi. Dumałem znowu o owej nocy, kiedym stał przed łożem, na którem leżało piękne blade ciało, z łagodnemi, cichemi usty. Dumałem znowu o nocnym fiołku, co stał w szklance na stole i dziwnie pachniał. I znowu dreszczem przejmowała mię niepewność, czy to w rzeczy samej podmuch wiatru zgasił lampę. Czy naprawdę nie było w pokoju kogoś trzeciego? [2])

---

[1]) Parafraza łacińskiego „in odore sanctitatis"—w zapachu świętości (*przyp. tłom.*).

[2]) W rękopisie oryginału znajduje się następująca, daleko obszerniejsza osnowa rozdziału XX, który potem skrócony został aż do mglistości. Przez to rozwinięcie staje się o wiele zrozumialszem widmowe błąkanie się wspomnienia umarłej Maryi w Podróży z Monachium do Genui, jak to zaznacza słusznie wydawca spuścizny. Osnowa ta brzmi: Mała pewnie zauważyła, że często w trakcie gry i śpiewu spoglądałem ku jej różży; uśmiechnęła się też z przebiegłą miną, gdym później rzucił nie tak bardzo drobny pieniądz na talerz, z którego pomocą zbierała swoje honoraryum.

A tymczasem noc zapadła, a mrok nadał uczuciom moim jednolitość. Ulica była pusta, a strop zapełniał się gwiazdami. A te migotały ku mnie tak wonnie, tak przeczysto, tak niepokalanie, że i mnie samemu było na sercu, jak gwieździe przeczystej. Wówczas zbliżyła sie do mnie znienacka mała harfiarka i pół-bojaźliwie, pół-czelnie spytała, czy chcę mieć jej różę.

Byłem w nastroju przeczystej gwiazdy i odrzekłem: „Nie." Lecz róża zbladła, dziewczyna pokraśniała, z harfy jęknął cichy, urwany ton, tak boleśnie, jak gdyby ze zranionej śmiertelnie duszy, a ja już raz słyszałem ten ton, również nabrzmiały wyrzutem. Smutne wspomnienie przeszło mię nagle mrówiem. Był to znowu pół-mrok brunatnej izby, lampa migotała znowu tak trwożnie, uchyliłem nad cichem łożem niebieską prążkowaną kotarę, złożyłem pocałunek na ustach zgasłej Maryi, a ze swego kącika dźwięknęła sama przez się opuszczona harfa i był to ten sam ton!

Wylękły, rzekłem tedy do małej harfiarki: No, no, drogie dziecię, daj mi swą różę. A choć zaczyna już ona więdnać potrosze i nie pachnie tak całkiem świeżo, i choć różę bez woni porównać można do kobiety bez niewinności, to jednakże nic to nie znaczy dla człowieka, który już od wielu lat ma katar chroniczny.

Uśmiechnęła się na to mała i dała mi swą różę, a stało się to na ulicy Trydentu, przed botegą, naprost Albergo della Grande Europa, wobec kroci odkrytych i jeszcze liczniejszych kroci nieodkrytych gwiazd. Wszystkie one zaświadczyć mi mogą, że przygoda ta miała miejsce nie w moim pokoju i nie jest alegoryą.

Tak, tak, nie miej nic złego na myśli, drogi czytelniku—gwiazdy patrzyły z nieba tak jasno i niepokalanie, zaglądały tak głęboko w moje serce. A w samem sercu drgało wspomnienie zgasłej Maryi. Długo nie myślałem o niej, a teraz w Trydencie,

ROZDZIAŁ XXI.

Wkrótce potem poszedłem spać, zasnąłem niebawem i owinąłem się w idyotyczne sny. Sniłem mianowicie, żem ten sam, co parę godzin temu, że znowu oto przybyłem do

Trydentu, znowu zdumiony jak wprzódy, a nawet teraz jeszcze więcej, gdyż po ulicach, zamiast ludzi, spacerowały same kwiaty. Snuły się tam płomieniste kamelie, co się wachlowały tak roskosznie, przysadkowate ostróżki, a za niemi gawiedź wąsatych narcyzów, kokietujących balsamin, hyacyntów, z pięknemi, pustemi, w kształcie dzwon-

---

gdziem tylko co postawił stopę, na włoskiej ziemi, obraz jej dziwnie wstrząsająco wynurzył się znowu w mej duszy i było mi tak, jak gdyby podeszła ku mnie żywa i rzekła: „Dlaczegoś pan nie wziął mię z sobą do Włoch, jakeś mi ongi przyrzekł?“ Drogie dziecię, jesteś przecie martwe, odparłem śniąc. „Luby przyjacielu, żem tam trochę martwa, to przecie nic nie znaczy.“ Ale skąd wzięłaś się tu pani? Sądziłem, że dopiero po wielu milionach lat będę miał przyjemność ujrzeć cię znowu. Czyżby mnogie te lata miały już upłynąć? Boże, jak czas ucieka!

Ach, nie, kochany czytelniku, nie była to Marya we własnej osobie, co się spowiadała w katedrze; nie jestem tak zabobonny, ażebym mógł wierzyć, iż umarli wychodzą z grobów, ażeby odpokutować tę parę marnych ostatnich grzechów miłości, których nawet nie popełnili z własnej woli. Jakkolwiekbądź, jest to szczególne, że miłość niemiecka za najrozsądniejszym człowiekiem aż do samych Włoch snuje się, jak cień i że właśnie zaraz po przybyciu do ciepłej, ukwieconej Italii opowiedzieć ci muszę, miły czytelniku, historyę, jaka zdarzyła mi się pewnego zimowego, niemieckiego wieczoru, kiedy mroźny wiatr północny świszczał w kominie i tłukł śnieżycą w okna. Lecz w komnacie, gdzie się owa historya zdarzyła i gdziem się znajdował sam na sam z Maryą, było, tak woniejąco ciepło, ach, ogień na kominku migotał tak poufnie, główki kwiatów majaczały nad lśniącymi wazonami, święci pańscy, pokrywający ściany, dobrotliwie się uśmiechali, a Marya siedziała przy fortepianie i grała jakąś starowłoską melodyę. Głowa jej była pochylona, świeca stojąca przed nią rzucała dziwnie słodki odblask na jej małą rękę, na każdy dołeczek, każdą żyłkę ręki. A tymczasem dźwięki tak ciepło i pieszczotliwie przenikały do mego serca; stałem i marzyłem sen, pełen niewysłowionej błogości; tony brzmiały coraz potężniej i butniej, to znów roztapiały się chwilami w pokornem poświęceniu; jam konał, żył i znowu

ków, główkami. Na rogu kłóciły się dwie stokrotki. Z okna starego domu o chorobliwym wyglądzie, wyglądała ciekawie nakrapiana lewkonia,—głupia wystroiła się jaskrawo—a za nią dźwięczał milutki, woniejący głos fiołka. Na balkonie wielkiego p a l a z z o w rynku zebrana była cała śmietanka, wysoka noblessa, a mianowicie owe lilie, co to nie pracują

---

konał, całe wieczności przepływały nade mną z łoskotem, a gdym się ocknął, ona stała przede mną łagodna i prosiła drżącym głosem, ażebym włożył jej znów na palce pierscionki, które odłożyła, siadając do fortepianu. Uczyniłem to i przy każdym pierścionku rzucałem na pamiątkę słówko. Przy rubinowym rzekłem tylko kochaj mię pani bezwarunkowo; przy szafirze rzekłem: tylko bądź mi zawsze wierną; przy dyamencie rzekłem: bądź jeno zawsze czysta, jak teraz, a w końcu przycisnąłem całą rękę do ust i rzekłem: Maryo, dlaczegoś wczoraj na koncercie wciąż mi się wymykała, i ani razu nie spojrzała ku mnie? A ona odrzekła miękkim głosem: „Bądźmy przyjaciołmi!“

Com ci tu opowiedział, miły czytelniku, to nie jest zdarzenie wczorajsze ani przedwczorajsze; tysiące lat, tysiące tysięcy lat przetoczą się, nim osiągną swój kres i z pewnością dobry kres! Bo wiedz, że czas jest nieskończony, lecz przedmioty w tym czasie, ciała dostępne zmysłom naszym, mają swój kres; co prawda, mogą się rozpylić w jaknajmniejsze cząsteczki, lecz te drobinki, te atomy, mają oznaczoną liczbę i oznaczoną jest też liczba ukształtowań, które się z nich same boską swą siłą tworzą. A choćby nawet jak najdłuższy czas przemknął nad nimi, to jednak, według odwiecznych praw kombinacyj tej wiekuistej gry powtórzeń,—wszystkie kształty, jakie były już na tej ziemi, znowu muszą się spotkać, przyciągnąć, odepchnąć, ucałować, popsuć, przedtem, jak i potem. A więc również zdarzy się kiedyś, że znowu urodzi się mężczyzna taki sam, jak ja, i urodzi się kobieta, taka sama, jak Marya, jeno tuszyć można, że głowa mężczyzny będzie zawierała trochę mniej głupoty,—i oto spotkają się oboje w lepszej krainie, i długo wpatrywać się będą w siebie, aż w końcu kobieta wyciągnie do mężczyzny dłoń i rzecze miękkim głosem:„ Bądźmy przyjaciółmi“.

Lecz, ach, tyle czasu marnuje się przy tem, pomyślałem już wówczas, gdym stał przed łożem, na którem leżała umarła Marya, to piękne blade ciało, te pełne cichej słodyczy usta.

i nie przędą, a jednak są pyszne jak sam król Salomon w całej swej wspaniałości. Zdało mi się nawet, że widzę tam grubą owocarkę; ale gdym popatrzał lepiej, okazało się, że to jeszcze zeszłoroczna hortensya, która wnet zaczęła na mnie ujadać: „A czego tu acan chce, niedojrzały kwiecie? Ty korniszonie! Ty chamski kwiecie, z parą marnych pręcików? Ja ci tu sprawię lanie!“ Ze strachu pomknąłem do katedry i o małom co nie przewrócił po drodze starej, kulawej babki, która kazała kurzej łapce nieść za sobą książkę do nabożeństwa. W katedrze było znowu bardzo przyjemnie. Długimi rzędami siedziały georginie wszelkich kolorów i z namaszczeniem poruszały głowami. W konfesyonale siedział czarniawy burak, a przed nim klęczała kwietna łodyżka, której twarzy niepodobna było dojrzeć. Lecz zapach jej tak mi był znajomy i takim mię przejmował dreszczem, iż, rzecz dziwna, pomyślałem znowu o nocnym fiołku, co stał w pokoju, gdzie leżała umarła Marya[1]).

Kiedym wyszedł z katedry, spotkałem orszak pogrzebowy z samych róż w czarnych kwefach i z białe-

Prosiłem staruszkę, co miała czuwać przy zwłokach, ażeby położyła się w bocznym pokoju spać, a tymczasem urząd swój zdała na mnie. Bo było już po północy, no, a taka starowina z czerwonemi powiekami potrzebuje spoczynku. Nie wiem co miało znaczyć spojrzenie, które rzuciła na mnie z ukosa, odchodząc ku drzwiom, lecz przejęło mię ono strachem do głębi serca. Mały płomyk lampy drżał, nocne fiołki co stały na stole w szklance, coraz lękliwiej woń swą rozlewały.

Muszę się teraz koniecznie nagiąć do tego, by zostać materyalistą; bo gdybym miał zacząć wierzyć, że umarli nie potrzebują tak wielu milionów lat, by przyjść znowu i że już w tem życiu jadą tuż za nami, i że to w rzeczy samej umarła Marya spowiadała się z ostatnich grzechów w trydenckim tumie.. Ale dosyć o tem! Zacznę nowy rozdział i opowiem ci, o czem jeszcze śniłem w Trydencie.

[1]) W oryginale podane są inne kwiaty, których jednak nazwy dałyby w przekładzie polskim nie odpowiadające efektowi rodzaje gramatyczne (Przyp. tłom.).

mi chusteczkami do nosa. Na marach leżała, niestety, przedwcześnie rozdarta róża, ta sama, którą widziałem na piersiach małej harfiarki. Wyglądała teraz jeszcze o wiele wdzięczniej, ale cała blada, jak kreda, ot, biały trup róży. Przed małą kapliczką zdjęto trumnę; słychać było wtedy tylko płacz i łkanie, aż wreszcie wystąpił stary mak-gaduła, z długą oracyą nadgrobną, w której bajdurzył bardzo wiele o cnotach nieboszczki, o tym ziemskim padole kociokwiku, o lepszym bycie, o miłości, wierze i nadziei, a wszystko to jakimś nosowo-śpiewającym głosem,—była to, słowem, szeroko rozwodniona mowa, tak długa i nudna, że mię w końcu obudziła.

ROZDZIAŁ XXII.

Mój vetturino wcześniej niż Helios zaprzągł swoje człapaki, tak, że już około południa przybyliśmy do Ala. Tu vetturini zwykle zatrzymują się na parę godzin dla zmienienia powozu.

Ala jest już czysto włoskiem miastem. Położenie malownicze: na stoku góry, z szumem przepływa rzeka, wesoła zieleń winogradów oplata tu i owdzie potykające się jeden o drugi i połatane, o żebraczym wyglądzie, pałace. Na rogu popaczonego rynku, wielkiego, jak kurnik, stoi wołowemi literami: Piazza di San Marco. Na kamiennym odłamie wielkiej staroszlacheckiej tarczy herbowej siedział tam mały wyrostek i wyciągał dłoń po jałmużnę. Gołe słońce oświecało naiwne kontury jego pleców, a w rękach trzymał papierowego świętego, którego żarliwie przed tem całował. Małe, śliczne dziewczątko stało wpatrzone weń, tuż obok, i od czasu do czasu dęło, wtórując, w drewnianą trąbkę dziecinną.

Gospoda, w której stanąłem i jadłem obiad, była również czysto włoskiego kroju. W górze, na wysokości pierwszego piętra—wolna estrada z widokiem na dziedziniec, gdzie leżały połamane wozy i tęskne kupy gnoju, prze-

chadzały się indyczki z durnymi czerwonymi płatkami na dziobach i żebraczo-pyszne pawie, a z pół tuzina okrytych łachmanami i spalonych od słońca malców iskało się według metody Bella i Lancastra.[1]) Przez ową estradę, wzdłuż połamanej poręczy żelaznej, dochodzi się do obszernego, huczącego pokoju. Podłoga z marmuru, w pośrodku szerokie łóżko, na którem pchły wyprawiają wesele; wszędzie wspaniały brud. Gospodarz skakał dokoła mnie, pytając o rozkazy. Miał on na sobie dorywczo — zieloną kurtkę, a nad nią twarz ruchliwą, na tej zaś długi, garbaty nos z czerwoną, kosmatą brodawką, która siedziała w pośrodku, niby małpa w czerwonym kaftaniku na grzbiecie wielbłąda. Skakał dokoła mnie, a wtedy zdało się, iż czerwona małpka na jego nosie również skacze na wszystkie strony. Ale trwało z godzinę, za nim mi cośkolwiek przyniósł, a gdym klął z tego powodu, zapewniał mię, że mówię już doskonale po włosku.

Długo musiałem zadowalniać się przyjemnym zapachem pieczeni, który zalatywał ku mnie z nieodrzwionej kuchni tuż naprzeciw mnie; matka z córką siedziały tam obok siebie, skubiąc kurczęta. Pierwsza z nich była wybitnie korpulentną; piersi jej, piętrzące się arcy-obficie, były jednakże bagatelką w porównaniu z kolosalną machiną tylną, tak iż tamte tworzyły, niby dopiero Institutiones, te zaś—ich szerokie rozwinięcie, w postaci Pandektów. Córka, niezbyt wielka, ale krzepko zbudowana osoba, zdradzała także skłonności do dobrej tuszy, lecz jej kwitnącego tłuszczu nie można było żadną miarą porównać ze starem sadłem matki. Rysy jej twarzy nie były łagodne, ani młodzieńczo ponętne, ale ładnie odmierzone, szlachetne, antyczne. Pukle i oczy paląco czarne. Natomiast matka miała rysy płaskie, tępe, szkarłatny, jak róża, nos, oczy niebieskie, jak fiołki w mleku gotowane, i włosy białe od pudru niby „lilie“. Kiedyniekiedy wbiegał il signor padre, pytając o jakiś sprzęt lub naczynie, i odbierał spokojne polecenie recitativem, ażeby sobie sam poszukał. Wówczas cmoktał językiem, gmerał w szafach, kosztował z gotujących się garnków, parzył sobie gębę, znowu wybiegał, a z nim jego noso-wielbłąd i czerwona małpka. Za nim zaś rozlegały się najweselsze tryle, niby drwinki i familijne przekomarzania się.

[1]) System Bella i Lancastra polega na metodzie wzajemnego uczenia się.

Lecz to zaciszne, prawie sielankowe gospodarstwo przerwały nagle gromy i błyskawice; krępy, jak pień, chłop z rozszczekaną fizyonomią wisielca wpadł, wywrzaskując coś, czego nie zrozumiałem. Gdy obie kobiety przecząco potrząsały głowami, wpadł w najszaleńszą wściekłość i ział ogniem i płomieniem, jak mały Wezuwiuszek, gdy się złości. Gospodynię zdjął, snadź, strach, bo zaczęła szeptać coś, by go udobruchać; słowa jej jednak miały skutek wręcz przeciwny, tak iż rozjuszony pochwycił żelazną szuflę, potłukł kilka nieszczęsnych talerzy i daszek, potłukłby też biedną kobietę, gdyby córka nie pochwyciła długiego kuchennego noża, grożąc, iż go zakłuje, jeśli się w tej chwili nie wyniesie.

Ładny był to widok: dziewczyna stała tak blado-żółta i z gniewu zesztywniała, jak posąg marmurowy, wargi również blade, wejrzenie głębokie i mordercze, sina, nabrzmiała żyła w poprzek czoła, czarne warkocze, jak fruwające żmije, a w rękach zakrwawiony nóż—ciarki mię przechodziły z rozkoszy, bo oto patrzyłem na obraz Medei, we własnej jej osobie, tak, jak go marzyłem nieraz owych młodzieńczych nocy, kiedym to zdrzemywał się na kochanem sercu Melpomeny, mrocznie pięknej bogini.

Przez cały ciąg tej sceny, signor padre nie wyszedł ani na chwilkę ze swej kolejki, ze skrzętnym spokojem ducha pozbierał skorupy z podłogi, zebrał pozostałe jeszcze przy życiu talerze, przyniósł mi zupę z parmezanem, pieczyste twarde i łykowate, jak niemiecka wierność, raki czerwone, jak miłość, szpinak zielony, jak nadzieja z jajami, a na

wety—pieczone cebule, które wycisnęły mi z oczów łzy rozrzewnienia. To nic nie znaczy, to tylko zwykła metoda Pietra, rzekł, gdy zdziwiony wskazałem na kuchnię, i w rzeczy samej, jak tylko sprawca zatargu oddalił się, rzekłbyś, iż tam nic nie zaszło: matka z córką siedziały znowu spokojnie i jak przedtem śpiewały i skubały kurczęta.

Rachunek przekonał mię, że i signor padre był majstrem w skubaniu, a gdym, mu, pomimo to, oprócz zapłaty dał coś „na dobry początek“, kichnął zadowolony tak mocno, że małpka omal nie spadła ze swego siedzenia. Następnie skinąłem uprzejmie głową w stronę kuchni—uprzejmie się odkłoniono; po chwili siedziałem w świeżym powozie, zjechałem szparko w dolinę lombardzką i ku wieczorowi przybyłem do prastarego, sławnego na świat cały miasta Werony.

ROZDZIAŁ XXIII.

Chaotyczna siła nowych zjawisk w Trydencie budziła we mnie jeno mgliste przeczucia, lecz w Weronie opanowała mię z potęgą gorączkowego widziadła, pełnego gorących barw, ostro zarysowanych kształtów, majaczejących odgłosów trąb i dalekiego szczęku broni. Nie jeden odrapany pałac patrzył tam na mnie dziko, jak gdyby chciał mi powierzyć starą tajemnicę; jeno bał się natarczywego zgiełku ludzi, białego dnia i prosił mię, ażebym przyszedł raz jeszcze, w porze nocnej. Jednakże mimo wrzawę uliczną i naprzekór słońcu, co w nią wlewało czerwone swoje światło, tu i owdzie stara, ciemna wieżyca rzuciła mi znaczące słówko, tu i owdzie pochwyciłem szelest rozwalonych posągów, no, a gdym przechodził przez małe schodki wiodące do Piazza dei Signori, głazy opowiadały mi krwawą, okropną historyę, a na rogu wyczytałem: Scala Ammazzati.

Werona, prastare, sławne na świat miasto, położone po obu brzegach Adygi, była zawsze niejako pierwszą stacyą dla germańskich plemion wędrownych, które rzucały swe

północne, zimne bory, przechodziły Alpy, by poigrać sobie w złocistem słońcu uroczej Italii. Jedni pociągnęli dalej, innym dosyć przypadła do smaku i ta miejscowość i urządzili się w niej po domowemu, wygodnie; przywdziali i nosili po domu jedwabne szaty i krzepili się spokojną śród kwiatów i cyprysów przechadzką, póki nowi przybysze, którzy mieli jeszcze na sobie żelazną swą odzież, nie nadeszli z północy i nie wyparli ich—historya to, co się powtarzała często, i u dziejopisów nosi miano wędrówki narodów. Gdy się przechodzi teraz przez terytoryum Werony, znajduje się wszędzie awanturnicze ślady owej doby, zarówno jak ślady dawniejszych i późniejszych czasów. Rzymian przypomina szczególnie amfiteatr i łuk tryumfalny; czasy zaś Toodoryka[1]), Dietricha z Bernu, o którym niemcy dotąd jeszcze śpiewają i bają, przywodzą na pamięć bajeczne szczątki niejednej byzantyjsko-przedgotyckiej budowli, dziwaczne zwaliska przypominają króla Alboina i jego szalonych longobardów; bogate sagami, pomniki przypominają Karola Wielkiego, którego paladynów u furty katedry dłuto wykuło również frankońsko-twardymi, jak byli pewno za życia. Zdaje się nam, jakoby miasto było jedną wielką oberżą, i że jak w gospodach wypisuje się zwykle swoje imię na ścianach i oknach, tak i tam każdy naród zostawił po sobie ślady swej obecności, co prawda, częstokroć pismem najnieczytelniejszem; niejeden bowiem szczep niemiecki nie umiał jeszcze pisać i musiał sobie radzić w ten sposób, iż na pamiątkę burzył coś, i to wystarczało zresztą, gdyż te rumowiska przemawiają

---

[1]) Teodoryk Wielki, król ostgotów, zwyciężył (30 września 489 r.) w bitwie pod Weroną Odoakra, poczem opanował Italię pod imieniem Dytrycha z Bernu (Bern=Verona)—stał się on, jak wiadomo, punktem ogniskowym legendy bohaterskiej niemców. Alboin, założyciel państwa longobardów w Italii, wtargnął 572 r. do Werony. Wr. 774 miasto zdobyte zostało przez Karola Wielkiego.

jeszcze dobitniej, niż ozdobne litery. Barbarzyńcy, co teraz rozłożyli się obozem w starej oberży, nie omieszkają ze swojej strony zostawić po sobie takich samych pomników miłego swego pobytu; nie mają bowiem rzeźbiarzów i poetów, ażeby łagodniejszymi sposobami uwiecznić się w pamięci ludzkości.

Bawiłem w Weronie jeden tylko dzień, w ustawicznym podziwie nad niewidzianem nigdy—to z oczami wlepionemi w starożytne budowle, to zapatrzony w ludzi, którzy snuli się między niemi w tajemniczym pośpiechu, to wreszcie znowu w bosko-błękitne niebo, które obejmowało przedziwną tę całość, niby drogocenna rama i tem niejako wypiękniało ją w obraz. Ale dziwne to, gdy sami tkwimy w obrazie, któryśmy właśnie oglądali, i gdy miejscami uśmiechają się do nas figury jego—w dodatku kobiece, jak to się mnie przyjemnie zdarzyło na Piazza delle Erbe. Jestto mianowicie rynek warzywny, a było na nim poddostatkiem postaci zabawnych, kobiet i dziewcząt, tęsknych twarzy o wielkich oczach, słodkich, pieszczotliwych ciał, ponętnie żółtawych, naiwnie brudnych, stworzonych raczej dla nocy, niż dla dnia. Biała lub czarna gaza, którą kobiety miejskie noszą na głowach, była tak przebiegle na piersiach zawiązaną, że piękne formy uwydatniała raczej, niż zasłaniała. Służące miały warkocze, przekłute jedną lub kilkoma złotemi strzałami, albo też srebrnym pręcikiem z główką w kształcie żołędzi. Wieśniaczki po największej części nosiły małe, talerzykowate kapelusze słomkowe z zalotnymi kwiatami, przypięte do jednej strony głowy. Ubranie mężczyzn mniej już różniło się od naszego, i tylko olbrzymie, czarne, bokobrody, krzaczysto wyłażące z za krawata, trochę mię tutaj, gdziem tę modę po raz pierwszy zauważył, raziły.

Obejrzeć było trochę dokładniej tych ludzi, mężczyzn, zarówno jak i kobiety, to wnet odkrywało się w ich licach i w całej osobie ślady cywilizacyi, która się tem różni od naszej, że nie powstała ze średniowiecznego barbarzyństwa, jeno pochodzi aż z czasów rzymskich, że nigdy nie była całkiem wytępiona, i tylko za każdym razem modyfikowała się, według charakteru wielkorządcy, Cywilizacya u tych ludzi nie ma zgoła tak uderzająco nowej politury, jak u nas, gdzie dębowe pniaki dopiero wczoraj zostały ociosane i wszystko trąci jeszcze werniksem. Zdaje się nam, jakoby to rojowisko ludzkie z Piazza delle Erbe w toku dziejów tylko stopniowo zmieniało surduty i sposób mowy, duch zaś obyczajów mało co się tam zmienił. Budynki jednak, co plac ten okalają, chyba nie tak łatwo były w stanie postępować razem z czasem; niemniej przeto wyglądają wdzięcznie, a ich widok dziwnie porusza naszą duszę. Oto stoją tam wysokie pałace w stylu wenecko-lombardzkim, a na nich bez liku balkonów i uśmiechniętych fresków; w pośrodku wznosi się pojedyńcza kolumna pamiątkowa, wodotrysk i jakaś kamienna święta; tu widać pomalowanego fantazyjnie w białe i czerwone pasy podestę, jak sterczy butnie za potężną bramą z filarów; tam znowu dostrzegasz starą, czworokątną wieżę kościoła, na której wskazówka i tarcza zegara do połowy zrujnowane, tak, iż wygląda to, jak gdyby czas chciał sam siebie unicestwić. A nad całym placem ściele się ten sam romantyczny czar, co nas tak uroczo zawiewa z fantastycznych poematów Ludovica Ariosta albo Ludovica Tiecka. W pobliżu placu stoi dom, który uważają za pałac Kapuletów, z racyi kapelusza, wykutego z kamienia nad bramą wewnętrzną. Dziś jestto brudna knajpa dla furmanów i stangretów, a jako szyld zajazdu, wisi przed nią czerwony, przedziurawiony kapelusz blaszany.

Nieopodal pokazują w kościele kaplicę, w której według podania nieszczęsna para kochanków była zaślubiona. Poeta zwiedza chętnie takie miejsca, choć sam uśmiecha się na łatwowierność swego serca. Znalazłem w tej kaplicy samotną kobietę, mizerne, wyblakłe stworzenie; po długiem klęczeniu i modłach wstała ona, z cho-

rych, cichych oczów rzuciła na mnie zdziwione spojrzenie, i wreszcie, na ciele złamana, wyszła, chwiejąc się.

I grobowce Scaligerów [1]) są niedaleko Piazza delle Erbe. Są one tak piękne i wspaniałe, jak ten ród sam, i szkoda, że stoją w ciasnym kącie, gdzie się muszą po prostu pchać jeden na drugi, ażeby zajmować możliwie mało miejsca, i gdzie nie wiele go zostaje dla oglądającego, któryby chciał je dokładnie obejrzeć. Doznajemy wrażenia, jak gdybyśmy patrzyli tutaj na upostaciowaną rolę tego rodu w dziejach—i ta bowiem zapełnia jeno mały kącik w dziejach ogólno-włoskich, lecz kącik ten jest cały zatłoczony świetnością czynów, wielkodusznością i wspaniałością dumną. Jakimi w historyi, takimi widzimy ich na monumentach: są to dumni, spiżowi rycerze na spiżowych rumakach, a po nad wszystkich wspaniałym jest Can Grande, stryj i Mastino, synowiec.

ROZDZIAŁ XXIV.

O amfiteatrze werońskim pisało już wielu; ma się tam dosyć miejsca na rozpamiętywania, a nie ma rozpamiętywań, którychby nie można było wpleść w krąg tego sławnego dzieła budownictwa. Jest ono całe budowane w owym poważnym stylu faktów, którego piękno polega na skończoności i mocy, i jak wszystkie gmachy publiczne rzymian. wypowiada z siebie ducha, który nie jest niczem innem, jak duchem samego Rzymu. A Rzym? Któż jest na tyle zdrowym nieukiem, ażeby na imię to nie zabiło mu serce, albo przynajmniej groza tradycyi nie wstrząsnęła jego inteligencyą? Co do mnie, to przyznaję, że więcej było trwogi, niż radości w uczuciu, jakiego doznałem na myśl, iż wkrótce błądzić będę po ziemi dawnej Romy. Dawna Roma jest przecie teraz

[1]) Sławny ród arystokratyczny we Włoszech; panował nad Veroną od 1260 do 1387. Cangrande, który od 1311 do 1320, sam rządził, był najszczęśliwszym z domu tego władcą; Mastino II, ze synem swym, Albertem II, byli zwycięskimi jego następcami.

martwa, uspokajałem truchlejącą duszę, a ty oto masz rozkosz przyglądać się jej trupowi, bez żadnego niebezpieczeństwa. Lecz wówczas znowu budziła się we mnie Falstaffowska obawa. A nuż ona nie jest całkiem martwą i tylko taką udaje, i nuż zerwie się nagle—ach, to byłoby okropne!

Gdym zwiedzał amfiteatr, grano w nim akurat komedyę; w pośrodku ustawiona była niewielka buda drewniana, a na niej przedstawiano jakąś farsę włoską, widzowie zaś siedzieli pod gołem niebem, poczęści na małych krzesełkach, a poczęści na wysokich ławach kamiennych dawnego amfiteatru. Owóż siedziałem tam i widziałem Brighellów i Tartagliów, małpujących w tem samem miejscu, gdzie ongi siadywał rzymianin i przypatrywał się swym gladyatorom i walkom zwierząt. Niebo nademną—lazurowa czara z kryształu, było to samo, co wtedy. Zciemniało się powoli, wybłyskały gwiazdy. Truffaldino śmiał się, Smeraldina kawęczała, przyszedł wreszcie Pantalone i połączył ich dłonie. Naród bił brawo i wrzeszcząc z zadowolenia, zaczął się wynosić. Cała gra nie kosztowała ani kropli krwi. Ale to była jeno gra. Natomiast igrzyska rzymian nie były igrzyskami; ci mężowie nie umieli się nigdy bawić samymi pozorami: brakło im do tego dziecięcej pogody ducha i jak wogóle byli poważni, tak i w igrzyskach ich ujawniała się najrzeczywistsza, najkrwawsza powaga. Nie byli oni ludźmi wielkimi, lecz przez stanowisko swoje byli więksi od innych synów ziemi, albowiem stali na Rzymie. Z chwilą, gdy schodzili z siedmiu wzgórz, stawali się maluczkimi. Stąd owa maluczkość, którą odkrywamy wszędzie, gdzie się wypowiada ich życie prywatne. A Herkulanum i Pompei, owe palimpsesty natury, kędy nanowo odgrzebują stary tekst głazów, ukazują podróżnemu prywatne życie rzymian w małych domkach i maleńkich izdebkach, które tak uderzający tworzą kontrast z owemi kolosalnemi budowlami, co wyrażały życie publiczne, z owymi teatrami, akweduktami, studniami, traktami, mostami, które choć w ruinach, dziś jeszcze wprawiają nas w zdu-

mienie. Otoż to właśnie. Jak grek jest wielki przez ideę sztuki, hebrajczyk przez ideę najświętszego Boga, tak rzymianie są wielcy przez swą ideę wiecznej Romy, wielcy wszędzie, gdzie tą ideą natchnieni walczyli, pisali i budowali. Im większym był Rzym, im bardziej rozszerzała się ta idea, tem bardziej jednostka w niej ginęła; wielkich, co jeszcze wystają ponad innych, tylko ta idea utrzymuje i ona to czyni maluczkość małych jeszcze widoczniejszą. Dlatego też rzymianie byli zarazem największymi bohaterami i największymi satyrykami: bohaterami, gdy działali, myśląc o Rzymie, satyrykami zaś, gdy myśląc o Rzymie, osądzali czyny swoich spółczesnych. Mierzona taką ogromną skalą, skalą idei Rzymu, nawet największa osobistość musiała wydawać się karłowatą i tem samem iść na pastwę drwinkom. Tacyt jest w tej satyrze mistrzem najokrutniejszym, właśnie dlatego, iż wielkość Rzymu i małość ludzi odczuwał najgłębiej. Jest on akurat w swoim żywiole, ilekroć może nam zdać sprawę, co złośliwe języki rezonowały na forum o takim a takim czynie haniebnym imperatora; nie na żarty zajadłym i szczęśliwym jest, gdy może opowiedzieć o jakimś senatorskim b l a m a g e'u, o chybionem dajmy na to pochlebstwie.

Długom spacerował jeszcze po ławach kamiennych w górze amfiteatru, wdumany w przeszłość. Jak wszelkie budowle w świetle wieczornem najlepiej uwidoczniają goszczącego w nich ducha, tak samo i te mury opowiadały mi głęboko-poważne rzeczy w swym fragmentowo-lapidarnym stylu: mówiły mi o mężach starego Rzymu, i było mi wtedy tak, jak gdybym widział ich samych snujących się pode mną białemi marami w ciemnościach cyrku. Było mi tak, jak gdybym widział Grakchów z ich pałającemi oczyma męczenników. Tibery Semproniuszu,[1]) wołałem z góry, bedę głosował z tobą za prawem agrarnem! I Cezara widziałem: snuł się ręka w rękę z Brutusem. Co, znowuście pojednani?—zawołałem. Obadwaj myśleliśmy, że mamy racyę,—zaśmiał się do mnie z dołu Cezar—jam nie wiedział, że istnieje jeszcze jaki rzymianin i dlatego czułem się w prawie Rzym wpakować sobie do kieszeni, a że mój syn, Marek Brutus był właśnie tym rzymianinem, więc czuł się w prawie z tego powodu zgładzić mię. Za tymi obydwoma przekradał się Tyberyusz Nero, mając nogi ze mgły i niewyraźne miny. Widziałem też snujące się tam kobiety, a między niemi i Agrypinę z jej pięknem, chciwem władzy obliczem; wyglądało ono przedziwnie wzruszająco, niby stare popiersie z marmuru, w którego rysach ból się przebija, jakby skamieniały. Kogo szukasz, córo Germanika? Jużem zasłyszał jej skargi,—wtem ozwał się nagle głos sygnaturki i fatalne bębnienie capstrzyka. Dumne duchy ziemskie zniknęły, i byłem znowu cały w chrześcijańsko-austryackiej teraźniejszości.

[1]) Tyberyusz Grakchus (163 przed Chr.) wniósł projekt do prawa, ażeby nikomu nie było wolno posiadać więcej nad 500 morgów z państwowych gruntów Rzymu (ager publicus).

ROZDZIAŁ XXV.

Na placu La Bra, jak się tylko zciemni, spaceruje piękny świat Werony,[1]) albo też siedzi tam na małych krzesełkach przed budami kawiarń, łykając sorbet i chłód wieczorny i muzykę. Siedzi się tam doskonale—rozmarzone serce kołysze się na słodkich tonach i odbrzmiewa echem. Niekiedy też, niby odurzone snem, zrywa się, chwiejąc, gdy zagrają trąby, i zaczyna wtórować całej orkiestrze.

[1]) Cangrande Weroński—nazywa się właściwie Francesco della Scala; przydomek Cane (pies) sprowadzano do snu, jaki miała podobno przed urodzeniem go matka, w którym widziała go psem, szerzącym postrach po całej ziemi. Ten to Cangrande był wielkodusznym obrońcą Danta, gdy ten ostatni przybył około 1317 do Verony. Antonio della Scala był ostatnim władcą z familii Scaligerów, wypartym z Werony 1387.

Wtedy znowu wstępuje w nas otucha słoneczna, uczucia i wspomnienia o czarnych, głębokich, oczach, wykwitają wielkiem kwieciem, a po nad niemi przeciągają myśli, niby chmary obłoków—dumnie, pomału i wiekuiście.

Aż do późna po północy błądziłem ulicami Werony, które się stopniowo wyludniały i przedziwnie odbrzmiewały. W pół-świetle miesiąca mgławiły się budynki ze swemi rzeźbami i niejedna twarz marmurowa patrzyła na mnie, blada i bolesna. Szybko minąłem grobowce Scaligerów; bo zdało mi się, iż Can Grande, on, co tak grzeczny był zawsze dla poetów, chce zsiąść ze swego rumaka, by towarzyszyć mi, jako przewodnik. Siedź, siedź! zawołałem doń, nie potrzebuję ciebie, serce moje jest najlepszym cicerone, opowiada mi ono na każdym kroku historye, jakie się działy w tych domach—a opowiada je wiernie aż do samych imion i dat.

Kiedym doszedł do rzymskiego łuku tryumfalnego, mignął akurat pod nim czarny mnich, a dalej rozległo się niemiecko-burkliwe: „Wer da?“—„Gut Freund!“ odkwiknął zadowolony dyszkant.

Lecz do jakiej kobiety należał głos, co tak słodko a złowrogo przeniknął w duszę moją, kiedym wchodził na górę po Scala Ammazzati? Był to śpiew, jak gdyby z piersi konającego słowika, śmiertelnie tkliwy—obijał się o kamienne gmachy, jakby wzywając pomocy. W tem miejscu Antonio della Scala zamordował swego brata Bartolomea, w chwili, gdy ten wybierał się właśnie do swej ukochanej. Serce moje mówiło mi, że siedzi ona wciąż jeszcze w swojej świetlicy, i oczekuje ukochanego i śpiewa tylko dla tego, ażeby zagłuszyć trwożne swoje przeczucia. Ale wnet śpiew i głosy wydały mi się tak znajomemi; jam słyszał już dawniej te jedwabiste, wstrząsające, krwią płaczące tony; omotywały mię one, jak miękkie, błagalne wspomnienia, i „O, ty głupie serce, rzekłem do siebie samego, czyliż nie poznajesz pieśni o chorym królu murzynów, którą tak często śpiewała umarła Marya? A sam głos—czyliż nie poznajesz głosu Maryi umarłej?“

Przeciągłe tony gnały mię przez wszystkie ulice, aż do hotelu Due Torre, aż do sypialni, aż do sennego widziadła.—I otom widział znowu słodkie—umarłe moje życie, jak leżało piękne i bez ruchu; stara praczka oddaliła się, rzuciwszy z ukosa zagadkowe spojrzenie, fiołek nocny rozlewał swą woń, ja całowałem znowu drogie usta, a urocze zwłoki uniosły się powoli, by mi pocałunek oddać.

Gdybym tylko wiedział, kto zgasił światło!

ROZDZIAŁ XXVI.

„Znasz kraj, kędy cytryny kwiecie lśni?“ [1]).

Znasz tę pieśń? Całe Włochy są w niej odmalowane, ale wzdychającemi farbami tęsknoty. W swej podróży włoskiej Goethe wyśpiewał ją nieco obszerniej, a gdy on maluje, to trzyma oryginał przed oczyma, i można mu zaufać, iż rysunek i koloryt będą wierne. Dla tego też uważam za dogodne napomknąć tu raz na zawsze o podróży włoskiej Goethego, tem bardziej, że do Werony odbył on tę samą drogę, na Tyrol. Mówiłem już o owej książce przedtem, zanim poznałem materyę, o której ona traktuje, i teraz znajduję zapełne potwierdzenie tego, com sądził, przeczuwając. Widzimy tam bowiem wszędzie istotne zrozumienie i spokój natury. Goethe trzyma przed nią zwierciadło, albo lepiej mówiąc, sam jest zwierciadłem natury. Natura chciała wiedzieć, jak wygląda i stworzyła Goethego. Nawet myśli, intencye natury potrafił on nam odzwierciedlić i zapalonemu Goethejczykowi nie można, zwłaszcza podczas kanikuły, brać za złe, gdy tożsamością lustrzanych odbić i objektów zdumiewa się tak bardzo, że przyznaje zwierciadłu nawet siłę twórczą, siłę stwarzania takich samych

---

[1]) Z ballady „Mignon“ w „Latach nauki Wilhelma Meistra“, III. I. Porów. Goethego—dzieł t. I. str. 101.

objektów. Niejaki pan Eckermann [1]) napisał sobie o Goethem książkę, w której całkiem poważnie zapewnia: „Gdyby miły Bóg przy stwarzaniu świata rzekł był do Goethego: „Kochany Goethe, jużem się, chwała Bogu, załatwił; stworzyłem wszystko, prócz ptaków i drzew, i wyświadczyłbyś mi miłość, gdybyś zechciał za mnie stworzyć jeszcze te bagatelki,"—wówczas Goethe byłby stworzył te zwierzęta i rośliny również dobrze, jak miły Bóg, i całkiem w duchu reszty stworzenia, a mianowicie ptactwo z pierzem a drzewa—zielonemi".

Jest coś prawdy w tych słowach i jestem nawet zdania, że niekiedy Goethe zrobiłby swoją rzecz jeszcze lepiej, niż sam miły Pan Bóg, i że np. pana Eckermanna stworzyłby daleko właściwiej, również z pierzem i na zielono. Jestto rzeczywiście błąd stworzenia, że na głowie pana Eckermanna nie rosną zielone pióra, i Goethe postarał się zaradzić brakowi przynajmniej w ten sposób, że wypisał dlań z Jeny kapelusz doktorski i własnoręcznie nasadził mu go na głowę. [2]),

Obok podróży włoskiej Goethego, godne są polecenia Włochy pani Morgan [3]) oraz pani de Staël Corinna. Jeśli paniom tym nie dopisuje talent potrzebny do tego, ażeby sie przy Goethem nie wydawały zbyt nikłemi, to wynagradzają go męskim sposobem myślenia, czego

[1]) J. P. Eckermann (1792—1854) znany ze swego stosunku z Goethem. Wyżej zacytowana książka nosi tytuł: „Przyczynki do poezyi" ze szczególnem uwzględnieniem Goethego (Stutgard, 1823.) Gdy z okazyi jubileuszu Goethego w listopadzie 1825 wydział filozoficzny w Jena przyznał poecie prawo obdarzenia dwu młodych ludzi tytułami doktorskimi, ten wybrał Eckermanna i Nicolovius'a, swego „zimnego" synowca.

[2]) Następujący urywek od „obok podróży włoskiej Goethego" do końca rozdziału w wydaniu francuskiem nie istnieje.

[3]) Lady Morgan (1783—1859). Książka jej Italy (Londyn, 1821) wzbudziła powszechne zajęcie.

brak tamtemu. Albowiem pani Morgan przemawiała jak mąż: słowa jej skorpionami wpijały się w serca zuchwałych żołdaków; mężne i słodkie były tryle tego trzepocącego się słowika wolności. Podobnież jak wiadomo każdemu, pani de Staël była bardzo miłą markietanką w wojsku liberałów i przebiegała mężnie szeregi walczących ze swą beczułką entuzyazmu i krzepiła zmęczonych, i walczyła sama z nimi, lepiej, niż najlepsi.

Co się tyczy opisów podróży włoskich wogóle, to dawno już temu W. Müller zrobił ich przegląd w „Hermesie" [1]) Ich liczba — legion. Między starszymi pisarzami niemieckimi, w gałęzi tej najwięcej zasługują na wyróżnienie, dla ducha swego lub oryginalności: Moritz, Archenholz, Bartels, dzielny Seume, Arndt, Meyer, Benkowitz i Rehfues. Nowszych znam mniej, a już niewielu z nich przyniosło mi zadowolenie i korzyść. Z tej liczby wymienię przedwcześnie zmarłego W. Müllera „Rzym, Rzymianie i Rzymianki"—ach, to był poeta niemiecki!— następnie podróż Kephalidesa, cokolwiek za sucha, dalej Lessmanna „Listki cisalpejskie," cokolwiek za wodniste, i w końcu „Podróże do Włoch od 1822: Fryderyka Thierscha, Lud. Schorna, Edwarda Gerhardta i Leona von Klenze" (dzieła tego wyszła dopiero jedna część, i zawiera ona głównie wiadomości pióra mojego kochanego, szlachetnego Thierscha, którego humanitarne oko wyziera z każdego wiersza).

ROZDZIAŁ XXVII.

Znasz kraj, kędy cytryny kwiecie lśni,
Pomarańcz złoto w ciemnych liściach skrzy,
Błękitny strop łagodny zsyła wiew
Na wzniosły laur i mirtu cichy krzew,

[1]) Porów. „Hermes'a", 1821, str. 247 i dalsze, gdzie artykuł Wilhelma Müllera: „Notatki podróżne o Włoszech."

Czy znasz ten kraj?
Ach, tam, o luby mój,
Uciec wraz z tobą—to błogości zdrój![2])

Tylko nie jedź czasem w początkach sierpnia, kiedy to we dnie można być przez słońce usmażonym, a w nocy przez pchły zjedzonym. Radzę ci także, kochany mój czytelniku, żebyś z Werony do Medyolanu nie jechał powozem pocztowym.

Jechałem, w towarzystwie sześciu bandytów, rozlazłą karocą, która w skutek nazbyt już okropnego kurzu, była ze wszech stron tak szczelnie zamkniętą, że nie wiele dostrzedz mogłem z piękności okolicy. Jedynie dwa razy, zanim dojechaliśmy do Brescii, sąsiad mój uchylił skórzanego fartucha, ażeby wyjrzeć na świat. Za pierwszym razem nie widziałem nic, prócz kilku spotniałych jodeł, które w swych zielonych tużurkach zimowych zdawały się wiele cierpieć z łaski parnego skwaru słonecznego; za drugim razem ujrzałem skrawek cudnie przezroczego błękitu jeziora, w którem przeglądało się słońce i chudy grenadyer. Ten ostatni narcyz austryacki dziwował się z dziecięcą radością, iż odbicie wszystko wiernie powtarzało po nim, gdy prezentował broń, brał ją na ramię albo składał się do strzału.

O Brescii również nie wiele mogę opowiedzieć, gdyż czas mojego tam pobytu poświęciłem na spożycie dobrego pranzo. Nie można biednemu turyście mieć za złe, iż głód ciała zaspokaja prędzej, niż głód ducha. Byłem jednak na tyle sumiennym, iż zanim zasiadłem znowu do powozu, wypytałem mego camerriere o pewne dane, dotyczące Brescii, i tym sposobem dowiedziałem się, między

[2]) Jak wiadomo Mickiewiczowskie Wezwanie do Neapolu jest bardzo swobodnem naśladowaniem, nie zaś przekładem ballady Goethego. Przytoczenie go wymagałoby w dalszym ciągu pewnej zmiany w tekście samego Heinego (*Przyp. tłom.*).

innemi, iż miasto posiada 40000 mieszkańców, ratusz, dwadzieścia i jednę kawiarń, dwadzieścia kościołów katolickich, dom waryatów, synagogę, menażeryę, więzienie, szpital, również dobry teatr i szubienicę dla złodziejów, kradnących mniej, niż 100,000 talarów.

O północy przybyłem do Medyolanu i zajechałem do pana Reichmanna, niemca, który urządził swój hotel całkiem na sposób niemiecki. Ma to być najlepsza gospoda w całych Włoszech, mówili mi niektórzy znajomi, których tam odnalazłem i którzy o włoskich gospodarzach i pchłach wyrażali się bardzo nieprzychylnie.[1]) Słyszałem tam tylko same gorzkie historyjki o włoskiem łapichłopstwie, a szczególnie Sir William klął i zapewniał, że jeśli Europa jest głową świata, to Włochy są narządem złodziejskim tej głowy. Biedny baronet zapłacić musiał w Locanda Croce bianca w Padwie ni mniej ni więcej tylko dwanaście franków za chude śniadanko, a w Vicenzy ktoś wymógł na nim napiwek za podniesienie rękawiczki, którą upuścił przy wsiadaniu do powozu. Jego wuj, Tom twierdził, że wszyscy włosi są złodzieje, z tem jedynie ograniczeniem, że nie kradną. Gdyby miał wygląd trochę sympatyczniejszy, zrobiłby także spostrzeżenie, iż i wszystkie włoszki są złodziejkami. Trzecim w związku był niejaki Mister Liver, którego zostawiłem w Brighton, jako młodego ciołka, a teraz znalazłem znowu w Medyolanie, jako boeuf à la mode. Ubrany był całkiem jak dandy i nie widziałem nigdy człowieka, któryby potrafił lepiej figurą swoją wytwarzać same kąty. Gdy zatykał swoje krzciuki za pachy kamizelki, to zarazem i napięstkiem i każdym paleem robił parę kątów; ba, nawet jego gęba była otwarta czworokątnie. A do tego

[1]) Ustęp od: „Słyszałem tam tylko“ do „był niejakiś mister“ nie istnieje w wydaniu francuskiem. Tam ostatnie zdanie zaczyna się od słów: „W owym hotelu Reichmanna odnalazłem jedną znajomość angielską, niejakiego Mister Liver'a.“

jeszcze kątowata głowa, z tyłu wązka, u góry spiczasta, z krótkiem czołem i bardzo długim podbródkiem. Między znajomymi anglikami, których ujrzałem znów w Medyolanie, była także gruba ciotka Liver'a; stoczyła się ona z Alp, jak lawina tłuszczu, w towarzystwie dwu śnieżnobiałych, śnieżnozimnych, śnieżnogąsek miss Poly i miss Molly

Nie pomawiaj mię o anglomanię, miły czytelniku, że w tej książce bardzo często mówię o anglikach — jest ich dzisiaj we Włoszech zbyt wielka moc, by ich można było prześlepić; przeciągają przez kraj całemi chmarami, obozują we wszystkich hotelach, biegają wszędzie dokoła, żeby wszystko widzieć, i niepodobna sobie wystawić we Włoszech cytrynowego drzewa bez angielki obwąchującej je, ani galeryi bez kopy anglików, pędzących po niej ze swymi guide'ami w rękach, i sprawdzających, czy istnieje jeszcze to wszystko, co książka podaje, jako godne widzenia. Gdy się widzi, jak ów naród z blond włosami i czerwonemi policzkami ciągnie przez Alpy i zjeżdża Włochy wzdłuż i wszerz, a z nim jego lśniące kozły, gromada pstrych lokajów, rżące wyścigowce, pokojówki w zielonych woalkach i inne jeszcze drogocenne naczynia, ciekawe i wypucowane, — wówczas zdaje się, że to jakaś elegancka wędrówka narodów. I w rzeczy samej, syn Albionu, chociaż nosi czystą bieliznę i za wszystko płaci gotówką, jest jednakże ucywilizowanym barbarzyńcem w porównaniu z włochem, który zdradza raczej przechodzącą w barbarzyństwo cywilizacyą. Tamten okazuje w swoich obyczajach powściąganą surowość, ten wyuzdaną finezyę. A cóż dopiero te blade twarze włoskie, w oczach cierpiące białka, chorobliwie delikatne usta, jakże skrycie wytworne są one w obec sztywnych twarzy brytańskich z ich plebejsko-czerwonem zdrowiem! Cały naród włoski jest wewnętrznie chory, a ludzie chorzy są doprawdy zawsze wyżsi od zdrowych; bo tylko chory człowiek jest człowiekiem: jego członki mają całą historyę swoich cier-

pień, są przeduchowione. Myślę nawet, że zwierzęta przez walkę z cierpieniem mogłyby się stać ludźmi; widziałem raz konającego psa, który w swych mękach przedśmiertnych patrzył na mnie prawie po ludzku.

Bolesny wyraz twarzy najwidoczniejszy jest u włochów, gdy się z nimi mówi o niedoli ich ojczyzny, a do tego nie brak w Medyolanie sposobności. Jestto najboleśniejsza rana w piersi włochów i najlżejsze dotknięcie jej wstrząsa nimi całymi. Mają oni nadto jakiś sposób wzruszania ramionami, napełniający nas dziwną litością. Jeden z moich brytańczyków uważał włochów za politycznie indyferentnych, ponieważ zdawali się słuchać obojętnie, jak my, obcy politykujemy o emancypacyi katolików i wojnie tureckiej, i był na tyle niesprawiedliwy, że się o tem drwiąco wyraził do bladego włocha z czarną, jak smoła, brodą. A poprzedniego wieczoru byliśmy w La Scala na przedstawieniu nowej opery i słyszeliśmy wycia zarzynanych, jakie według zwyczaju miewają miejsce przy podobnych okazyach. Wy, włosi, rzecze brytańczyk do bladego, umarliście już chyba dla wszystkiego prócz muzyki; ona tylko jeszcze potrafi was ożywić.—Krzywdzisz nas pan, odpowie blady i wzrusza ramionami. Ach!—dodał z westchnieniem—elegijnie marząc, siedzi Italia na swych ruinach, a gdy niekiedy na melodyę pieśni ocknie się nagle i zerwie burzliwie, zapał ten nie odnosi się do samej pieśni, lecz raczej do dawnych wspomnień i uczuć, które również zbudziła owa pieśń, które Italia zawsze w sercu swem nosiła i które teraz potężnie zawrzały—oto, co oznaczał dziki wrzask, któryś pan słyszał w La Scala. [1])

Może to wyznanie objaśnia poniekąd i ów entuzyazm, jaki z tamtej strony Alp budzą wszędzie opery Rossiniego albo Meyerbeera. Jeślim kiedykolwiek widział wściekliznę

---

[1]) Ustępu od „Może to wyznanie“ do „furore“ nie ma w wyd. francuskiem.

ludzką, to było to wówczas, gdy dawano Crociato in Egitto[1]), gdy od czasu do czasu muzyka z tonu miękkiego, żałosnego przerzucała się nagle w huragan bólu. Owa wścieklizna nazywa się we Włoszech: furore.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Jakkolwiek teraz już, miły czytelniku, przy wzmiance o nazwach Brera[2]) i Ambrosiana, miałbym sposobność wyłożyć ci na stół moje sądy o sztuce, to jednak wolę, by ta czara ominęła ciebie, i zadowolnię się uwagą, że śpiczasty ów podbródek, co obrazom szkoły lombardzkiej nadaje pewne sentymentalne zabarwienie, widywałem i na ulicach Medyolanu u niejednej pięknej lombardki.

Było dla mnie zawsze nadzwyczaj pouczającem, gdy z dziełami szkoły mogłem porównać i oryginały, które jej służyły na modele; charakter szkoły unaoczniał mi się wtedy o wiele lepiej. W ten sposób na rynku w Rotterdamie stał mi się nagle zrozumiałym Jan Steen[3]) ze swą boską wesołością; w ten sposób później w Long-Arno nauczyłem się pojmować prawdziwość kształtów, i dzielnego ducha u florenczyków, a na San-Marco prawdę kolorytu i senną powierzchowność u wenecyan. Idź do Rzymu, duszo kochana, a może wzbijesz się tam do poczucia idealności i do zrozumienia Rafaela.

Tymczasem jednej osobliwości Medyolanu, ze wszech miar największej, nie mogę pominąć, a mianowicie — katedry.

---

[1]) Ostatnia z napisanych dla Włoch oper Meyerbeera nosiła tytuł: „Crociato in Egitto“

[2]) Brera—nazwa sławnego królewskiego pałacu nauk i zbioru sztuki, Ambrosiana—znanej biblioteki.

[3]) Jan Steen (1626—1679) jeden z najgłośniejszych malarzy holenderskich.

Zdaleka wydaje się, że jest wycięta z białego papieru listowego, a zbliska wzdrygasz się, spostrzegłszy, że cała ta snycerska dłubanina składa się z niewzruszalnego marmuru. Niezliczone figury świętych, pokrywających całą budowlę i wyzierające zewsząd ciekawie z pod koronkowych daszków i zasadzone w górze na wszystkich szpicach, cały ten kamienny tłum zdolen jest zamącić zmysły. — Popatrzywszy dłużej nieco na całe to dzieło, znajduje się je, bądź co bądź, istotnie ślicznem, kolosalnie miłem, niby zabawka dla dzieci olbrzymów. O północy w świetle księżyca daje ono jeszcze lepszy widok; wówczas wszyscy ci biali ludzie z kamienia zstępują ze swej rojnej wysokości, przechadzają się z tobą po piazza i szepcą do ucha stare historye, święciutkie, bardzo tajemnicze historye o Galeazzo-Viscontim[1]), który budowę tumu rozpoczął i o Napoleonie Bonaparte, który ją następnie prowadził dalej.

Widzisz—mówił do mnie jakiś dziwny święty, w najnowszych czasach z najnowszego sporządzony marmuru—widzisz, starsi moi kamraci nie mogą zrozumieć, dla czego cesarz Napoleon tak gorliwie prowadził budowę katedry. Ale ja pojmuję to bardzo dobrze; on przewidział, że wielki ten gmach kamienny może być w każdym razie bardzo pożytecznym budynkiem i przydać się nawet wtedy, gdy chrześciaństwo przestanie kiedyś istnieć.

Gdy chrześciaństwo przestanie kiedyś istnieć!—Przelękłem się niemal, usłyszawszy, iż są we Włoszech święci, co takim językiem przemawiają, i to na placu, po którym kręcą się szyldwachy austryackie w niedźwiedzich czapach i tornistrach. A jednak kamienny puszczyk ma poniekąd słuszność; wnętrze katedry jest mile chłodne w lecie, wesołe

---

[1]) Za Giovanniego Galeazza Visconti (1378—1402) z potężnego rodu lombardzkiego Viscontich, zaczęto budowę katedry medyolańskiej w r. 1386. Napoleon I kazał w roku 1805 napół ukończoną budowlę doprowadzić prawie do końca.

i przyjemne, i nawet zmieniwszy swe przeznaczenie, zachowałoby swą wartość.

Dokończyć budowę tumu było jedną z ulubionych myśli Napoleona, i nie tak daleko był od swego celu, gdy panowanie jego zostało złamane. Teraz austryacy kończą dzieło. I na sławnym łuku tryumfalnym, co zamyka trakt Simploński, roboty prowadzą się dalej[1]). Jeno, co prawda, na szczycie jego nie będzie ustawioną statua Napoleona, jak to było zamierzone dawniej. W każdym razie wielki cesarz zostawił po sobie statuę, lepszą i trwalszą od marmurów, której żaden austryak z przed oczu naszych nie usunie. Gdy my oddawna już zmieceni będziem kosą czasu i rozwiani na cztery wiatry, jak plewy ścierniska, — owa statua stać będzie nietknięta; nowe pokolenia wyrosną z pod ziemi, podniosą wzrok na zawrotne wyżyny tego posągu i legną znowu w ziemi;—a wieki, niezdolne zrozumieć takiego wizerunku, będą usiłowały spowić go w legendową mgłę, a jego olbrzymie dzieje staną się w końcu mytem.

Może gdy miną tysiącolecia, jakiś przemędrkowany szkolarz wykaże niezbicie w gruntownej i uczonej rozprawie, że Napoleon Bonaparte jest całkiem identyczny z owym drugim tytanem, co to ukradł bogom światło i za tę zbrodnię przykuty został do samotnej pośród morza skały i oddany na pastwę sępowi, który mu codzień szarpie serce.

ROZDZIAŁ XXIX.

Proszę cię, miły czytelniku, nie uważaj mię za bezwzględnego bonapartystę; moje hołdy ściągają się nie do

[1]) Łuk tryumfalny armii francuskiej Arco della pace zaczęty był przez Napoleona w 1804, a skończony za Ferdynanda I. 1836 r.

czynów, lecz do geniuszu człowieka.[1]) Bezwzględnie kocham tego ostatniego tylko do ośmnastego Brumaire'a—wtedy bowiem wolność została przezeń zdradzona. A nie uczynił tego z konieczności, jeno z ukrytego ciążenia do arystokratyzmu. Napoleon Bonaparte był arystokratą, szlacheckim wrogiem mieszczańskiej równości i kolosalne nieporozumienie tkwiło w tem, że arystokracya europejska, reprezentowana przez Anglię, wojowała z nim jak ze śmiertelnym wrogiem, bo jeśli nawet zamierzał przedsięwziąć zmiany w personelu tej arystokracyi, to jednak większą jej część i właściwą jej zasadę byłby zachował, byłby tę arystokracyę odrodził, zamiast żeby leżała teraz powalona starczem niedołęstwem, utratą krwi i zmęczeniem po swem ostatniem, z pewnością najostatniejszem zwycięstwie.

Kochany czytelniku! Porozumiejmy się tutaj raz na zawsze. Ja nie wysławiam nigdy czynu, jeno ducha ludzkiego; czyn jest tylko jego szatą, a historya niczem innem, jak tylko starą garderobą ducha ludzkiego. Lecz miłość lubi niekiedy stare surduty, i tak samo ja lubię płaszcz Marengo.

„Jesteśmy na pobojowisku Marengo!“ Jak się rozradowało moje serce, gdy pocztylion wymówił te słowa! W towarzystwie bardzo uprzejmego liflandczyka który chciał uchodzić raczej za rosyanina, wyjechałem był wieczorem z Medyolanu, a nazajutrz widziałem słońce wschodzące nad sławnem pobojowiskiem.

Tutaj generał Bonaparte tak mocno pociągnął z kielicha sławy, że w odurzeniu został konsulem, cesarzem, zdobywcą świata i zdołał się wytrzeźwić dopiero na Ś-ej Helenie. I nam samym nie lepiej poszło, i myśmy z nim razem

[1]) W wydaniu francuskiem znajduje się w tem miejscu jeszcze dodatek: „czy on się nazywa Aleksandrem, Cezarem czy Napoleonem.“ Ustępu od „Bezwzględnie kocham“ do „porozumiejmy się raz na zawsze“ w wyd. franc. niema.

byli odurzeni, i myśmy wszystko z nim prześnili, i razem się ocknęli, i oto w gorzkich żalach otrzeźwienia snujemy przeróżne refleksye rozsądne[1]). A wtedy zdaje się nam czasami, że sława wojenna to roskosz przestarzała, że wojny nabierają szlachetniejszego znaczenia, a Napoleon jest może ostatnim już zdobywcą.

W rzeczy samej wygląda teraz tak, jak gdyby więcej broniono spraw duchowych, niż materyalnych i jak gdyby dzieje świata nie były już historyą zbójców, lecz historyą duchów. Główna dźwignia, którą niegdyś ambitni i chciwi książęta dla prywatnych swych celów tak skutecznie puszczać w ruch umieli, mianowicie nacyonalizm z jego próżnością i jego nienawiścią, teraz już zbutwiała i zużyła się: z dniem każdym znikają niedorzeczne przesądy narodowe, wszelkie choropowate odrębności giną w powszechnej cywilizacyi europejskiej. Niema już teraz w Europie narodów, lecz tylko partye, i przedziwny to widok, jak te mimo najrozmaitsze swe barwy, poznają się doskonale i doskonale się rozumieją, mimo wielu różnic językowych. Podobnie jak istnieje polityka państw, tak też istnieje teraz duchowa polityka partyj; i podobnie jak polityka państw najdrobniejszą wojnę, wybuchłą między dwoma najnieznaczniejszemi mocarstwami, wnet rozdmuchałaby w ogólną, europejską wojnę, do której musiałyby się wmięszać wszystkie państwa z większym lub mniejszym żarem, ale w każdym razie z pewnym interesem; tak samo nie może teraz wypaść w świecie najdrobniejsza walka, ażeby nie poznano natychmiast, skutkiem owej polityki partyjnej, jej ogólnoduchowego znaczenia i ażeby najodleglejsze i najodmienniejsze stronnictwa nie były zmuszone wziąć w niej udziału pro lub contra. Mocą tej polityki partyj, którą ze względu na to, iż interesa jej są bardziej duchowe a ultimae rationes nie z metalu bynajmniej, nazywam polityką duchów—tworzą się obecnie, podobnie jak mocą polityki państw, dwie wielkie masy, które wrogo stoją naprzeciw siebie, i walczą mową i spojrzeniami. Hasła i przedstawiciele dwu tych wielkich armij stronnictw zmieniają się codziennie, nie brak zamętu, powstają często największe nieporozumienia, które dyplomaci tej polityki duchowej, t. j. pisarze, potęgują raczej niż osłabiają. Lecz, jeśli nawet głowy błądzą, to jednak serca czują, czego pragną, a czas nagli z wielkiem swem zadaniem.

[1]) Ustępu od „A wtedy zdaje się nam“ do „lecz historya duchów“ w wyd. franc. niema. Podobnież i ustępu od „I podobnie jak istnieje“ do „potęgują raczej niż osłabiają, lecz“.

Ale cóż jest owem wielkiem zadaniem czasu?

Jest niem emancypacya. Nietylko emancypacya irlandczyków, greków, żydów frankfurckich, zachodnioindyjskich czarnych i tym podobnego ludu uciśnionego, — ale i emancypacya całego świata, w szczególności Europy, która stała się już pełnoletnią i wyrywa się z żelaznego paska, na którym wodzą ją uprzywilejowani, arystokracya. Niech tam sobie pewni filozoficzni renegaci wolności kują najsubtelniejsze sylogizmy, ażeby nam dowieść, że miliony ludzi stworzone są na juczne zwierzęta dla paru tysięcy uprzywilejowanych rycerzy; nie przekonają nas o tem, póki nie wykażą, jak mówi Wolter, że tamci przyszli na świat z siodłami na grzbietach, a ci z ostrogami u nóg.

Każdy wiek ma swoje posłannictwo, przez którego spełnienie ludzkość posuwa się dalej. Dawniejsza nierówność, ugruntowana w Europie przez system feudalny, była może konieczną, albo koniecznym warunkiem postępu cywilizacyi, ale teraz tamuje ją i oburza ucywilizowane serca. Francuzów, naród społeczności, nierówność ta, w najostrzejszy sposób ścierająca się z ich ideą społeczną, rozgoryczyła, rzecz prosta, najgłębiej; to też usiłowali gwałtem osiągnąć równość, w ten sposób, iż głowy tych, co koniecznie chcieli wystawać po nad innych, łagodnie po-

obcinali, a rewolucya stała się dla człowieczeństwa sygnałem walki o wyzwolenie.

Chwała niechaj będzie francuzom! Troszczyli się oni o dwie najważniejsze potrzeby społeczeństwa ludzkiego: o dobre jadło i równość obywatelską; w sztuce kucharskiej i wolności zrobili największe postępy i jeśli kiedyś zasiądziemy wszyscy jako równi goście do wielkiej uczty pojednania i będziemy dobrej myśli, — bo cóż może być lepszego nad towarzystwo parów przy dobrze zastawionym stole — wówczas pierwszy toast wzniesiemy na cześć francuzów. Co prawda, potrwa to jeszcze jakiś czas, zanim będziemy mogli święcić tę uroczystość, zanim przeprowadzona zostanie emancypacya, jednakże nadejdzie on w końcu, ów dzień: pojednani, wszyscy równi sobie siedzieć będziemy u tego samego stołu; wówczas zespolimy się na wspólną walkę z innemi niedolami świata, a może w końcu i z samą śmiercią, której poważny system zrównywania, przynajmniej nie obraża nas tak bardzo, jak śmiejąca się nauka nierówności, którą głosi arystokratyzm.

Nie uśmiechaj się, zapóźniony czytelniku: każda epoka mniema, że jej walka jest ze wszystkich najważniejszą; to stanowi właściwą wiarę wieku, w tej żyje ona i umiera, a i my chcemy żyć i umierać w tej religii swobody, która może więcej godną jest imienia religii, niż czcze, wypróchniałe widmo duszy, które przywykliśmy w ten sposób nazywać. Nasz święty bój wydaje nam się najważniejszym, jaki kiedykolwiek staczano na tej ziemi, choć przeczucie historyczne szepce nam, że kiedyś wnukowie nasi z góry spoglądać będą może na ten bój, z tem samem uczuciem obojętności, z jakiem my spoglądamy na walkę pierwotnych ludzi, którzy również walczyć musieli z żarłocznymi potworami, jaszczurami i olbrzymami drapieżnymi.

ROZDZIAŁ XXX.

Na pobojowisku Marengo rozmyślania tak gromadnie obsiadają człowieka, że możnaby sądzić, iż są to te same, które tam nie jeden musiał przerwać nagle i które wałęsają się teraz niby psy bez pana. Lubię pobojowiska, bo jakkolwiek okropną jest wojna, to jednak znamionuje ona duchową wielkość człowieka, który najpotężniejszemu swemu, dziedzicznemu wrogowi — Śmierci — odważa się urągać. A cóż dopiero to pobojowisko, na którem wolność po krwawych różach tańczyła bujny taniec panny młodej! Francya była wtedy panem młodym; zaprosiła na weselisko cały świat, i jak powiedziano w pieśni:

Huha! W przedślubny wieczór
Tłuczono, zamiast dzbanów,
Główeczki jasnych panów.

Lecz, ach, każdy cal, o jaki ludzkość posuwa się dalej, kosztuje potoki krwi; a czy to czasem nie za drogo trochę? Czy przypadkiem życie jednostki nie warte również tyle, co i całego pokolenia? Boć każdy człowiek oddzielnie już jest całym światem, który z nim się rodzi i z nim umiera: pod każdym głazem cmentarnym spoczywa historya świata!—Ciszej o tem!—tak powiedzieliby umarli, co tutaj padli; ale my żyjemy i chcemy bić się dalej w świętej wojnie o wyzwolenie, jaką toczy ludzkość.

ROZDZIAŁ XXXI.

Na pobojowisku Morengo na parę minut wysiadłem z powozu, by zmówić swój pacierz ranny.

Jak gdyby pod łukiem tryumfalnym z olbrzymich kłębów obłocznych wspinało się słońce, zwycięskie, pogodne, pewne siebie, zwiastując piękny dzień. Ale mnie

było na sercu jak biednemu księżycowi, co blednąc, stał jeszcze na niebie. Przebył on samotną swą wędrówkę w bezludnej porze nocnej, kiedy szczęście spało, a tylko upiory, sowy i grzesznicy odrabiali swoje sprawy, a teraz, kiedy wschodzi młody dzień w promiennej gloryi i migocącej zorzy porannej, teraz musi odejść stąd — jeszcze jedno tęskne spojrzenie ku wielkiemu ognisku świata i zniknął w wonnej mgle.

O, będzie piękny dzień!—zawołał do mnie z powozu mój towarzysz podróży. Tak jest, będzie piękny dzień, odpowiedziało cicho rozmodlone serce moje, i zadrżało z żałości i rozkoszy. Tak, piękny będzie dzień, słońce wolności większem szczęściem rozgrzeje ziemię, niż arystokracya wszystkich gwiazd razem; wystrzeli kwiatem nowe pokolenie, poczęte w wolnym, wybranym uścisku, a nie w przymusowem łożu i pod kontrolą duchowych celników; z wolnemi narodzinami w człowieku przychodzić będą na świat wolne myśli i uczucia, o których my, z urodzenia służalcy, nie mamy żadnego pojęcia. O! i oni również mało będą pojmowali, jak okropną była noc, w której ciemnościach musieliśmy żyć, i jak srodze musieliśmy borykać się z ohydnemi widmami, ponuremi sowami i świętoszkowatymi grzesznikami! O biedni my, wojownicy, co cały nasz żywot strawić musimy w takich zapasach, a gdy dzień zwycięstwa zaświta, będziemy zmęczeni i bladzi! Zorza słonecznego wschodu nie zaróżowi już naszych policzków i serc naszych nie zagrzeje, zamrzemy, jak ten żegnający nas księżyc — nadto krótką odmierzono człowiekowi pielgrzymkę, u której kresu — nieubłagany grób.

Nie wiem, doprawdy, czy zasługuję, by mi kiedyś trumnę ozdobiono wieńcem wawrzynu. Poezya, jakkolwiek ją kochałem, była mi zawsze tylko świętą igraszką, albo poświęconym środkiem do niebiańskich celów. Nie przywiązywałem nigdy wielkiej wagi do sławy poetyckiej, a czy kto pieśni moje chwali, czy gani, to mię mało kłopocze.

Ale pamiętajcie położyć na mojej trumnie miecz, bo byłem dzielnym żołnierzem w wojnie o wyzwolenie, którą prowadzi ludzkość.

ROZDZIAŁ XXXII.

Przed skwarem południowym szukaliśmy schronienia w klasztorze franciszkańskim, który stał na dosyć znacznej wyniosłości, i ze swymi mrocznymi cyprysami i białymi mnichami spoglądał, niby myśliwski zamek sumienia, w dół, ku wesołym, zielonym dolinom Apeninów. Była to ładna budowla; wogóle oprócz kartuzów w Monza, których widziałem tylko z zewnątrz, przesunęło się przede mną wiele jeszcze godnych uwagi klasztorów i kościołów. Często nie wiedziałem sam, co podziwiać więcej, czy piękno okolicy, czy wielkość starych kościołów, czy też równie wielką, jak głaz hartowną, myśl fundatorów, którzy przecie mogli przewidzieć, że dopiero późni prawnukowie będą w stanie dokończyć podobnej budowli, a pomimo to jednak z całym spokojem kładli kamień węgielny i znosili kamień dokamienia, póki śmierć nie oderwała ich od roboty. Wówczas inni budowniczowie prowadzili dzieło dalej i potem znowu układali się do spoczynku—a wszyscy w silnej wierze w wiekuistość religii katolickiej i z silną ufnością, że tak samo myśleć będą i następujące pokolenia, które zaczną dalszą budowę tam, gdzie ich poprzednicy stanęli.

Była to wiara epoki, a dawni budowniczowie żyli i zasypiali w tej wierze. Oto leżą oni przededrzwiami owych starych kościołów i pożądanem jest, żeby ich sen był jak najmocniejszy, a śmiech nowszych czasów nieobudził ich. Osobliwie dla tych, co leżą przed jednym ze starych tumów, niedokończonych jeszcze, byłoby bardzo kiepsko, gdyby tak nagle w nocy zbudzili się i w boleściwem świetle miesiąca ujrzeli niedokończone dni swoich dzieło, i spostrzegli wnet, że czasy budowania dalej—minęły i że cały ich żywot bezpożyteczny był i głupi.

Tak mówi dzisiejsza, nowa epoka, która ma inne zadanie, inną wiarę.

Słyszałem raz w Kolonii, jak mały bęben pytał swojej matki, dlaczego tumów połowicznych nie buduje się do końca. Było-to ładne chłopię, to też ucałowałem mądre jego oczęta, a że matka nie mogła dać należytej odpowiedzi, więc rzekłem mu: ludzie teraz mają całkiem co innego do roboty.

Niedaleko od Genui, na szczycie Apeninów, widzi się morze; między zielonymi cyplami gór ukazuje się toń błękitna, a okręty, które tu i owdzie dostrzegasz, robią wrażenie, jak gdyby pełnemi żaglami przejeżdżały przez góry. Ale gdy się widok ten ma przed sobą w godzinie zmierzchu, kiedy ostatnie promienie słońca zaczynają przedziwną swą grę z pierwszymi mrokami wieczoru, a wszystkie barwy i kształty wzajem się przetykają: wówczas nie na żarty wydaje się człowiekowi, że to baśń,—a tymczasem powóz stacza się z turkotem, najsłodsze obrazy duszy pół-senne zrywają się i znowu chylą głowy i w końcu śni człowiek, że jest w Genui.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Gród ten jest stary bez starożytności, wąski bez zaciszności, i brzydki nad wszelką miarę. Zbudowany jest na skale, u stóp amfiteatru gór, które tulą rzekłbyś w objęcia najpiękniejszą zatokę. Geuneńczycy otrzymali zatem z natury najlepszą i jak najpewniejszą przystań. Ponieważ, jak się rzekło, całe miasto stoi na jednej, jedynej skale, więc dla zaoszczędzenia miejsca domy wybudowano bardzo wysokie, a ulice bardzo ciasne, tak iż wszystkie prawie są ciemne, a tylko przez dwie z nich przejechać można powozem. Lecz mieszkańcom tutejszym, którzy są po największej części kupcami, domy służą jedynie za składy towarów, a w nocy za noclegi; cały szachrajski dzień biegają po mieście, albo też siedzą przede drzwiami swych

domów, albo właściwie w samych drzwiach, bo inaczej mieszkający naprzeciw siebie, musieliby się trącać kolanami.

Od strony morza, osobliwie pod wieczór, miasto daje już lepszy widok. Wówczas leży ono nad morzem, niby zbielały szkielet wyrzuconego zwierzęcia olbrzymich rozmiarów; ciemne mrówki, które się zwą genueńczykami, pełzają po nim dokoła, a fale morza niebieskie opłukują go, pluszcząc coś niby kołysankę, a księżyc, blade oko nocy, tęskliwie z góry nań spoziera.

W ogrodzie, należącym do Palazzo Doria, stoi stary bohater morza, jako Neptun wpośród wielkiego wodotrysku. Ale statua—zmurszała już i uszkodzona, woda wyschła a w czarnych cyprysach gnieżdżą się mewy. Jak pacholę, które wciąż ma w głowie swoje komedye, tak i ja przy imieniu Doria[1]) pomyślałem wnet o Fryderyku Szyllerze, najszlachetniejszym, lubo może nie największym poecie niemieckim.

Choć po większej części w upadku, bardzo ładne są przecież i przepychem obładowane pałace dawnych nobili t. j. możnowładców Genui.[2]) Stoją one przeważnie na

---

[1]) Andrzej Doria (1468—1560) bohater i mąż stanu, którego postać odtworzył we Fiescu Szyller.

[2]) W rękopisie oryginału znajduje się w tem miejscu następująca jeszcze wycieczka polityczna:

I reformacya polityczna,—rewolucya francuska, miała swoich obrazoburców, i nie bez goryczy patrzy podróżny na pogruchotane dzieła sztuki, które nie tak łacno dadzą się odrestaurować, jak stary system; a warte są może więcej od niego. Nietylko herby szlacheckie zostały zburzone, ale i statuy przodków; mistrzowskie popiersia z marmuru ironicznie pokaleczono, a najświętsze malowidła zbezcześcił pędzel zuchwały. Okropności takie widuje się i w północnych Włoszech, a zwłaszcza w Genui. W sali obrad pałacu książęcego motłoch gospodarował najgrzeszniej, a jeśli spytasz teraz o owe posągi dożów, co niegdyś długim szeregiem patrzyły stamtąd z groźną powagą na podróżnego, to wzruszą ci ramionami i przyznają, że stały się ofiarą czasu.

dwu wielkich ulicach, zwanych Strada nuova i Balbi Najgodniejszym uwagi jest pałac Durazzo. Są tu dobre

---

Dlatego też nie mogę brać za złe szlachcie bawarskiej, jeśli ją postępy demokratycznego sposobu myślenia tak gwałtownie niepokoją. Ich wielcy prowodyrowie mieliby słuszność, gdyby swe najskrytsze obawy wypowiedzieli całkiem głośno. Drżą oni o swoje skarby sztuki, o swe galerye obrazów, o swoje biblioteki, o wszystkie te arcydzieła, które podobnie, jak i włoscy ich koledzy, wykształconym swym smakiem wyhodowali i nagromadzili, a których czerń mieszczańska nigdy nie potrafiłaby ocenić i uszanować. Oczami ducha przewidują oni tę okropność; widzą już, jak jakobini dobijają się do pałacu Bassenheimów, jak zrywają ze ścian malowidła, na których wielcy malarze odmalowali bohaterskie czyny przesławnego rodu, jak burzą statuy wszystkich owych wielkich Bassenheimów, co we wszystkich stuleciach szerzyli sławę Niemiec i za to opiewani byli przez poetów niemieckich w pieśniach i legendach, śpiewem i dźwiękiem. A zniszczywszy w ten sposób historyczne pomniki, gotowi są owi jakobini śmiać się jeszcze i przeczyć, by istnieli kiedykolwiek jacy Bassenheimowie.

Żart i Bassenheimów na stronę! Gwoli prawdy, nie mogę pominąć milczeniem, że szlachta włoska bardzo korzystnie różni się od niemieckiej. Ilekroć obserwowałem jakiego barona niemieckiego w towarzystwie włoskiem, różnica ta biła mię w oczy. Ale nie polega ona jedynie na tem, że włoch mówi o swoich poezyach i artystach, natomiast niemiec tylko o swoich koniach i jeszcze głupszych antenatach; lecz i na tem, że ten ostatni w rzeczy samej niczem innem nie jest, jak koniuchem, który od koniuchów pochodzi i stajnią też trąci, podczas gdy tamten nietylko prawi o swoim Dantem, Rafaelu, i Michale Aniele, ale i odczuwa ich. Tym sposobem włoch, jakkolwiek w poezyi twórczej jest teraz ubogi, zachował jednak dawny zmysł sztuki i przyjemnie muska nim cudzoziemca, podobny żebrakowi, co miał w ręku flaszeczkę olejku różanego i wciąż jeszcze pachnie różami. Charakterystyczniejszem jest owo zamiłowanie czynu, które odróżnia szlachtę włoską od niemieckiej. . . . . .

. . . . . .

obrazy a między niemi Pawła—Chrystus z Werony, [1]) któremu Magdalena wyciera obmyte stopy. Jest ona tak piękna, że możnaby się obawiać, iż z pewnością zostanie uwiedzioną powtórnie. Długo stałem przed nią—ach, nie spojrzała na mnie! Chrystus stoi tam, jak Hamlet religii: Go to a nunnery! Tu znalazłem też paru holendrów i doskonałe obrazy Rubensa—te ostatnie przesiąknięte nawskroś kolosalną wesołością tego tytana niderlandzkiego, którego duch tak potężne miał skrzydła, że mógł wzbijać się aż do słońca, mimo iż sto tysięcy centnarów sera holenderskiego wisiało mu u nóg. Przejść nie mogę obok najmniejszego płótna tego wielkiego malarza, by mu nie spłacić daniny mego podziwu. A to tem bardziej, że weszło teraz w modę przypatrywać mu się ze wzruszaniem ramionami, z powodu jego braku idealności. Szkoła historyczna w Monachium okazuje się szczególnie wielką w takiem właśnie pojmowaniu go. Proszę tylko spojrzeć, z jakiem wyniosłem lekceważeniem długowłosy Cornelijczyk kroczy przez salę Rubensa. Ale może błąd uczniów stanie się zrozumiałym, gdy rozważyć ogromne przeciwieństwo, jakie tworzą Piotr Cornelius [2]) z Piotrem Pawłem Rubensem. Niepodobna prawie wymyślić większego przeciwieństwa; a z tem wszystkiem jednak widzi mi się niekiedy, że obudwu łączą pewne rysy podobieństwa, które prędzej mogę przeczuć, niż uprzytomnić sobie. Może są w nich ukryte właściwości rodaków, które do trzeciego rodaka, mianowicie mnie, przemawiają niby ciche ojczyste dźwięki. To ukryte pokrewieństwo nie polega jednak bynajmniej na holenderskiej wesołości i upodobaniu do barw, które śmieją się do

---

[1]) Płótno to najlepiej zachowane z dzieł tego mistrza znajduje się obecnie w pał. Carignano, w Turynie, dokąd przewiezione zostało w r. 1838.

[2]) Piotr Cornelius (1783—1867), genialny rodak Heinego; ten ostatni chłopięciem jeszcze uczył się rysunku u brata sławnego malarza.

nas ze wszystkicb obrazów Rubensa, tak iż możnaby sądzić, że malował je w radosnem odurzeniu winem reńskiem, gdy dokoła grzmiała skoczna muzyka kiermasza. Zaiste, obrazy Corneliusa wydają się raczej malowanemi w wielki piątek, wówczas, gdy posępne pienia boleści przeciągały z procesyą przez ulice, budząc echo w pracowni i sercu malarza. Bardziej zbliża ich ze sobą jednakowa u obu płodność, śmiałość kompozycyi, genialna samorodność; obadwaj są malarzami z krwi i kości, i należą do cyklu wielkich mistrzów, którzy kwitnęli po największej części w epoce Rafaela. Epoka ta wywierać mogła swój wpływ bezpośredni jeszcze na Rubensa, ale od naszej tak jest odrębna i odosobniona, że zjawienie się Piotra Corneliusa przeraża nas niemal, że niekiedy robi na nas wrażenie ducha jednego z owych wielkich malarzy epoki rafaelicznej, ducha, co wstał z grobu, ażeby namalować jeszcze parę płócien,— umarły twórca, samozaklęty przez współpogrzebane, tkwiące w nim słowo życia. Gdy się przypatrujemy tym obrazom, wtedy patrzą one na nas, jak gdyby oczami piętnastego stulecia; szaty ich—to szaty widm, rzekłbyś, iż o północy snują się koło nas z szelestem; czarodziejsko krzepkie są ich ciała, rysowane z całą wiernością snowi, potężnie prawdziwe, jeno krwi brak im, pulsującego życia, koloru. Tak, Cornelius jest twórcą, lecz gdy patrzeć na jego twory, to zdaje się, że nie pożyją one długo, że malowano je na godzinę przed ich śmiercią, że wszystkie noszą w sobie posępne przeczucie zgonu. Mimo całą swą pogodę, postacie Rubensa budzą w duszy naszej podobneż uczucie, i one zdają się nosić w sobie zaród śmierci, i jest nam tak, jak gdyby właśnie przez nadmiar swej żywotności, przez swą czerwoną pełnokrwistość, lada chwilę miały być tknięte atakiem. To jest może owo tajemnicze powinowactwo, które tak przedziwnie odgadujemy, zestawiając obu mistrzów. Najwyższa brawura w niektórych obrazach Rubensa i najgłębszy smutek w płótnach Corneliusa budzą w nas to samo bodaj uczucie. Ale skądże ten smutek u niderlandczyka?

Byłażby to właśnie ta świadomość okropna, że należy on do epoki dawno przebrzmiałej, a jego życie to mistyczne zesłanie ducha. Albowiem jest to niestety, nietylko jedyny wielki malarz, jaki żyje jeszcze, ale może i ostatni, co na tej ziemi malować będzie. Przed nim, aż do czasów Caracciego [1]), panuje długotrwały mrok, a za nim cienie zwierają się znowu; ręka jego—to świetlana, samotna dłoń ducha w pomroce sztuki, a obrazy, które maluje ona, noszą złowrogą żałobę tego właśnie poważnego, szorstkiego odosobnienia. Nie mogłem patrzeć bez tajemnego dreszczu na tę ostatnią dłoń malarską, ilekroć widziałem go samego, małego, bystrego człowieczka z pałającem okiem. A jednak ręka ta znowu zbudziła we mnie uczucie najrzewniejszej czci, bo przypomniałem sobie, jak to niegdyś, pełna życzliwości, leżała na małych paluszkach moich i pomagała mi wyprowadzić parę konturów twarzowych, kiedym jeszcze jako mały berbeć, uczył się rysować w akademii düsseldorfskiej.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Zbioru portretów pięknych genuenek, który pokazują w pałacu Durazzo, nie mogę żadną miarą zostawić bez wzmianki. Nic na świecie nie nastraja tak smutno naszej duszy, jak taki właśnie widok portretów piękności, od paru wieków spoczywających w grobie. Melancholijnem mrowiem przechodzi nas myśl, że z oryginałów owych wizerunków, ze wszystkich tych wdzięków, tak ongi miłych, tak zalotnych, tak dowcipnych, tak przebiegłych i tak marzycielskich, ze wszystkich tych główek majowych, zmiennych jak pogoda marcowa, z całej tej wiosny niewieściej nie zostało nic, prócz tych oto pstrych cieniów. Malarz, równie jak one, oddawna spróchniały, rzucił je pędzlem na bu-

[1]) Caracci'owie — sławna we Włoszech rodzina malarzy w końcu 16 stulecia.

twiejący szmat płótna, które również z czasem w proch się rozleci i rozwieje. Tak to wszelkie życie, zarówno piękno, jak i brzydota, przechodzi bez śladu; śmierć, suchy pedant, różę oszczędza również mało, jak i oset; nie zapomina ona o źdźble samotnem w najodleglejszej puszczy; burzy gruntownie i bez przestanku, i wszędzie widzimy, jak rozdeptywa w proch rośliny i zwierzęta, ludzi i ich dzieła. Nawet owe piramidy egipskie, co zdają się jego niszczycielstwu urągać, nawet one są jeno trofeami jego potęgi, pomnikami znikomości, prastaremi królów mogiłami.

Ale jeszcze beleśniej, niż to uczucie wiekuistego konania, pustką ziejącego unicestwienia, wstrząsa nami myśl, że nawet nie pomrzemy, jako oryginały, lecz jako kopie ludzi dawno przebrzmiałych, równych nam duchem i ciałem, i że po nas urodzą się nowi ludzie, którzy również będą wyglądać, czuć i myśleć, jak my, i których również zmiecie śmierć—wieczna, beznadziejna gra powtórzeń, w której płodząca ziemia musi ustawicznie tworzyć, i tworzyć więcej, niż śmierć zdolna jest zburzyć, tak, iż w strapieniu tem, troszczyć się może więcej o utrzymanie gatunków, niż o oryginalność indywiduów.

W przedziwny sposób ogarnęła mię mistyczna groza tej myśli, gdym w pałacu Durazzo ujrzał portrety pięknych genuenek, a między temi obraz, który w duszy mej ozwał się słodką burzą, tak, iż teraz jeszcze, gdy o tem pomyślę, powieki moje drżą—był to portret umarłej Maryi.

Nadzorca galeryi myślał, co prawda, że płótno przedstawia jakąś tam księżnę Genui i tonem cicerona nadmienił: Malował je Giorgio Barbarelli del Castelfranco de Trevigiano zwany Giorgione'm; był to jeden z największych malarzy szkoły weneckiej—urodził się w r. 1477—a umarł w r. 1511 [1]).

[1]) Według nowszych odkryć, Giorgione urodził się w 1475 i prawdopodobnie w Vedelago, pod Castelfranco.

Daj pan temu pokój, signor custode. Portret trafiony dobrze; a że tam malowano go zawczasu, o jakie parę wieków przedtem, to żaden błąd. Rysunek dokładny, koloryt wyborny, udrapowanie szaty na piersiach wyśmienite. Bądźże pan łaskaw zdjąć portret na parę minut ze ściany, chcę tylko zdmuchnąć kurz z warg a także spłoszyć pająka, co siedzi w rogu ramy—Marya miała zawsze wstręt do pająków.

Ekscelencya zdaje się być znawcą.

Nic o tem nie wiedziałem, signor custode. Mam ten talent, że przy niektórych obrazach doznaję wzruszenia, a wtedy oczy zachodzą mi wilgocią. Ale co widzę! Czyjegoż pędzla jest portret mężczyzny w czarnym płaszczu, co tam oto wisi?

To również Giorgiona arcydzieło.

Proszę was, signor, chciejcież być tak dobrym i to także zdjąć ze ściany i potrzymać tu chwileczkę przy lustrze, ażebym mógł porównać, czy podobny jestem do portretu.

Ekscelencya nie taki blady. Portret jest arcydziełem Giorgiona; był to rywal Tycyana; urodził się w roku 1477, a umarł w r. 1511.

Czytelniku kochany, Giorgione jest mi daleko milszy, niż Tycyan; winienem mu szczególną wdzięczność za to, że mi wymalował Maryę. Zrozumiesz pewnie tak dobrze, jak ja, że Giorgione malował portret dla mnie, a nie dla jakiegoś tam starego genueńczyka. A jest trafiony dobrze, piorunująco trafiony, nie brak nawet bólu w oczach, bólu, co należał do wyśnionego raczej, niż przebytego cierpienia i bardzo trudny był do odmalowania. Cały portret jest jakby westchnieniem wiany na płótno. I mężczyzna w czarnym płaszczu jest dobrze zrobiony, a i złośliwie sentymentalne usta trafione są dobrze, jakby miały przemówić, jakby chciały właśnie opowiedzieć historyę. Jest to historya o rycerzu, który swą ukochaną chciał całunkami odebrać śmierci, a gdy świeca zgasła — —

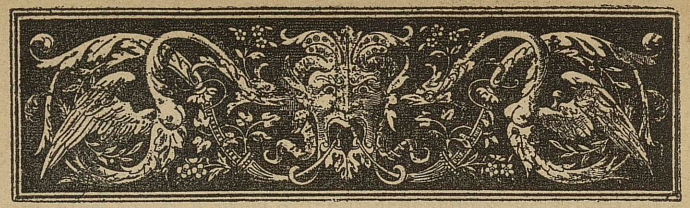

KĄPIELE LUCCA.

Jestem, jako mężowi niewiasta — — [1].
Hr. August von Platen
[Hallermünde.

Chce pan graf pohasać sobie,
Niechaj słówko rzecze,
A wnet zagram mu.
Figaro.

Karolowi Immermanowi, poecie,
kartki te,
w dowód najżyczliwszej czci,
poświęca autor.

ROZDZIAŁ I.

Kiedym wchodził do pokoju Matyldy, dopięła tylko co ostatni guzik swej zielonej amazonki i miała właśnie włożyć na głowę kapelusz z białemi piórami. Zaledwie mię ujrzała, szybkim ruchem odrzuciła go na bok, skoczyła mi naprzeciw ze swemi falownie-złocistemi lokami; doktorze nieba i ziemi!—krzyknęła i chwyciwszy mię dawnym zwyczajem swoim za koniuszki uszów, poczęła całować z najzabawniejszą w świecie serdecznością.

Co porabiasz, najszaleńszy ze śmiertelnych! Jakże szczęśliwą jestem, że pana widzę znowu! Bo nigdzie na

[1] Dzieła (I. 223). Z Gazel, 46.

całym tym szerokim świecie nie znajdę przecie większego fiksata od pana. Błaznów i głupców nie brak i często robią im zaszczyt uważania ich za waryatów. Ale prawdziwe waryactwo jest również rzadkie, jak prawdziwa mądrość; a może i nie jest ono niczem innem, jak właśnie mądrością, którą złościło, że wie o wszystkiem, o wszystkich szkaradach tego świata, i dla tego zrobiła mądre postanowienie stać się waryactwem. Na Wschodzie ludzie są rozgarnięci; czczą oni waryata, jak proroka, ale my uważamy każdego proroka za waryata.

Ale, mylady, dla czegóż pani nie pisała do mnie?

Owszem, doktorze, napisałam do pana długi list i zaznaczyłam w adresie: Oddać w Nowym Bedlamie. Że jednak, wbrew wszelkim przewidywaniom, nie było tam pana, więc posłano list do St. Luze, a że i tam ciebie nie było, więc poszedł dalej, do innego podobnego zakładu, i w ten sposób zrobił rond przez wszystkie domy obłąkanych Anglii, Szkocyi i Irlandyi, aż go wreszcie odesłano napowrót z adnotacyą, że dżentlmen, podany w adresie, nie został jeszcze przytrzymany. I rzeczywiście, jakeś pan sobie poczynał, że wciąż jeszcze zostajesz na wolnej stopie?

O, ja się sprytnie urządzałem, mylady! Wszędzie, dokąd przybywałem, udawało mi się prześlizgnąć koło domu waryatów, i mam nadzieję, że i we Włoszech mi się uda.

O, tu, przyjacielu, jesteś całkiem pewny, bo, po pierwsze, w bliskości nie ma wcale domu dla waryatów, a powtóre tutaj my jesteśmy górą.

My? mylady! Więc pani zaliczasz siebie do naszych? O pozwól, że bratni pocałunek wycisnę na twem czole.

Ach, nie, ja myślę: my, goście kąpielowi, między którymi ja, doprawdy, jeszcze jestem najmędrszą. A teraz możesz sobie pan łatwo wytworzyć pojęcie o najbardziej sfiksowanej, mianowicie o Julii Maxfield, która wciąż twierdzi, że oczy zielone oznaczają wiosnę duszy; dalej mamy jeszcze dwie młode piękności.

Zapewne angielskie piękności, mylady.

Doktorze, co znaczy ten ton szyderczy? Widocznie żółto-tłuste, makaronowe twarze tak panu we Włoszech zasmakowały, że już nie masz nabożeństwa do brytańskich.

Plumpuddyngów z rodzynkowemi oczami, piersi rostbeefowych, ubranych białemi pasemkami chrzanu, dumnych pasztetów..

Był czas, doktorze, kiedyś wpadał w zachwyt, ilekroć piękna angielka..

Ach, kiedy to było! Ja i teraz jeszcze nie wzbraniam się być wielbicielem rodaczek pani; są one piękne, jak słońca, ale słońca z lodu, są białe, jak marmur, ale i marmurowo-zimne — na ich zimnych sercach marzną biedni..

Oho! znam ja takiego, co tam wcale a wcale nie zmarzł, lecz zdrów i świeży przesadził morze, a był to wielki, niemiecki, impertynencki..

A przynajmniej zaziębił się tak mocno na mroźnych sercach brytańskich, że do tej pory jeszcze ma z tego powodu katar.

Odpowiedź ta ukłuła, zdaje się, mylady; chwyciła szpicrutę, leżącą między kartkami romansu, jako zakładka, świsnęła nią nad uszami swego białego ogara, który warknął cicho, śpiesznie podniosła z ziemi kapelusz, włożyła z fantazyą na głowę, całą w lokach, spojrzała parę razy z zadowoleniem w lustro i rzekła z dumą: Jestem jeszcze ładna! Ale nagle, jakby wstrząśnięta niewyraźnem uczuciem bólu, stanęła zamyślona, pomału ściągnęła białą rękawiczkę z ręki, podała mi ją, a chwytając w lot myśli moje, rzekła: Nieprawdaż, ta ręka już nie jest taka ładna, jak w Ramsgate? Matylda przez ten czas wiele cierpiała!

Miły czytelniku! Rzadko kiedy poznasz na dzwonie, gdzie jest pęknięty, i tylko po dźwięku domyślisz się pęknięcia. Gdybyś więc słyszał dźwięk głosu, którym powyższe słowa były wyrzeczone, zrozumiałbyś wnet, że serce mylady jest z najlepszego metalu, ale ukryta rysa przedziwnie tłumi najweselsze jego tony, i spowija go, jak gdyby w niewidzialną żałobę. Ale ja lubię takie dzwony; znajdują one

zawsze dobry oddźwięk we własnej mej piersi; ucałowałem więc dłoń mylady nieledwie tkliwiej, niż bywało, choć nie była już w całej pełni rozkwitu, a pewne żyłki, trochę już za niebiesko występujące, również zdawały mi się mówić: Matylda przez ten czas wiele cierpiała.

Oko jej patrzyło na mnie, jak samotna i smutna gwiazda na jesiennem niebie, i rzekła do mnie miękko i tkliwie: Widzę ja, że mię pan już nie bardzo kochasz. Bo tylko litościwie padła na moją rękę łza pańska, prawie jak jałmużna.

Któż każe pani tak opacznie tłómaczyć niemą mowę moich łez? Zakładam się, że biały ogar, co się teraz tuli do pani, rozumie mię lepiej. Patrzy on to na mnie, to na panią, jak gdyby dziwił się, że ludzie, dumni panowie stworzenia, są we wnętrzu swem tak głęboko nędzni. Ach, mylady, tylko ból pokrewny wyciska łzy i każdy płacze właściwie dla siebie.

Dość, dość, doktorze. Dobrze, żeśmy sobie przynajmniej współcześni i znaleźliśmy się z głupiemi swemi łzami w tym samym zakątku ziemi. Strach pomyśleć, coby to było, gdybyś pan tak żył o dwieście lat wcześniej, jak się to zdarzyło memu przyjacielowi Miguelowi de Cervantes Saavedra, albo gdybyś pan przyszedł na świat o sto lat później, jak inny bliski mój przyjaciel, którego nazwiska nawet nie znam, właśnie dlatego, że otrzyma je dopiero przy swych narodzinach anno 1900! Ale opowiedzże mi pan, jakeś żył od czasu, gdyśmy się rozstali?

Uprawiałem zwykłe swoje rzemiosło, mylady; pchałem znowu (pod górę) wielki kamień. A gdy już był w połowie góry, wtedy spadał nagle, a jam musiał znowu starać się wtoczyć go na górę, a to ciągłe toczenie pod górę i z góry będzie się tak długo powtarzać, aż ja sam legnę przy kamieniu, i majster kamieniarz wypisze na nim wielkiemi literami: Tu spoczywa w Bogu..

Ależ na Boga, doktorze, ja nie zezwalam jeszcze na spoczynek — nie bądź że pan tylko melancholijnym! Śmiej się pan, bo jak nie, to..

Oj, nie, nie łechcz mię pani! — już wolę sam się śmiać.

Tak, to dobrze. Podobasz mi się pan jeszcze, tak samo, jak w Renisgate, gdzieśmy się po raz pierwszy do siebie zbliżyli.

I w końcu więcej, niż zbliżyli.. Tak, będę wesół. Dobrze, żeśmy się odnaleźli i wielki, niemiecki — znowu zrobi sobie przyjemność odważenia się na życie z panią.

Oczy mylady śmiały się, jak blask słoneczny po lekkim, mżącym deszczyku, a dobry jej humor zajaśniał znowu,—gdy wtem wszedł John i najsztywniejszym patosem lokajskim zameldował Jego Ekscelencyę pana Marchese Cristoforo di Gumpelino.

Ach, powitać go! A pan, doktorze, poznasz para naszego państwa głupców. Tylko nie uderz się pan o jego powierzchowność, a zwłaszcza o nos jego. Człowiek ten posiada doskonałe przymioty, np. dużo pieniędzy, zdrowy rozsądek i żądzę wchłonięcia w siebie wszystkich błazeństw czasu, a przytem jest zakochany w zielonookiej przyjaciółce mojej, Julii Maxfield i nazywa ją swą Julią, a siebie jej Romeem, i deklamuje, i wzdycha—a lord Maxfield, szwagier, któremu wierna Julia została powierzona przez swego małżonka, to—Argus.

Chciałem był już zrobić uwagę, że Argus strzegł krowy, gdy drzwi otwarły się naoścież i ku najwyższemu memu zdumieniu wtoczył się stary mój przyjaciel, bankier Chrystian Gumpel, ze swym sytym uśmieszkiem i bogu miłym brzuszkiem. Gdy jego lśniące, szerokie wargi na szorowały się dowoli o dłoń mylady i wydrobiły zwykłe pytania o zdrowie, poznał i mnie — i padli sobie w objęcia druhowie.

ROZDZIAŁ II.

Ostrzeżenie Matyldy, ażebym nie uderzył się o nos tego jegomości, było dosyć uzasadnione, bo nie wiele brakło, a byłby mi nim rzeczywiście wykłuł oko. Nie chcę mówić nic złego o tym nosie; był owszem najszlachetniejszego kształtu i on to właśnie upoważnił mojego przyjaciela do nadania sobie przynajmniej tytułu marchese. Można było bowiem poznać po jego nosie, że jest właśnie z dobrej szlachty, że pochodzi z prastarej rodziny świata z którą nawet, bez obawy mezaliansu, zeszwagrzył się niegdyś sam miły Bóg. Odtąd, co prawda, familia owa cokolwiek podupadła, tak, że od czasów Karola Wielkiego zarabiać na chleb musiała handlem staremi spodniami i losami loteryi hamburskiej,—nie spuścili jednak nic a nic z dumy swej rodowej, ani też wyrzekli się kiedykolwiek nadziei, że z czasem otrzymają napowrót dawne swoje dobra, a przynajmniej takie, jak przystało na emigrantów, odszkodowanie, jeżeli tylko dawny ich, prawowity suweren dotrzyma danego przy restauracyi swej przyrzeczenia,—przyrzeczenia, którem już od dwu tysięcy lat wodzi ich za nos. A może nosy te właśnie przez owo długie wodzenie za nos stały się tak długimi? Albo może te długie nosy są rodzajem uniformu, po którym Bóg—król Jehowa poznaje swych starych lejbgwardzistów, nawet wtedy, gdy są dezerterami? Marchese Gumpelino był takim deserterem, ale nosił jeszcze wciąż swój mundur, który też był nader okazały, usiany krzyżykami i rubinowemi gwiazdkami, z czerwonym orderem orła w miniaturze, oraz innemi dekoracyami.

Widzisz pan, rzekła mylady, to mój ulubiony nos, i nie znam zgoła na tej ziemi piękniejszego kwiatu.

Tego kwiatu, uśmiechnął się z przymileniem Gumpelino, nie mogę złożyć na piersiach pani, ażeby nie

złożyć z nim i mego kwitnącego oblicza, a ten dodatek żenowałby może panią przy takim jak dzisiejszy, upale. Ale przynoszę pani kwiat nie mniej cenny, tutaj rzadki.

Z temi słowy rozwinął Marchese tutkę z bibuły i pomału a ostrożnie wyjął z niej prześliczny tulipan.

Ledwie zoczyła mylady ten kwiat, krzyknęła na całe gardło: Zabić! zabić! Chcesz mię pan zabić! Precz z tym okropnym widokiem! A przy tem gestykulowała, jak gdyby chciano ją zamordować: rozstawiła dłonie przed oczyma, pędziła bezrozumnie po pokoju, przeklinała nos i tulipan Gumpelina, dzwoniła, tupała o podłogę, biła psa szpicrutą, aż zawył głośno, a gdy wszedł John, zawołała, jak Kean w królu Ryszardzie [1]):

Konia! hej konia!
Królestwo za konia! —

i jak trąba powietrzna, wypadła z pokoju.

Curiosum kobieta! rzekł Gumpelino, osłupiały ze zdumienia i wciąż jeszcze trzymając w ręku tulipan, przez co podobny był do owych figur bożyszcz, które widzieć można, z kwiatem lotosu w rękach, na pomnikach staroindyjskich. Ja jednak znałem damę i jej indyosynkrazyę o wiele lepiej; dramat ten bawił mię nad wszelki wyraz— otworzyłem okno i zawołałem: Mylady, cóż mam myśleć o pani? Czy to rozsądek, zwyczaj—a przedewszystkiem, czy to miłość?

Zaśmiała się wtedy z dołu dzika odpowiedź:
Gdym już na koniu, to mogę przysiądz:
Kocham cię bezgranicznie!

ROZDZIAŁ III.

Curiosum—kobieta! powtórzył Gumpelino, kiedyśmy ruszyli w drogę, ażeby odwiedzić obie jego przyjaciółki, signorę Laetizię i signorę Franceskę, z któremi chciał mię zapoznać. Ponieważ mieszkanie tych dam znajdowało się na dosyć oddalonej wyniosłości, więc tem większą

wdzięcznością przejmowała mię dobroć wypasionego mego przyjaciela, który chodzenie pod górę znajdował nieco uciążliwem i, dla zaczerpnięcia tchu, zatrzymywał się na każdym pagórku i wzdychał: O Jezu!

Mieszkania w kąpielach Lucca leżą mianowicie albo w dole, we wsi, opasanej wysokiemi górami, albo też na jednej z samych tych gór, nieopodal głównego źródła, skąd malownicza grupa domów w uroczą spogląda dolinę. Niektóre z nich stoją też pojedyńczo, rozproszone po stoku góry, i trzeba się do nich mozolnie wdrapywać po przez winograd, krzaki mirtowe, powoje, krze laurowe, oleandry, geranium oraz inne szlachetne kwiaty i rośliny, istny raj dziki. Nigdym nie widział doliny bardziej uroczej, a szczególniej, gdy się spogląda na sioło z tarasu uzdrowiska górnego, kędy rosną poważnie zielone cyprysy. Widać stamtąd most, prowadzący przez rzeczułkę, która nazywa się Limą, przerzyna wieś na dwoje i u obu końców rzuca się po przez skał odłamy łagodnymi wodospadami, sprawiając szum, jak gdyby chciała ci opowiedzieć coś bardzo przyjemnego, lecz z winy gadającego zewsząd echa nie może przyjść do słowa. Główny czar tej doliny polega z pewnością na tem, że nie jest ani zbyt wielką, ani za małą, że duszy widza nie rozpiera zbyt gwałtownie, lecz raczej pozwala jej czuć się rówieniczką tego wspaniałego widoku; że nawet głowy gór, jak w ogóle Apeniny, nie są cudacznie zwyrodniałe aż do gotyckiej wyniosłości, na podobieństwo owych karykatur górskich, które, jak i karykatury ludzkie, spotykamy w krajach germańskich; lecz że ich szlachetnie zaokrąglone, wesoło zielone kształty znamionują prawie że cywilizowaną kunsztowność i nieledwie melodyjnie harmonizują z blado-błękitnem niebem.

O Jezu! stękał Gumpelino, gdy, już nieco silniej zagrzani męczącem chodzeniem pod górę i słońcem porannem, dosięgliśmy wspomnianego wzgórka z cyprysami, i spozierając na leżącą w dole wieś, ujrzeliśmy angielską naszą przyjaciółkę, jak dumna mknęła na swym rumaku przez

most, niby widziadło romantyczne z baśni i również jak marzenie szybko zginęła. O Jezu! co za curiosum z tej kobiety! powtórzył parę razy marchese. W mojem pospolitem życiu nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać podobnej kobiety. Coś podobnego znaleść tylko można w komedyach i sądzę, że np. Holzbecherówna [1]) dobrze grałaby tę rolę. Ma ona w sobie coś z rusałki. [2]) Co pan myślisz o tem?

Myślę, że pan masz racyę, Gumpelino. Kiedym jechał z nią z Londynu do Rotterdamu, kapitan okrętu powiedział jej, że podobną jest do posypanej pieprzem róży. Jako podziękę za to pikantne porównanie, znalazłszy go razu pewnego zdrzemniętym w kajucie, wysypała mu na głowę całą pieprzniczkę, i nie można było zbliżyć się do tego człowieka, żeby nie kichnąć.

---

[1]) Julia Holzbecher (1809 — 1839) druga żona Karola v. Holtei, znana aktorka.

[2]) W rękopisie oryginalnym przypada w tem miejscu następujący ustęp:

Ile lat dajesz pan jej?

Tak około jedenastu i dwudziestu.

Co to ma znaczyć? Chcesz pan powiedzieć trzydzieści jeden?

Uchowaj Boże! Niemasz kobiety, coby miała trzydzieści i jeden lat. Z dwudziestu przechodzi się od razu do czterdziestu. Nie widziałem też nigdy kobiety, która by miała pięćdziesiąt lat. Z czterdziestu przechodzi od razu do sześćdziesięciu.

Czy mylady rozwiodła się z mylordem?

Nie wiem, lecz, o ile wiem, zimny ten, ziewający, rozlazły anglik nie pasował wcale do etervcznej irlandki, która z swem sercem, pełnem słońca i swą głową, pełną kwiecistego dowcipu, uważała cały świat za swą zabawkę. Było tam wiele zgryzoty i, rzecz dziwna, ile wycierpieć może podobnie delikatne stworzenie; sam jej widok wzrusza nas tak głęboko, iż nazywamy naturę okrutną za to, że podobną istotę, która powinnaby stąpać po ukwieconej ziemi indusów, oddała na pastwę mglistej i zimnej Anglii i jej chamskim pięściom.

Curiosum kobieta! rzekł znowu Gumpelino, delikatna, jak biały jedwab i również mocna, a siedzi na koniu również dobrze, jak ja. Ach, żeby tak tylko nie zajeździła sobie zdrowia na śmierć. Nie widziałeś pan tylko-co długiego, chudego anglika, który pędził za nią na swej chudej szkapie, niby suchoty galopujące? Ten naród jeździ za namiętnie, wydaje wszystkie na świecie pieniądze na konie. Wierzchowiec lady Maxfield kosztował trzysta żywych, złotych luidorów, ach! a luidory stoją tak wysoko i z każdym dniem idą jeszcze w górę!

Tak, tak, luidory podniosą się jeszcze tak wysoko, że taki oto uczony chudopachołek, jak nasz brat, nie będzie mógł ich wcale dosięgnąć. [1])

Nie masz pan pojęcia, panie doktorze, ile ja pieniędzy wydawać muszę, a przytem wystarczam sobie jednym jedynym służącym; i tylko, gdy jestem w Rzymie, trzymam

---

[1]) W rękopisie oryginalnym przypadają tu następujące zdania: Szkoda, panie doktorze, że pan nie masz lepszego tytułu, tak wedle, prezentacyi. Chciałbym żebyś pan był szlachcic.

O szlachetny marchese! Nie kłopocz się pan tem. Powinieneś mię pan zawsze, zawsze przedstawiać, jako szlachcica. Pewien brak antenatów zastępuję tem większą liczbę długów, a czego brak memu szlachectwu z jednej strony, to w ten sposób całkowicie kompensuje się z drugiej. Wkrótce każę sobie sporządzić drzewo genealogiczne z samych wierzycieli. Żebym jeno wiedział, jak się szelmy nazywają i gdzie się teraz znajdują. Tylko natrętne twarze i zewnętrzne bezkształty stoją mi jeszcze w pamięci, ale nazwiska pozapominałem na czysto. A jednak chciałoby się niekiedy wiedzieć, gdzie na tej ziemi podziewają się nasi najbliżsi! Ponieważ muszę mieć teraz i nazwiska na piśmie, więc doprawdy nie umiem sobie inaczej poradzić, jak tylko w ten sposób, że pomieszczę w „Korespondencie Hamburskim“ rysopisy moich wierzycieli, że niby wyślę za nimi listy gończe, a w nich opiszę jak najdokładniej ich postawy, fizyognomie i wszelkie inne ruchy, a nawet odzież, jaką mieli na sobie przy moim odjeździe.

sobie dla domowej kaplicy kapelana. Widzisz pan, oto idzie mój Hyacynt.

Mała figurka, co się ukazała w tej chwili przy zakręcie pagórka, zasługiwałaby raczej na miano smolinosa. Był to obszerny, fruwający, szkarłatny surdut, przeładowany złotymi galonami, promieniejącymi w blasku słońca. a na tle tego czerwonego przepychu pociła się główka, i kłaniała mi się, jak dobremu znajomemu. W rzeczy samej gdym się przyjrzał bliżej bladawo-trasobliwej twarzyczce i krzątliwym, zerkającym oczkom, poznałem kogoś, kogo spodziewałbym się ujrzeć raczej na górze Synaj, niż na Apeninach, a był to nie kto inny, jak pan Hirsch [1]) z Hamburga, człowiek, co nie tylko, że bywał zawsze uczciwym kolektorem loteryi, ale zna się także i na odciskach, i na drogich kamieniach, do tego stopnia, iż nietylko umiał pierwsze odróżniać od ostatnich, ale i bardzo zręcznie wycinał nagniotki i bardzo dokładnie oceniał drogie kamienie.

Pochlebiam sobie, rzekł, zbliżywszy się do mnie, że mnie pan jeszcze poznaje, choć się już nie nazywam Hirsch. Nazywam się teraz Hyacynt i jestem kamerdynerem pana Gumpla.

Hyacynt! krzyknął tenże, słupiejąc i kipiąc cały na niedyskrecyę służącego.

Bądź pan tylko spokojny, panie Gumpel, albo panie Gumpelino, albo panie marchese, albo Wasza Ekscelencyo, nie potrzebujemy się przy tym panu żenować; on mię zna, trzymał u mnie nie jeden los i mógłbym nawet przysiądz na to, że z ostatniej klasy został mi jeszcze winien siedm

[1]) Oryginałem tej komicznej figury był biedny woźny loteryi w Hamburgu, nazwiskiem Izaak Roccamora, którego Heine zwykł był używać do rozmaitych posług poufnych. Por. Strodtmana, I, 614. Heine sam nazywał wizerunek humorystyczny Hyacynta pierwszą postacią karykaturalną którą, kiedykolwiek stworzył w naturalnej wielkości.

marek, dziewięć szylingów. Cieszę się rzeczywiście, panie doktorze, iż pana tu znowu spotykam. Czy i pan ma tutaj jakie interesa rozrywkowe? Bo cóż innego można tu robić, w tym skwarze, i gdzie w dodatku jest się zmuszonym łazić wciąż pod górę i z góry. Wieczorami jestem tu tak zmęczony, jak gdybym biegał dwadzieścia razy od bramy Altonajskiej do Kamiennej, nic przytem nie zarabiając.

O! Jezu! zawołał marchese — milcz, milcz! Postaram się o innego służącego.

Dla czego mam milczeć? odparł Hirsch Hyacynthos— alboż mi nie przyjemnie, że mogę znowuż pogadać trochę dobrą niemczyzną, z twarzą, którą już raz widziałem w Hamburgu, a gdy myślę o Hamburgu...

W tem miejscu, na wspomnienie małego swego, ojczymiego kraiku, ślepki tego człowieka zaświeciły wilgocią, a on, westchnąwszy, rzekł: I czemże jest człowiek? Idzie sobie zadowolony przed bramę Altonajską na Hamburskiej Górze na spacer, ogląda tam osobliwości, lwy, ptactwo, papugojów, małpy, wyśmienitych ludzi, a potem każe się wozić na karuzelu albo elekstryzować i myśli sobie: A cóż dopiero za przyjemności miałbym w miejscu, co jest oddalone od Hamburga o dwieście mil, w kraju, gdzie rosną cytryny i pomarańcze, we Włoszech! Czemże jest człowiek? Jak jest przed Altonajską bramą, to pragnąłby być we Włoszech, a jak już jest we Włoszech, to pragnąłby znowu być przed Altonajską bramą! Ach, gdybym tam stał i znowu widział Michałową wieżę, a nad nią zegar z wielkiemi złotemi cyframi na cyferblacie, te wielkie złote cyfry, którym tak często przypatrywałem się po południu, kiedy one tak przyjaźnie błyszczały w słońcu — to nieraz chciałoby mi się je całować. Ach! teraz oto jestem we Włoszech, gdzie rosną cytryny i pomarańcze; ale gdy widzę, jak rosną cytryny i pomarańcze, to myślę o trakcie hamburskim, gdzie leżą one całemi furami, najspokojniej usypane w stosy, i gdzie można je jeść spokojnie, nie potrzebując wcale wdrapywać się na tyle niebezpiecznych gór

i cierpieć tyle skwarnych upałów. Tak mi Boże dopomóż, panie marchese, gdybym nie czynił tego dla honoru i dla edukacyi, tobym się tu nie wlókł za panem. Ale to trzeba panu przyznać, że człowiek ma u pana honor i edukuje się.

Hyacynt! rzekł teraz Gumpelino, pochlebstwem tem nieco udobruchany, Hyacynt, idź teraz do..

— Ja już wiem...

— Mówię ci Hyacynt, że ty nie wiesz..

Mówię panu, panie Gumpel, że ja wiem. Wasza Ekscelencya posyła mię teraz do lady Maxfield. Mnie nie potrzeba wcale tego mówić. Ja znam pańskie myśli—nawet te, których pan wcale jeszcze nie pomyślał, i może nie pomyśli wcale, tak długo, jak pan żyć będzie. Takiego służącego, jak ja, tak łatwo pan nie dostanie — i ja robię to dla honoru i dla edukacyi i rzeczywiście człowiek ma u pana zaszczyt i edukacyę. Przy tem słowie wytarł sobie nos bardzo białą chusteczką.

Hyacynt, rzecze marchese, pójdziesz teraz do lady Maxfield, do mojej Julii, i zaniesiesz jej ten tulipan; tylko ostrożnie z nim, bo kosztuje pięć paolów — i powiesz jej...

Ja wiem już...

Ty nic nie wiesz. Powiedz jej: Tulipan tem między kwiatami,..

Ja już wiem, pan chce jej coś przez ten kwiat powiedzieć... Ojej, dla ilu to losów w mojej kolekcie ja sam dorabiałem dewizy...

Mówię ci, Hyacynt, ja nie chcę od ciebie żadnej dewizy. Zanieś ten kwiat lady Maxfield i powiedz jej:

Tulipan tem między kwiatami,
Czem między serami strachino,
Lecz więcej, niż kwiaty i sery,
Ciebie uwielbia Gumpelino!

Żeby mi tak Pan Bóg wszystko dobre dał, to jest doskonałe! zawołał Hyacynt. Nie dawaj mi pan żadnych

znaków, panie marchese, co pan wiesz, to i ja wiem, a co ja wiem, to pan wiesz, A pan, panie, doktorze, bądź mi zdrów. O tej drobnostce nie przypominam. Z temi słowy zeszedł znowu z pagórka, mrucząc bezustannie: Gumpelino Strachimo—strachino Gumpelino.

To wierny człowiek — rzekł marchese—inaczej byłbym go dawno odprawił, z powodu jego nieznajomości etykiety. W obec pana to nic nie szkodzi. Pan mię rozumiesz. A jak się panu podoba jego liberya? Jest na niej za czterdzieści talarów więcej galonów, niż na liberyach, które nosi służba Rotszyldów. Mam swoją wewnętrzną satysfakcyą, że ten człowiek tak się u mnie perfekcyonuje. Kiedy niekiedy daję mu sam lekcyę wykształcenia. Mówię mu często: Co to jest pieniądz?—Pieniądz jest okrągły i może się potoczyć do licha, ale wykształcenie pozostaje [1]). Tak panie doktorze, gdybym, czego Bo-

[1]) W oryginalnym rękopisie przypadają tu następujące zdania. Ach! Rotszyld! gdybym tak miał jego pieniądze! Co mu one pomogą? On przecie nie ma wykształcenia, a z muzyki rozumie tyle zupełnie, co nowonarodzone cielę, a z malarstwa tyle co kot, a z poezyi tyle, co Apollo — tak się wabi mój pies. Gdy tego rodzaju ludzie stracą swoje pieniądze, to całkiem przestają istnieć. Mam wewnętrzne zadowolenie, że się ten człowiek tak u mnie perfekcyonuje. Mówię mu często: Co jest pieniądz?—Pieniądz jest okrągły i może się potoczyć do licha, lecz wykształcenie pozostaje. Stawiam mu za przykład jego przyjaciela, Nebbicha Adolfa Goldszmidta: chłopiec zarabiał pieniądze i chciał mieć jeszcze więcej, tak dużo choćby, jak Rotszyld, i znowu stracił wszystko i jest znowu zwyczajnym człowiekiem, całkiem umarłym człowiekiem, który chciałby ludziom dać do zrozumienia, że on żyje jeszcze troszkę, a w nocy staje przed zwierciadłem i opowiada sobie samemu, ile to on milionów niegdyś posiadał — bo nikt inny nie chce słuchać starej historyi.

Tak, marchese, gdy taki oto Ikar zanadto się zbliża do Rotszylda — słońca, wtedy opala sobie swoje państwowo-papierowe skrzydła i spada w morze nicości.

Z pieniędzmi, doktorze, przepada u tych ludzi honor i charakter.

że broń! stracił kiedy swoje pieniądze, to zawsze jeszcze zostanę wielkim znawcą sztuki, znawcą malarstwa, muzyki i poezyi. Możesz mi pan zawiązać oczy i tak prowadzić mię po galeryi florenckiej, a przy każdem płótnie, przed którem mię postawisz, wymienię panu malarza, który je malował, albo przynajmniej szkołę, do której ten malarz należy. Muzyka? Zatkaj mi pan uszy, a ja jednak usłyszę każdą fałszywą nutę. Poezya? Ja znam wszystkie aktorki w całych Niemczech, a wszystkich poetów umiem na pamięć. A dopiero naturę! Jeździłem dwieście mil, dniem i nocą, ażeby widzieć w Szkocyi jedną, jedyną górę! Ale Włochy przechodzą wszystko. Jak się panu podoba ta okolica natury? Co za utwór? Zobacz-no pan te drzewa, góry, niebo, a tam w dole wodę — czy to nie jest wszystko, jak malowane? Czy pan widział kiedy ładniejsze w teatrze? Człowiek się staje, że tak powiem, poetą! Przychodzą mu do głowy wiersze i nawet sam nie wie skąd [1]):

Cisza — spowite w zmierzch wieczornej chwili,
Spoczywa błonie, gaju mrą już pieśni,
I tylko tutaj, w starych murów pleśni,
Melancholijnie świerszcz zbłąkany kwili.

Wzniosłe te słowa marchese wydeklamował z wylewającem się za brzegi wzruszeniem, przyczem, jakby natchniony, spoglądał w śmiejącą się, porannie - świetlaną dolinę.

ROZDZIAŁ IV.

Kiedym pięknego wiosennego dnia przechadzał się „pod Lipami“ berlińskiemi, szły przedemną dwie kobiety. Milczały one długi czas, aż nareszcie jedna z nich tęsknie westchnęła: Ach, te zielone drzewa! Na co druga, młode stworzonko, zapytała z naiwnem zdziwieniem: Co cię obchodzą, matko, „die jrine Beeme“?

[1]) Z „Elegii“ Matthissoua.

Nie mogę powstrzymać się od zaznaczenia, że obie osoby nie były wprawdzie w jedwabiach, jednak żadną miarą nie należały do pospólstwa; bo też wogóle niema w Berlinie pospólstwa, jedynie chyba w wyższych stanach. Co się zaś tyczy owego naiwnego pytania, to nie może mi ono wyjść z pamięci. Wszędzie, gdzie chwytam na gorącym uczynku nieszczery zachwyt nad naturą i tym podone zielone kłamstwa, wnet prześmiecha mi się ono zabawnie przez myśl. I podczas deklamacyi markiza odezwało się ono we mnie,— on zaś zgadując szyderstwo na moich wargach, zawołał urażony: Nie przeszkadzaj mi pan! — Pan nie masz zmysłu do czystej naturalności — pan jesteś człowiekiem rozdartym, rozdartym umysłem, że tak powiem: Byronem.

Miły czytelniku, może i ty należysz do owych nabożnych ptaków, co to śpiewają na jednę nutę o byronicznem rozdwojeniu? Piosnkę tę wygwizdują mi już i ćwierkają na wszystkie sposoby od lat dziesięciu i nawet w mózgownicy markiza, jakeś słyszał przedtem, znalazła ona echo. Ach, drogi czytzlniku, jeżeli masz narzekać na ową rozterkę, to narzekaj raczej na to, że świat sam jest w pośrodku rozdarty na poły. A że serce poety jest środkowym punktem świata, więc i ono w dzisiejszych czasach musiało uledz rozdarciu. Kto się przechwala, że jego serce zostało całem, ten przyznaje jeno, że ma prozaiczne, jakieś zapadle-pokątne serce. Ale przez moje przeszła wielka rysa świata, i stąd właśnie wiem, że wielcy bogowie wysoką swą łaską wyróżnili mię z pośród wielu innych i uznali godnym poetyckiego męczeństwa.

Ongi świat był cały, w starożytności i wiekach średnich; pomimo walk zewnętrznych istniała przecież jedność świata, i istnieli poeci z jednej sztuki. Szanujmy tych wieszczów i rozkoszujmy się nimi; lecz wszelkie naśladowanie ich jednolitości jest kłamstwem, — kłamstwem, które każdy wzrok przeniknie i które wówczas nie ujdzie szyderstwa. Niedawno z wielkim trudem sprawiłem sobie

w Berlinie poezye jednego z owych wieszczów jednolitości, co tak bardzo utyskuje na mą byroniczną rozterkę, a przy owych kłamanych zielonościach, rzewnych poczuciach natury, które pachniały mi, niby świeże siano, biedne serce moje, i tak już dostatecznie rozdarte, omal nie pękło ze śmiechu; i mimowoli zawołałem: Mój drogi panie radco intendentury, Wilhelmie Neuman, [1]) was gehn Ihnen die jrine Beeme an?

Z pana człowiek rozdarty, pan to jakby, nieprzymierzając, Byron—powtórzył marchese, przyczem wciąż spoglądał natchniony ku dolinie i od czasu do czasu cmoktał językiem o podniebienie w pełnym namaszczenia podziwie: Boże! Boże! wszystko, jak malowane.

Biedny Byronie! Tego rodzaju spokojne napawanie się nie było ci sądzone! Byłoż twe serce tak zepsute, żeś mógł tylko widzieć naturę, nawet malować ją, lecz nie mogłeś być przez nią otchnionym? Albo może Bysshe Shelley [2]) ma racyę, gdy mówi, żeś podpatrzył naturę w jej niepokalanej nagości i dlatego, jak Akteon, przez psy jej zostałeś poszarpany?

Ale dosyć o tem, przechodzimy do lepszego przedmiotu, mianowicie do mieszkania signory Letycyi i Franceski, małego, białego budynku, który wygląda, jak gdyby był jeszcze w negliżu, a od frontu ma dwa wielkie, okrągłe okna; przed niemi, wysoko podciągnięte szczepy winne zwieszają długie swoje wici, przez co całość wygląda, jak gdyby zielone włosy bujnemi puklami spadały na oczy domu.

---

[1]) Wilhelm Neumann (1784 — 1834), radca intendentury w pruskiem ministeryum wojny i pisarz. Pisma jego wyszły w Lipsku 1835. Tam też w I t. str. 44 i dal. znajduje się jego sąd o Heinem.

[2]) Percy Bysshe Shelley (1792 — 1822), sławiony poeta angielski. Zdanie przytoczone odnosi się jednak nie do Byrona, lecz do Johna Keats'a, i znajduje się w elegii na śmierć tego poety: „Adonais," strofa 31.

Już u drzwi samych uderza nas mieszanina dźwięków, wirowate tryle, tony gitary i śmiechy.

ROZDZIAŁ V.

Signora Letycya, młoda pięćdziesięcioletnia róża, leżała w łóżku, trylowała i gawędziła z obydwoma swymi galantami, z których jeden siedział przed nią na niskim stołku, drugi zaś, rozparty w wielkim fotelu, grał na gitarze. W pokoju obocznym zrywały się też od czasu do czasu strzępki jakiejś słodkiej pieśni, albo też i słodszego jeszcze, cudnego śmiechu. Z pewnego rodzaju tanią ironią, która niekiedy czepiała się pana markiza, zaprezentował mię signorze i obu panom, robiąc przytem uwagę, że jestem tym samym Janem Henrykiem Heine [1]), doktorem prawa, co się taką sławą cieszy w niemieckiem piśmiennictwie prawniczem. Nieszczęście chciało, iż jeden z panów był profesorem z Bolonii i w dodatku prawnikiem, jakkolwiek jego dobrze sklepiony, okrągły brzuszek zdawał się raczej kwalifikować go do katedry trygonometryi sferycznej. Postawiony niejako w kłopotliwe położenie, zauważyłem, że nie pisuję pod własnem swojem nazwiskiem, lecz pod nazwiskiem Jarcke [2]); a powiedziałem to przez skromność; przyszło mi bowiem akurat na myśl jedno z najsmutniejszych owadzich nazwisk naszej literatury prawniczej. Bolończyk wyraził wprawdzie żal, że sławnego tego imienia nie słyszał jeszcze, — co pewnie i u ciebie będzie miało miejsce, kochany czytelniku; nie wątpił jednak, że nie-

---

[1]) Na chrzcie świętym otrzymał Heine imiona: Chrystyan Jan, Henryk.

[2]) K. E. Jarcke (1801—1852) znany publicysta, który będąc studentem w Bonn jednocześnie z Heinem, był zapalonym zwolennikiem burszenszaftów, później jednak w r. 1832 przeszedł na katolicyzm i za rządów Metternicha zajął miejsce w austryackiej kancelaryi państwowej i dworu.

bawem roztoczy ono swój blask po całej ziemi. Przyczem przechylił się w tył na swoim siedzeniu, wziął na gitarze parę akordów i zaśpiewał z Axura [1]).

O potężny Bramo!
Niechaj cię szczebioty
Wzruszą niewinnoty,
Szczebioty! szczebioty!

Niby lube, swawolne echo słowiczę, zadzwoniła w pokoju przyległym takaż sama melodya. A tymczasem signora Letycya trylowała cieniutkiem dyszkantem:

Lica te dla ciebie płoną,
Puls dla ciebie tylko tętni,
Słodkim żarem moje łono
Ach, dla ciebie tylko tchnie!

I najtłustszym w świecie, najprozaiczniejszym głosem dodała: Bartolo, podaj mi spluwaczkę!

Z niziutkiej swej ławeczki podniósł się tedy Bartolo, ze swemi cienkiemi, drewnianemi nogami, i z całą czcią sprezentował nie zupełnie czystą miseczkę z niebieskiej porcelany.

Drugi ten galant był, jak mi szepnął po niemiecku Gumpelino, bardzo sławnym poetą, którego pieśni choć skomponowane dwadzieścia lat temu, dziś jeszcze dźwięczą w całych Włoszech i słodkim ogniem miłosnym, który w nich płonie, upajają starych i młodych, — podczas gdy on sam jest człowiekiem biednym, przestarzałym, z wyblakłem okiem w zawiędłej twarzy, cienkymi białymi włoskami na chwiejącej się głowie i zimnem ubóstwem w wynędzniałem sercu. Taki oto biedny, stary poeta ze swą łysą drewnianością, jest, jak owe szczepy winne, które widzimy w zimie sterczące po chłodnych górach, zeschłe i bezlistne, drżące na wietrze i przysypane śniegiem, podczas gdy słodki moszcz, co niegdyś z nich wytrysnął, w najdalszych krajach rozgrzewa niejedno hulaszcze serce i każe upojonemu opiewać ich chwałę. Kiedyś, gdy tłocznia myśli, — prasa drukarska i ze mnie wyciśnie wszystko i tylko w nakładowej piwnicy Hoffmana i Campego zostanie co ze starego, wytoczonego ducha, kto, wie — może i ja, również chudy, wynędzniały, jak biedny Bartolo, siedzieć będę przy łóżku jakiejś starej inamoraty i podawać jej na żądanie miseczkę do plucia.

[1]) Ta oraz następne cztery cytaty wzięte są z nieznacznemi zmianami z przekładu niemieckiego opery włoskiej pod tytułem Axur, re d'Ormus, Antoniego Salieri z librettem Beaumarchais'go.

Signora Letycya usprawiedliwiała się przede mną, że leżeć musi w łóżku i to na brzuchu, bo wrzód na sempiternie, którego nabawiło ją objadanie się figami, przeszkadza jej teraz leżeć na krzyżu, jak przystało na porządną niewiastę. W rzeczy samej, leżała, nie przymierzając, jak sfinks; wysoko ufryzowane włosy spadały jej na ramiona, a między temi kołysała się jej pierś, na kształt morza czerwonego.

Pan jesteś niemcem? — zagadnęła mię.

Jestem zbyt uczciwy, by módz zaprzeczyć, signora!

Ach! uczciwości nie brak niemcom,—westchnęła—ale cóż to pomoże, iż ludzie ci są uczciwi, skoro nas rabują! Oni doprowadzą Włochy do zguby! Najlepsi moi przyjaciele siedzą w więzieniu medyolańskim, tylko niewolnictwo...

Nie, nie, zawołał marchese, nie narzekaj pani na niemców; z chwilą, gdy przybywamy do Italii, jesteśmy pokonanymi pokonawcami, zwyciężonymi zwycięzcami; a ujrzeć ciebie, signora, ujrzeć ciebie i paść ci do nóg—to jedno i to samo. I rozpostarłszy swą żółtą, jedwabną chustkę i ukląkłszy na niej, dodał: Oto klękam i składam pani hołd w imieniu całych Niemiec.

Cristoforo di Gumpelino!—westchnęła Signora, wzruszona do głębi i rozteskniona—powstań pan i obejmij mię!

Ażeby jednak luby pasterz nie popsuł fryzury i szminki swojej oblubienicy, pocałowała go nie w pałające policzki, lecz w lube czoło, tak, że jego oblicze pogrążyło się jeszcze głębiej, a jego ster, mianowicie nos, lawirował po czerwonem morzu.

Signor Bartolo!—zawołałem—pozwoli pan, że i ja skorzystam ze spluwaczki..

Żałośnie uśmiechnął się signor Bartolo, ale nie rzekł ani jednego słówka, pomimo iż, obok Mezzofantiego, uchodził w Bolonii za najlepszego nauczyciela języków [1]). Niechętnie mówimy, gdy mówić jest naszą profesyą. Służył on signorze, jako niemy rycerz, kiedy niekiedy tylko zmuszony recytować utwór, który dwadzieścia pięć lat temu rzucił jej na scenę, gdy po raz pierwszy występowała w Bolonii w roli Aryadny. On sam był może podówczas pełen liści i ognia, może nawet podobny do świętego Dyonyzosa, a jego Letycya-Aryadna rzucała mu się pewnie w ukwiecone objęcia: Evoe Bacche! Wówczas tworzył on jeszcze mnóstwo poezyj miłosnych, które, jak już wspomniałem, przechowały się w literaturze włoskiej, choć sam wieszcz i jego ukochana dawno poszli na makulaturę.

Dwadzieścia pięć lat świadczyło już o jego wierności i myślę, że do błogiego końca dni swoich będzie siedział na stołeczku i na żądanie recytował wiersze lub podawał spluwaczkę. Profesor jurysprudencyi prawie również długo wlókł się w pętach miłosnych signory i wciąż jeszcze z taką samą, jak na początku tego stulecia, gorliwością smalił do niej cholewki: wciąż jeszcze musi nielitościwie odkładać swe wykłady akademickie, ilekroć ona zażąda, by jej towarzyszył do tego lub owego miejsca, i wciąż

[1]) Giuseppe Mezzofanti (1774—1849) z Bolonii, jeden z naiwiększych językonawców.

jeszcze obarczony jest wszystkiemi służebnościami prawdziwego patito.

Ta wierna wytrwałość obu wielbicieli dawno zrujnowanej wdziękini jest może nałogiem, a może pietyzmem dla uczuć dawniejszych, a może i samem uczuciem, które stało się całkiem niezależnem od stanu, w jakim znajduje się dawny jego przedmiot, i patrzy nań jedynie oczami wspomnienia. Podobnież, w miastach katolickich zdarza się nam często widzieć na rogach ulic ludzi, klęczących przed wizerunkiem Madonny, tak wyblakłym i zbutwiałym, że ocalało zeń zaledwie parę śladów i kontury twarzy, że raczej nie widzi się tam nic więcej, prócz niszy, w której było malowidło i lampy, co może wisi nad nią. Lecz starzy ludzie, co z różańcem w trzęsących się dłoniach klęczą tam tak pobożnie, klęczeli tam już w latach swej młodości; przyzwyczajenie wiedzie ich zawsze o tej samej godzinie na to samo miejsce; nie uważali oni, jak gasnął ulubiony przez nich obrazek święty, bo też w końcu starość czyni człowieka tak słabowzrocznym i ślepym, że może to i całkiem obojętne, czy wogóle przedmiot naszego uwielbienia widzialny jest jeszcze, czy nie. Ci co wierzą, nie patrząc, są w każdym razie szczęśliwsi od owych bystrookich, co każdą zmarszczkę, zakwitającą na obliczu ich madon, wnet dostrzegają. Niema nic okropniejszego nad takie właśnie spostrzeżenia. Kiedyś wprawdzie wierzyłem, że najokropniejszą jest niewierność kobiety i ażeby tę okropność wyrazić, nazwałem je wężami. Lecz, ach, teraz już wiem, — najokropniejsze jest właśnie to, że nie całkiem są wężami; węże bowiem mogą co roku zrzucać z siebie swą łuskę i oblókłszy się w nową — odmłodnieć.

Czy którykolwiek z obu antycznych Seladonów było to zazdrosny, że marchese, albo raczej jego nos w powyżej opisany sposób tonął w błogości, tego dostrzedz nie mogłem. Bartolo siedział z całym spokojem ducha na swej ławeczce, założywszy nożne badyle swoje jeden na

drugi i bawił się z pieskiem, faworytem signory, jednem z owych ładnych zwierzątek, co pochodzą z Bolonii, i znane też są u nas pod nazwą bolończyków. Profesor nie przerywał sobie bynajmniej swojego śpiewu, który parodyująco przekrzykiwały niekiedy chichotliwie—słodkie tony z sąsiedniego pokoju. Od czasu do czasu też przerywał sam swój koncert, by mię nagabywać kwestyami prawnemi. Gdyśmy się w swych poglądach nie mogli zgodzić, chwytał gwałtownie akordy i wybrzdąkiwał argumenty. Ja jednak popierałem zawsze swoje zdanie powagą mojego mistrza, wielkiego Hugona, którego pod nazwiskiem Ugone, nawet Ugolino, czczą wielce w Bolonii [1]).

To wielki człowiek! zawołał profesor, przyczem brzdąknął i zaśpiewał:

Jego głosu miękkie dźwięki
W głębi piersi twej brzmią jeszcze,
A zadane przezeń męki —
To zachwytu słodkie dreszcze.

Także i Thibaut [2]), którego włosi zowią „Tibaldo," jest bardzo sławny w Bolonii. Lecz tam nie tyle znane są pisma owych mężów, ile raczej zasadnicze ich poglądy i ich sprzeczność. Jakem się przekonał, Gans i Savigny również znani są tylko z nazwisk. Tego ostatniego miał profesor za uczoną niewiastę.

Hm, hm, rzekł—gdym go wyprowadził z tego łatwo wybaczalnego błędu—w rzeczy samej nie kobieta. A więc

[1]) Profesor Gustaw Hugo (1764—1844) w Getyndze, sławny prawnik, szczególne położył zasługi dla nauki o źródłach prawa rzymskiego.

[1]) A. F. Thibaut (1774—1840) sławny profesor prawa. Pomiędzy nim a Hugonem toczył się wówczas gwałtowny spór o interpretacyę pewnego miejsca w Junterdictum księgi Corpus juris civilis: „de arboribus caedendis";

fałszywie mię poinformowano, A mówiono mi nawet, iż signor Gans na pewnym balu poprosił tę damę do tańca, a że mu odmowiono, więc powstała ztąd nienawiść piśmiennicza.

W istocie, źle pana powiadomiono; signor Gans nie tańczy wcale, już choćby ze względów ludzkości, w przeciwnym razie bowiem mogłoby stąd wyniknąć trzęsienie ziemi. Owo zaproszenie do tańca to prawdopodobnie źle zrozumiana alegorya. Szkoły historyczna i filozoficzna wyobrażone są może w postaci tancerzów i w tym sensie pomyślany może został kontredans, na który składają się: Ugone, Tibaldo, Gans i Savigny. I być może, iż to mając na myśli, mówią, że Signor Ugone, choć djabeł kulawy prawoznawstwa, robi jednakże również zgrabne pas, jak Lemiére'ka i że signor Gans skusił się w najnowszych czasach na parę wielkich skoków, które go uczyniły Hognetem szkoły filozoficznej.

Signor Gans — poprawił się profesor—tańczy zatem jeno alegorycznie, niejako pod przenośnią. Nagle jednak, zamiast mówić dalej, uderzył znowu w struny gitary i brzdąkając wściekle, śpiewać zaczął, jak szalony:

Tak, bo imię jego drogie
W każdym sercu rozkosz budzi,
Huczy głośno morze srogie,
Niebo groźnie chmury skryły
„Tarar" słychać głosy mnogie,
Jak gdyby przed bohaterem
Ziemia z niebem się korzyły.

O panu Göschenie nie wiedział nawet profesor, że istnieje [1]). Ale to ma swoje naturalne przyczyny; albowiem sława wielkiego Göschena nie dotarła jeszcze do Bo-

[1]) Sławny znawca prawa, I. F. L. Göschen (1787—1837), był prorektorem wszechnicy w Getyndze, w czasie, gdy Heine odbywał tam studya.

lonii, lecz dopiero do Poggio, odległego od niej jeszcze o cztery mile niemieckie i gdzie zabawi on jeszcze pewien czas dla rozrywki Getynga daleką jest w Bolonii od rozgłosu, jakiego możnaby się spodziewać już z tytułu samej wdzięczności za to, że nazywana bywa zwykle niemiecką Bolonią. Czy nazwa to trafna—nie chcę roztrząsać; w każdym jednak razie obie wszechnice różnią się już po prostu tem, że w Bolonii znajdują się najmniejsze psy i najwięksi uczeni, natomiast w Getyndze najmniejsi uczeni i największe psy.

ROZDZIAŁ VI.

Gdy Marchese di Gumpelino wydobył swój nos z czerwonego morza, jak świętej pamięci król Faraon, oblicze jego błyszczało spotniałą błogością. Głęboko rozrzewniony dał signorze przyrzeczenie, że jak tylko znowu będzie mogła siedzieć, własnym powozem odwiezie ją do Bolonii. Stanęła tedy umowa, iż profesor pojedzie naprzód, zaś Bartolo zabierze się powozem, gdzie będzie mógł siedzieć bardzo wygodnie na koźle i trzymać na rękach pieska, i że ostatecznie za dni czternaście staną we Florencyi, gdzie też signora Francesca, wybierająca się z mylady do Pizy, do owego czasu zdąży już być z powrotem. Marchese, obliczając na palcach koszta, brzęczał pod nosem: Di tanti palpiti [1]). Signora wyrzucała tymczasem najgłośniejsze tryle, a profesor grmiał po strunach gitary, tak płomienne śpiewając przy tem słowa, że mu z czoła krople potu, a z oczów łzy płynęły i na czerwonej jego fizyognomii w jedną się łączyły strugę. W trakcie tego śpiewu i brzęku drzwi przyległego pokoju otwarły się nagle na rozcież i wpadło stworzenie —

[1]) Z Tankreda Rossiniego. Akt I. Di tanti palpiti—po tylu cierpieniach.

Was, o muzy starego i nowego świata, was nawet o muzy, jeszcze nie odkryte, a które czcić będzie dopiero późniejsze pokolenie, i które ja oddawna już przeczuwałem w lesie i na morzu, was tedy zaklinam, dajcie mi farby, ktoremi-bym mógł odmalować istotę, obok cnoty najcudniejszą na świecie. Cnota, to się samo rozumie, jest pierwszą ze wszystkich piękności. Stworzyciel świata przyozdobił ją tyloma powabami, iż zdało się, że już na nic równie pięknego nie mógłby się zdobyć; ale oto zebrał on raz jeszcze wszystkie swoje siły i pewnej szczęśliwej godziny stworzył signorę Franceskę, piękną tancerkę, największy majstersztyk, jaki wymyślił po stworzeniu cnoty, i w którym nic a nic się nie powtarza, jak to bywa z mistrzami ziemskimi; u tych bowiem w dziełach późniejszych, niepostrzeżenie wychodzą na jaw powaby wcześniejszych. Nie, signora Franceska jest cała oryginałem, nie ma ona najmniejszego podobieństwa do cnoty i są znawcy, co uważają ją za równie cudowną, cnocie zaś, którą stworzono wcześniej, przyznają jedynie wyższość starszeństwa. Ale czyliż to w samej rzeczy wielka wada, że tancerka jest o jakie sześć tysięcy lat za młoda?

Ach! oto widzę ją znowu, jak z rozepchniętych gwałtownie drzwi wyskakuje aż na środek pokoju, w tej samej chwili obraca się niezliczoną ilość razy na jednej nodze, potem rzuca się jak długa na sofę, mając oczy zakryte obiema dłońmi, i zadyszana woła: Ach, tak mię ten sen znużył! Ale teraz zbliża się marchese i pali długą oracyę w zwykłym swoim ironicznym, szeroko - uniżonym tonie, który tworzy wprost zagadkowy kontrast z jego krótko-węzłowatem, gdy się w nim odezwie interes praktyczny, postępowaniem, i z jego płytkiem rozpływaniem się w wypadkach sentymentalnego podniecenia. Zwyczaj ten nie był jednakże nienaturalny; wykształcił się on w nim może całkiem naturalnie przez to, że brakło mu śmiałości do okazywania bez wszelkiej ogródki owej przewagi, do której czuł się upoważnionym przez swoje pieniądze i umysł. Dla tego

to tchórzliwie starał się ją obwijać w wyrazy najbardziej przesadzonej uniżoności. Jego szeroki przy tego rodzaju okazyach uśmieszek miał w sobie coś nieprzyjemnie zabawnego i nie wiedziałeś sam, czy mu zań płacić batem czy oklaskiem. Tego rodzaju była właśnie jego mowa poranna do signory Franceski, która, jeszcze napół senna, ledwie go słuchała; gdy zaś na zakończenie prosił o pozwolenie ucałowania jej nóg, a przynajmniej lewej nogi, i gwoli tego interesu z całą troskliwością rozpostarł na podłodze swą żółto-jedwabną chustkę i ukląkł na niej, — ona obojętnie wyciągnęła doń lewą nogę, tkwiącą w malutkim czerwonym buciku, w przeciwieństwie do prawej nogi, odzianej w bucik niebieski. Była to ucieszna kokieterya, dzięki której delikatne, śliczne kształty nóg jeszcze lepiej się uwydatniały. Ucałowawszy maleńką nóżkę z całą czcią, podniósł się marchese ze swem stękającem: O Jezu! — i poprosił o pozwolenie zaprezentowania i mnie, swojego przyjaciela, którego to pozwolenia udzielono mu również ziewając. Nie szczędził przy tem chwalb dla mojej doskonałości i zapewniał parolem kawalerskim, że zgoła wyśmienicie opiewam nieszczęśliwą miłość.

Poprosiłem owę damę, czyby i mnie nie zezwoliła łaskawie ucałować jej lewej nogi, a w chwili, gdym dostępował tego zaszczytu, ocknęła się, jak gdyby z pół-snu, pochyliła ku mnie uśmiechnięta, spojrzała na mnie wielkiemi, zdziwionemi oczyma, skoczyła wesoło aż na sam środek pokoju i niezliczoną ilość razy okręciła się na jednej nodze. Czułem — przedziwna rzecz — jak moje serce wciąż z nią się okręca, aż mu się prawie w głowie zaczyna kręcić. Profesor zaś szczypnął przy tem wesoło struny swej gitary i zaintonował: [1])

[1]) Druga strofa romansu Axura (akt 3). W wydaniu francus. obie ostatnie strofy przytoczone są całkowicie z francuskiego tekstu opery, ktora w Paryżu ukazała się po raz pierwszy r. 1787 pod tytułem Tarare.

Wybrała mię signora z opery,
Mając zamiar poślubić mię szczery,
I wnet było zawarte małżeństwo —
Och, biedny ja! Och przekleństwo!

Szczęściem, zesłał los dzikich korsarzy,
Oddałem im ją w drodze sprzedaży,
Nim spostrzegła, że pachnie zasadzką.
Brawo! Biskroma! Ach! gracko!

Raz jeszcze signora Franceska bystrym i egzaminującym wzrokiem obrzuciła mię od słóp do głów i z miną zadowoloną podziękowała markizowi, jak gdybym był podarunkiem, przyniesionym jej przez rycerskość. Nie wiele znalazła w nim do zganienia: jeno włosy moje były jej nieco za płowe; wolałaby je mieć ciemniejszymi, tak jak włosy abbate Cecca, również i oczy moje—znalazła, że są zbyt małe i więcej zielone, niż niebieskie. Dla odwetu powinien bym, kochany czytelniku, odmalować signorę Franceskę również przyganiająco, ale doprawdy, w tem miłem, powiedziałbym prawie, że z lekką myślą sformowanem wcieleniu gracyi, nie miałem nic do zarzucenia. Nawet twarz była całkiem boskiego kroju, jak się ją widuje u posągów greckich; czoło z nosem tworzyły jedną prostą linię; milutki kąt prosty tworzyła z nią dolna linia nosa, przedziwnie krótka; również wąską była odległość od nosa do ust; warg ledwie że starczyło dla obu końców i musiał je dopełniać marzycielski uśmiech; a pod niemi kręglił się śliczny, pełny podbródek, a szyja — Ach, czytelniku pobożny, zadaleko zachodzę, a prócz tego przy tem inauguracyjnem malowaniu nie mam jeszcze prawa mówić o dwu milczących kwiatach, co, niby biała poezya, wychylały swój blask, ilekroć signora odpinała na szyi srebrne guziki swej czarnej jedwabnej sukni... Miły czytelniku! Wróćmy na górę, do twarzy, której wizerunku dopełnić jeszcze muszę wiadomością, że była jasna i blado-żółta, jak bursztyn, że od

czarnych włosów, pokrywających skronie lśniąco gładkimi owalami, nabierała dziecięcej okrągłości, a dwoje czarnych, niespodzianych oczów, opromieniało ją, jakby czarodziejskiem światłem.

Jak widzisz, kochany czytelniku, pragnąłbym ci dać dokładny opis siedliska mojego szczęścia i, podobnie jak inni podróżnicy dołączają do swoich dzieł osobne mapy miejscowości, ważnych pod względem historycznym albo skądinąd godnych uwagi, tak samo i ja miałbym ochotę dać wyryć Franceskę na miedzi. Lecz ach! cóż znaczy martwa kopia zewnętrznych konturów obok kształtów, których przeboski czar na żywym polega ruchu! A tego nawet najcelniejszy malarz nie potrafi nam unaocznić, albowiem malarstwo — to nic innego, jak płaskie kłamstwo. Dokazałby tego prędzej rzeźbiarz; zmieniając oświetlenie, możemy w posągach wyobrazić sobie poniekąd ruch kształtów, a pochodnia, rzucająca na nie światło tylko z zewnątrz, zdaje się i z wewnątrz je ożywiać. Tak, kochany czytelniku, istnieje pewna statua, która mogłaby ci dać marmurowe pojęcie o piękności Franceski, — a mianowicie Venus wielkiego Canovy, którą znaleść możesz w jednej z ostatnich sal pałacu Pitti we Florencyi. Myślę teraz często o tym posągu; niekiedy marzy mi się, że leży on w moich objęciach i ożywia się stopniowo i w końcu szepce mi coś głosem Franceski. Ten to właśnie dźwięk jej głosu nadawał każdemu jej słowu w najwyższym stopniu miłe i nieskończone znaczenie, a gdybym ci chciał powtórzyć jej słowa, to miałbyś jeno suchy zielnik kwiatów, które tylko dzięki swej woni posiadały najwyższą swą wartość. Często też podskakiwała w górę i tańczyła w trakcie swej mowy, i może taniec był właśnie naturalną jej mową. A serce moje wciąż tańczyło z nią razem, i wykonywało najtrudniejsze pas, i okazywało przy tem talent tancerski, jakiegobym się w nim nigdy nie domyślał. W ten to sposób opowiedziała mi Franceska i historyę o abbate Cecco, młodym chłopaku. który się w niej kochał wówczas jeszcze,

gdy ona w dolinie Arno wyplatała kapelusze słomiane, przyczem zapewniała mię, że mam szczęście być do niego podobnym. Robiła przy tem najczulsze pantominy, raz po raz przyciskała koniuszki palców do serca, potem znów zdawała się czerpać zeń garścią najtkliwsze uczucia, wreszcie uniósłszy się, padła pełną piersią na sofę, wyciągnęła za sobą nogi do góry i wprawiła je w ruch drewnianych lalek. Niebieska noga wyobrażać miała abbate Cecca, a czerwona — biedną Franceskę, a parodyując w ten sposób własne swe dzieje, kazała obu swym zakochanym nogom żegnać się z sobą i było to wzruszająco - błazeńskie widowisko, jak obie one całowały się koniuszkami i mówiły sobie najczulsze rzeczy. Szalona dziewczyna płakała przytem komicznie-chichotliwemi łzami, które jednak od czasu do czasu, trochę bezwiednie, wychodziły z duszy głębiej, niż tego wymagała rola. Z ucieszną wyniosłością cierpienia, musiał abbate Cecco wypowiedzieć długą mowę, w której sławił piękność biednej Franceski pedantycznemi przenośniami, sposób zaś, w jaki ona, jako biedna Franceska, dawała odpowiedź i własnym swym głosem naśladowała dawną swą sentymentalność, miał w sobie coś maryonetkowo-żałosnego, co dziwnie mnie poruszało, Ade, Cecco! Ade, Franceska! brzmiała ustawiczna zwrotka; zakochane nóżki nie chciały się z sobą rozstać, i rad byłem w końcu, że nieubłagany los rozłączył je, albowiem słodkie przeczucie szeptało mi, że byłoby dla mnie klęską, gdyby oboje zakochani wciąż byli z sobą złączeni.

Profesor bił brawo śmiesznie - brzęczącymi tonami gitary, signora trelowała, piesek szczekał, marchese i ja klaskaliśmy w dłonie, jak wściekli, a signora Franceska wstała i ukłoniła się, dziękując. To w rzeczy samej ładna komedya, — zwróciła się do mnie — ale już dawno temu, jak była po raz pierwszy graną, i ja sama jestem już taka stara — zgadnij pan, jak stara?

Nie czekała jednak bynajmniej mojej odpowiedzi i rzekła szybko: — osiemnaście lat, przyczem okręciła się pe-

wnie z osiemnaście razy na jednej nodze. A ile pan masz lat, dottore?

Ja, signora, urodziłem się w noc noworoczną roku tysiącznego osiemsetnego [1]).

Jużem pani przecie powiedział, zauważył marchese, że to jeden z największych mężów naszego stulecia.

A ile lat ja mam podług pana? zawołała nagle signora Letycya, i nie pomna na swój kostyum Ewy, który dotąd zakrywała kołdra, uniosła się przy tem pytaniu tak namiętnie do góry, że oczom naszym ukazało się nietylko morze czerwone, ale cała Arabia, Syrya i Mezopotamia.

Przelękniony tym okropnym widokiem, odskoczyłem w tył i bąknąłem parę frazesów o trudnościach rozwiązania tego pytania, w obec tego, iż widziałem dotąd signorę dopiero w połowie, że jednak coraz gwatowniej nalegała, wyznałem jej całą prawdę,—że mianowicie nie umiem jeszcze obliczyć dokładnie stosunku roku włoskiego do roku niemieckiego.

Czy wielka między niemi różnica? pytała signora Letycya.

Rozumie się odrzekłem. Ponieważ ciepło wszystkie ciała rozszerza, przeto w ciepłej Italii lata są daleko dłuższe, niż w zimnych Niemczech.

Lepiej jednak wyratował mię z kłopotu Marchese, twierdząc z galanteryą, że jej piękność teraz dopiero rozwinęła się w swej najbujniejszej dojrzałości. I, signora—dodał—jak pomarańcza, im starsza, tem staje się żółtszą, tak i twoja uroda z każdym rokiem staje się dojrzalszą. Porównanie to, zdaje się, zadowolniło zupełnie damę, bo wyznała, iż sama czuje się rzeczywiście dojrzalszą, niż przed tem, a zwłaszcza niż wówczas, kiedy była jeszcze całkiem cienkiem stworzeniem, i po raz pierwszy występowała w Bo-

[1]) Datę tę podaje Heine z pewnością tylko dla żartu. Data jego urodzin 17 Grudnia 1799 r. jest teraz dosyć ustaloną.

lonii, i że teraz jeszcze nie pojmuje, jak mogła z podobną figurą zrobić taką furor. Jęła tedy opowiadać o debiucie swym w roli Aryadny, do czego, jakem odkrył później, bardzo często lubiła wracać, signor zaś Bartolo musiał też deklamować poemat, który jej wówczas rzucił na scenę. Dobry to był utwór, pełen wzruszającej żałoby nad niewiernością Tezeusza, pełen ślepego zapału dla Bachusa i kwiecistej chwały dla Aryadny. Bella cosa! wołała signora Letycya przy każdej strofce, a i ja też chwaliłem obrazy, budowę wiersza i całe opracowanie owego mitu.

Tak, tak, bardzo piękny, rzekł profesor i z pewnością musi się opierać na prawdzie historycznej, ile że niektórzy autorowie wyraźnie opowiadają nam, jako Oeneusz, jeden z kapłanów Bachusa, poślubił pogrążoną w żalu Aryadnę, spotkawszy ją opuszczoną na Naksosie i, jak to się często zdarza, z kapłana boga zrobiono w legendzie samego boga.

Ze zdaniem tem nie mogłem się zgodzić, gdyż w mitologii skłaniam się bardziej ku interpretacyi historycznej, odparłem więc: W całej tej bajce, opiewającej, iż Adryadna, gdy ją Tezeusz zostawił siedzącą na Naksosie, rzuciła się w objęcia Bachusowi, nie widzę nic innego, jak alegoryę, iż w owym stanie opuszczenia oddała się ona trunkom—hypoteza, którą dzieli ze mną nie jeden uczony mojej ojczyzny. Pan, panie Marchese, będziesz zapewne wiedział, że nieboszczyk Bethmann, [1]) bankier, w duchu tej hypotezy tak oświetlać umiał swą Aryadnę, że zdawała się mieć nos czerwony.

O tak, tak, Bethmann z Frankfurtu to był wielki człowiek! zawołał marchese, lecz w temże samem mgnieniu oka, coś ważnego widocznie przemknęło mu przez głowę, bo wzdy-

[1]) S. M. Bethmann (1768—1826) z Frankfurtu n. M. W założonem przez niego muzeum znajduje się słynna statua Aryadny, jadącej wierzchem na panterze, wykonana w marmurze przez Danneckera.

chając rzekł sam do siebie: Boże, Boże, zapomniałem napisać do Rotszylda do Frankfurtu! I z twarzą poważnie czemś zaprzątniętą, z której znikł, zdało się, wszelki żart parodyi, pożegnał się krótko—węzłowato, bez długich ceremonij, obiecując powrócić ku wieczorowi.

Kiedy już był za drzwiami, a ja zabierałem się, jak to jest we zwyczaju, do czynienia swych gloss nad człowiekiem, dzięki dobroci którego zyskałem najprzyjemniejszą w świecie znajomość,—spostrzegłem z podziwem, że wszyscy razem nie mogli go się dosyć nachwalić i że wszyscy w najwyszukańszych wyrażeniach podnosili szczególnie jego entuzyazm dla tego, co piękne, jego szlachecko-wytworne obejście, jego bezinteresowność. Nawet signora Franceska wtórowała tej pieśni pochwalnej, wyznała jednak, iż jego nos ma w sobie coś zatrważającego i przypomina jej wieżę pizańską.

Przy pożegnaniu prosiłem ją znowu o łaskawe pozwolenie ucałowania jej lewej nogi; w odpowiedzi na to z uśmiechniętą powagą zdjęła czerwony bucik a także i pończochę, a gdym ukląkł, podała mi białą, kwitnącą liliową nogę, którą może pobożniej przycisnąłem do ust, niż bym to uczynił z nogą papieża. Samo się rozumie, iż byłem też garderobianą i pomogłem wciągać napowrót pończochę i bucik.

Jestem z pana zadowolona — rzekła signora Franceska po załatwieniu czynności, przy której niebardzom się spieszył, pomimo iż puściłem w ruch wszystkie dsiesięć palców.

Jestem zadowolona z pana, będziesz mi pan częściej wkładał pończochy. Dziś całowałeś mi pan lewą nogą, jutro będzie do dyspozycyi pańskiej i prawa. Pojutrze możesz pan już pocałować lewą rękę, a następnego dnia i prawą. Sprawuj się pan dobrze, a podam ci usta i t. d. Jak pan widzisz, pragnę mu pomódz w awansowaniu, a że pan jesteś młody, więc możesz jeszcze na świecie daleko zajść.

To też zaszedłem na tym świecie daleko! Bądźcie mi świadkami, wy, noce toskańskie, wy jasne, lazurowe niebiosa z wielkiemi srebrnemi gwiazdami, wy, dzikie krze laurowe i tajemnicze mirty, i wy, o nimfy Apeninów, coście się unosiły dokoła nas z pląsem godowym i zapuszczały marzeniem w owe lepsze czasy bogów, kiedy nie było jeszcze gotyckiego kłamstwa, co pozwala jeno na owe rozkosze ślepe, po omacku i w ukryciu, i na każde swobodniejsze uczucie nalepia swój obłudny listek figowy.

Nie potrzeba było liści figowych, albowiem całe drzewo figowe, z pełnemi, rozłożystemi konarami, szumiało nad głowami szczęśliwych [1]).

ROZDZIAŁ VII.

Czem są baty — wiedzą już wszyscy; ale co to jest miłość, tego nikt jeszcze nie wysondował. Niektórzy filozofowie natury twierdzili, że to rodzaj elektryczności. Jest to możebne. Bo w chwili, gdy się zakochujemy, jest nam tak, jak gdyby promień elektryczny z oczów ukochanej nagle uderzył nas w serce. Ach! Te pioruny są najniebezpieczniejsze i kto przeciw nim wynajdzie konduktora, tego czcić będą więcej, niż Franklina. Gdyby tak istniały małe piorunochronki, któreby można nosić na sercu, i w których byłaby żerdź, odprowadzająca straszliwy ogień w inne miejsce! Ale boję się, że małemu Amorowi nie tak łatwo odebrać jego strzały, jak Jowiszowi jego gromy, a tyranom

---

[1]) W rękopisie oryginalnym przypadają tu jeszcze następujące zdania: Graliśmy stare czasy, albo raczej młode czasy, nasz bowiem jest siwy, i nawet nasz Amor ma siwe włosy i zmęczone oczy. W objęciach swoich miałem niebo i zapomniałem o ziemi, i o kraju rodzinnym i o kochanych ziomkach, co siedzieli tam w górze na północnym biegunie, po pępek w śniegu, a więc byli nader cnotliwi i pisali podręczniki moralności, budujące książki i dogmatyki.

ich berła. A nadto nie wszelka miłość działa, jak piorun: niekiedy czai się ona, jak padalec śród róż, i wypatruje pierwszą szparę w sercu, ażeby się w nią wślizgnąć; niekiedy jedno słowo, jedno spojrzenie, opowiadanie o jakimś niepozornym czynie, pada niby świetlane ziarno na nasze serce, spokojnie leży w niem przez całą zimę, póki nie nadejdzie wiosna, a wówczas malutkie nasionko wystrzela w górę płomiennym kwiatem, którego woń odurza głowę. To samo słońce, co w Nilowej dolinie Egiptu wylęga jaja krokodyle, może jednocześnie w Potsdamie na Havelu doprowadzić do pełnej dojrzałości posiew miłosny w młodem sercu, a wówczas łzy płyną w Egipcie i Potsdamie. Ale od łez daleko jeszcze do objaśnienia — Co to jest miłość? Czyż nikt nie zgłębił jej istoty? nikt nie rozwiązał zagadki? A może takie rozwiązanie sprawia większą mękę, niż sama zagadka, a serce truchleje przed niem i drętwieje, jak gdyby na widok Meduzy? Węże wiją się pierścieniami dokoła straszliwego słowa, co ma być kluczem tej zagadki. Och, nie chcę nigdy znać tego rozwiązującego słowa, a piekąca w mem sercu niedola jest mi bądźcobądź milsza nad zimną odrętwiałość. O, nie wymawiajcie go, obumarłe wy postacie, co bezbolesne, jak głaz, ale i jak głaz nieczułe, kroczycie przez różane ogrójce tego świata i pogardliwie uśmiechacie się blademi usty na widok durnego ciemięgi, który sławi zapach róż i utyskuje na ciernie.

Lecz jeślim nie zdołał powiedzieć ci, miły czytelniku, czem jest właściwie miłość, to mógłbym jednak opowiedzieć całkiem wyczerpująco, jakie człowiek robi miny i jak mu jest na sercu, gdy zapała miłością w Apeninach. Robi mianowicie miny, jak błazen, tańczy przez pagórki i skały i zdaje mu się, że z nim cały świat tańczy. Na sercu jest wtedy człekowi, jak gdyby świat dziś dopiero został stworzony, a on był pierwszym człowiekiem. Ach, jakie to wszystko piękne! wołałem w niebogłosy, opuściwszy mieszkanie Franceski. Jak piękny i drogocenny jest nowy ten świat! Zdało mi się, że wszystkim roślinom i zwierzętom muszę ponadawać imiona; nadawałem je też wszystkiemu, zgodnie z wewnętrzną jego naturą i według mego własnego uczucia, które ze światem zewnętrznym cudownie się zlewało. Pierś moja była źródłem objawienia i rozumiałem wszelkie formy i kształty, zapach roślin, śpiew ptasząt, świst wiatru i szum wodospadów. Niekiedy też słyszałem boski głos: Adamie, gdzie jesteś? Tu jestem, Francesko, wołałem wówczas, ubóstwiam ciebie, bo wiem na pewno, żeś ty sworzyła słońce księżyc i gwiazdy, i ziemię i wszystkie jej—kreatury! Wtedy rozlegał się w krzakach mirtowych chichot, a ja wzdychałem do siebie potajemnie: O słodki bezrozumie, nie opuszczaj mnie!

Później, gdy zapadł zmrok, dopiero na dobre zaczęła sie obłąkana błogość miłości. Drzewa na górach nie tańczyły już pojedyńczo, lecz same góry tańczyły z ciężkiemi swemi głowami, tak czerwonemi od promieni żegnającego je słońca, jak gdyby spiły się własnemi winogronami. W dole potok rwał się bystrzej naprzód i, pełen trwogi, szumiał, jak gdyby przelękniony, że zataczające się z uniesienia góry runą na ziemię. A przytem w powietrzu łyskało się tak mile — rzekłbyś, świetlane pocałunki! O tak, zawołałem, rozpromienione niebo całuje kochankę ziemię— O Francesko, piękne ty niebo, pozwól mi być twą ziemią! Jam tak cały ziemski i tęsknię do ciebie, do nieba. Takem wołał i błagając wyciągał do góry ramiona i z rozpędu wyrznął głową nie o jedno drzewo, lecz zamiast kląć, obejmowałem je, a dusza moja wydawała grzmiące okrzyki miłosnego upojenia, — gdy w tem ujrzałem błyszczącą, szkarłatną postać, która wyrwała mię raptownie ze wszystkich mych marzeń i powróciła najchłodniejszej rzeczywistości.

ROZDZIAŁ VIII.

Na kępie murawy, pod szerokim laurem, siedział Hyacynthos, kamerdyner pana Marchese, a przy nim Apollo,

tegoż pies. Ten ostatni stał raczej, przednie bowiem łapy oparł na szkarłatnych kolanach małego człowieczka i przypatrywał się ciekawie, jak ten, trzymając tabliczkę łupkową w ręku, od czasu do czasu zapisywał coś na niej, żałośnie się do siebie uśmiechał, potrząsał główką, wzdychał głęboko a potem znów zadowolony wycierał nos.

Co, u kata! zawołałem, podchodząc, Hirsch Hyacynthos! robisz poezye? No, no, wróżby są pomyślne, Apollo stoi przy twym boku, a wawrzyn wisi już nad twoją głową.

Krzywdziłem jednak nieboraka. Słodko odparł: [1]) Poezye? Nie, ja jestem przyjacielem poezyi, ale ja ich nie pisuję. Co ja bym miał pisać? Akurat nie miałem nic do roboty, więc dla rozrywki układałem sobie listę nazwisk tych przyjaciół, którzy nigdyś grali u mnie na loteryi. Niektórzy z nich są mi jeszcze coś winni — Tylko niech pan nie myśli, panie doktorze, że ja panu przypominam — to

---

[1]) W rękopisie oryginalnym znajduje się w tem miejscu następujący urywek. Poezye? Niech mię Bóg broni od poezyj, i od wszelkiej myśli, co są samemi tylko myślami — ja jestem praktyk, człowiek światowy. Wybacz Pan — nie pomyślałem o tem, że pan sam piszesz poezye, ładne poezye, ja je nawet czytałem, bom chciał sobie z nich przepisać parę dewiz do losów loteryjnych, ale otwarcie mówiąc, nie wiele tam myśli, któreby mi się mogły przydać.

Szwagier mój, Mendel, i mój brat, Moryc, pomagali mi nawet przy czytaniu i mówiliśmy często: Gdyby tak doktór Heine włożył swój rozsądek w coś lepszego i rozpoczął jakiś porządny interes, to mógłby się stać wielkim człowiekiem — i szczerze powiedziawszy—czemu Pan opiewasz ciągle morze? Byłem ja sam w Cuxhaven, i przypatrywałem się morzu. Co tu można za wielkie rzeczy o niem powiedzieć? To przecież nic, jak tylko woda i znów woda.

Jest coś prawdy w pańskich słowach, panie Hyacynthos; z tamtej strony Jordanu wielu ludzi myśli tak, jak pan, — ale powiedz mi pan, co tam pisałeś przed chwilą?

może czekać, pan jesteś dla mnie pewny. A gdybyś pan tak zamiast 1364 grał 1365, teraz byłbyś człowiekiem, mającym sto tysięcy marek banco, i nie potrzebowałbyś wałęsać się tutaj i mógłbyś siedzieć sobie w Hamburgu, w spokoju i zadowoleniu, i mógłbyś pan na sofie kazać sobie opowiedzieć, jak to tam wygląda we Włoszech. Tak mi Boże dopomóż! Jabym tu nie przyjechał, gdybym nie czynił tego dla pana Gumpla. Ach, ile upałów, i niebezpieczeństw i zmęczenia muszę ja przenieść, a gdzie tylko jest jakieś natężenie, albo fantazya jakaś, tam jest i pan Gumpel, a ja muszę mu we wszystkiem towarzyszyć. Jabym już dawno był odszedł od niego, gdyby on mógł się obejść beze mnie. Bo któżby później opowiadał w domu, ile on honorów i edukacyi używał na obczyźnie? Przytem, jeśli mam powiedzić prawdę, ja sam zaczynam uważać bardzo edukacyę. W Hamburgu, chwalić Boga, nie potrzebowałem jej. Ale czy kto może wiedzieć? Pewnego razu człowiek może się znaleść w innem miejscu. Teraz jest całkiem inny świat. I mają racyę; takie trochę wykształcenia to ozdabia całego człowieka. A jaki zaszczyt się ma z tego! Lady Maxfield, naprzykład, jak ona mię dziś rano przyjęła i honorowała! Całkiem równolegle, jak gdyby swojego równego. I dała mi na piwo całego francescona, chociaż kwiat kosztował tylko pięć paolów. A prócz tego zawsze to satysfakcya, gdy się taką małą białą nogę pięknej osoby trzyma w swoich rękach.

Nie małom się zmieszał ostatnią tą uwagą i pomyślałem zaraz: Byłżeby to docinek? Ale jak mógł ten gałgan wiedzieć już o szczęściu, które mię spotkało tego samego dnia, w tym samym czasie, kiedy on znajdował się na przeciwległej stronie góry? Miałażby się tam odbyć taka sama scena, i czyżby w tem ujawniała się ironia wielkiego Wszechdramaturga tam w górze, że rozkazał on jeszcze z tysiąc podobnych, wzajem się parodyujących scen, odegrać dla rozrywki hufców niebieskich? Tymczasem oba domysły były bezpodstawne, gdyż po wielokrot-

nem, długiem wypytywaniu się i kiedym mu złożył przyrzeczenie, iż go nie wydam przed marchesem, biedak przyznał mi się, że lady Maxfield leżała jeszcze w łóżku wtedy gdy jej wręczał tulipan; że w chwili, gdy się zabierał do swej pięknej przemowy, wychyliła się nago jedna z jej nóg, że zaś spostrzegł na niej nagniotki, więc natychmiast prosił o pozwolenie wycięcia ich, które to pozwolenie dano mu; za to też, a zarazem za doręczenie tulipana, nagrodzono go francesconem.

Ale mnie zawsze chodziło tylko o zaszczyt — dodał Hyacynt, i to też powiedziałem baronowi Rotszyld, kiedym miał zaszczyt wycinać mu nagniotki. Stało się to w jego gabinecie; siedział wtedy w zielonym swym fotelu jak na tronie, przemawiał, jak król—dokoła stali jego kurtierzy, a on wydawał swoje rozkazy i wysyłał sztafety do wszystkich królów; a kiedym mu przez ten czas wycinał odciski, myślałem sobie w duchu: masz teraz w swoich rękach nogę człowieka, co sam teraz trzyma w rękach cały świat; jeśli go zatniesz u dołu trochę za ostro, to się rozzłości i największych królów zatnie u góry jeszcze gorzej — To był najszczęśliwszy moment w mojem życiu.

Wyobrażam sobie to piękne uczucie, panie Hyacynt. Ale którego to z dynastyi Rotszyldów amputowałeś pan w ten sposób? A może był to ów wspaniałego serca brytańczyk, człowiek z Lombardstreet [1]), co to założył lombard dla królów i cesarzów?

Rozumie się, panie doktorze, ja myślę tego wielkiego Rotszylda, wielkiego Natana Rotszylda, Natana mędrca, u którego cesarz brazylijski zastawił swoją dyamentową koronę. Ale ja miałem zaszczyt poznać także barona Salomona Rotszylda z Frankfurtu, a chociaż nie było mi przeznaczone cieszyć się jego intymną nogą, umiał mię jednak

[1]) Baron Natan v. Rotszyld (1777 — 1836), którego Heine poznał w Londynie.

ocenić. Gdy pan marchese rzekł do niego, że byłem kiedyś kolektorem loteryi, baron odezwał się bardzo dowcipnie: Przecie ja sam jestem czemś podobnem, ja jestem nadkolektorem rotszyldowskich losów, i dalibóg mój kolega nie powinien jeść razem ze służbą, — niechaj zasiądzie przy stole obok mnie. I żeby mi tak Pan Bóg wszystko dobre dał, panie doktorze, ja siedziałem obok Salomona Rotszylda, a on traktował mię zupełnie, jak swego równego, jak gdybym był jego familionerem. Byłem też u niego na tym sławnym balu dziecinnym, co to stał w gazetach. Jak długo żyć będę, takiego przepychu już więcej oczy moje nie zobaczą, Byłem już przecież w Hamburgu na balu, który kosztował 1,500 marek i 8 szylingów, ale to był tylko, za pozwoleniem, kozi bobek w porównaniu z całą kupą gnoju. Ile ja tam widziałem złota i srebra i dyamentów! Ile gwiazd i orderów! I order sokoła, i złotego runa, i lwa, i orła — nawet jedno zupełnie małe dziecko, ale, mówię panu, całkiem małe dziecko miało na sobie order słonia. Dzieci były w bardzo pięknych maskach i bawiły się w pożyczkę i były ubrane, jak królowie, z koronami na głowach, a jeden duży chłopiec był ubrany akuratnie, jak stary Natan Rotszyld. On robił swój interes bardzo dobrze, trzymał obiedwie ręce w kieszeniach, pobrzękiwał pieniędzmi, kiwał się z kwaśną miną, gdy który z małych królików chciał coś pożyczyć i tylko jednego małego w białym surducie i czerwonych spodniach przyjaźnie gładził po gębie i chwalił go: Tyś moja rozkosz, mój kochanek, moja ozdoba, ale o twoim kuzynie nie chcę i słyszeć, temu kpu nie pożyczę nic, bo on wydaje dziennie więcej ludzi, niż ma rocznie do zjedzenia; przez niego stanie się jeszcze na świecie nieszczęście i cały mój interes ucierpi na tem. Żeby mi tak Pan Bóg wszystko dobre dał, że chłopiec spisywał się bardzo dobrze, a osobliwie, gdy podpierał w chodzeniu dużego dzieciaka, owiniętego w biały atłas z prawdziwemi srebrnemi liliami, i kiedy niekiedy mówił do niego: Na, na, ty mały, sprawuj się

tylko dobrze, odżywiaj się rzetelnie, pamiętaj, żeby cię znowu nie wypędzono i ażebym ja nie stracił moich pieniędzy. Zapewniam pana, panie doktorze, to była prawdziwa satysfakcya, słyszeć tego malca; a inne dzieci same miłe dziateczki, grały swoją rolę bardzo dobrze — póki nie przyniesiono im ciasta, wtedy zaczęły się kłócić o najlepszy kawałek i zdzierały sobie korony z głów, i wrzeszczały i beczały, a jedno się nawet... [1])

---

[1]) W rękopisie oryginalnym znajduje się tu następujący dodatek:

Bracie mój, ostrożnym bądź!
Co za książki ty drukujesz!
Pragniesz złota i zaszczytów
Wiedz, jak kark należy giąć.

Zawszem miał za junakieryę,
Żeś tak przed całym narodem
Wygadywał wciąż na klechów
I dostojną magnateryę!

Bracie luby, z tobą krucho!
Wielcy mają długie ręce,
Klechy długi mają język,
A naród ma — długie ucho!

Wiersze te, będące właściwie wyciągiem długiego na sześć arkuszy listu, który wkrótce po wyjściu drugiego tomu O b r a z ó w z p o d r ó ż y napisał do mnie jeden z przyiaciół, błysnęły mi właśnie w pamięci i ich to wina, że nie każę mówić dalej poczciwemu Hirschowi Hyacynthos. Zazwyczaj nie obawiam się niczego, klechy poprzestają na wieszaniu na mnie psów, myśląc, że w ten sposób przeciwdziałają potędze mego słowa. Przed głupimi książętami chronię się w ten sposób, że nigdy nie stawiam stopy na ich terytoryach i przez to nie daję im sposobności do popełniania głupstw; ale przed Natanem Rotszyldem uczuwam dzwoniący zębami strach. Nim się spostrzegę, gotów przysłać mi do mieszkania paru królików, kilku maklerów i żandarma,

ROZDZIAŁ IX.

Nic niema na tej ziemi nudniejszego, jak czytanie opisu podróży włoskiej, — chyba że samo jej opisywanie. I tem tylko autor uczynić go może poniekąd znośnym, że o samych Włoszech mówi w nim jak najmniej. Pomimo, iż fortel ten stosuję na jak najszerszą skalę, to jednak, czytelniku miły, w rozdziałach następnych nie wiele mogę

---

i kazać mię odprowadzić do pierwszej lepszej twierdzy. Zaczynam truchleć — a czyliż w tej chwili jestem całkiem bezpieczny? Myślę, że tak, albowiem znajduję się w Prusiech, wolnem, szanującem prawo, mądrem państwie, którego niegdyś w ograniczoności młodzieńczej nie umiałem dosyć ocenić, ale które teraz, po zwiedzeniu innych krajów, z każdym dniem uczę się szanować więcej, a nawet kochać, tak że bolałoby mię nie na żarty, gdyby miało ono palnąć kiedyś bąka, pakując mię do kozy, i tem samem zblamować się. Doprawdy, ja niniejszem daję nawet rządowi pruskiemu znak, ażeby w razie, gdyby uważał za stosowne wsadzić mię do ciupy, nie robił na miłość Boga skandalu, lecz zwrócił się wprost do mnie samego, a ja bezzłwocznie i dobrowolnie udam się do twierdzy, którą należy mi jedynie wskazać — i niczem nie dam zmiarkować publice, jaka jest istotna przyczyna mojego tam pobytu. Możnaż więcej odemnie żądać? Możnaż czuć tkliwiej, niż ja? To mi prawdziwy patryotyzm, gdy kto sam woli, jako ochotnik, wsadzić się do twierdzy, niż dawać państwu pruskiemu sposobność zblamowania się!

Widzę w tej chwili, jak najstarszym mężom stanu łzy rozrzewnienia buchają z oczów; nie, wykrzykują wszyscy oni, jakżeśmy się mało poznali na tym człowieku! Co za charakter! Tak, wy nie znacie jeszcze całych rozmiarów tego charakteru; wiedzcie bowiem, iż w swej przezorności patryotycznej teraz już nawet przygotowałem do tego moich przyjaciół, że na przyszłe lato spędzę kilka miesięcy dla rozrywki w Szpandawie, a uczyniłem to, ażeby być pewnym, iż właściwe racye przypuszczalnego w niej pobytu, nie zostaną żadną miarą odgadnięte. Jesteście wzruszeni i ja nim jestem, łzy płyną ciurkiem, słyszę, jak wołacie zapłaka-

ci przyrzec rozrywki. Jeżeli przy marudztwach, jakich tam nie zbraknie, będziesz się nudzić, to pocieszaj się mną, który marudztwa te wszystkie przecież pisać musi. Radzę ci, przerzuć od czasu do czasu kilka stronie, a prędzej załatwisz się z książką — ach, jakżebym chciał módz uczynić to samo! Nie myśl tylko, że żartuję, — jeśli ci mam o książce tej wyznać moje zdanie całkiem poważnie i serdecznie, to radzę ci zamknąć ją teraz już i zgoła nie czy-

---

ni: „Ten szlachetny człowiek, ten drugi Regulus nie powinien siedzieć w twierdzy, raczej wolimy sami siedzieć tam zamiast niego.“ Ale ja, ja mówię wam, że chcę tam iść; jużem się do tego wielkodusznego czynu całkiem przyszykował, psujecie mi najszlachetniejszą rozkosz poświęcenia. „Nie, nie,“ odpieracie — słyszę znowu — łkając. „Nie potrzeba twierdzy, natomiast tysiąc talarów dopłaty!“ Co za wiek! ze zdumieniem wykrzyknie niegdyś, czytając tę książkę, potomność, co za wiek, w którym królestwa i biedni pisarze starają się prześcignąć wzajemnie wspaniałością ducha!

Otóż widzisz, miły czytelniku, jak dobrze stoję z rządem. Nie trwóż się więc zaraz, że ot wypowiem raz głośno, o czem inni milczą nawet w tajemnicy. Nie kłopocz się, nie mamy obadwaj nic do stracenia. Ty, kochany czytelniku, możesz w razie potrzeby nie przyznawać się do tego, iż czytałeś moją książkę, albo możesz powiedzieć, że natychmiast po przeczytaniu, rzuciłeś ją ze wstrętem, że książka to licha, bez soli i Jego Ekscelencyi Schmalzu *), pełna niemoralności i niebezpieczna—pojmujesz mię. Wtedy nie mogą ci nic zrobić. Co się mnie samego tyczy, to również mało ryzykuję; powiem, jak Luter w swym liście do Reuchlina: nihil timeo, quia nihil habeo. Chwała Bogu nie dali mi na tym świecie nic, nie mam zatem nic do stracenia. Byłoby bardzo politycznie, gdyby mi zgięli kark brzemieniem godności państwowych; a teraz oto odfruwam im po nad głowami bez trosk i jak ptak lekki śpiewam sobie piosnki o wolności...

---

*) Wyjaśnienie tej gry słów znajdzie czytelnik w dalszym ciągu. (*Przyp. tłom.*)

tać dalej. Niezadługo napiszę ci coś lepszego, a gdy w następnej księdze, w mieście Lucca, spotkamy się znowu z Matyldą i Franceską, mam nadzieję, że lube obrazy zabawią cię daleko wdzięczniej, niż rozdział niniejszy, a nawet następne.

Chwała Bogu! Przed oknami memi rozbrzmiewa katarynka z wesołemi melodyami! Chmurna moja głowa ła-

---

Zaiste, jakkolwiek przy dzisiejszej naszej cywilizacyi znaleść można wszędzie wygody, to jednak niekiedy pragnąłbym sobie sprawić własną sofę i własną żoneczkę. Lecz w razie niebezpieczeństwa mogłoby mię to krępować; za wiele musiałbym się kłopotać o swoje manatki, a z posiadłością przyszłaby i obawa i niewola. I to już dla mnie dosyć przykre, żem niedawno sprawił sobie serwis do herbaty — cukiernica była tak nęcąco-ładnie złocona, a na jednej z filiżanek był mój ulubieniec, król bawarski, a na innej filiżance sofa z szczęściem małżeńskiem, — wybornie odmalowane. Już teraz, doprawdy, mam kłopot, co począłbym ze wszystką tą porcelaną, gdyby mi niespodzianie rząd pruski dał misyę za granicę i musiałbym wyjeżdżać na łeb na szyję, albo też, gdybym z własnego popędu musiał uciekać od posady stałej. Ja już teraz czuję, jak mi ta przeklęta porcelana przeszkadza w pisaniu, staję się tak łagodnym i ostrożnym, ze strachu pochlebiam często — w końcu gotówem jeszcze uwierzyć, że kupiec, co mi sprzedał porcelanę, był austryackim agentem policyjnym, a Metternich wpakował mi na kark porcelanę, ażeby mię ugłaskać. Tak, tak, portret króla bawarskiego patrzył na mnie tak wabiąco i on to własnie, najsympatyczniejszy z królów, był owym wabiem, na który mię schwytano. Alem jeszcze dość mocny, by módz porcelanowe swe kajdany skruszyć, i niech mi tylko zaczną suszyć głowę, a doprawdy, cały serwis, z wyjątkiem filiżanki z królem, wyleci za okno, a ten co będzie akurat przechodził wtedy, niechaj się ma przed skorupami na baczności!

Im więcej przyglądam się swej porcelanie, tem prawdopodobniejszą mi się wydaje myśl, że pochodzi ona od Metternicha. Lecz wcale a wcale nie biorę mu za złe, że w ten sposób próbuje mię podejść. Gdy się względem mnie mądrych używa środ-

knęła podobnego rozochocenia, a zwłaszcza, że opisać mam teraz swą wizytę u Jego Ekscelencyi, pana marchese Christoforo di Gumpelino. Opowiem wzruszającą tę historyę całkiem dokładnie, z dosłowną wiernością, z całą jej brudną czystością.

Było już późno, kiedym przybył do mieszkania pana marchese. Gdym wszedł do pokoju, stał tylko Hyacynt i czyścił złote ostrogi swego pana, ktory, jak mogłem widzieć przez pół otwarte drzwi jego sypialni, leżał na klęczkach przed Madonną i wielkim krucyfiksem.

Musisz albowiem wiedzieć, kochany czytelniku, że marchese, ten dystyngowany mąż, jest obecnie dobrym katolikiem, że ceremonie jedynie zbawiającego kościoła wypełnia ściśle, a gdy bawi w Rzymie, trzyma sobie własnego kapelana, dla tych samych przyczyn, dla których w Anglii utrzymywał najlepsze wyścigi, a w Paryżu najpiękniejszą tancerkę.

Pan Gumpel załatwia swoją modlitwę — szepnął Hyacynt z ważnym uśmieszkiem, a wskazując na gabinet swego pana, dodał jeszcze ciszej: Co wieczór leży tak dwie godziny na klęczkach przed Primadonną z dzieciątkiem Jezus. To pyszny obraz sztuki i kosztuje go sześć set francesconów.

---

ków, nie bywam nigdy złym, jedynie niezdarność i głupota są dla mnie fatalne. A przytem mam ja pewnego rodzaju tendre dla Metternicha. Nie dam się omamić jego dążeniom politycznym i przekonany jestem: że człowiek, co posiada górę, na której rośnie płomienisty, liberalny „Johannisberger," w duchu swym nie może żadną miarą lubić serwilizmu i obskurantyzmu. Może to z jego strony taka winna fantazya, że chce być w Austryi jedynym wolnym i rozsądnym człowiekiem. Owóż, każdy ma swoje fantazye, a więc i Metternichowi wybaczam jego zachciewkę. W każdym razie nie chcę z nim zrywać. I Rotszyldom nie chcę się narażać i wkrótce w osobnej książce podniosę jeszcze specyalnie ich wartość i wysławię ich zasługi....

A pan, panie Hyacynt, dla czego nie klęczysz za nim? Albo może nie jesteś pan zwolennikiem religii katolickiej?

Jestem jej zwolennikiem i znowu nie jestem jej zwolennikiem, odparł, kiwając głową z wyrazem niepewności. Jest to religia dobra dla znakomitego barona, który może cały dzień próżnować, i dla znawcy sztuki, ale to żadna religia dla hamburczyka, dla człowieka, co ma swój interes, a już wcale nie jest religia dla kolektora loteryi. Ja każdy wyciągnięty numer muszę dokładnie zapisać, a gdy przypadkiem pomyślę wtedy o bum! bum! bum!— o katolickim dzwonie, albo zakręci mi się przed oczami jakie katolickie kadzidło i zagapię się i napiszę niewłaściwą liczbę, to może stąd wyniknąć największe nieszczęście. Nieraz mówiłem do pana Gumpla: Wasza Ekscelencya jest człowiek bogaty i może być katolikiem, ile mu się podoba, i może sobie kazać cały rozum wykadzić katolicyzmem i może być głupim jak dzwon, a jednak będzie miał co jeść; ale ja jestem geszeftsmanem i żeby coś zarobić muszę moje siedm zmysłów trzymać w kupie. Pan Gumpel myśli, co prawda, że to jest potrzebne do wykształcenia, i że jeśli nie zostanę katolikiem, to nie będę rozumiał obrazów, które należą do wykształcenia, ani Jana z Viehesel, ani Correczczia ani Carraczczia ani Carravaczczia — ale ja zawsze sobie myślałem Correczczio, Carraczczio, Carravaczczio razem wzięci nie zdołają mi pomódz, gdy nikt nie będzie chciał u mnie grać, i ja zrobię wówczas klapaczczio! Przy tem muszę panu wyznać, panie doktorze, że mi religia katolicka nie robi nawet przyjemności, i jako człowiek rozsądny musisz mi pan przyznać słuszność. Ja wcale nie widzę tej rozkoszy, to taka religia, jak gdyby miły Bóg, niech Bóg zabroni, tylko co wyzionął ducha i czuć przytem kadzidła, jak gdyby na pogrzebie, i przy tem mruczy taka smutna muzyka pogrzebowa, że człek dostaje melancholiki — powiadam panu, to nie jest religia dla hamburczyka.

Ale jak się panu podoba, panie Hyacynt, religia protestancka?

Ta jest dla mnie znowu za rozsądna, panie doktorze, i gdyby w kościele protestanckim nie było organów, to nie byłaby wcale religią. Już ja ją próbowałem i ta próba kosztuje mię cztery marki czternaście szylingów.

Jakże to, kochany mój panie Hyacynt?

Widzi pan, panie doktorze, ja sobie myślałem: To jest rzeczywiście bardzo oświecona religia i brak jej fantastyczności i cudów, jednakże trochę fantastyczności musi ona przecież mieć, maleńki cudek jednakże umie ona pewnie zrobić, jeżeli chce uchodzić za przyzwoitą religię? Ale kto ma tam robić cuda? pomyślałem, gdym raz w Hamburgu oglądał kościół protestancki, który należał do tego całkiem nagiego gatunku, gdzie nie masz nic prócz brunatnych ławek i białych ścian, a na ścianie nie wisi nic prócz czarnej tabliczki, na której stoi pół tuzina białych liczb. A może ty jesteś dla tej religii niesprawiedliwy, pomyślałem znowu, może te liczby potrafią również zrobić jaki cud, jak obraz Matki Boskiej albo relikwie świętego Józefa? I ażeby rzecz zbadać gruntownie, udałem się zaraz do Altony i postawiłem na te właśnie liczby w loteryi altonajskiej: na ambo postawiłem osiem szylingów, na terno sześć, na kwaterno cztery a na kwinterno dwa szylingi. Ale zapewniam pana na honor, żaden z tych protestanckich numerów nie wyszedł. Teraz wiedziałem już, co mam myśleć, teraz pomyślałem sobie: Idźcie sobie z waszą religią, która nic nie umie zrobić, przy której nawet marne ambo nie wychodzi! Mam ja być takim głupcem, ażeby na religię, na którą postawiłem już i przewaliłem cztery marki i jeszcze czternaście szylingów, stawiać jeszcze całe swoje szczęście?

Religia starożydowska pewnie się kochanemu panu wydaje o wiele praktyczniejszą?

Panie doktorze, idź pan ze starożydowską religią, tej nie życzę najgorszemn memu wrogowi. Nie ma się z niej

nic, jak tylko wymyślania i hańbę. Powiadam panu — to wcale nie religia, to jest nieszczęście. Ja unikam wszystkiego, co mi może ją przypominać, a że Hirsch jest słowo żydowskie, a po niemiecku znaczy Hyacynt, więc puściłem nawet w trąbę starego Hirscha i podpisuję się teraz: Hyacynt, Kolektor, Operator, Taksator. Mam jeszcze w dodatku ten zysk, że H stoi już na mojej pieczątce, i nie potrzebuję go dawać ryć na nowo. Zapewniam pana, na tym świecie bardzo wiele zależy od tego, jak się człowiek nazywa, nazwisko stanowi bardzo dużo. Gdy się podpisuję: Hyacynt, Kolektor, Operator, Taksator, to brzmi to całkiem inaczej, niż gdybym pisał po prostu Hirsch, a wtedy nie można mię już traktować, jak zwyczajnego gałgana.

Kochany mój panie Hyacynt! któżby mógł pana tak traktować. Paneś tyle już zrobił dla swego wykształcenia, że poznać w panu wykształconego człowieka, zanim pan otworzysz usta, ażeby coś powiedzieć.

Masz pan racyę, panie doktorze, ja zrobiłem w wykształceniu postępy, jak olbrzymka. Nie wiem, rzeczywiście, z kim tam będę mógł zadawać się, jak wrócę do Hamburga; a co się tyczy religii, to wiem, co zrobię. Do czasu jednak mogę sobie jeszcze poradzić nową izraelską świątynią [1]) t. j. ja mam na myśli czyste starozakonne nabożeństwo z ortograficznymi śpiewami po niemiecku i murującemi kazaniami, a do tego parę małych cudowności, które są dla religii niezbędne. Żeby mi tak Pan Bóg wszystko dobre dał, jak ja nie żądam dla siebie lepszej religii, i ona zasługuje, żeby ją popierać. Zrobię to co do mnie należy, a jak powrócę do Hamburga, to co sobotę, jeśli tylko nie

---

[1]) W Hamburgu reforma liturgii izraelskiej zaczęła się w r. 1816 od założenia związku „Tempelverein,“ podczas gdy gmina główna, prawowierna, miała swe ognisko w „Synagodze.“ W walkę między świątynią a Synagogą dał się też jak wiadomo wciągnąć w młodzieńczych swych latach Heine.

będzie ciągnienia, chodzić będę do nowej świątyni religijnej. Są niestety ludzie, co tej nowej izraelskiej liturgii robią złe imię i utrzymują, że ona daje, z przeproszeniem, pochop do schizmy — ale ja mogę pana zapewnić, że jest to dobra, czyściutka religia, trochę jeszcze za dobra dla zwyczajnego człowieka, dla którego starożydowska religia, jest może wciąż jeszcze bardzo pożyteczna. Zwyczajny człowiek musi mieć jakieś głupstwo, w któremby się czuł szczęśliwym, i on czuje się szczęśliwym w swoim głupstwie. Taki oto stary żyd z długą brodą i w podartym chałacie, co to nie może powiedzieć jednego ortograficznego słówka i jest nawet trochę parszywy, czuje się może wewnętrznie szczęśliwszym, niż ja z całem mojem wykształceniem. Tam w Hamburgu, w Pasażu piekarskim, mieszka na Sali człowiek, który się nazywa Mojżesz Łachman, nazywają go także Mojżeszem Łachmankiem, albo krócej: Łachmankiem; ten biega przez cały tydzień w słotę i wiatr, ze swoim tłomokiem na plecach, byleby zarobić swoje parę marek; a gdy w piątek wieczór przyjdzie do domu, to znajduje zapalony świecznik o siedmiu świecach, stół biało nakryty, i zdejmuje z siebie swój tłomok i troski, i siada do stołu ze swą zezowatą połowicą i jeszcze bardziej zezowatą córką, je z niemi ryby, gotowane w przyjemnym, białym sosie czosnkowym, śpiewa przytem najśliczniejsze pieśni o królu Dawidzie, cieszy się z całego serca, że dziatwa Izraela wyszła z Egiptu, cieszy się też, że wszyscy niegodziwcy, co jej wyrządzali krzywdę, umarli w końcu, że król Faraon, Nabuchodonozor, Haman, Antiochus, Tytus i wszyscy podobni ludzie nie żyją już, a Łachmanek żyje jeszcze i ze swoją żoną i córką zajada ryby. I mówię panu, panie doktorze, ryby są delikatne, a ten człowiek jest szczęśliwy i nie potrzebuje się zamęczać żadnem wykształceniem, siedzi zadowolony w swej religii i swym zielonym szlafroku, jak Diogenes w swojej beczce, patrzy zadowolony na swoje świece, których nawet sam nie objaśnia. I mówię panu, gdy świece palą się trochę mdło, a niema pod ręką szabasowej baby, żeby je objaśniła i wszedłby w tej chwili Rotszyld Wielki ze wszystkimi swymi maklerami, dyskonterami, ekspedytorami, swymi chefs de comptoir, z którymi podbija świat i rzekłby: Mojżeszu Łachman, wyproś sobie łaskę; co pragniesz mieć to stanie się! — panie doktorze, jestem przekonany, że Mojżesz Łachman odpowiedziałby spokojnie: „Objaśnij mi świece!“ a Rotszyld Wielki rzekłby ze zdumieniem: Gdybym nie był Rotszyldem, chciałbym być Łachmankiem.

Gdy w ten sposób Hyacynt zwyczajem swym po epicku i szeroko rozwijał swe poglądy, podniósł się marchese z wyścielanego swego klęcznika i przystąpił do nas, wciąż jeszcze mrucząc pod nosem jakieś pacierze. Hyacynt zasunął teraz zieloną gazę nad obrazem Madonny, który wisiał nad modlitewnym pulpitem, zgasił obie świece woskowe, płonące przed nim, zdjął krucyfiks miedziany, wrócił do nas i zaczął czyścić go gorliwie... Marchese był jakby stopniały w upale i rzewnym nastroju; zamiast wierzchniego ubrania, miał na sobie przestronne, niebieskie jedwabne domino ze srebrnemi frędzlami, a nos jego błyszczał tęsknie, jak zakochany luidor. O Jezu! westchnął, opuściwszy się na poduszki sofy, — nie znajdujesz pan, panie doktorze, że dzisiejszego wieczoru wyglądam bardzo rozmarzenie? Jestem bardzo wzruszony, umysł mój cały rozpuszcza się, przeczuwam wyższy świat,

Otwarte niebo widzą oczy,
Serce topnieje w szczęśliwości!

Panie Gumpel, pan potrzebujesz zrozumieć — przerwał patetyczną deklamacyę Hyacynt — że krew w pańskich wnętrznościach znowu dostaje zawrotu, ja wiem, co panu brakuje —

Ty nie wiesz — westchnął pan.

Ja mówię panu, że ja wiem — odparł sługa, i pokiwał swą dobrodusznie stwierdzającą twarzyczką, ja znam

pana na wylot, ja wiem że pan jesteś zupełnem przeciwieństwem mnie; gdy pan ma pragnienie, ja jestem głodny, gdy pan jest głodny, ja mam pragnienie. Pan jesteś zanadto korpulentny, a ja jestem za chudy; panu się roi po głowie, a ja mam tem więcej zmysłu do interesu; ja jestem praktyk, a pan jestes diarrhetyk, krótko mówiąc, pan jesteś całkiem moim antipodeksem.

O Julio! — jęknął Gumpelino — gdybym był żółtą skórzaną rękawiczką, co twą dłoń okrywa, i całował twoje lica! Czyś pan, panie doktorze, słyszał kiedy Crelinger [1]) w „Romeo i Julii"?

Tak jest, i cała moja dusza jest nią jeszcze zachwycona...

A więc, zawołał Marchese z zapałem, a ogień strzelił mu z oczów i opromienił nos — a więc pan pojmujesz mię, więc pan wiesz, co to znaczy, gdy panu powiem: Ja kocham! — ja się panu całkiem odkryję! Hyacynt wyjdźno stąd...

Ja nie potrzebuję wcale wychodzić, rzekł ten urażony — Pan nie potrzebujesz się przede mną żenować, ja także znam miłość i ja wiem już...

Ty nie wiesz! — zawołał Gumpelino.

Na dowód, panie marchese, że wiem, potrzebuję wspomnieć tylko nazwisko Julii Maxfield. Niech pan się uspokoi, będzie pan znowu kochany, ale to wszystko nic panu nie pomoże. Szwagier pańskiej ukochanej nie spuszcza jej z oczów i strzeże jej dzień i noc, jak dyamentu.

O ja nieszczęśliwy! biadał Gumpelino, kocham i jestem kochany, ściskamy sobie potajemnie ręce, następujemy sobie pod stołem na nogi, dajemy sobie znaki oczami,

[1]) Augusta Crelinger (1795 — 1865) sławna aktorka. Jedną z jej najlepszych ról była Julia w „Romeo i Julii;" z tej też tragedyi wzięte są następujące cytaty.

a nie mamy najmniejszej sposobności! Jakże często staję w świetle księżyca na balkonie, i wystawiam sobie, jakobym sam był Julią, a mój Romeo albo Gumpelino naznaczył mi rendez-vous i deklamuję zupełnie, jak Crelingerka:

Przyjdź, ciemna nocy! Przyjdź, mój dniu w ciemności!
Bo twój blask, o mój luby, jaśnieć będzie,
Na skrzydłach nocy, jak pióro łabędzie
Na grzbiecie kruka. Wstąp, o wstąp w te progi
Daj mi Romea albo Gumpelina...

Lecz ach! Lord Maxfield pilnuje nas bezustannie i my umieramy oboje z uczucia tęsknoty! Ja nie dożyję tego dnia. Ach! jedna taka noc byłaby mi droższa, niż gdybym wygrał wielki los na hamburskiej loteryi.

Co za egzeltacya! — zawołał Hyacynt — wielki los, 100,000 marek!

Tak, wolałbym, niż wielki los — ciągnął Gumpelino dalej—taką noc, i ach! ona mi już taką noc często przyrzekała, przy pierwszej okazyi, i ja jużem sobie myślał, że nazajutrz deklamowałaby całkiem, jak Crelinger:

Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak bliski,
Słowik to, a nie skowronek się zrywa
I śpiewem przeszył trwożnie ucho twoje;
Co noc on śpiewa trwożnie na gałązce
Granatu: wierzaj mi, że to był słowik.

Wielki los za jednę jedyną noc! — powtarzał tymczasem wielokrotnie Hyacynt, nie mogąc się na to zgodzić. Ja mam wysokie pojęcie o pańskiem wykształceniu, panie marchese, ale żeś pan tak daleko zaszedł w egzaltacyi, w to nie uwierzyłbym. Żeby miłość była komuś milszą, niż wielki los! Rzeczywiście, panie marchese, odkąd jako służący obcuję z panem, przyswoiłem już sobie dużo edukacyi; ale o ile wiem, nie dałbym nawet ósemki wiel-

kiego losu za miłość! Niech mię Bóg od tego broni! Jeśli nawet potrącić jakie pięć tysięcy marek dla kolektora,— to zawsze jeszcze zostaje dwanaście tysięcy marek. Miłość! Gdy porachuję wszystko razem, co mię miłość kosztowała, to wypadnie dwanaście marek i trzynaście szylingów. Miłość! I ja także miałem wiele gratisowego szczęścia w miłości, które mię nic nie kosztowało. Kiedy niekiedy tylko par complaisance wyciąłem, ot, mojej ukochanej nagniotki. Prawdziwe, uczuciowe, namiętne przywiązanie miałem tylko jeden raz i to była gruba Gudla z Łajennego Wału. Ta kobieta grała u mnie, a kiedym przychodził odnowić jej los, wciskała mi zawsze kawał ciasta w rękę, kawał bardzo dobrego ciasta; czasem też dała mi trochę konfitur i do tego likierku, a gdym się jej raz skarżył, że mię trapią uderzenia krwi do głowy, dała mi receptę na proszki, których używa jej własny mąż. Ja używam tych proszków do dzisiejszego dnia, one zawsze robią swoje działanie— dalszych skutków nasza miłość nie miała. Jabym myślał panie marchese, że pan byś potrzebował jednego takiego proszku. Pierwsze co było, jakem przyjechał do Włoch, to, że w Medyolanie poszedłem do apteki i kazałem sobie zrobić proszki i ciągle je przy sobie noszę. Niech tylko pan poczeka, pójdę ich szukać, a jak będę szukać, to znajdę je, a jak je znajdę, to Wasza Ekscelencya musi je zażyć.

Zadalekoby mię zaprowadziło, gdybym chciał powtarzać komentarze, jakiemi skrzętny poszukiwacz zaopatrywał każdą sztukę, którą wygmerywał ze swojej walizki. Ukazały się więc: 1) pół świecy woskowej, 2) srebrne puzderko z instrumentami do wycinania odcisków, 3) cytryna, 4) pistolet, chociaż nie nabity ale owinięty mimo to w papier, może dla tego, żeby widok jego nie wywołał niebezpiecznych snów, 5) drukowana tabelka ostatniego ciągnienia loteryi hamburskiej 6) czarna skórzana książeczka a w niej psalmy Dawida i zaległe długi, 7) zeschła wiązka wierzbiny, spleciona jak gdyby w węzeł, 8) paczuszka, obciągnięta wyblakłą różową kitajką i zawierająca kwit z losu loteryjnego, który wygrał ongi pięćdziesiąt tysięcy marek, 9) płaski i gładki kawałek chleba, niby upieczony na biało suchar okrętowy, z małą dziurką w pośrodku, i w końcu, 10) wspomniane wyżej proszki, które mały człowieczek oglądał z pewnem rozrzewnieniem i jak zwykle z żałosnem zdziwieniem potrząsając główką.

Gdy pomyślę, wzdychał — że przed dziesięcioma latmi dała mi tę receptę gruba Gudla i że jestem teraz we Włoszech i tę samą receptę trzymam w rękach i znowu czytam słowa: sal mirabile Glauberi, co znaczy po niemiecku extrafeines Glaubensalz, czyli sól wiary w najlepszym gatunku, — ach, to wówczas jest mi tak na sercu, jak gdybym już zażył samej soli wiary, i jak gdybym czuł jej działanie. Co to jest człowiek! Jestem we Włoszech, i myślę o grubej Gudli z Łajennego Wału! któżby o tem pomyślał? Mogę sobie wystawić: ona jest teraz na wsi, w swoim ogrodzie, gdzie księżyc świeci i pewnie też słowik śpiewa albo skowronek:

To słowik jest a nie skowronek! westchnął Gumpelino na to, i deklamował pod nosem:

Co noc on śpiewa owdzie na gałązce
Granatu, wierzaj mi, że to był slowik.

To wszystko jedno — ciągnął Hyacynt dalej — dla mnie niech będzie i kanarek; ptaki, które się trzyma w ogrodzie, kosztują najmniej. Główna rzecz, to cieplarnia i tapety w pawilonie i publiczne figury, co przed nim stoją, a tam stoją na przykład nagi jedneral od bogów i Wenus Urynia, oboje kosztowali trzysta marek. W pośrodku ogrodu kazała sobie Gudla założyć fontenellę. I może teraz stoi ona tam i dłubie sobie w nosie, i robi sobie przyjemność z marzeniem i myśli o mnie — Ach!

Po tem westchnieniu nastała tęskna cisza, którą wreszcie przerwał markiz omdlewającem pytaniem: Powiedz

mi na swój honor, Hyacynt, czy ty myślisz rzeczywiście że twoje proszki będą skutkować?

Będą na mój honor skutkować, odparł tamten. Dla czego nie mają skutkować? Przecież u mnie skutkują. A czy to ja nie jestem żyjącym człowiekiem, tak dobrze, jak pan? Sól wiary robi wszystkich ludzi równymi; i gdy Rotszyld zażywa sól wiary, to czuje taki sam skutek, jak najmniejszy maklerek. Ja panu wszystko wyprorokuję z góry: Wsypię proszek do szklanki, nalęję do tego wody, wymieszam, a jak pan je tylko połknie, zrobi pan kwaśną minę i powie: Brrr! Brrr! Potem uczuje pan sam, jak w panu coś burczy, i zrobi się panu jakoś niewyraźnie na sercu i położy się pan do łóżka i, daję panu na to słwo honoru, że wstanie pan znowu, i znowu się położy i znowu wstanie i tak ciągle, a nazajutrz będzie się pan czuł lekkim, jak anioł z białemi skrzydłami, i będzie pan tańczył, tak panu będzie dobrze na zdrowiu, tylko wówczas pan będzie wyglądać trochę blado; ale ja wiem, że pan chce wyglądać romansowo i blado, a gdy pan wygląda romansowo i blado, to jest pan chętnie widziany...

Jakkolwiek Hyacynt dogadywał w ten sposób i przyrządzał już proszki, niewieleby to zdziałało, gdyby marchese nie przypomniał sobie nagle ustępu, kiedy to Julia przyjmuje fatalny napój. Co sądzisz pan, panie doktorze, zawołał, o Müllerce [1]) z Wiednia. Widziałem ją, jako Julię—Boże! Boże! jak ona gra! Ja jestem przecież największym entuzyastą dla Crelinger, ale Müllerka, gdy ona wypijała kielich, to mię porwała. Widzisz pan—mówił, z tragiczną miną biorąc do ręki szklankę, do której Hyacynt wsypał proszek — widzisz pan, tak ona trzymała kielich, i wzdrygała się tak, że wszystko się z nią razem czuło, gdy mówiła:

[1]) Zofia Mueller (1803—1830), znana aktorka wiedeńskiego Hofburgteatru.

Zimny dreszcz trwogi na wskroś mię przejmuje
I jakby mrozi we mnie ciepło życia!

I tak stała ona, jak ja teraz stoję, i trzymała kielich przy wargach, a przy słowach:

Stój, stój, Tybalcie!
Do ciebie mój luby,
Spełniam ten toast [1]). —

wypróżniła kielich...

Niech panu będzie na zdrowie, panie Gumpel!—rzekł Hyacynt uroczystym tonem, albowiem marchese w naśladowczym swym zapale wychylił szklankę i wyczerpany deklamacyą rzucił się na sofę.

Niedługo jednak przetrwał w tem położeniu, gdyż nagle ktoś zapukał do drzwi i wszedł mały dżokiej lady Maxfield, który skłoniwszy się z uśmiechem, wręczył panu marchese bilecik i wnet pożegnał go. Tamten skwapliwie otworzył liścik: gdy go czytał, jego nos i oczy jaśniały szczęściem, nagle jednak całą twarz pokryła trupia bladość, wszystkie muskuły zadrgały przerażeniem, skoczył z rozpaczliwymi giestami, zaśmiał się rozjuszony i zaczął pędzić po pokoju, wołając:

O biada mi, głupcowi szczęścia!

Co się stało? co się stało? pytał drżącym głosem Hyacynt, kurczowo ściskając w dłoniach krucyfiks, który czyścił znowu. Czy mają nas tej nocy napaść?

Co panu jest, panie marchese? pytałem również, zdumiony nie pomału.

Czytajcie! Czytajcie! wołał Gumpelino, rzucając nam otrzymany bilecik i wciąż jeszcze pędząc zrospaczony po

[1]) Wyjątki z „Romea i Julii“ podane są w przekładzie Paszkowskiego. (*Przyp. tłom.*)

pokoju, przyczem jego niebieskie domino wzdymało się na nim, niby groźna chmura. Biada mi, głupcowi szczęścia!

Zaś w bilecie znaleźliśmy co następuje:

Słodki Gumpelino!

Skoro świt odjechać muszę do Anglii. Szwagier mój tymczasem pojechał naprzód i oczekuje mię we Florencyi. Nikt mię teraz nie śledzi, ale niestety, tę jedną tylko noc... Skorzystajmy z niej, wychylmy puchar nektaru, który nam nalewa miłość aż do ostatniej kropli. Ja czekam, ja drżę...

Julia Maxfield.

O biada mi, głupcowi szczęścia! jęczał Gumpelino — miłość chce mi nalać — puhar swego nektaru, a ja, ach, ja, błazen szczęścia, ja wychyliłem już kielich soli wiary! Kto mi okropny napój wydostanie napowrót z żołądka? Pomocy! Pomocy!

Tu żaden żyjący na ziemi człowiek nie pomoże, westchął Hyacynt.

Żałuję pana z całego serca, kondolowałem również. Zamiast kielicha nektaru, wypić szklankę soli glauberskiej, to gorzko! Zamiast tronu miłości, czeka pana teraz stolec nocy!

O Jezusie! O Jezusie! — wciąż jeszcze krzyczał marchese. Czuję, jak się przelewa przez wszystkie moje żyły. O, dzielny aptekarzu! Twój napój działa szybko. Ale mię to nie zdoła powstrzymać; polecę do niej, u nóg jej padnę i ujdę z krwią!

O krwi niema tu wcale mowy—uspakajał Hyacynt— pan nie masz przecie homerydów. Tylko niech pan nie będzie taki namiętny.

Nie, nie, ja muszę iść do niej, w jej objęciach... o nocy! o nocy!

Powiadam panu — ciągnął dalej Hyacynt z filozoficzną flegmą — pan w jej objęciach nie będziesz miał spokoju, będziesz pan musiał wstawać dwadzieścia razy. Tylko niech pan nie będzie namiętny. Im więcej pan będzie skakać po pokoju tam i napowrót, im bardziej się pan będzie alterować, tem szybciej sól wiary będzie skutkować. Pański umysł gra na rękę naturze. Pan potrzebuje znosić, jak mężczyzna, to, co los o panu postanowił. Że się tak stało, to może dobrze, i może dobrze, że się tak stało. Człowiek jest stworzenie ziemskie i nie rozumie zrządzenia Baczności. Człowiek myśli często, że idzie na spotkanie swemu szczęściu, a na jego drodze stoi może nieszczęście z kijem, a gdy mieszczański kij spotyka się ze szlacheckimi plecami, to człowiek to czuje, panie marchese.

Biada mi, głupcowi szczęścia! sapał wciąż jeszcze Gumpelino, lecz jego służący mówił spokojnie dalej!

Człowiek oczekuje często kielicha z nektarem, a dostaje zupę z batów; i jeśli słodki jest nektar, to tem bardziej gorzkie są baty; i to jeszcze prawdziwe szczęście, że człowiek, któren okłada drugiego, w końcu męczy się inaczej ten drugi na prawdę nie wytrzymałby. Ale jeszcze niebezpieczniej jest, gdy nieszczęście ze sztyletem i trucizną zaczaja się na człowieka na drodze miłości, tak, że on nie jest pewien swego życia. A może, panie marchese, to rzeczywiście dobrze, że tak się stało, bo może w gorączce miłości poleciałby pan do ukochanej, a na drodze mały Włoch ze sztyletem, długim na sześć brabanckich łokci, rzuciłby się na pana i — żebym nie powiedział w złą godzinę — żgnąłby pana w łydkę? Bo tu nie można, jak w Hamburgu, wołać zaraz na policyanta, a w Apeninch niema stróżów nocnych. A może wcale — ciągnął dalej nieubłagany pocieszyciel, nie zrażając się bynajmniej rozpaczą pana marchese — a może wcale pan siedziałby sobie wygodnie i ciepło u lady Maxfield, a tymczasem niespodzianie wróciłby z podróży szwagier i przystawiłby panu do piersi nabity pistolet i kazałby panu podpisać weksel na sto tysięcy marek? Nie chcę wymówić w złą godzinę, ale ja przypuszczam taki wypadek, że pan jesteś pięknym

mężczyzną i lady Maxfield jest w rozpaczy, że ma utracić tego pięknego mężczyznę, i zazdrosną będąc, jak w ogóle kobiety, nie chciałaby, ażeby potem jaka inna uszczęśliwiła się na panu. Co ona robi? Bierze cytrynę albo pomarańczę, wsypuje w nią troszkę białego proszku i mówi: Ochłodź się, ukochany, zgrzałeś się bieganiem—i nazajutrz jesteś pan rzeczywiście chłodnym człowiekiem. Był raz jeden człowiek, co się nazywał Pieper, i ten miał namiętną miłość z jakąś panienką, co się nazywała Posaunenengelhannchen, a mieszkała ona w Kaffeemacherei, a on mieszkał w Fuhlentwiete...

Jabym chciał, Hirsch, krzyczał marchese, wściekły, bo niepokój jego doszedł do najwyższego stopnia, jabym chciał, ażeby twój Pieper z Fuhlentwiete i jego Posaunengel z Kaffeemacherei, i ty, i Gudla, ażebyście wszyscy mieli w brzuchu sól glauberską!

Czego pan ode mnie chce, panie Gumpel? bronił się Hyacynt nie bez pewnej gorączki. Co ja winienem, że lady Maxfield akurat dzisiejszej nocy chce wyjeżdżać i akurat dziś pana zaprasza? Czy ja mogłem to przewidzieć? Czy ja jestem Arystoteles? Czy ja mam jaki urząd przy Opatrzności? Ja tylko obiecywałem, że proszki będą skutkować, a że będą skutkować, to tak pewne, jak to, że ja kiedyś będę szczęśliwy, a jeśli pan ma być takim dysparatem i namiętnie biegać na wszystkie strony z taką wściekłością, to zaczną skutkować jeszcze prędzej...

A więc będę siedział spokojnie! stęknął Gumpelino, tupnął o ziemię, rzucił się zajadle na sofę, gwałtem stłumił wściekłość, i pan i służący milcząc długo patrzyli na się, aż wreszcie pierwszy po głębokiem westchnieniu i prawie że pokornie zagadnął:

Ależ Hirsch, co ta kobieta pomyśli o mnie, gdy nie przyjdę? Ona oczekuje mnie teraz, ona czeka nawet, ona drży, ona pała miłością...

Ona ma śliczną nogę — rzekł Hyacynt do siebie i żałośnie pokiwał główką. Ale w jego piersiach coś widocznie poruszało się, pod czerwonym jego surdutem pracowała widocznie jakaś śmiała myśl...

Panie Gumpel, — wyszło wreszcie z niego — poślij pan mnie!

Przy tych słowach silny rumieniec pokrył bledziutką, frasobliwą twarz.

ROZDZIAŁ X.

Gdy Candide przybył do Eldorado, ujrzał na ulicy kilku chłopców bawiących się bryłami złota, jak gdzie niegdzie bawią się kamieniami [1]). Zbytek ten naprowadził go na myśl, że to są dzieci króla, i nie małe było jego zdziwienie, gdy się dowiedział, że w Eldorado bryły złota są również bez wartości, jak u nas krzemienie, i chłopcy ze szkoły zwykle się niemi bawią.

Jednemu z moich przyjaciół, cudzoziemcowi, zdarzyło się coś podobnego, gdy przybył do Niemiec i po raz pierwszy jął czytać książki niemieckie i zdumiewał się znalezionem w nich bogactwem myśli; niebawem jednak zauważył że myśli w Niemczech są czemś równie powszedniem, jak w Eldorado bryły złota, i że owi pisarze, których miał za książąt ducha, jedynie pospolitymi byli uczniakami.

Historya ta przychodzi mi zawsze na myśl, gdy się zabieram do spisania najpiękniejszych refleksyj o sztuce i życiu, a wówczas śmieję się i zatrzymać wolę swoje myśli w piórze, albo zamiast nich nabazgrać na papierze jakiś obrazek lub figurkę, i przekładam sobie, że tego rodzaju tapety są w Niemczech, owem duchowem Eldorado, daleko przydatniejsze, niż najbardziej złote myśli.

Na tapecie, którą ci teraz pokażę, czytelniku miły, obaczysz znowu dobrze ci znane twarze Gumpelina i jego Hirsch-Hyacyntosa, a jeśli nawet tamten odtworzony jest liniami mniej wyrazistemi, to jednak spodziewam się, że

---

[1]) Patrz Voltaire'a Candide'a, rozd. XVII.

będziesz na tyle bystry, by módz zrozumieć charakter negatywny bez nadmiernie pozytywnego rysunku. Ci ostatni mogliby mi zwalić na kark proces o obelgę, [1]) albo nawet coś gorszego. Bo marchese jest potężny przez swe pieniądze i stosunki. A przytem jest on naturalnym aliantem moich wrogów, zasila ich subsydyami, jest arystokratą, ultra - papistą; jednego tylko brak mu jeszcze... no, ale i tego się już z czasem nauczy — odnośny podręcznik ma przecież w rękach, jak to zobaczysz na tapecie.

Znowu wieczór; na stole stoją dwa kandelabry z płonącemi świecami woskowemi; blask ich igra ze złocistemi ramami zawieszonych na ścianie obrazów świętych, które skutkiem migotliwego światła i ruchomych cieniów zdają się żyć. Na dworze przed oknami, w srebrnym blasku miesiąca, stoją złowieszczo nieruchome, posępne cyprysy, a z oddali słychać urywane tony piosnki do Najświętszej Panny, mętne i jak gdyby chorym głosem dziecka śpiewane. W pokoju szczególna jakaś parność; marchese Christoforo di Gumpelino siedzi, albo raczej leży z wytwornem zaniedbaniem na poduszkach sofy; szlachetne, spotniałe ciało odziane jest znowu w cienkie błękitno-jedwabne domino; w dłoniach trzyma książkę, oprawioną w czerwony safianowy papier ze złotymi wyciskami i coś z niej deklamuje głośno i tęsknie. Oko jego ma przytem jakiś lepki połysk, właściwy zakochanym kotom, zaś policzki, a nawet i oba boczne skrzydła nosa, są nieco cierpiąco - blade. Atoli, czytelniku miły, bladość ta dałaby się pewnie objaśnić filozoficzno-antropologicznie, jeśli zważyć, że poprzedniego wieczoru marchese połknął całą szklankę soli glauberskiej.

Zaś Hirsch - Hyacynthos, przykucnąwszy na podłodze pokoju, wielkim kawałem białej kredy rysuje na

[1]) Urywka od „albo nawet coś gorszego“ do „obaczysz na tapecie“ w wydaniu francuskiem niema.

brunatnej tafli takie, mniej więcej, wszelkich rozmiarów znaki:

⏑ ⏑ — ⏑ ⏑ — ⏑ ⏑ — ⏑ ⏑
⏑ ⏑ — ⏑ ⏑ — ⏑ ⏑ — ⏑ ⏑
⏑ ⏑ — ⏑ ⏑ — ⏑ ⏑ — ⏑ ⏑
⏑ ⏑ — ⏑ ⏑ — ⏑ ⏑
⏑ ⏑

Zajęcie to zdaje się dosyć mało przypadać do smaku małemu człowieczkowi; dysząc z trudnością, przy każdem schyleniu się mruczał niezadowolony: Spondeus, trochaeus! jambus, anapest, anatispas i — bodaj cię piorun trzasł! A przytem, by módz się poruszać wygodniej, odłożył na bok czerwoną kapotę i ukazały się dwie króciutkie, pokorne nóżki, w wąskich szkarłatnych spodeńkach, oraz dwoje dłuższych nieco, wychudłych rąk w białych zwieszających się rękawach koszuli.

Cóż to za osobliwe figury? spytałem, popatrzywszy chwilkę na tę robotę.

To są stopy w naturalnej wielkości — stęknął w odpowiedzi na to, a ja utrapieniec muszę te stopy zachować w głowie, a już mię ręce bolą od wszystkich tych stóp, które muszę teraz powypisywać. To są prawdziwe rzetelne stopy od poezyi. Gdybym nie robił tego dla mojego wykształcenia, to poezya mogłaby sobie iść do dyabła na wszystkich swoich stopach! Ja mam teraz u pana marchese prywatną lekcyę sztuki poetycznej. Pan Marchese czyta mi poezye na głos i objaśnia mię, z ilu stóp ona się składa, a ja muszę je notować i obrachować potem, czy utwór się zgadza.

Zastajesz nas pan — rzekł marchese dydaktyczno-patetycznym tonem — istotnie przy poetycznem zajęciu. Ja wiem dobrze, doktorze, że pan należysz do poetów, co mają uparte głowy i nie chcą zrozumieć, że stopy są w sztuce poetyckiej najgłówniejszą rzeczą. Lecz do wykształconego

umysłu trafić można tylko wykształconą formą; tej możemy się nauczyć tylko u greków i u nowych poetów, którzy po grecku pragną, po grecku myślą, po grecku czują, i w ten sposób podają człowiekowi swoje uczucia [1]).

Rozumie się, że człowiekowi, a nie kobiecie, jak to zwykł czynić pewien nieklasyczny, romantyczny poeta — zauważyła moja Małość.

Pan Gumpel mówi czasami jak z książki, szepnął mi z boku Hyacynt, zacisnął wąskie usta, zerknął z dumą zadowolonemi ślepkami i potrząsnął zdumioną tym cudem głowiną. Powiadam panu — dodał cokolwiek głośniej—czasami on mówi, jak książka; wtedy już on niby nie jest człowiekiem, tylko istotą wyższą, a ja staję się wtedy, jak głupiec, im więcej mu się przysłuchuję.

A cóż to pan trzyma teraz w rękach? spytałem pana marchese.

Brylanty! odrzekł i podał mi książkę.

Przy wyrazie „brylanty“ Hyacynt podskoczył do góry; ale ujrzawszy tylko książkę, uśmiechnął się z politowaniem. Zaś brylantowa książka miała na pierwszej karcie następujący tytuł:

Poezye Augusta hrabiego Platena; Sztutgard i Tubinga.

Nakładem księgarni I. G. Cotty. 1828 [2]).

Na odwrotnej stronie było wypisane elegancko:

„Podarunek ciepłej braterskiej przyjaźni“ [3]).

---

[1]) Urywka od „rozumie się, że człowiekowi“ do „zauważyła moja Małość“ w wydaniu francuskiem nie ma.

[2]) W wydaniu francuskiem figuruje zamiast powyższego tytułu następujący: „Poezye Hrabiego Ramlera młodszego“ Sztutgard. 1828. U Cotty. Brak też tam idącego potem zdania od „Na odwrotnej stronie“ do „całą noc.“

[3]) „Ciepły brat“ — jest w języku niemieckim synonimem uczestnika pewnego występku przeciw wstydowi. (*pr. tł.*)

Przytem czuć było książkę tą szczególną perfumą, która z wodą kolońską nie ma najmniejszego pokrewieństwa i którą wypadało może złożyć na karb tej okoliczności, że marchese czytał ją przez całą noc...

Przez całą noc nie mogłem zmrużyć oka — skarżył się przede mną — byłem tak bardzo poruszony; jedenaście razy musiałem wychodzić z łóżka, ale na szczęście, miałem do tego tę przepyszną lekturę, z której zaczerpnąłem nietylko naukę dla poezyi, ale i pociechę dla życia. Patrz pan, jak wysoko czciłem tę książkę; nie brak w niej ani jednej kartki, a przecież siedząc tak, jak ja siedziałem, miało się niekiedy pokusę...

To się chyba nie jednemu przytrafia, panie marchese.

Przysięgam panu na naszą kochaną Panią z Loretto i tak, jak jestem uczciwym człowiekiem, ciągnął dalej—te poezye nie mają równych sobie. Byłem wczoraj, jak panu wiadomo, w rozpaczy, że tak powiem au désespoir, gdy fatum nie pozwoliło mi posiąść mojej Julii. Zacząłem tedy czytać te poezye, mianowicie za każdym razem, com musiał wstać — jeden utwór, i następstwem tego była taka obojętność dla kobiet, że mi się moje własne cierpienie miłosne stało wstrętnem [1]). To jest właśnie piękne w tym poecie, że on pała tylko dla mężczyzn; w ciepłej przyjaźni daje nam pierwszeństwo nad płcią żeńską i już za ten zaszczyt powinniśmy mu być wdzięczni. On jest w tem większy, niż inni poeci, on nie schlebia pospolitym gustom tłumu, on leczy nas z naszej pasyi dla kobiet, która tyle klęsk ściągnęła na nas. O kobiety! kobiety! kto nas uwalnia z waszych kajdan, ten jest dobroczyńcą ludzkości [2]).

---

[1]) Zamiast zdania: „To jest właśnie piękne“ do „powinniśmy mu być wdzięczni“ w wydaniu francuskiem powiedziano: „To jest właśnie piękne u tego poety, że przedewszystkiem rozumie przyjaźń.“

[2]) Urywka od „To wieczna szkoda“ do „lube dziecię“ w wyd. franc. niema.

To wieczna szkoda, że Szekspir nie zużytkował do tego swego wybitnego teatralnego talentu, bo, jak tu wyczytuję po raz pierwszy, miał on czuć również szeroko, jak wielki hrabia Platen, który w swych sonetach mówi o Szekspirze: [1])

Snu twego dziewcząt kaprysy nie płoszą,
Wciąż ku przyjaźni rwie cię pęd twych skrzydeł,
Druh też ocala cię z niewieścich sideł,
A jego nęt — twą troską i roskoszą.

Podczas tego, jak marchese z ciepłem uczuciem deklamował te wyrazy, a gładka mierzwa jak gdyby rozpływała mu się w ustach, Hyacynt przybierał najsprzeczniejsze miny, zarazem niezadowolone i potakujące, i rzekł w końcu:

Panie marchese, mówisz pan, jak książka, i wiersze idą z pana tak łatwo, jak ta noc, ale ich treść nie może mi się podobać. Jako mężczyzna, czuję się połechtanym, że hrabia Platen daje nam pierszeństwo nad kobietami, ale jako przyjaciel kobiet, jestem znowu przeciwnikiem takiego człowieka. Takim już jest człowiek! Jeden lubi cebule, a drugi ma więcej uczucia dla ciepłej przyjaźni, a ja, jako człowiek uczciwy, muszę przyznać się otwarcie, że lubię cebule i wolę zézowatą kucharkę, niż najpiękniejszego przyjaciela, co ma urodę. Tak, muszę wyznać, że nie widzę w płci męskiej tyle pięknego, ażeby się można było w niej zakochać!

Wymawiając ostatnie wyrazy, Hyacynt przejrzał się w lustrze, zaś marchese, nie przerywając sobie, deklamował dalej: [2])

Nadzieja, złudnym, ach, była wyrazem,
Męczymy się i zejść nie możem razem;

[1]) „Gesammelte Werke“ I. 267. Z sonetow (6).
[2]) Platena „Gesammelte Werke“ I. 242. Z „Gazel“ (100)

Jak śpiewnie z ust twych imię me wychodzi,
Lecz pieśni te ty rzadko składasz razem;
Jak księżyc z słońcem trzymać nas w rozłące,
Sprzysiągł się zwyczaj z obowiązkiem razem;
Głowę na głowie wesprzyj, ciemny włos twój
I twarz ma blada niech się złączą razem!
Lecz ach! ja śnię, a ty odchodzisz z miejsc tych,
Nim los szczęśliwy zetknął nas tu razem!
Dusze się krwawią, gdy cała w rozłące,
Gdybyż, jak kwiaty, spleść je można razem!

Komiczna poezya! wykrzyknął Hyacynt, przedrzeźniając mruczeniem rymy: Zwyczaj z obowiązkiem razem, złączą razem, zetkną razem, spleść je razem! Komiczna poezya! Mój szwagier, gdy czyta poezyę, to robi sobie często żart i na końcu każdego wiersza dodaje naprzemian wyrazy: „z przodu“ i „z tyłu;“ i ja nigdy nie wiedziałem, że poetyczne poezye, które stąd powstają, nazywają się gazelami. Muszę raz zrobić próbę, czy poezya, którą pan marchese deklamował, nie będzie jeszcze ładniejsza, gdy się po słowie „razem“ postawi za każdym razem na przemiany, „z przodu“ i „z tyłu“ —taka poezya będzie z pewnością o dwadzieścia procent mocniejsza.

Nie zważając na tę paplaninę, marchese w dalszym ciągu deklamował gazele i sonety, w których kochanek opiewa swego przyjaciela urodziwca, wysławia go, skarży się nań, pomawia go o chłód; układa plany, jakby się do niego dostać, oczekuje z nim, bawi się w zazdrość, usycha z tęsknoty, przemizdża się przez całą skalę czułości i przytem tak lubieżnie, z taką żądzą cackania się i lizania, że możnaby myśleć, iż autor jest dziewczyną w napadzie nymfomanii. Jeno musiałoby być wtedy poniekąd dziwnem, że dziewczynisko ustawicznie jęczy, iż miłość jej jest wbrew „obyczajom,“ że dla tych „rozłączających“ obyczajów jest również gorzko usposobiona, jak rzezimieszek dla policyi, że pragnąłby objąć miłośnie „biodra“ przyjaciela, że uty-

kuje na „zazdrośników," „którzy chytrze zmawiają się, ażeby nam przeszkadzać i trzymać zdala od siebie," że skarży się na raniącą szorstkość przyjaciela, że go zapewnia, iż chce tylko przelotnie nań spojrzeć, zaręcza mu, iż: „Uszów twych nawet zgłoska nie przerazi"—i w końcu przyznaje: [1])

Życzenie me u innych opór budzi,
Tyś również nie wysłuchał go, a przecie
Nie odepchnąłeś mię, o lube dziecię!

Zaświadczyć muszę markizowi, że poezye te czytał dobrze, wzdychał przy nich dostatecznie, [2]) stękał, a ślizgając się po sofie to tu, to tam, kokietował jak gdyby swoim siedzeniem. Hyacynt nie pomijał ani jednego rymu, ażeby go nie przepaplotać, choć wścibiał też między nie i uwagi nadprogramowe. Odom poświęcał najwięcej uwagi. Na tym gatunku, mówił, można się nauczyć daleko więcej, niż na sonetach i gazelach; ponieważ przy odach stopy są osobno u góry wydrukowane, więc można wygodnie każdy utwór sprawdzić. Każdy poeta powinienby, tak, jak hrabia Platen, nad najtrudniejszemi swojemi poetyckiemi poezyami drukować u góry stopy i mówić do ludzi: Patrzcie! ja jestem człowiek uczciwy, nie chcę was oszukiwać, te krzywe i proste linijki, które kładę nad każdym poematem, to jest coś niby conto finto każdego poematu, i wy możecie obliczyć, ile mię one kosztowały trudu; one są czemś w rodzaju łokcia dla każdego utworu i możecie zmierzyć, a jeśli brak w nim choć jednej sylaby, to możecie mię nazwać złodziejem, tak jak jestem uczciwym człowiekiem. Ale właśnie na tej poczciwej minie może się publiczność oszukać. Bo właśnie wtedy, kiedy przed utworem podane są stopy, każdy myśli sobie: Nie

[1]) Tamże, I. 275. Z „sonetów" (23).

[2]) W wydaniu francuskiem zamiast zdania od „stęka" do „siedzeniem" powiedziano: „robił romansowe miny i lubieżne giesty".

chcę być człowiekiem podejrzliwym, dla czego mam po tym człowieku sprawdzać? To pewnie człowiek rzetelny, no, i nie sprawdza się już i zostaje się oszukanym. — A czyż można zawsze sprawdzać? My jesteśmy teraz we Włoszech i oto mam czas pisać stopy kredą na ziemi i każdą odę kolacyonować. Ale w Hamburgu, gdzie mam swój interes, nie mam na to czasu i musiałbym wierzyć hrabiemu Platenowi, nie licząc, tak jak się ufa w kasie kurantowej przy woreczkach z pieniędzmi, na których stoi napisane, ile set talarów znajduje się w nich; przechodzą one zapieczętowane z ręki do ręki, każdy wierzy drugiemu, że tyle jest w nich, ile stoi napisano, a jednakże bywają przykłady że jakiś próżniak, co nie wiele ma do roboty, otwiera taki woreczek, przelicza i znajduje w nich o parę talarów za mało. Tak samo i w poezyi wiele złodziejstw może się przytrafić. Szczególnie kiedy pomyślę o woreczkach z pieniędzmi, to staję się niedowierzającym. Bo mój szwagier opowiadał mi, że w domu poprawczym w Odensee siedzi... pewien ktoś, co był urzędnikiem na poczcie i nie uczciwie otwierał woreczki z pieniędzmi, które przechodziły przez jego ręce i nieuczciwie wyjmował z nich pieniądze i znowu misternie je zaszywał i odsyłał dalej [1]). Gdy się słyszy o takiej zręczności, to się traci ludzkie zaufanie i człowiek robi się nieufnym. Teraz jest dużo złodziejstw na świecie, a w poezyi jest z pewnością tak samo, jak w każdym innym interesie. Rzetelność—ciągnął Hyacynt dalej, podczas gdy Marchese wciąż deklamował, nie zważając na nas i całkiem pogrążony w uczuciu — rzetelność, panie doktorze, to grunt, a kto nie jest uczciwym człowiekiem, tego uważam jak złodzieja, a kogo ja uważam, jak złodzieja, od tego nie kupię nic, tego nie czytam wcale, słowem nie robię z nim żadnych interesów. Ja, panie doktorze, jestem

[1]) W domu poprawczym w Odensee siedział akurat wtenczas jakiś hrabia Platen. Porównaj list Heinego do Immermana.

człowiekiem, który pod żadnym względem nie jest zarozumiały; a gdybym chciał mieć w czemś wielkie o sobie rozumienie, to miałbym o sobie rozumienie, że jestem człowiekiem uczciwym. Ja panu opowiem jeden szlachetny mój rys i pan się złapiesz za głowę — mówię panu, złapiesz się pan za głowę, tak, jak jestem uczciwym człowiekiem. Mieszka w Hamburgu na Speersorcie pewien człowiek, który handluje warzywem i nazywa się Klocek, to znaczy, że ja go nazywam Klockiem, bo my jesteśmy dobrzy przyjaciele, ale tak to on się nazywa pan Kloc. I jego żonę trzeba nazywać panią Kloc, i ona nie mogła nigdy ścierpieć, ażeby jej mąż grał u mnie, a gdy jej mąż chciał u mnie grać, to nie wolno mi było iść z losem do niego do domu, i on mi mówił zawsze na ulicy: Chcę grać u pana na ten i ten numer i tu oto masz pieniądze, Hirsch! To ja mówiłem wtedy: Dobrze Klocku! A skorom przyszedł do domu, to odkładałem dla niego numer w kopercie apart i pisałem na kopercie niemieckiemi literami: Na rachunek pana Chrystyana Hinryka Kloc. No, a teraz sluchaj pan i podziwiaj! Był sobie piękny dzień wiosenny, i drzewa na giełdzie były zielone i było przyjemne zefirowe powietrze i słońce błyszczało na niebie i ja stałem przed bankiem hamburskim. Wtem przychodzi Klocek, mój Klocek, i trzyma pod ręką swoją grubą madame Kloc i najpierw wita się ze mną i rozmawia o wiosennym przepychu pana Boga, robi także kilka patryotycznych uwag o wojsku obywatelskiem i pyta się mnie, jak idą interesa i ja opowiadam mu, że przed kilkoma godzinami znowu stał jeden pod pręgierzem, i tak w rozmowie mówi on do mnie: Zeszłej nocy śniło mi się, że numer 1538 wygra wielki los — i w ten sam moment, kiedy madame Kloc oglądała cesarskich statystów przed ratuszem, wcisnął mi w rękę trzynaście ludoirów pełnej wagi—zdaje mi się, jakbym jeszcze teraz je czuł — i zanim madame Kloc znów się odwróciła, powiadam mu: dobrze Klocku! i odchodzę. I idę, nie oglądając się, direktement, do głównej kolekty i przynoszę numer 1538, i zamykam go w kopertę i piszę na kopercie: Na rachunek pana Chrystyana Kloc. I co robi Pan Bóg? W czternaście dni później, ażeby moją rzetelność wystawić na próbę, zrządza on, że numer 1538 wygrywa 50,000 marek. Ale co robi Hirsch, ten sam Hirsch, co stoi teraz przed panem? Ten Hirsch wkłada na siebie czysty biały gors i czysty biały halsztuk i bierze dorożkę i zabiera w głównej kolekcie swoje 50,000 marek, i jedzie z nimi na Speersort. I jak mię Klocek zobaczył, to pyta się: Hirsch, coś ty dziś taki wyelegantowany? Ale ja nie odpowiadam ani słówka i kładę na stole wielki worek ze złotem i siupryzą i mówię bardzo uroczyście: Panie Chrystyanie Hinriku Kloc! Numer 1538, który pan byłeś łaskaw obstalować u mnie, miał szczęście wygrać 50,000 marek, w tym worku mam honor prezentować panu pieniądze i ośmielam się prosić o pokwitowanie. Ledwie Klocek to usłyszał, dalej w płacz, jak tylko madame Kloc dowiedziała się o całej historyi, to i ona w płacz, i czerwona służąca w płacz, i krzywy fagas sklepowy w płacz, i dzieci w płacz, a ja? tak, jak jestem uczuciowym człowiekiem, tak nie mogłem jednakże płakać i dopiero zemglałem i dopiero potem trysły mi łzy z oczów, jakby jaki strumień wody, i płakałem przez trzy godziny.

Głos małego człowieczka drżał, gdy o tem opowiadał; z namaszczeniem wydobył wspomnianą już paczkę z kieszeni, odwinął wyblakłą różową kitajkę i pokazał mi kwit, w którym Chrystyan Hinryk Kloc poświadczał należyty odbiór 50,000 marek. Gdy umrę, mówił Hyacynt ze łzą w oku — to niech mi to pokwitowanie włożą do grobu, a gdy kiedyś w dzień Sądu będę musiał zdawać rachunek z moich postępków, wtedy z tem pokwitowaniem w ręku wystąpię przed fotel Wszechmocy, a gdy mój zły anioł odczyta już złe czyny, które na tym świecie popełniłem, a mój dobry anioł zabierać się też będzie do odczytania moich dobrych postępków, wtedy ja powiem spokojnie: Sza! Ja chcę tylko wiedzieć, czy ten kwit jest prawdziwy? Czy

to jest pismo Chrystyana Hinrika Kloca? Wówczas przyleci jeden całkiem malutki aniołek i powie, że on zna bardzo dobrze pismo Klocka i opowie zarazem zadziwiającą historyę o rzetelności, którą ja raz popełniłem. Ale Stwórca Wieczności, Wszystko wiedzący, który wszystko wie, przypomni sobie o tej historyi i pochwali mię w obecności słońca i księżyca, i gwiazd, i zaraz porachuje w głowie, że jeśli odjąć moje złe postępki od 50 tysięcy marek rzetelności, to jeszcze zostanie na moje dobro saldo i powie wtenczas: Hirsch! mianuję ciebie aniołem pierwszej klasy i masz prawo nosić skrzydła z czerwonemi i białemi piórami.

ROZDZIAŁ XI.

Któż więc jest ten hrabia Platen, któregośmy poznali w rozdziale poprzednim, jako poetę i „ciepłego“ przyjaciela? Ach, czytelniku miły, pytanie to czytam już od dawna na twojej twarzy i tylko z musu przystępuję do odpowiedzi. To jest nieszczęście pisarzy niemieckich, że każdego dobrego czy złego głupca, którego wyprowadzają na stół, muszą dopiero uczynić wiadomym za pomocą suchej charakterystyki i opisu osobistości, ażeby przedewszystkiem wiedziano o jego istnieniu, a powtóre, żeby wiadomem było miejsce, gdzie go kańczug trafi, czy wysoko, czy nisko czy z przodu, czy z tyłu. Inaczej bywało u starożytnych, inaczej dziś jeszcze bywa u nowszych ludów, np. anglików i francuzów, którzy mają życie narodowe a więc i public characters. [1]) Ale my, niemcy, mamy wprawdzie całkiem błazeński naród, ale mało celujących błaznów, co byliby na tyle znani, iżby ich można było używać w prozie i wierszach—jako charakterów ogólnie zrozumiałych. Ci nieliczni mężowie tego gatunku, których posiadamy, mają rze-

[1]) W wydaniu francuskiem brak diatryby przeciw Platenowi od początku rozdziału XI aż do samego końca drugiej części.

czywiście słuszność, że się tak drożą. Są oni wartości nieocenionej i mają prawo do najwyższych wymagań. Tak np. pan radca tajny Schmalz, profesor wszechnicy berlińskiej, jest człowiekiem, jakiego nie kupić za pieniądze. Pisarz humorystyczny nie może się bez niego obejść, a i on sam czuje tę osobistą swą wagę i niezbędność w tak wysokim stopniu, iż chwyta każdą sposobność nastręczenia pisarzom humorystycznym materyału do satyry, że dzień i noc medytuje nad tem, jakby tu ośmieszyć się, jako mąż stanu, serwilista, dziekan, antihegelianin i patryota i w ten sposób poprzeć dzielnie literaturę, dla której się niejako poświęca. Uniwersytetom niemieckim trzeba wogóle oddać pochwałę, że pisarzów niemieckich więcej zaopatrują we wszelakiego rodzaju durniów, niż jakikolwiek inny cech—i szczególnie Getyngę umiałem zawsze pod tym względem oceniać. To jest także ukrytą przyczyną, że oświadczam się zawsze za utrzymaniem uniwersytetów, jakkolwiek stale głosiłem wolność zarobkowania i zniesienie ustroju cechowego. Wobec tak dotkliwego braku doskonałych kpów, nie można mi być wcale dosyć wdzięcznym, jeśli wyprowadzam na światło boże nowych i czynię ich ogólnie używalnymi. Dla dobra przeto literatury, o hrabi Auguście von Platen-Hallermünde pomówię teraz nieco obszerniej. Chcę się przyczynić do tego, ażeby się stał odpowiednio do celu znanym i poniekąd sławnym; chcę go, że tak powiem, literacko odkarmić, jak to czynią irokezi z jeńcami, których mają spożyć później na ucztach. Poczynę sobie całkiem uczciwie i zgodnie z prawdą i najzupełniej grzecznie, jak przystoi obywatelowi; spraw materyalnych, tak zwanych osobistych, dotknę o tyle tylko, o ile dadzą się przez nie objaśnić zjawiska duchowe i zawsze z całą dokładnością podawać będę punkt widzenia, z którego nań patrzyłem.

Punktem widzenia, z którego po raz pierwszy spostrzegłem hrabiego Platena, było Monachium, widownia pierwszych jego usiłowań, gdzie u wszystkich, co go znają, jest bardzo sławnym, i gdzie z pewnością, tak długo, jak

żyć będzie, będzie nieśmiertelnym. Okulary, przez które nań patrzyłem, były własnością pewnych stałych mieszkańców Monachium, którzy o zewnętrznym jego wyglądzie w chwilach wesołych rzucali tu i owdzie jakieś wesołe słówko. Sam nie widziałem go nigdy, a gdy chcę wyobrazić sobie jego postać, przypominam sobie zawsze zabawną pasyę, z jaką pewnego razu przyjaciel mój, doktór Lautenbacher [1]), wymyślał na głupotę poetów wogóle, a w szczególności wspominał niejakiegoś hrabiego Platena, który z wiankiem laurowym na głowie stawał na drodze spacerującym po promenadzie publicznej w Erlangen i udawał poetyckie natchnienie. Inni lepiej już odzywali się o biednym hrabi Platenie i utyskiwali jedynie na jego ograniczone środki, które przy jego ambicyi odznaczenia się przynajmniej, jako poeta, zmuszały go do pracy po nad sprawiedliwą miarę i chwalili zwłaszcza jego uprzedzającą grzeczność względem młodszych, śród których był skromnością samą. Z najbardziej ujmującą pokorą prosił on o pozwolenie odwiedzania ich od czasu do czasu w mieszkaniu, i nawet tak daleko posuwał swą uprzejmość, że swe wizyty wciąż ponawiał, nawet wówczas, gdy mu najwyraźniej dawano do poznania ich uciążliwość. Tym podobne opowieści wzruszyły mię poniekąd, jakkolwiek ów brak osobistych względów, znajdowałem całkiem naturalnym. Daremnie skarżył się nieraz hrabia: [2])

Twej, chłopcze luby, jasnowłosej wiosny
Jutrzenka — z druha smętnej drwi tęsknoty,

[1]) Dr. Ignacy Lautenbacher (1799 — 1838) z Bamberga, wprowadzony został przez Heinego do literatury. Poeta poznał go w Monachium r. 1828 i polecił go wydawcy, nazwiskiem Cotta, który zaprosił L-a najpierw na redaktora czasopisma „Inland," później zaś czasopisma „Ausland." Lautenbacher był też współpracownikiem „Roczników politycznych," gdzie ogłosił rozprawę „Parafraza Tacyta".

[2]) Pisma Platena, I, 298. Z „Sonetów" (174).

Więc się już cały w żart zamienię, w psoty,
Niechaj przepadnie ten szlak łez żałosny,
I Boga błagać chcę, by mi radosny
A tak nieznany dar zesłał pustoty.

Próżno zapewniał biedny graf, że będzie kiedyś najsławniejszym poetą, że cień bobkowego listka widać już na jego czole, że swych słodkich chłopaków również uczynić może nieśmiertelnymi — przy pomocy swych nieśmiertelnych poezyi. Niestety, ten właśnie rozgłos nie był nikomu miłym i, w rzeczy samej, nie był wcale on do pozazdroszczenia. Przypominam sobie jeszcze, z jakim tłumionym uśmiechem kilku wesołych przyjaciół patrzyło w Monachium, pod arkadami, na kandydata do podobnego rozgłosu. Jakiś bystrooki niecnota mniemał nawet, że między połami jego surduta widzi cień wawrzynowego listka. Co się mnie tyczy, kochany czytelniku, to nie jestem tak złośliwy, jak sądzisz, i gdy inni wyszydzają biednego grafa, ja lituję się nad nim; wątpię, ażeby się miał kiedykolwiek mścić czynnie na nienawistnych „obyczajach," aczkolwiek w pieśniach swych umiera z żądzy oddania się podobnej zemście; wierzę raczej w owe raniące zniewagi, ubliżające despekty i odprawy, o których sam tak rzewnie śpiewa. Przekonany jestem, że wogóle zachowywał się wobec obyczaju daleko chwalebniej, niż sam pragnął, i może miałby prawo chlubić się, jak generał Tilly: „Nie byłem nigdy pijany, nie dotknąłem nigdy kobiety, i nigdy nie przegrałem bitwy." Dla tego też pewnie mówi o nim poeta: [1])

Trzeźwy jest z ciebie i cnotliwy chłopak.

Biedny chłopak, albo raczej biedny stary chłopak — dźwigał już bowiem na sobie parę krzyżyków,—gnił wówczas, jeśli się nie mylę, na uniwersytecie w Erlangen, gdzie

[1]) Karol Immermann w utworze swym: „Zataczający się po manowcach metryki kawaler" (Hamburg, 1829, str. 34. Sonet 16).

wyznaczono mu jakieś zatrudnienie. Że jednak nie zadowalało ono jego pnącego się do wyżyn ducha, albowiem wraz z krzyżykami bodła go coraz więcej i lubieżna żądza sławnych roskoszy, i z każdym dniem więcej entuzyazmowała grafa przyszła jego wspaniałość,—zaniechał więc swego zajęcia i postanowił żyć z autorstwa, z okolicznościowych darów z góry, i kilku innych zarobków. Hrabstwo grafa leży bowiem na księżycu, skąd ściągać będzie mógł olbrzymie swe dochody z powodu złej komunikacyi z Bawaryą i według obliczenia Gruithuisena [1]), dopiero za lat 20,000, gdy księżyc zbliży się do tej ziemi.

Przedtem już Don Platen de Colibrados Hallermünde wydał u Brockhaus'a w Lipsku zbiór poezyi z przedmową, zatytułowany: „Listki liryczne, Numer 1" [2]), które wszakże zostały nieznanymi, choć jak nas zapewniał, siedmiu mędrców darzyło autora pochwałami.

Później wydał, według wzoru Tiecka, kilka udramatyzowanych baśni i opowiadań [3]), które również miały to szczęście, że zostały mądremu tłumowi nieznanemi, i tylko siedmiu mędrców czytało je. Atoli, żeby prócz siedmiu mędrców zjednać sobie jeszcze paru czytelników, chwycił się graf polemiki i napisał satyrę na sławnych pisarzów, przeważnie na Müllnera, który naówczas był już ogólnie znienawidzony i moralnie unicestwiony, tak, iż hrabia przybył w samą porę, ażeby martwemu hofratowi Oerindur zadać jeszcze cios główny, nie w głowę, lecz szlachetne serce; polemika więc hrabiego dosyć się podobała i „fatalny widelec" znalazł tu i owdzie ochocze przyjęcie, nie u szerszej publiczności, lecz u literatów i właściwych szkolarzów, głównie u tych ostatnich, albowiem satyra owa nie była

[1]) Fr. v. Gruithuisen (1774 — 1852), profesor astronomii w Monachium.

[2]) „Kartki liryczne", I — Lipsk, 1821.

[3]) „Dramata", t. I — Erlangen, 1824. „Fatalny widelec". Komedya. Stutgard 1826.

już naśladowaniem romantycznego Tiecka, lecz klasycznego Arystofanesa.

Sądzę, że koło tego właśnie czasu udał się pan hrabia do Włoch; [1]) nie wątpił on już, że będzie mógł żyć ze swoich poezyj; Cotta miał zwykły prozaiczny zaszczyt dawania na rachunek poezyj pieniędzy; albowiem poezya, córa niebios wysoko urodzona, sama nigdy niema pieniędzy i w podobnej potrzebie zwraca się zawsze do Cotty. Hrabia wierszował teraz dniami i nocami; nie poprzestawał już na wzorach Tiecka i Arystofanesa, lecz naśladował i Goethego w pieśniach, Horacego w odzie, dalej Petrarkę w sonetach, a potem poetę Hafis'a w perskich gazelach — słowem, dał nam tym sposobem równiankę kwiatów z najlepszych poetów i zarazem własne swoje „Listki liryczne" p. t. „Poezye hrabiego Platena i t. d."

Nikt w Niemczech nie jest dla płodów poezyi sprawiedliwszy ode mnie, i takiemu biedakowi, jak Platen, z pewnością przyznam z całego serca jego kawałeczek sławy, który w pocie czoła tak gorzko zapracowywa. Nikt nie jest więcej ode mnie skłonnym do oddania czci jego usiłowaniom, do pochwalenia jego pilności i oczytania w poezyi i do uznania jego sylabowo-miarowych zasług. Własne moje próby uzdalniają mię więcej, niż każdego innego, do ocenienia metrycznych zasług hrabiego. Ów gorzki trud, niewysłowioną wytrwałość, szczękanie zębami w zimowe noce, zajadłe wytężenia, z jakiemi wypracowywał on swoje wiersze, nasz kamrat odkrywa daleko prędzej, niż zwyczajny czytelnik, który gładkość, ozdobność i politurę owych wierszy grafa uważa za coś łatwego i bezmyślnie bawi się gładką igraszką słów, podobnie, jak bawimy się po kilka godzin patrzeniem na kunsztownych skoczków, balansujących na linie albo tańczących śród jaj, i nie pomyślimy wcale, że biedne te istoty tylko kosztem całe lata trwającego przy-

[1]) W roku 1824 Platen jeździł do Włoch.

musu i srogich mąk głodowych—nauczyły się tych karkołomnych sztuk i tej rytmiki ciała. Ja, com w sztuce tworzenia nie umartwiał się tak bardzo i wykonywał ją zawsze w połączeniu z dobrem jadłem, tem bardziej wysławiać będę hrabiego Platena, któremu szło to bardzo cierpko i trzeźwo; będę o nim głosił, iż żaden w Europie linoskok nie balansuje tak dobrze, jak on, na rozlazłych gazelach, że żaden nie wykonywa jajecznego tańca śród

⏑ ⏑ — ⏑ ⏑ ⏑ — — —
⏑ ⏑ — — — ⏑ ⏑ ⏑ ⏑ i t. d.

tak dobrze, jak on, że żaden nie staje tak dobrze na głowie, jak on. Jeśli nawet muzy nie są nań tak łaskawe, to ma on jednak w swej przemocy geniusza mowy, albo raczej potrafi mu zadać przemoc. Albowiem wolnej tego geniusza miłości nie posiada, i musi to chłopię wytrwale gonić zaś uchwycić umie tyko zewnętrzne formy, które mimo piękną swą utoczoność, nie wypowiadają się szlachetnie. Nigdy jeszcze dźwięki głębokie, naturalne, jak te, które znajdujemy w pieśni ludowej, u dzieci i u innych poetów, nie wyrwały się ani też nie wykwitły nakształt objawienia z duszy takiego Platena; niepokojący przymus, jaki sobie zadawać musi, ażeby coś powiedzieć, nazywa on „wielkim czynem w słowie.“

Tak całkiem obcą mu jest istota poezyi, że nie wie nawet, iż słowo tylko u retora jest czynem, zaś u prawdziwego wieszcza wydarzeniem. Ponieważ różnym jest od prawdziwego wieszcza, przeto język nigdy nie był mu mistrzem, natomiast on sam stał się majstrem w języku, albo raczej na języku, jak wirtuoz na instrumencie. Im dalej w ten sposób posuwał się w technice, tem wyższego nabierał pojęcia o swem wirtuozostwie; potrafił grać na wszystkie sposoby; toć on wersyfikował najtrudniejsze pasaże, niekiedy tworzył, że tak powiem, na jednej tylko strunie G i gniewał się, jeśli publiczność go nieoklaskiwała! Jak wszyscy wirtuozowie, co wykształcili w sobie po-

dobnie jednostronny talent, uganiał się tylko za oklaskiem, z tajoną złością patrzył na sławę innych, zazdrościł kolegom ich zysku, jak n. p. Claurenowi [1]); gdy mógł jedno bodaj Xenium [2]) nagany odnieść do siebie, wnet pisał pięcio-aktowe paszkwile, kontrolował wszystkie recenzye, w których chwalono innych, i wołał wciąż: Jestem nie dosyć chwalony, nie dosyć wynagradzany, albowiem jestem poetą, poetą nad poetów i t. d. Tak zgłodniałym i łaknącym chwalb i darów nie okazał się żaden jeszcze prawdziwy wieszcz, ani Klopstock, ani Goethe, z którymi hrabia Platen chce stanowić razem trójcę, choć każdy to widzi, że jedynie z Ramlerem i co najwyżej A. W. Schleglem tworzy tryumvirat. Wielki Ramler, jak go swego czasu nazywano, gdy, wprawdzie bez wieńca wawrzynowego na głowie, ale z tem większą peruką i harbajtlem, z okiem ku niebu wzniesionem i parasolem z płótna żaglowego pod pachą, kroczył skandując po Zwierzyńcu berlińskim, — miał siebie wówczas za przedstawiciela poezyi na ziemi. Jego wiersze były w mowie niemieckiej szczytem skończoności, a jego czciciele, między których zabłąkał się i taki Lessing, sądzili, że dalej już w poezyi zajść niepodobna. Prawie to samo powtórzyło się później z A. W. v. Schleglem, którego poetycka niewystarczalność staje się atoli widoczną od czasu, gdy język rozwinął się dalej, tak iż nawet ci, co niegdyś śpiewaka Aryona uważali za takiegoż samego Aryona, widzą w nim teraz jedynie zasłużonego rutynistę. Ale czy hrabia Platen powołany jest do tego, ażeby wyśmiewać skądinąd godnego chwały Schlegla, tak jak ten śmiał się niegdyś z Ramlera, tego nie wiem. Ale to wiem, że w poezyi wszyscy trzej są sobie równi i, jakkolwiek pięknie hrabia Platen uprawia w gazelach swe bujające się

[1]) W „Edypie romantycznym“—Akt I. Porów. Platena Pisma II. 204.

[2]) „Xenia“— satyryczne epigramata Schillera i Goethego. (*Przyp. tłom.*)

sztuki ekwilibrystyczne, jakkolwiek wiśmienicie wykonywa w swych odach taniec śród jaj, więcej nawet, jakkolwiek w komedyach swych na głowie staje — to jednakże poetą nie jest.

Nie jest poetą — mówi nawet niewdzięczna młódź męska, o której tak czule śpiewa. Nie jest poetą—mówią kobiety, które może — muszę to na jego korzyść zaznaczyć — nie są w tym wypadku całkiem bezstronne i bodaj, czy w skutek predylekcyi, jaką w nim odkryły, nie uczuwają pewnej zazdrości; lub może myślą zgoła, że skutkiem tendencyi jego utworów, dotychczasowe ich, uprzywilejowane w społeczeństwie stanowisko jest zagrożone? Surowi krytycy, uzbrojeni w silne okulary, wtórują temu wyrokowi, albo też wyrażają się jeszcze lakoniczniej i wątpliwiej. Co pan znajdujesz w poezyach hrabi Platena von Hallermünde?—spytałem niedawno jednego z takich. Zycflejsz! brzmiała odpowiedź. Pan ma na myśli — wymęczoną, wypracowaną formę?—odparłem. Nie, odrzekł tamten, Zycflejsz i pod względem treści.

Co się tyczy treści poezyj Platenowskich, to nie mógłbym co prawda chwalić za nią biednego grafa, ale też nie mógłbym bezwzględnie rzucać go na pastwę cenzorskiej wściekłości, z jaką nasi Katonowie mówią o niej albo nawet milczą. Chacun a son goût. Jednemu się podoba wół, a innemu krowa Wasiszty [1]). Potępiam nawet straszliwą powagę radamantyczną, z jaką o owej treści poezyj Platenowskich wyrokowano w „Berlińskich rocznikach krytyki naukowej“ [2]). Ale takimi są już ludzie; łatwo im przychodzi wpaść w świętobliwy gniew, gdy mówią o grzechach, które im nie sprawiłyby żadnej przyjemności. W Morgenblacie czytałem niedawno artykuł pod nadgłówkiem: „Z dziennika czytelnika“, w którym hrabia Platen występuje przeciw takim surowym potępiaczom jego kultu przyjaźni, z ową skromnością, której nigdy nie sprzeniewierzy się, i po której też poznają go tutaj. Gdy mówi, że, „Tygodnik Heglowski“ obwinia go „ze śmiesznym patosem“ o tajemny jakiś występek, to, jak łatwo odgadnąć, pragnie jedynie uprzedzić potępienie ze strony innych ludzi, których sposób myślenia polecił zbadać trzecim rękom. Atoli źle go powiadomiono; nigdy w tym względzie nie zgrzeszę patosem; szlachetny graf jest dla mnie raczej zjawiskiem roskosznym, a w jego jaśnie oświeconem amatorstwie widzę jeno coś rychło-wczesnego, jeno lękliwie wstydliwą parodyę antycznego junactwa. Otóż to właśnie; owo amatorstwo nie było w starożytności przeciwne obyczajom i ujawniało się z heroiczną otwartością. Gdy np. cesarz Nero, na okrętach wyłożonych złotem i kością słoniową, wydawał ucztę, która kosztowała parę milionów—kazał się z jednym z seraju młodzieńcow, imieniem Pytagoras, uroczyście pobłogosławić (cuncta denique spectata, quae etiam in femina nox operit [1]), a potem pochodnią weselną podpalił gród rzymski, ażeby przy wtórze syczących płomieni módz tem lepiej wyśpiewać upadek Troi. To był jeszcze poeta gazel, o którym umiałbym prawić z patosem; ale tylko z uśmiechem patrzyć mogę na nowego pytagorejczyka, który w dzisiejszym Rzymie mizeracko, trzeźwo i bojaźliwie przekrada się po ścieżynie przyjaźni, który z jasną swą twarzą dostaje odprawę od bezmiłosnej młodzieży, a potem przy nędzniutkiej lampeczce olejnej występuje swoje gazelki. Ciekawem w tej mierze jest porównanie poezyjek Platenowskich z Petroniuszem [2]). U tego widać szorstką, antyczną, plastycznie pogańską otwar-

[1]) Z legendy Indusów. (*Przyp. tłom.*)

[2]) W sprawozdaniu „Roczników krytyki naukowej.“

[1]) Porów. „Roczniki“ Tacyta XV 37.

[2]) Petroniusz Arbiter był autorem słynnej powieści łacińskiej, pod tytułem Satirae. Opisuje on z werwą i dowcipem lecz także i cyniczną otwartością życie rzymskie za czasów Nerona.

tość. Hrabia Platen natomiast, mimo że dmie w dudkę klasyczną, traktuje swój przedmiot bardziej romantycznie, zakrywając go gazą, tęskliwo-pożądliwie jak klecha, — dodać muszę: obłudnie. Bo graf zakapturza się niekiedy w uczucia świętobliwe, unika dokładnego oznaczenia płci; tylko poświęconym pozwala widzieć jasno; mniema on, iż przed tłumem zasłonił się dostatecznie, wypuściwszy gdzie niegdzie wyraz „przyjaciel“. Wówczas dzieje się z nim to samo, co ze strusiem, który myśli, że jest dostatecznie ukryty, gdy wetknie głowę w piasek, tak, że widać tylko pośladek. Zaś nasz jaśnie wielmożny ptak uczyniłby daleko lepiej, gdyby zarył pośladek w piach, a pokazał nam głowę. W rzeczy samej jest on bardziej człowiekiem pośladka, niż głowy. Miano: człowiek, w sensie mężczyzny wogóle nie pasuje do niego; jego miłość ma charakter pasywny, pytagorejski; w swoich poezych jest to „pathikos“, jestto kobieta i to kobieta, delektująca się tem, co również kobiece, jest to jakoby trybada rodzaju męskiego. Ta bojaźliwie gibka natura wypina się przez wszystkie swoje poezye miłosne; zawsze znajduje on nowego „druha piękniunia,“ wszędzie w poezyach tych widzimy polyandryę a jeśli nawet sentymentalizuje: [1])

„Kochasz i milczysz — gdybym był w cichości
Ku tobie swoje słał tylko spojrzenia!
Gdybym był słowem nie przerwał milczenia,
Nigdybym żadnej nie doznał przykrości!
Lecz ja nie myślę zwalczać tej miłości
I przeklnę dzień ów, co zmrozi jej wrzenia!
Bo ona rodem z krainy natchnienia,
Kędy anieli pieszczą się w błogości...“

to wnet przychodzą nam na myśl aniołowie, co przyszli do Lota, syna Haranowego, i tylko z trudem i ledwością

[1]) Platena „Pisma“ I. 293. Z sonetów (60).

uniknęli nader czułych przytulań się, jak to czytamy w Pięcioksięgu, który niestety nie podaje gazel i sonetów, wyśpiewanych wówczas pode drzwiami Lota [1]). Wszędzie w poezyach Platonowych widzimy strusia, który tylko chowa głowę, próżnego a bezsilnego ptaka, który ma najpiękniejsze upierzenie, a jednak nie może fruwać i kłótliwie utyskując mknie przez polemiczne piaski literackiej pustyni. Ze swemi pięknemi piórami, bez siły wzlotu, z pięknym swym wierszem bez polotu poetyckiego, tworzy on kontrast z owym orłem śpiewu, co ma skrzydła mniej świetne, ale wzbija się na nich do słońca — znowu wrócić muszę do stałej zwrotki: Hrabia Platen — to nie poeta.

Od poety wymaga się dwóch rzeczy: w jego lirycznych poezyach muszą być dźwięki naturalne, a w poezyach epicznych i dramatycznych—postacie. Jeśli we względzie tym nie może się wylegitymować, to mu się odmawia tytułu poety, choćby nawet wszystkie inne jego papiery familijne i dyplomy szlacheckie były w największym porządku. Że to ostatnie ma miejsce u hrabiego Platena, o tem nie wątpię i przekonany jestem, że uśmiechnąłby się z wesołem politowaniem, gdyby jego tytuł hrabiowski chciano podać w podejrzenie.

Ale odważyć się tylko zdradzić jedną jedyną ksenią najlżejszą wątpliwość co do jego tytułu poety — wnet zasiądzie, zaciąwszy usta i będzie na was drukować pięcioaktowe satyry. Albowiem ludzie tem żarliwiej upierają się przy tytule, im dwuznaczniejszy i mniej pewny jest tytuł prawny, któryby ich do tego upoważnił. Ale może hrabia Platen i byłby poetą, gdyby żył w innym czasie, i gdyby prócz tego był innym, niż teraz jest. Brak podźwięków naturalnych w poezyach grafa, pochodzi może stąd, że żyje on w czasie, kiedy prawdziwych swych uczuć nazwać po imieniu nie może, kiedy te same obyczaje, co

[1]) Porów. I. Mojżesz 19. I. i następne.

wrogo stają na przeszkodzie jego miłości, zabraniają mu nawet wypowiadać bez obsłonek swoje z tego powodu skargi; kiedy każde uczucie musi lękliwie maskować, ażeby jedyną bodaj sylabą nie przestraszyć zarówno ucha publiczności, jak ucha „nieprzystępnego piękniunia".

Owóż ta jego obawa nie dopuszcza podźwięków własnych, naturalnych, skazuje go na to, ażeby uczucia innych poetów opracowywał metrycznie, niby nieposzlakowany i gotowy materyał, i żeby w razie potrzeby używał go i do maskowania własnych swych uczuć. Być może, iż dzieje mu się krzywda, gdy, zapominając o jego nieszczęśliwem położeniu, twierdzi kto, że hrabia Platen i w poezyi chce się pokazać grafem i pomnym swego szlachectwa i dlatego to odtwarza nam jedynie uczucia znanych rodzin, uczucia, mające już swoich 64 przodków. Gdyby żył w czasach rzymskiego Pytagorasa, to może swobodniej wystąpiłby ze swemi własnemi uczuciami i uchodziłby może za wieszcza.

Wówczas nie brakłoby przynajmniej lirycznym jego poezyom brzmień naturalnych — ale brak postaci w jego dramatach pomimo to zostałby, pókiby nie przeistoczyła się własna jego zmysłowa natura i pókiby sam nie stał się niejako innym. Postaciami, które mam na myśli, są mianowicie owe samoistne stworzenia, które z twórczego ducha poety, niby Pallas Athene z głowy Kroniona, występują skończone w pełnym rynsztunku, — wcielone widziadła senne, których mistyczne narodziny zostają w przedziwnie warunkującym związku ze zmysłową naturą poety bardziej, niż sądzą powszechnie. I przeto tego rodzaju duchowe rodzenie nie jest sądzone temu, kto — sam stworzenie jałowe—umie się tylko poddawać gazelicznie w gibkiej swej miękkości.

To są atoli prywatne zapatrywania poety, a waga ich zależy od tego, o ile kto jego kompetencyi ufa. Nadmienić jeszcze muszę, że hrabia Platen nader często zapewnia ogół, iż dopiero później stworzy to, co ma być najznakomitszem, a o czem teraz nie ma się nawet pojęcia, ba,

że wtedy dopiero weźmie się do pisania Iliad i Odysej, tragedyi klasycznych i wszelkich innych nieśmiertelnie-kolosalnych poematów, gdy po tylu i tylu wiosnach będzie należycie przygotowany. Czytałeś może sam, miły czytelniku, te wylewy pewności siebie w mozolnie wypiłowanych wierszach, a obietnica podobnie pięknej przyszłości była ci może tem radośniejszą, że jednocześnie graf przedstawia wszystkich poetów niemieckich, z wyjątkiem całkiem starego już Goethego, jako zgrają kiepskich gryzmołów, którzy mu stają jeno na drodze do sławy i są tak bezwstydni, że zbierają laury i wynagrodzenia, jemu wyłącznie przynależne.

Co o tem słyszałem w Monachium, wolę pominąć. Ale gwoli chronologii przytoczyć muszę, że w owym czasie król bawarski wyraził zamiar udzielania jednemu z poetów niemieckich rocznej pensyi, nie łącząc z nią żadnego urzędu, co, jako przykład niezwykły, mogło mieć piękne dla całej literatury niemieckiej następstwa. Mówiono mi...

Ale nie chcę odbiegać od swego tematu; mówiłem o przechwałkach hrabiego Platena, który wołał bezustannie: Jestem poetą, poetą nad poetów! Stworzę Iliadę i Odyseę i t. d. Nie wiem, co sądzi publiczność o tego rodzaju przechwałkach, ale wiem na pewno, co myśli o nich prawdziwy poeta, który zaznał już wstydliwej słodyczy i tajemnego dreszczu poezyi i o błogości tych uczuć, jak szczęśliwy paź, darzony tajemnemi względami księżniczki, nie będzie trąbił na rynku publicznym.

Nie raz już z powodu tego samochwalstwa dworowano sobie łepsko z hrabi Platena, ale on, jak Falstaf, umiał zawsze wytłomaczyć się. Przy podobnych usprawiedliwieniach przydaje mu się nie mało pewien talent, który nadzwyczajnie licuje z jego rodzajem i zasługuje na szczególne uznanie. Mianowicie hrabia Platen potrafi odkryć najdrobniejszy choćby ślad każdziutkiej plamy własnej swej duszy — i u jakiegoś wielkiego człowieka, ażeby na zasadzie tego powinowactwa z wyboru plam mierzyć się

z nim. Tak np. o sonetach Szekspira wie on [1]), że skierowane są do młodego człowieka, a nie do kobiety, i za ten rozumny wybór wynosi Szekspira pod niebiosa, porównywa siebie z nim — i to jest wszystko, co może o nim powiedzieć. Możnaby w ten sposób napisać negatywnie apologię hrabi Platena i utrzymywać, że tą i tą zdrożnością nie zawinił jeszcze, albowiem z tym i tym wielkim człowiekiem, pomawianym o nią, nie porównywał siebie jeszcze. Ale najgenialniejszym i najbardziej podziwu godnym okazał się w wyborze człowieka, w którego życiu odkrywa nieskromne mowy i którego przykładem chce upiększyć własne przechwałki. Zaiste, w podobnym celu słowa owego człowieka nigdy jeszcze nie były przytaczane, jest nim bowiem ni mniej ni więcej, tylko Jezus Chrystus, który dotychczas uchodził śród nas za wzór pokory i skromności [2]). Chrystus przechwalał się kiedykolwiek? Ten najskromniejszy z synów bożych, tem skromniejszy, że był najbardziej boskim? Ba, co nawet uszło dotąd uwagi wszystkich teologów, to odkrył hrabia Platen; podsuwa nam bowiem myśl, że Chrystus, gdy stał przed Piłatem, również nie był skromnym i nie odpowiedział skromnie, lecz na zapytanie tegoż: Czyś ty królem żydów? Rzekłeś. Tak oto i on, hrabia Platen, powiada: Jestem nim, jestem poetą! Na co się nigdy zdobyć nie mogła nienawiść wzgardliwych wrogów Chrystusa, to powiodło się egzegezie zakochanej w sobie próżności.

Ale jak wiemy, co myśleć o tem, gdy kto w podobny sposób woła ustawicznie: Jestem poetą!—tak wiemy również, jak się rzecz ma z owemi zgoła nadzwyczajnemi poezyami, które hrabia, doszedłszy do należytej dojrzałości, ma

[1]) Porów. Poemat Platena „Szekspir w swych sonetach“ I. 267.

[2]) W „Edypie romantycznym,“ akt. I. Porów. „Pisma“ II. 204.

jeszcze stworzyć i które wartością swą tak niesłychanie mają przewyższyć dotychczasowe jego arcydzieła. Wiemy bardzo dokładnie, że późniejsze dzieła prawdziwego poety nigdy nie bywają znakomitszemi od wcześniejszych, podobnież, jak kobieta nie wydaje na świat dzieci tem doskonalszych, im częściej rodzi; nie, pierwszę dziecię jest już również dobre, jak drugie, tylko rodzenie staje się łatwiejszem. Lwica nie rodzi wprzód króliczątka, później zajączątka, potem szczenięcia a dopiero w końcu lwiątko. Pani Goethe miała odrazu swoje młode lwiątko, a to przy pierwszem okoceniu się dało nam swego Lwa Berlichińskiego. Podobnież pierwszem młodem Schilera byli jego „Zbójcy;“ po ich łapach można było poznać lwi ród. Później dopiero przyszła politura, gładkość, szlifierka, „Córka naturalna“ i „Narzeczona z Messyny“. Nie tak się rzecz miała z hrabią Platenem, który zaczął od nieśmiałego majdrowania i o którym śpiewa poeta [1]):

Ty, coś z nicości wyskoczył gotowy,
Z polerowanie - wylizaną twarzą,
Wyglądasz całkiem, jak pajac korkowy.

Z tem wszystkiem, jeśli mam wypowiedzieć najtajniejsze swoje myśli, to wyznam, że nie uważam wcale hrabi Platena za tak wielkiego głupca, jakby sądzić należało z tego jego samochwalstwa i ustawicznego kadzenia sobie. Szczypta głupoty, zawsze, rozumie się, niezbędną jest dla poezyi, ale to byłoby okropne, gdyby tak znaczną porcyę głupoty, że mogłaby starczyć dla stu wielkich poetów, natura miała zwalać na kark jednego człowieka, a samej poezyi dawać mu zaledwie tak nieznaczną dozę. Mam zasadę do domysłu, że pan hrabia sam własnemu swemu samochwalstwu nie uwierzył i że, ubogi w życiu, jak i w lite-

[1]) K. Immermana: „Zataczający się po manowcach metryki kawaler “ Sonet XV str. 34.

raturze, musiał raczej dla chwilowej potrzeby zostać własnym swoim, zachwalającym Ruffianem [1]), zarówno w literaturze, jak w życiu. Stąd tu i tam zjawiska, o których rzec można, że budziły raczej interes psychologiczny; stąd jednocześnie najopłakańszy upadek ducha, kłamana buta, stąd owa rzadka mina, skarżąca się na rychłą śmierć i owa gęsta mina, grożąca przyszłą nieśmiertelnością, stąd wybuchy żebraczej dumy i tęsknie omdlewająca uniżoność, stąd ciągłe skargi, „że go Cotta zamorzy głodem“ i znowu skargi, „że go Cotta zamorzy głodem;“ stąd napady katolicyzmu i t. d.

Czy hrabia traktuje swój katolicyzm na seryo, o tem wątpię. Czy wogóle stał się katolikiem, jak niektórzy jego wysoko urodzeni przyjaciele, tego nie wiem. Że pragnie nim zostać, dowiedziałem się po raz pierwszy z pism publicznych, które nadmieniały nawet, że hrabia Platen zostaje księdzem i wstępuje do klasztoru. Złośliwe języki były zdania, że ślub ubóstwa i powstrzymywanie się od kobiet nie będzie dlań ciężarem. W Monachium, samo się rozumie, na tego rodzaju wiadomość ozwały się w sercach jego przyjaciół pobożne dzwoneczki; i w rzeczy samej, świętobliwi mężowie celibatu musieli cieszyć się z owych poezyj, popierających trzymanie się zdala od płci żeńskiej. Na nieszczęście, moje poezye mają całkiem inną tendencyę, a że nie przemawiają one do klechy ani do „śpiewaka chłopców,“ to mogło mię wprawdzie smucić, lecz żadną miarą dziwić. Również mało dziwiło mię, gdym w przeddzień swego wyjazdu do Włoch dowiedział się od swego przyjaciela, doktora Kolba [2]), że hrabia Platen jest dla mnie bardzo srogo usposobiony i gotuje mi już zgubę w komedyi pod tytułem „Król Edyp,“ która dotarla już do Aug-

[1]) Utrzymujący dom publiczny; Ruffiano — wyraz włoski. (*Przyp. tłom.*)

[2]) Gustaw Kolb (1798—1865), od roku 1837 naczelny redaktor gazety: „Augsburger Allgemeine Zeitung.“

sburga, do niektórych książąt i hrabiów, których imiona pozapominałem albo chcę zapomnieć. Inni też opowiadali mi, że hrabia Platen nienawidzi mię i staje naprzeciw mnie jako wróg; było mi to w każdym razie przyjemniejsze, niż gdyby wołano za mną, że mię hrabia Platen, jako przyjaciel za mojemi plecami kocha. Co się tyczy świętobliwych mężów, których bogobojna wściekłość na mnie ujawniła się jednocześnie i to nietylko z powodu mych przeciwcelibatowych poezyj, lecz także i z powodu „Roczników politycznych“ którem w on czas wydawał, to również mogłem jedynie zyskać na tem, albowiem widziano wyraźnie, że nie należę do ich kliki. Skoro napomykam niniejszem, że nie mówię o nich nic dobrego, to nie mówię jeszcze przez to nic złego o nich. Jestem nawet zdania, że tylko przez miłość dobrego pragnęliby obezwładnić pobożnem oszukaństwem i zbożnem oszczerstwem słowo złych, i że tylko w podobnie szlachetnym, wszelkie środki uświęcającym celu, starają się zasypać mi nietylko duchowe, ale i materyalne źródła życia. Poczciwców owych, którzy w Monachium prezentują się nawet publicznie, jako kongregacya, zaszczycają—co za niedorzeczność!—mianem jezuitów. Ale to nie jezuici zaiste, inaczej bowiem zmiarkowaliby, że np. ja, jeden ze złych, w najgorszym razie posiadam literacko-alchemiczną sztukę wybijania dukatów nawet z moich wrogów, i to w ten sposób, że ja przy tem dostaję dukaty, a moi wrogowie szturchańce; zmiarkowaliby, że tego rodzaju szturchańce nic a nic ze swej zawartości nie tracą, chociaż się imieniem bijącego poniewiera; podobnie i biedny grzesznik nie mniej mocno czuje miotełkę, chociaż oprawca, który go chłoszcze, ogłoszonym zostaje za nieuczciwego; co najważniejsza, zmiarkowaliby, że trochę słabostki dla antiarystokratycznego Vossa i parę niewinnych konceptów pod adresem świętych, za które oni pierwsi obrzucili mię błotem i głupotą, nie pochodziły z przeciwkatolickiej żarliwości.

Doprawdy, to nie jezuici bynajmniej, jeno mieszańcy błota i głupoty, których również trudno mi nienawidzić, jak wóz z gnojem i osła, co go ciągnie, i którzy wszystkiemi swemi wysiłkami osiągają coś wprost przeciwnego swemu zamiarowi i mogą mię co najwyżej doprowadzić do tego, że pokażę im, jak dalece jestem protestantem, że wykonam słuszne swe protestanckie prawo w jaknajszerszej jego rozciągłości i że z serdeczną ochotą chwycę za słuszny protestancki topór wojny. Niechaj tam sobie wówczas, dla pozyskania plebsu, każą nadwornym swym poetom przełożyć na wiersze stare bajdy kobiece o mojem niedowiarstwie — po znajomych cięgach poznają już współwyznawcę Lutrów, Lessingow i Vossów. Zaiste, nie będę ciskał prastarego topora z grozą tych bohaterów, — gdyż widok przeciwników łatwo mię rozśmiesza, a ja—jestem trochę Sowizdrzalski, a ja lubię pewną przymieszkę żartu, lecz owego osła od gnoju nie mniej silnie wyrznę przez łeb, mimo iż przedtem topór śmiejącem się kwieciem oplotę.

Ale nie chcę zbyt daleko odbiegać od swego przedmiotu. Sądzę, że w owym to właśnie czasie król bawarski ze wzmiankowanym już zamiarem dał hrabiemu Platenowi pensyę roczną w sumie sześciuset złotych [1]) i to nie ze skarbu, lecz z prywatnej szkatuły królewskiej, jak sobie tego życzył w drodze szczególnej łaski hrabia. O tym ostatnim szczególe, charakteryzującym kastę, jakkolwiek małoznacznym wydaje się, wspominam jedynie dla wiadomości przyrodnika, który czyni może spostrzeżenia nad szlachtą. W nauce wszystko jest ważne. Ktoby mi chciał zganić, iż hrabiego Platena biorę zbyt poważnie, niechaj idzie do

[1]) Jak każdy paź bawarski, poświęcający się studyom, pobierał i Platen stypendyum roczne w sumie 600 zł. r. Innego subsydyum królewskiego nie otrzymał. Od r. 1828, jako członek akademii nauk w Mnichowie pobierał rocznej pensyi 500 zł. r. głównie za staraniem Schellinga i Thierscha.

Paryża i zobaczy, jak troskliwie—wytworny, elegancki Cuvier z najdrobniejszymi szczegółami opisuje w swych prelekcyach najplugawszy owad. Dla tego też jest mi nawet przykro, że daty owych 600 złotych nie mogę skonstatować dokładniej; ale tyle wiem, że hrabia Platen przedtem sporządził swego króla Edypa, i że ten nie byłby tak gryzącym, gdyby autor miał był więcej do gryzienia.

W północnych Niemczech, dokąd mię odwołała nagle śmierć mego ojca [1]), otrzymałem wreszcie ów ogromny twór, co się wylągł nareszcie z wielkiego jaja, na którem siedział tak długo nasz pięknie upierzony struś, i na długo przed tem przez nocne sowy kongregacyi powitany został pobożnem krakaniem, a przez dobrze urodzone pawie radosnem uderzaniem skrzydeł. Miał to być ni mniej ni więcej tylko morderczy bazyliszek. Czy znasz, kochany czytelniku, podanie o bazyliszku? Lud opowiada, że gdy ptak-samiec na podobieństwo samicy złoży jaje, to wylęga się z niego stworzenie jadowite, którego dech zaraża powietrze i że można je tylko w ten sposób uśmiercić, iż trzyma się przed niem zwierciadło, wowczas bowiem na widok własnej szkarady ze zgrozy umiera.

Święte bóle, których nie chciałem profanować, nie pozwoliły mi czytać króla Edypa, aż po dwu miesiącach, kiedym używał kąpieli na wyspie Helgoland, i tam to, namaszczonemu wrażeniem majestatu, w jakie wprawia ustawiczny widok wielkiego, śmiałego morza, maluczki duch i partacka łatanina wysoko urodzonego autora przedstawiły się w całej swej nagości. Arcydzieło owo pokazało mi go w końcu takim jakim jest, z całą jego kwitnącą zwiędłością, jego nadmiarem braku ducha, wysokiem o sobie wyobrażeniem bez wyobraźni,—takim, jakim jest, wysilonym bez

[1]) Samson Heine umarł 2 Grudnia 1828 r. na anewryzm serca. Poeta otrzymał wiadomość o tem w Würzburgu, w podróży powrotnej z Włoch.

siły, pikowanym a nie pikantnym, suchą duszą wodnistą, samotnym wszetecznikiem. Ten trubadur żałości, osłabiony na ciele i duchu, próbował naśladować najpotężniejszego fantazyą, najdowcipniejszego poetę młodzieńczej Grecyi! Nic niema doprawdy bardziej wstrętnego nad tę kurczową bezsiłę, co chciałaby wydąć się, jak zuchwalstwo, — nad te mozolnie poznoszone zewsząd inwektywy, do których lgnie pleśń zastarzałej zawiści, i nad tę dłubaninę wyrazów, co bojaźliwie naśladuje upojenie ducha. Samo się rozumie, iż w dziele grafa nie znać ani śladu owej głębokiej idei wszechunicestwienia, która leży na dnie każdej Arystofanesa komedyi i która wystrzela w niej ironicznie-fantastycznem drzewem czarów, z kwitnącą krasą myśli, śpiewnemi gniazdami słowików i łażącemi po niem małpami. Takiej idei wraz z jej hulaszczym szałem śmierci i fajerwerkami zniszczenia nie powinniśmy byli zaiste oczekiwać od biednego grafa. Punkt środkowy, pierwsza i ostatnia idea, przyczyna i cel jego tak zwanej komedyi tkwi również, jak w Fatalnym widelcu, znowu w małoznacznych poswarkach literackich; biedny graf mógł jedynie naśladować niektóre cechy zewnętrzne Arystofanesa, a mianowicie delikatny wiersz i ordynarne wyrażenia. Powiadam — ordynarne wyrażenia, gdyż nie chcę użyć wyrażenia ordynarniejszego. Jak pyskata baba wylewa on całe donice obelżywych mów na głowy niemieckich poetów. Z całego serca gotów jestem wybaczyć hrabiemu jego zawziętość, ale powinien był przecież zachować pewne względy. Powinien był przynajmniej uszanować w nas płeć, boć nie jesteśmy kobietami, lecz mężczyznami, a więc należymy do płci, która jest według niego płcią piękną, i którą tak bardzo kocha.

Jest to, bądź co bądź, brak delikatności; nie jeden młodzian gotów z tego powodu zwątpić o jego adoracyi, każdy bowiem czuje, że kto kocha prawdziwie, ten wielbi cały rodzaj. Śpiewak Dziewochwał z pewnością nie był dla żadnej kobiety gburem i taki Platen powinienby także okazywać więcej szacunku dla mężczyzn. Lecz, ach,

niedelikatny! Bez wszelkich obsłonek opowiada publiczności, że my, poeci północno-niemieccy, mamy wszyscy „świerzbia, na który maści nam brakuje, którą, że smrodliwa, najbardziej szacuje" [1]) rym dobry. Najmniej delikatnym jest względem Immermana. Już na początku swego utworu każe mu robić za parawanem rzeczy, których nie mogę nazwać po imieniu, co do których jednakże niepodobna zadać mu kłamu: uważam nawet za prawdopodobne, że Immerman podobne rzeczy już robił. Ale to jest charakterystyczne, że fantazya hrabiego Platena potrafi podpatrzyć nawet jego wrogów à posteriori. Nie oszczędził nawet Houwalda, tej dobrej duszy, łagodnej jak dziewczę — ach, może właśnie z powodu tej wdzięcznej kobiecości nienawidzi go Platen. Müllner, którego, jak powiada, dawno już przepotężnie powalił prawdziwym dowcipem, nawet ten umarły zostaje wygrzebany z grobu. Dzieci i dzieci dzieci („Kind und Kindeskind") nie są wolne od kary. Raupach jest żydem [2]):

„Żydziątko Raupe—
„Co jako Raupach, dzisiaj nos zadziera,"

„w kwiciokwiku smaruje tragedye." Ale jeszcze o wiele gorzej dzieje się z „przechrztą Heinem." Tak, tak, nie mylisz się, kochany czytelniku, ja to jestem, którego ma on na myśli, a w Królu Edypie wyczytać możesz, jako jestem prawdziwym żydem, jako po kilkogodzinnem pisaniu pieśni miłosnych, zaraz potem siadam do obrzynania dukatów, jako w sabat ślęczę razem z długobrodymi szachrajami i śpiewam nad Talmudem, jako w wielkanoc zarzynam nieletniego chrześcianina i przez złośliwość wybieram na ten cel zawsze jakiego nieszczęśliwego pisarza. Nie, kochany czytelniku, nie chcę cię okłamywać, takich dobrych, malo-

[1]) Z „Edypa rom:" akt IV. Pörów. „Pisma" — II, 236.
[2]) Tamże.

wanych obrazów niema w Królu Edypie, a że ich w nim niema, to właśnie błąd, który ganię. Hrabia Platen miewa niekiedy najlepsze motywy i nie umie ich zużytkować. Gdyby miał tylko trochę więcej fantazyi, byłby mię odmalował przynajmniej, jako pokątnego fanciarza. Co za komiczne sceny nastręczyłyby mu się! Dusza moja cierpi, gdy patrzę, jak biedny graf pomija wszystkie okazye do dobrych dowcipów! Jak pysznie mógł był użyć Raupacha, jako Rotszylda tragedyi, u którego sceny królewskie zaciągają swe pożyczki! Samego Edypa, główną osobistość komedyi, można było również drogą pewnych zmian w fabule sztuki zużytkować lepiej. Zamiast kazać mu zabijać ojca Lajosa a poślubiać matkę Jokastę, powinien był naodwrót tak urządzić, ażeby Edyp zabijał matkę a poślubiał swego ojca. Dramatyczna drastyczność w podobnym poemacie musiałaby się takiemu Platenowi znakomicie powieść; kierunek własnych jego uczuć byłby mu przy tem pomocny; potrzebowałby tylko wyśpiewywać niekiedy, jak słowik, poruszenia własnej piersi — a stworzyłby sztukę, która, gdyby żył jeszcze gazeliczny Iffland, z pewnością natychmiast oddanąby została w Berlinie do nauki, i którą teraz dawanoby jeszcze na scenach prywatnych. Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej skończonego nad aktora Wurma w roli podobnego Edypa [1]). Przeszedłby on samego siebie. Następnie uważam też za niepolityczne ze strony hrabiego, iż zapewnia w swej komedyi, że posiada „prawdziwy dowcip.“ Albo może ma on na celu efekt niespodzianki, figiel teatralny, iż publiczność będzie wciąż oczekiwała dowcipu, ten jednak ostatecznie nie zjawi się? Albo może chce raczej zachęcić publiczność, ażeby Rzeczywistego Radcy Tajnego Dowcipu szukała w samej sztuce, tak, iż całość byłaby jeno grą w niżyka, w którym dowcip Platenowski byłby tak przebiegłym, że nie dałby się ni-

[1]) A. F. Wurm (1783 — 1834) znany komik.

gdy złapać. Dla tego to może publiczności, przyzwyczajonej śmiać się na komedyach, jest przy czytaniu sztuki Platenowskiej tak markotno: nie może ona ukrytego dowcipu znaleść; daremnie piszczy ukryty dowcip i piszczy coraz głośniej. Tu jestem! tu jestem rzeczywiście! Daremnie; publiczność jest głupia i robi poważną minę. Ale ja, który wiem, gdzie tkwi dowcip, śmiałem się serdecznie, kiedym czytał o hrabskim, imponującym poecie, który owija się w nimb arystokratyczny, który szczyci się, „że każde tchnienie, co przez zęby jego przechodzi, — to zmiażdżenie“ i który do wszystkich poetów niemieckich mówi [1]):

„Tak! — jako Nero, chcę dla was jednego mózgu,
Żeby dowcipu jednem cięciem go rozpłatać.“

Wiersz kiepski. Ukryty dowcip polega jednak na tem, że hrabia pragnąłby właściwie, ażebyśmy byli wszyscy samymi Neronami, a on przeciwnie, — naszym jedynym najserdeczniejszym Pytagorasem...

Dla dobra hrabiego wyróżniłbym może jeszcze jaki ukryty dowcip, ale że w swym królu Edypie napadł na to, co mi jest najmilsze — bo cóż może mi być milszem nad chrystyanizm?—więc nie można mi brać za złe, że będąc jedynie człowiekiem, uczczę Edypa, ten „wielki czyn w słowach“, mniej poważnie, niż dawniejszą działalność.

Atoli prawdziwa zasługa znajdowała zawsze swą nagrodę, a więc i autora Edypa nie minie przynależna mu nagroda, aczkolwiek i tutaj, jak zawsze, oddał się on tylko w ręce swych dobrze urodzonych i duchownych zaplecznikow. Tak jest, śród ludów Wschodu i Zachodu, krąży pewne prastare podanie, że każdy dobry czy zły czyn najbliższe następstwa ma dla swego sprawcy. I przyjdzie dzień, kiedy i one przyjdą—przygotuj się na to, miły czytelniku, że wpadnę teraz trochę w patos i stanę się groź-

[1]) Z „Edypa“ akt V. Porów. „Pisma“ II. 251.

nym — przyjdzie dzień, kiedy wyjdą one z głębin Tartarosu, straszliwe siostrzyce Nocy, „Eumenidy.“ Na Styks!— na tę rzekę my, bogowie, nigdy nie przysięgamy fałszywie,— przyjdzie dzień, kiedy się one ukażą, ciemne, prasprawiedliwe siostrzyce; ukażą się z obliczami czerwonemi od gniewu, w wężowych puklach, z tymi samymi biczami wężów, którymi niegdyś smagały Orestesa, wyrodnego grzesznika, co zamordował matkę, tyndarydyjską Klitemnestrę. A może już teraz słyszy hrabia syk wężów—proszę cię, kochany czytelniku, wyobraź sobie teraz wilczą jamę i muzykę Samiela—może już teraz chwyta hrabiego złowieszcze grzeszników mrowie — Niebo zasępia się, ptactwo nocne skrzeczy, w dali przewalają się gromy, błyska się, czuć kolofonium. Biada! Biada! Jaśnie oświeceni przodkowie powstają z grobów, wołają nad nieszczęsnym wnukiem jeszcze ze trzy, cztery razy: Biada! Biada! — zaklinają go, ażeby włożył ich stare żelazne spodnie dla ochrony przed straszliwemi rózgami, albowiem Eumenidy podrą go niemiw sztuki, wężowe bicze ironicznie będą sobie po nim igrać, i jak niegdyś cudzołożczy król Roderyk [1]), gdy go zamknięto w wężowej baszcie, tak i biedny hrabia będzie w końcu skomleć i skowyczeć:

Ach, jak szarpią, ach, jak gryzą
W to, czem najwięcej grzeszyłem! [2])

Nie lękaj się, miły czytelniku, to przecie wszystko żart. Te okropne Eumenidy to nic innego, jak wesoła komedya, którą pod tym tytułem za kilkanaście wiosen napiszę, a tragiczne wiersze, co cię przed chwilą przeraziły, stoją w najzabawniejszej na świecie książce, w Don Kiszocie z la Manchy, gdzie pewna stara, poważna frajlina, recytuje je w obecności całego dworu. Widzę, że się uśmiechasz znowu. Pożegnajmy się, weseli i uśmiechnięci. Jeśli ostatni ten rozdział był nieco za nudny, to tkwiło to w przedmiocie samym, i pisałem go też więcej dla pożytku, niż rozrywki; a jeśli mi się udało uczynić przydatnym dla literatury nowego durnia, — od ojczyzny należeć mi się będzie podzięka. Zrobiłem uprawnem pole, na którem zdolniejsi pisarze będą siać i zbierać. Skromna świadomość tej zasługi — to dla mnie najpiękniejsza nagroda.

A gdyby jacy królowie chcieli mi za to przysłać jeszcze nad program tabakierkę, to zaznaczam, iż księgarnia „Hoffmann i Campe w Hamburgu“ ma polecenie przyjmowania tym podobnych rzeczy w mojem imieniu.

Pisałem w późnej jesieni roku 1829.

[1]) Roderyk, ostatni król wizygotów w Hiszpanii, według podania, zbeszcześcił Floryndę, córkę hr. Juljana z Centy, wskutek czego ten ostatni wezwał maurów. Roderyk znikł po siedmiodniowej walce, ażeby na samotnej górze pokutować za grzechy.

[2]) Don Kiszot V, rozdział 33.

MIASTO LUCCA [1].

Muszę się zawsze śmiać z anglików, co tego drugiego swego poetę, (albowiem po Szekspirze Byronowi należy się palma) sądzą tak opłakanie po mieszczańsku, dla tego, że wyszydzał ich pedanteryę, nie chciał się stosować do ich Kiernoziowskich obyczajów, dzielić ich zimnej wiary, że ich trzeźwość była mu wstrętną i że skarżył się na ich arogancyę i obłudę. Wielu czyni znak krzyża na samą wzmiankę o nim, i nawet kobiety, choć im lica przy czytaniu jego poezyj płoną entuzyazmem,— publicznie napadają z całej siły na tajemnego swego oblubieńca.

„Listy nieboszczyka, fragmenty dziennika z Anglii," Monachium 1830. [2])

ROZDZIAŁ I.

Otaczająca natura działa na człowieka — dla czegóż on nie działa na naturę, co go otacza? We Włoszech jest ona namiętna, jak naród, który tam żyje; u nas w Niem-

[1]) W przedmowie do „Przypisków", stanowiących pierwotnie czwarty tom „Obrazów z podróży", Heine pisze: „Miasta Lucca," które łączy się bezpośrednio z „Kąpielami Lucca" i jednocześnie z niemi było pisane, nie podaję tu bynajmniej, jako oddzielny obraz, lecz jako zakończenie danego okresu życia, zlewające się zarazem z zakończeniem danego okresu świata.

[2]) Jestto dzieło księcia H. v. Pückler-Muskau.

czech jest bardziej poważna, rozważna i cierpliwa. Czy natura, tak jak człowiek, miała kiedyś życia wewnętrznego więcej? Siła uczucia takiego Orfeusza była, powiadają, w stanie wprawiać drzewa i kamienie w ruch, według natchnionych rytmów. Czy mogłoby teraz zdarzyć się coś podobnego? Ludzie i natura stali się flegmatycznymi i tylko wzajem do siebie ziewają. Królewsko-pruski poeta nie zdoła nigdy dźwiękami swej liry wprawić w tan Templowskiej góry ani berlińskich Lip.

I natura ma swoją historyę, ale nie jestto owa historya naturalna, której uczą w szkołach. Należałoby którąkolwiek z owych szarych jaszczurek, co od lat tysięcy żyją w szczelinach skał apenińskich, mianować całkiem nadzwyczajną profesorką na jednym z naszych uniwersytetów, a usłyszanoby całkiem nadzwyczajne rzeczy. Ale duma niektórych panów z wydziału prawnego powstałaby przeciw podobnej nominacyi. Toć już teraz budzi w tym i owym ukrytą zazdrość Fido Savant i wznieca obawę, że będzie ich mógł kiedyś zastąpić w uczonem aportowaniu.

Jaszczurki, ze swemi mądrymi ogonkami i przebiegłemi ślepkami, opowiedziały mi przedziwne rzeczy, kiedym samotny gramolił się po skałach Apeninów. Doprawdy, są rzeczy między niebem a ziemią, których nietylko filozofowie nasi, ale i najzwyklejsi durnie nie pojmują....

....Nie wiele kamieni posiada czucie i tylko przy blasku księżyca oddychają one. Ale te nieliczne głazy, co czują swój stan, są okropnie nieszczęśliwe. Drzewom jest już o wiele lepiej, bo mogą płakać. Ale najlepiej uposażone są zwierzęta, bo umieją mówić, każde wedle swego rodzaju, a ludzie najlepiej. Z czasem, gdy już cały świat będzie zbawiony, wszystkie inne twory również będą umiały mówić tak, jak w owych prastarych czasach, o których śpiewają poeci...

Jaszczurki—to plemie ironiczne i lubią tumanić inne zwierzęta. Ale względem mnie były tak pokorne, tak poczciwie wzdychały; opowiedziały mi historyę o Atlantydzie,

którą wkrótce opiszę ku pożytkowi i zbudowaniu świata. Było mi tak rzewnie na sercu z temi małemi stworzonkami, co przechowują, rzekłbyś, tajemnicze roczniki natury! Byłyżby to zaczarowane rodziny kapłanów, podobne do owych staroegipskich, co to również, podpatrując naturę, mieszkały w labiryntycznych grotach skalnych? Na ich łepkach, ciałkach i ogonkach kwitną takie cudowne symbole, jak na czapkach egipskich hieroglifów i surdutach hierofantów.

Moi mali przyjaciele nauczyli mię też mowy symbolicznej, za pomocą której gwarzyć mogę z niemą naturą. To przynosi ulgę mojej duszy, osobliwie pod wieczór, kiedy góry stoją spowite w przejmująco-słodkie cienie, kiedy szumią wodospady, a wszystkie rośliny rozlewają woń i chyże błyskawice migocą to w tę to w ową stronę.

O naturo, ty bezmowna dziewico! Rozumiem ja dobrze twoje błyski, to daremne usiłowanie przemówienia, co drga po pięknem twem obliczu, a i ty tak głęboko litujesz się nade mną, że aż płaczę. Ale wnet potem i ty mię zgadujesz i rozpogadzasz się i śmiejesz do mnie złotemi oczyma swemi. Piękna dziewico, ja rozumiem twoje gwiazdy, a ty rozumiesz moje łzy!

ROZDZIAŁ II.

Nic na świecie nie chcę się cofać, mówił do mnie pewien stary jaszczur, wszystko dąży naprzód i w końcu nastąpi wielki awans w naturze. Kamienie staną się roślinami, rośliny staną się zwierzętami, zwierzęta staną się ludźmi, a ludzie staną się bogami.

Ale, zawołałem, co się stanie z tymi poczciwymi ludziskami: z biednymi starymi bogami?

Już się tam coś znajdzie, kochany przyjacielu, odparł; prawdopodobnie będą abdykować, albo też w jakiś zaszczytny sposób przeniesieni zostaną w stan spoczynku.

Dowiedziałem się od swego hieroglyfoskórego naturfilozofa jeszcze paru innych tajemnic; ale dałem słowo honoru, że nie zdradzę nic. Wiem teraz więcej, niż Schelling i Hegel.

Co pan sądzisz o tych dwóch? — pytał mię stary jaszczur z szyderczym uśmiechem, gdym raz błysnął mu temi nazwiskami.

Jeśli zważyć, odrzekłem, że są to tylko ludzie, a nie jaszczurki, to wypadnie zdumiewać się wiedzą tych ludzi. W gruncie rzeczy uczą oni jednej i tej samej nauki, owej dobrze panu znanej filozofii identyczności, a różnią się jedynie sposobem przedstawienia jej. Gdy Hegel stawia zasady swej filozofii, to zdaje ci się, że widzisz owe piękne figury, które zręczny bakałarz układać umie przez kunsztowne zestawienie wszelkiego rodzaju cyfr w ten sposób, że zwyczajny widz dostrzega jedynie stronę zewnętrzną, jedynie domek jakiś, albo okręcik, albo absolutnego żołnierzyka, uformowanego z owych liczb,—gdy tymczasem inteligentny uczeń potrafi rozpoznać w figurze raczej rozwiązanie jakiegoś głębokiego zadania matematycznego. Wykład Schellinga przypomina więcej owe indyjskie wizerunki zwierząt, ułożone z najrozmaitszych innych zwierząt, wężów, ptaków, słoniów i tym podobnych żywych ingredyencyj, za pomocą cudacznych poplątań. Ten sposób przedstawienia jest daleko powabniejszy, weselszy, bardziej pulsujący i cieplejszy—wszystko żyje w nim; gdy natomiast oderwane cyfry Hegla wytrzeszczają się na nas takie szare, chłodne i takie martwe.

Dobrze, dobrze, — odparł stary jaszczur, miarkuję już, co pan myślisz; ale powiedz mi pan, czy wielu słuchaczów mają ci filozofowie?

Odmalowałem mu więc, jak w uczonym karawanseraju berlińskim gromadzą się wielbłądy dokoła studni heglowskiej mądrości, jak klękają przed nią, pozwalają się

objuczać szacownymi miechami i ciągną z nimi dalej po przez piaski marchijskiej pustyni. Opisałem mu następnie, jak nowożytni ateńczycy tłoczą się u zdroju, tryskającego Schellingowskim napojem ducha, jak gdyby to było najlepsze piwo, istny Breihahn [1]) życia, trunek nieśmiertelności.

Małego naturfilozofa ogarnęła żółta zazdrość, gdy usłyszał, że jego koledzy cieszą się tak wielkim popytem i zapytał cierpko: którego z obydwu uważasz pan za największego? Tego nie mogę rozstrzygnąć — brzmiała moja odpowiedź, — podobnie, jak trudno mi roztrzygnąć, czy Schechner [2]) jest większa niż Sonntag, i myślę...

Myślę! — zawołał jaszczur ostrym, wyniosłym tonem najgłębszego lekceważenia—myśleć! Któż z was myśli? Mój mądry panie, trzy tysiące lat już prowadzę badania nad duchowemi funkcyami zwierząt; szczególnie ludzi, małpy i żmije uczyniłem przedmiotem swego dociekania—tyle mozołu poświęciłem tym szczególnym stworzeniom, ile Lyonnet [3]) swoim wierzbowcom, i w rezultacie wszystkich mych spostrzeżeń, experymentów i porównań anatomicznych—mogę pana najwyraźniej zapewnić. Niema człowieka myślącego; kiedy niekiedy tylko strzeli coś ludziom do głowy i takie całkiem niepoczytalne rojenia nazywają myślami, a szeregowanie ich nazywają myśleniem. Ale możesz pan w mojem imieniu powtórzyć: Żaden człowiek nie myśli, żaden filozof nie myśli, ani Schelling ani Hegel nie myśli, a co się tyczy tej ich filozofii, to jest to sama woda i powietrze, tak, jak obłoki na niebie. Widziałem już niezliczoną moc takich obłoków, jak dumne i pewne siebie przeciągały nade mną, a jednak pierwsze słońce poranne roztapiało je

[1]) Breihahn, właściwie Broihahn, rodzaj piwa, nazwanego tak od nazwiska wynalazcy.

[2]) Nanette Schechner (1806—1860)—sławna śpiewaczka.

[3]) P. Lyonnet (1707—1789)—wybitny przyrodnik.

w ich pierwotną nicość; jedna jest tylko prawdziwa filozofia, a ta wypisana jest wiecznymi hieroglifami na własnym moim ogonie.

Z temi słowy, wypowiedzianemi pogardliwym patosem, stary jaszczur odwrócił się do mnie tyłem, a gdy oddalał się powoli, wymachując ogonkiem, dostrzegłem na nim najprzedziwniejsze znaki, ciągnące się w swej pstrej tajemniczości przez całą długość ogona.

ROZDZIAŁ III.

Na drodze między kąpielami Lucca, a miastem tegoż nazwiska, niedaleko od wielkiego kasztana, którego dzikozielone gałęzie ocieniają potok, i w obecności starego, białego kozła, co się tam pasł pustelniczo — toczyła się rozmowa, którą podałem w poprzednim rozdziale. Szedłem do miasta Lucca szukać Franceski i Matyldy, które, stosownie do naszego porozumienia, miałem tam już przed ośmioma dniami zastać. Daremnie jednak jeździłem w oznaczonym czasie, teraz więc po raz drugi puszczałem się w drogę. Szedłem pieszo, wzdłuż pięknych gór i grup drzew, na których złote pomarańcze, niby gwiazdy dnia, promieniały z pośród ciemnej zieleni, a girlandy winogron ciągnęły się w odświętnych zwojach na całe mile. Cała kraina jest tam taka jakaś ogrodowa i upiększona, jak u nas sceny sielskie, które przedstawiają w teatrach; nawet sami krajowcy podobni są do owych pstrych postaci, które nas wówczas bawią, jako śpiewająca, śmiejąca się i tańcząca scenerya. Nigdzie twarzy filisterskich. A jeśli nawet są tutaj filistry, to są to bądź co bądź włoskie, pomarańczowe filistry, a nie rozlazłe, kartoflane filistry niemieckie. Malowniczy i idealni, jak kraj, są i ludzie, a przytem każdy z nich ma w swej twarzy tyle indywidualnego wyrazu i potrafi osobistość swoją—czy to postawą, czy sfałdowaniem płaszcza, czy w razie potrzeby pochwyceniem

noża—wrazić należycie w pamięć. Tymczasem u nas, w kraju — sami ludzie o powszednich, podobnych do siebie fizyognomiach; gdy się ich zbierze dwunastu, tworzą wówczas tuzin, a gdy ich wtedy napadnie jeden — wołają policyi.

Co mię uderzyło, to, że w Luccańskiem, jak i w większej części Toskanii, kobiety noszą wielkie, czarne kapelusze filcowe z czarnemi, falisto spadającemi piórami strusiemi. Nawet trudniące się wyplataniem ze słomy noszą takież same ciężkie nakrycie głowy. Natomiast mężczyźni noszą po największej części lekkie kapelusze słomiane, a młodzi chłopcy dostają je w podarunku od dziewcząt, które je sporządzają własnoręcznie, wplatając w nie swe miłosne myśli, a może i niejedno westchnienie. Tak samo siedziała niegdyś Franceska śród dziewoj i kwiatów doliny Arna i wyplatała kapelusz dla swego caro Cecco, i całowała każde źdźbło słomy, użyte do tego, i zawodziła trelami śliczne swoje Occhie, stelle mortale; głowa, co potem tak ślicznie śliczny kapelusz nosiła, zna teraz—zamiast kędziorów — tonsurę, a sam kapelusz, stary i zużyty, wisi w kącie jakiej posępnej izdebki księżej w Bolonii.

Należę do ludzi, co lubią zawsze wybierać drogę krótszą od tej, jaką stanowi główny trakt i którym potem zdarzy się snadno, że błądzą po wąskich ścieżynach leśnych i skalnych. Tak się i tym razem stało, i na swoją drogę do Lukki użyłem z pewnością dwa razy więcej czasu, niż zwyczajni gościńcowcy. Wróbel, któregom pytał o drogę, ćwierkał i ćwierkał i mimo to nie umiał mi dać należytej wskazówki. A może zresztą i sam nic nie wiedział? Z motyli i ważek, co siedziały na wielkich kielichach dzwonków, nie mogłem wydusić ani słówka — pofrunęły hen, nie dosłyszawszy nawet moich pytań, a kwiaty kiwały swemi bezdźwięcznie - dzwonkowatemi główkami. Niekiedy budziły mię dzikie mirty, chichoczące z oddali cieniutkiemi swemi głosikami. Szybko wdrapałem się wtedy na najwyższe cyple skał i zawołałem: Wy, obłoki niebieskie! Żeglarze powietrzni! Powiedzcie mi, kędy prowadzi droga do Franceski? Czy jest ona w Lucca? Powiedzcie mi, co porabia? Co tańczy? Powiedzcie mi wszystko, a gdy mi już wszystko powiecie, powiedzcie mi raz jeszcze!

Przy takiej nadpełni bezrozumu, łatwo się zdarzyć mogło, że poważny jaki orzeł, którego wołanie moje wyrwało z jego samotnych marzeń, spojrzał na mnie z lekceważącą niechęcią. Alem mu to wybaczał chętnie; bo nie widział nigdy Franceski i dlatego mógł siedzieć wciąż tak wyniośle na swej twardej opoce i taki wolny duchem przeszywać wzrokiem niebo, albo tak impertynencko-spokojnie wytrzeszczać na mnie ślepie. Taki oto orzeł ma nieznośnie dumne wejrzenie, i patrzy na człowieka, jak gdyby chciał powiedzieć: Cóżeś ty za ptak? Czy wiesz o tem, żem ja zawsze jeszcze królem, tak samo, jak w owych czasach bohaterskich, kiedym nosił gromy Jowisza i sztandary Napoleońskie zdobił? A możeś ty uczona papuga, co się nauczyła na pamięć starych pieśni, ażeby je nam potem pedantycznie wypaplać? A może cuchnąca turkawka, co pięknie czuje i pięknie grucha? Albo może słowik almanachowy? Albo gąsior zdechlak, którego przodkowie zbawili Kapitol? Albo może służalczy kogut domowy, któremu dla ironii zawieszono na szyi emblemat śmiałego lotu, mianowicie moją miniaturę, i który przez to puszy się tak potężnie, jak gdyby sam był teraz orłem? Ty wiesz, miły czytelniku, jak mało mam powodu czuć się obrażonym, że orzeł w ten sposób myślał o mnie. Sądzę, iż spojrzenie, które mu rzuciłem, było jeszcze dumniejsze, niż jego własne, a jeśli zapytał się pierwszego lepszego lauru, to wie teraz, kim jestem.

Zabłąkałem się był rzeczywiście w górach, gdy zaczął zmrok zapadać, a różno-głose pieśni kniei głuchły stopniowo i drzewa szeleściły coraz poważniej. Jakaś wzniosła tajemniczość i rzewne namaszczenie, niby tchnienie Boże, przenikały promienną blaskiem ciszę. Tu i owdzie wyjrzało ku mnie z nad ziemi piękne ciemne oko, i w tem

samem mgnieniu oka znikło. Czułe szepty grały mi koło serca, a niewidzialne pucałunki muskały powietrznie moje lica. Zorza wieczorna otulała góry jakby purpurową szatą, a ostatnie promienie słońca tak oświecały ich szczyty, że wyglądały, jak królowie ze złotemi na głowach koronami. Lecz jam stał, jak cesarz świata, pośród tych ukoronowanych wasali, a oni milcząc składali mi hołd.

ROZDZIAŁ IV.

Nie wiem, czy mnich, któregom spotkał niedaleko Lukki jest człowiekiem pobożnym. Ale wiem, że stare jego kości, nędzne i nagie, tkwią w grubym habicie całemi latami, podarte sandały nie ochraniają dostatecznie jego obnażonych nóg, gdy przez ciernie i chrósty wdziera się na skały, ażeby tam po górskich siołach pocieszać chorych, albo uczyć dziatwę pacierza, i kontent jest, gdy mu kto wetknie w sakwy kęs chleba i da garść słomy pod głowę.

„Przeciw temu człowiekowi nie będę pisał"—rzekłem do siebie samego. Gdy znowu siedzieć będę u siebie w Niemczech, w swoim fotelu, przy trzaskającym piecyku i rozkosznej filiżance herbaty, w cieple i w sytości, i pisać będę uwagi swoje nad klechami, o tym człowieku nic złego nie powiem.

Ażeby módz pisać o klechach, trzeba znać i twarze ich. Ale twarze oryginalne widuje się tylko we Włoszech. Niemieccy księża katoliccy i mnisi to tylko kiepskie naśladownictwa, a często nawet i parodye włoskich. Porównanie jednych z drugimi wypadłoby tak samo, jak gdyby kto chciał porównać rzymskie albo florenckie obrazy świętych z owemi pobożnemi szarańczo-strasznemi gębami, co to zawdzięczają smutne swe istnienie filisterskiemu pędzlowi jakiegoś malarza miejskiego z Norymbergi albo lubej prostocie adepta sentymentu z długowłosej chrześciańsko-nowoniemieckiej szkoły.

Klechy we Włoszech dawno już ułożyli się z opinią publiczną; naród tameczny z dawna już przywykł odróżniać godność duchowną od niegodnej osobistości i czcić tamtą, choćby nawet ta była godną pogardy.

Ów właśnie kontrast, jaki tworzyć muszą idealne obowiązki i wymagania stanu duchownego z nieodzownemi potrzebami zmysłowej natury, ów prastary, odwieczny konflikt między duchem i materyą—czyni klechów włoskich stereotypami ludowego humoru w satyrach, piosnkach i nowelach. Zjawiska podobne napotykamy wszędzie, gdzie istnieje podobny stan kapłański, np. w Indostanie. W komedyach tego arcypobożnego kraju, jak już na to zwraca uwagę Sakontala i co potwierdza świeżo przetłómaczona Vasantena [1]), bramin zawsze odgrywa rolę komiczną, jest czemś w rodzaju księżego grazioso, bez najmniejszej przytem ujmy dla czci, przynależnej jego czynnościom ofiarniczym i uprzywilejowanej świętości, podobnież jak i włoch z niemniejszą pobożnością słucha mszy albo spowiada się przed księdzem, którego jeszcze dzień przedtem znalazł pijanego w błocie ulicznem. W Niemczech jest pod tym względem inaczej; ksiądz katolicki chce tam nietylko godność swą reprezentować przez swój urząd, ale i swój urząd przez swą osobę. I może dla tego, że z początku bierze on naprawdę zawód swój całkiem poważnie, a następnie, gdy jego śluby czystości i pokory wejdą w pewną kolizyę ze starym Adamem, nie chce ich jednakowoż gwałcić publicznie, a osobliwie dlatego, że nie chce odsłonić słabej strony przed naszym przyjacielem Krugiem [2]) z Lipska: stara się zachować przynajmniej po-

[1]) Vasantena jestto bohaterka dramatu indyjskiego „Mrichakati" (wózek dziecięcy), którego autorem jest Suraka. Bohaterem komedyi jest bramin Charudatta. Wspomniany wyżej przekład znajduje się w książce: „Teatr Indusów" (Weimar 1828—1831) O. L. B. Wolffa.

[2]) Fr. W. Krug (1770—1842), znany pisarz filozoficzny, wydał akurat wówczas broszurę pod tytułem „Celibat duchowień-

zór świątobliwego życia. Stąd śród klechów niemieckich tylu świętoszków, obłudników i układnych nabożnisiów, gdy, przeciwnie, u włoskich więcej jest przejrzystości masek, pewna tłustawa ironia, i niczem nie zamącone przeżuwanie świata.

Lecz cóż pomogą tego rodzaju ogólne refleksye! Nie na wiele ci się one przydadzą, czytelniku miły, jeśli przypadkiem masz ochotę snuć swoje uwagi nad klechami katolickimi. Do tego, jakem powiedział, trzeba odnośne twarze widzieć własnemi oczyma. Doprawdy nie wystarcza nawet widzieć je w Królewskiej Operze w Berlinie. Poprzedni intendent jeneralny robił wprawdzie, co do niego należało, ażeby pochód koronacyjny w Dziewicy Orleańskiej odtworzyć jak najbardziej łudząco-wiernie [1]), żeby unaocznić rodakom swym ideę procesyi i pokazać im klechów wszelkiej maści. Ale najdokładniejszy kostium nie zastąpi twarzy oryginalnych, i choćby przełachmaniono jeszcze jakie 100,000 talarów na złote berety dla biskupów, komeżki z festonami, barwnie haftowane ornaty i tym podobną kramarszczyznę, to jednak trzeźwo protestanckie nosy, protestujące z pod owych czapek biskupich, cienkie, myśląco-prawowierne nogi, wyglądające z pod białych koronek tych komeż, oświecone brzuchy, na które owe ornaty są zbyt obszerne—wszystko to przypominałoby każdemu z nas, że to nie duchowni katoliccy bynajmniej, lecz świeccy berlińczycy kroczą po scenie.

Często myślałem nad tem, czy jeneralny intendent nie przedstawiłby owego pochodu daleko lepiej, i czy nie

stwa katolickiego“ (Lipsk 1829), w której starał się przedstawić celibat, „jako urządzenie niesprawiedliwe, niemoralne, niechrześcijańskie i nieobywatelskie“.

[1]) Ówczesny intendent jeneralny dramatu królewskiego w Berlinie, hr. Moryc Brühl (1777—1838), szczególną gorliwość okazywał w rzeczach kostiumów i dekoracyi. Porównaj pierwszy i drugi z Heinego „Listów Berlińskich.“

uprzytomniłby nam daleko wierniej obrazu procesyi, gdyby ról klechów katolickich nie powierzał zwyczajnym statystom, lecz owym duchownym protestanckim, którzy na wydziale teologicznym, w gazecie kościelnej i na ambonie najprawowierniej kazać umieją przeciw rozumowi, używaniu światła, Geseniusowi [1]) i dyabelstwu. Ukazałyby się wówczas twarze, których księże piętno z pewnością bardziej łudząco odpowiadałoby owym rolom..... W całym świecie krawcy odznaczają się wątłością członków, rzeźnicy i żołnierze mają jakiś odcień dzikości, żydzi mają właściwe sobie uczciwe miny, nie dla tego że pochodzą od Abrahama, Izaaka i Jakoba, lecz że są kupcami.....

...Tego rodzaju rzeczy, co prawda, mają też swoje fizyognomiczne działanie, ale niepodobna go z parteru dostrzedz; podobieństwo familijne w twarzach klechów katolickich i protestanckich w głównych swych rysach zostaje mimo to niezmienionem i niech tylko jeneralny intendent dobrze zapłaci wspomnianych panów, a będą jak zawsze grać swe role do złudzenia dobrze. I chód ich przyczyn się do iluzyi; jakkolwiek subtelne, wprawne oko dostrzeże łacno, że od chodu księży i mnichów katolickich różni się on również delikatnymi odcieniami.

Klecha katolicki kroczy z taką miną, jak gdyby niebo do niego należało; przeciwnie klecha protestancki uwija się, jak gdyby niebo wziął w dzierżawę.

ROZDZIAŁ V.

Noc już była, kiedym przybył do miasta Lucca.

Jakże odmiennie mi się ono przedstawiło tydzień przedtem, kiedym za dnia szedł przez huczące echem, puste ulice

[1]) W. Gesenius (1786—1842), krytyk biblii i oryentalista, który dla swego postępowego sposobu myślenia i pism egzegetycznych w latach 1828—1830 był silnie napadany przez partyę prawowierną.

i zdawał się sobie przeniesionym do jednego z owych wyklętych miast, o których niegdyś opowiadała mi mamka. Wonczas całe miasto było ciche: jak grób, wszystko było tak wyblakłe i obumarłe, na dachach blask słoneczny igrał, niby szych złoty na głowie trupa, tu i owdzie z okien zapadającego się ze starości domn zwieszały się łęty bluszczu, niby zaschłe zielone łzy, wszędzie tlejące próchno i lękliwie utykająca śmierć; miasto wydawało się tylko widmem miasta, kamiennym w biały dzień upiorem. Daremnie szukałem wtedy śladu żywej istoty. Przypominam sobie tylko, że przed jakimś starym palazzo leżał śpiący żebrak z wyciągniętą i otwartą dłonią. Przypominam sobie też, że w górnym oknie jakiegoś zczerniałego i zmurszałego domku widziałem mnicha, który czerwoną szyję wraz z tęgą, łysą głową, wysunął na całą jej długość z habitu, a tuż obok niego widać było jakąś obnażoną jejmość, z bujną piersią; na dole w pół-otwarte drzwi domu wchodził — widziałem—jakiś wyrostek, odziany, jak czarny abbate i oburącz niósł wielko-brzuchatą butlę z winem. W tejże chwili ozwał się nieopadal cienki, ironiczny dzwoneczek, a w mojej pamięci zachichotały nowele Boccaccia. Dźwięki te nie mogły jednak bynajmniej spłoszyć doszczętnie dziwnej trwogi, która wstrząsała moją duszę.

Uczepiła się ona mnie tem gwałtowniej może, iż słońce tak ciepło i jasno oświecało nieprzyjemne budynki; a zauważyłem ja przecie, że widma są daleko straszliwsze, gdy zrzucają czarny płaszcz nocy i dają się widzieć w jasnem świetle południa.

Kiedym teraz, po ośmiu dniach, przybył znowu do Lukki, jakżem się zdumiał zmienionym widokiem tego miasta! Co to jest?—zawołałem, gdy świece oślepiły moje oko, a potoki ludzi przelewały się po ulicach. Azaliż cały naród, jako widmo nocne, powstał z grobu, ażeby — szaloną maskaradą małpować życie? Wysokie, posępne domy ubrane są lampami, ze wszystkich okien zwieszają się kolorowe dywany, prawie zakrywając siwe od pleśni mury,

a nad nimi wychylają się urocze twarze dziewcząt, tak świeże, tak kwitnące, że miarkuję snadno, iż to samo uosobione życie uroczyście obchodzi gody swoje ze śmiercią i zaprosiło na nią piękność i młodość. Tak, było to jakieś żywe święto umarłych — nie wiem, jak się ono nazywa w kalendarzu..... widziałem bowiem później świętą czaszkę trupią i w dodatku jeszcze parę kości, ozdobionych kwieciem i drogiemi kamieniami; niosą je przy wtórze muzyki weselnej. . . . . .

...Była to piękna procesya.

Przodem szli kapucyni, którzy od reszty mnichów odróżniali się długiemi brodami i stanowili jakoby saperów tej armii wiary. Dalej szli kapucyni bez bród, a między nimi wiele szlachetnych, męskich twarzy i nawet niejedna piękna twarz młodzieńcza, którą szeroka tonsura doskonale ubierała, głowa bowiem wydawała się przez to oplecioną zgrabnym wieńcem z włosów i razem z obnażonym karkiem bardzo wdzięcznie wychodziła z białego habitu. Za nimi szły habity innych barw—czarne, białe, żółte panaché, także trójkątne, w dół spuszczone kapelusze, słowem wszystkie owe kostiumy klasztorne, z którymi oddawna, dzięki troskliwości naszego jeneralnego intendenta, jesteśmy obeznani. Za zakonami mnichów szli właściwi księża, białe koszule na czarnych spodniach i kolorowe krymki; za nimi postępowali jeszcze znaczniejsi duchowni, owinięci w różnokolorowe opończe, a na głowach — coś w rodzaju wysokich czapek, pochodzących prawdopodobnie z Egiptu; poznać je też można z dzieła Denona, Fletu zaczarowanego i Belzoniego [1]). Były to stare, wysłużone twarze i zda-

[1]) D. V. v. Denon (1747 — 1825) wydał znakomite dzieło o Egipcie—„Voyage dans la Basse — et la Haute-Egypte.“ (2 tomy, Paryż, 1802) z atlasem. G. V. Belzoni (1778—1823) — kierownik pierwszych robót wykopaliskowych w drugim dziesiątku tego stulecia. Opisane są one i ilustrowane heliograwiurami w książce jego: Narrative of the operations and recent discoveries in Egypt and Nubia (London 1821).

wały się oznaczać coś w rodzaju starej gwardyi. W końcu zjawił się i sztab właściwy, baldachim, a pod nim człek jakiś stary z wyższą jeszcze czapką i w bogatszej jeszcze opończy, której różki nieśli paziowską modą dwaj tak samo starzy ichmoście.

Mnisi, przodem idący, mieli ręce skrzyżowane i milczeli pełni powagi, ale ci z wysokiemi czapkami, śpiewali jakiś nieszczęśliwy zgoła śpiew, tak nosowo, tak cmoktająco i charkotająco, że przekonany jestem, iż gdyby żydzi stanowili większość narodu, a ich religia była religią państwową, — owo zawodzenie ochrzczonoby nazwą: „szwargotu.“ Szczęściem, słyszeć można było tylko połowę, gdyż za procesyą postępowało z głośnem bębnieniem gwizdaniem kilka kompanij wojska, bo zresztą wogóle po obu stronach, obok kłębiących się duchownych, maszerowali dwójkami grenadyerzy. Było niemal więcej żołnierzy, niż duchownych.

Gdy widzę podobną procesyę, w której pod dumną eskortą żołnierzy, kroczą duchowni tak smutnie i żałośnie, dotyka mię to boleśnie i zda mi się, że widzę samego naszego Zbawiciela, jak go opasanego pierścieniem żołdackich lanc, prowadzą na miejsce stracenia. Gwiazdy lukkańskie myślały pewnie tak samo, jak ja, i gdym spojrzał ku nim z westchnieniem, popatrzyły na mnie tak potakująco pobożnemi swemi oczyma, tak jasno, tak przezroczo! Ale ich światła nie potrzeba było: tysiące i tysiące lamp i świec i dziewczęcych twarzy migotały we wszystkich oknach, po rogach ulic zatknięto płonące wieńce smolne, a nadto każdy duchowny miał przy sobie swego własnego fagasa do noszenia świecy. Kapucyni mieli po największej części małych chłopców, którzy nieśli im świece, a świeże młodociane twarzyczki spozierały niekiedy, zadowolone i ciekawe, ku starym poważnym brodom; taki oto biedny kapucyn nie jest w stanie opłacać kogoś większego do noszenia świecy, i biedne chłopię, które on uczy zmawiać Zdowaś Marya, albo którego ciotka spowiada się u niego, musi na procesyach urząd ten brać na siebie darmo i spełnia go na pewno z niemniejszem zamiłowaniem. Dalsi mnisi mieli nie o wiele większych bębnów, niektóre znaczniejsze zakony miały już dorosłych urwisów, a wysoko-czapym księżom nieśli już świece prawdziwi obywatele. A zaś w końcu pan Arcybiskup — albowiem on to pewnie ze wspaniałą pokorą szedł pod baldachimem i rożki swojej szaty kazał nieść dwom siwowłosym paziom — ten miał z każdej strony po jednym lokaju. Obadwaj błyszczeli w swych błękitnych liberyach z żółtymi galonami i ceremonialnie, jak gdyby pełnili służbę u dworu, nieśli białe, woskowe świece.

W każdym razie tego rodzaju noszenie świec wydało mi się dobrem urządzeniem; mogłem bowiem dzięki niemu jaśniej jeszcze widzieć oblicza, należące do katolicyzmu [1]). I widziałem je też—i to w najlepszem oświetleniu. I cóż tedy widziałem? Owóż klerykalnej pieczęci nie brakło nigdzie. Ale odliczywszy ją, twarze również różniły się między sobą, jak każde inne twarze. Jedna była blada, inna czerwona, ten oto nos wznosił się dumnie, tamten był spuszczony, tu skrząco-czarne, tam błyszcząco-szare oko, ale na wszystkich tych twarzach leżały ślady tej samej choroby, która jest prawdopodobnie przyczyną, że wnuk mój,

---

[1]) W rękopisie oryginału znajdujemy tu następujacy urywek: Widziałem tedy twarze, należące do katolicyzmu, i to w najlepszem oświetleniu. Com odkrył w nich, opowiedzieć trudno, albowiem każdy mnich i ksiądz, jak każdy człek wogóle, ma inną twarz, a że ludzie są tak mało do siebie podobni, więc zdawałoby mi się nawet, że się postępuje błędnie a więc grzesznie, dzieląc ich według cech zewnętrznych na klasy, i wypowiadając sąd ryczałtowy o tych klasach. Habit nie czyni mnicha — podobnie jak mundur generał-adjutanta nie czyni bohatera. Niech obadwaj zamienią się ubiorami, a niejeden mnich wyglądać będzie, jak bohater, zaś nie jeden generał-adjutant, jak mnich, a w wypadku takim byłyby może lepsze modlitwy i większe bohaterstwa.

jeśli w sto lat później zdarzy mu się widzieć procesyę w Lucca, nie odnajdzie już ani jednej z tych twarzy. Boję się, że sam jestem tą chorobą zarażony i że jej to następstwem owa miękkość, która przedziwnie się do mnie zakrada, gdy patrzę na taką oto schorzałą twarz mnicha i widzę na niej symptomata owych cierpień, co się kryją pod szorstkim habitem: obrażoną miłość, podagrę, zawiedzioną ambicyę, schnięcie mlecza, żal, hemorrhoidy, serdeczne rany, które nam zadała niewdzięczność przyjaciół, oszczerstwo wrogów, a i nasze własne grzechy; wszystko to, i wiele więcej jeszcze, również dobrze potrafi znaleść sobie miejsce pod szorstkim habitem, jak i pod delikatnym modnym frakiem. O! to nie przesada, gdy poeta w swym bólu wykrzykuje: Życie jest chorobą, cały świat — lazaretem!

„A śmierć jest naszym lekarzem.“ Ach, nie chcę o nim mówić nic złego, ani też osłabiać w innych zaufania do niego; bo skoro jest jedynym lekarzem, więc mogą bądź co bądź sądzić, że jest i najlepszym, zaś jedyny środek, stosowany przez niego—jego odwieczna kuracya ziemią—również jest najlepszą. A przynajmniej można go pochwalić, że zawsze znajduje się tuż pod ręką, i mimo wielką swą praktykę, jeśli się go zawezwie, nigdy nie daje na siebie zadługo czekać. Niekiedy też towarzyszy on swym pacyentom aż na procesyę, i nosi im świecę. Była to niechybnie śmierć sama, ktorą widziałem u boku bladego, stroskanego księdza; w chudych, drżących dłoniach kościotrupa niosła mu ona migocącą świecę; kiwała mu przytem dobrodusznie-łagodząco swą lękliwą łysą główką, i jakkolwiek sama słabo na nogach się trzymała, to jednakże podtrzymywała czasami biednego księdza, który z każdym krokiem stawał się bledszym, jakby lada chwilę miał upaść. Ona, rzekłbyś, dodawała mu otuchy: Bądź jeszcze cierpliw parę godzin, a będziemy wnet w domu, ja zgaszę świecę i położę cię do łóżka, a zimne, strudzone nogi będą mogły wypocząć i zaśniesz tak twardo, że nie usłyszysz nawet kwilącego dzwonka Ś-go Michała.

„I przeciw temu człowiekowi pisać nie będę“—pomyślałem, patrząc na biednego, bladego księdza, któremu śmierć wcielona świeciła do łóżka.

Ach!—właściwie na tym świecie nie powinno się pisać przeciw nikomu. Każdy jest sam dostatecznie chory w wielkim tym lazarecie, a niejedna lektura polemiczna przypomina mi mimowolnie wstrętną kłótnię w jednym z mniejszych lazaretów w Krakowie, której byłem przypadkowym świadkiem. Strasznie było słyszeć, jak chorzy wyliczali sobie wzajem szyderczo swoje kalectwa, jak wyschli suchotnicy wydrwiwali napęczniałych puchliną wodną, jak ten śmiał się z raka w nosie tamtego, a tamten znowu z kurczu w szczęce i przewróconych oczów swego sąsiada, aż w końcu zgorączkowani szaleńcy nago powyskakiwali z łóżek i pozrywali innym chorym kołdry i opatrunki z pokaleczonych ciał i nie widać było nic prócz ohydnej niedoli i kalectwa...

ROZDZIAŁ VI.

„Wtedy od prawej strony zacząwszy, innym niebianom
Słodki nalewa nektar z dużego czerpiąc krateru,
Zatem szczęśliwi bogowie zaczęli się śmiać do rozpuku,
Widząc, jak zręcznie Hefajstos po gmachach obracać się [umiał.
W taki to sposób dzień cały, dopóki słonko nie zaszło,
Ucztowali, dla wszystkich starczyła wspólna biesiada,
Ani też cytry nie braklo, do której wziął się Apollon,
Muzy zaś pięknym głosem naprzemian im przyśpiewywały.
Vulgata [1]).

Wtem kwękając zbliżył się blady, krwią ociekający Zbawiciel, z koroną cierniową na głowie i wielkim krzyżem drewnianym na ramionach . . . . . ,

[1]) W wydaniu francuskiem zamiast Vulgata stoi Iliada. Miejsce to znajduje się w Iliadzie I w. 596—604 (w przekładzie Pawła Popiela) (*Przyp. tłom.*)

...Nadszedł tedy smutny czas i świat stał się szarym i ciemnym. Nie było już bogów szczęśliwych, Olimp stał się lazaretem, w ktorym obdzierani ze skóry, pieczeni i nadziewani na rożen bogowie, wlekli się marudnie i przewiązywali swoje rany i śpiewali niewesołe pieśni. Religia nie dawała już roskoszy, a jedynie pociechę. Była to smutna, zbroczona krwią religia delikwentów.

Była ona niezbędną dla powalonej chorobą i rozdeptanej ludzkości. Kto widzi swego Boga cierpiącym, łatwiej znosi własne bóle. Dawniejsi bogowie, weseli, nie czujący żadnych własnych bólów, nie widzieli też, jak jest na sercu biednym, dręczonym ludziom, a biedny, dręczony człowiek w swej nędzy nie mógł też mieć dla nich serca. Byli to bogowie odświętni, dokoła których tańcowało się wesoło i którym można było jedynie dziękować. Dlatego też nie byli nigdy kochani całem sercem. Ażeby być kochanym, ot tak z całego serca—trzeba być cierpiącym. Litość—to ostatnie święcenie miłości, to nawet i sama miłość. . . .

...Uciekając od zgiełku ludzkiego, zaprzepaściłem się w samotnym jakimś kościele, a to, coś czytał przed chwilą, kochany czytelniku, to nie tyle własne moje myśli, ile raczej garść mimowolnych słów, które stały się we mnie głośnemi, gdym, rozciągnięty na jednym ze starych klęczników kościelnych, nadstawiał pierś swą przenikającym tonom organów. Leżę oto z fantazyującą duszą i podkładam pod osobliwą muzykę jeszcze osobliwsze teksty. Od czasu do czasu wzrok mój buja po zmierzchem oblanych ostrołukowych korytarzach i szuka ciemnych dźwiękowych postaci, wyłonionych z organowych melodyj. Któż jest ta zakwefiowana, co klęczy tam przed obrazem Madonny? Ampla, wisząca przed nim, rzuca słodko przejmujące światło na piękną Macierz bolesną ukrzyżowanej miłości, na ową Venus dolorosa, ale kuplersko tajemnicze światła padają chwilami, jakby ukradkiem, na piękne kontury zakwefionej nabożnisi. Ta leży wprawdzie nieruchomo na kamiennych stopniach ołtarza, ale w migotliwem świetle cień jej rusza

się, chwilami podbiega ku mnie, znowu cofa się skwapliwie, niby niemy murzyn w haremie — trwożliwy miłości poseł — a ja zgaduję go. Zwiastuje mi obecność mojej pani, sułtanki mojego serca.

Ale stopniowo zciemnia się w pustyni gmachu—tu i owdzie wzdłuż filarów mignie jakaś mglista postać, to znowu cichy szept wznosi się z bocznej kaplicy, a organy jęczą swemi długimi, przeciągłymi tonami, niby wzdychające serce olbrzyma.

Ale zdało się, jakoby owe tony organów ciągnęły się bez końca, jak gdyby owe dźwięki konania, owa żywa śmierć miały trwać wiecznie; czułem takie niewypowiedziane ściśnienie serca, taką niewysłowioną trwogę, jak gdybym był pogrzebany, choć smierć tylko pozorną była, ach, jak gdybym raczej oddawna zmarły wstał z grobu i przyszedł razem z ponurymi towarzyszami nocy do kościoła upiorów, ażeby wysłuchać modłów umarłych i wyspowiadać się z trupich grzechów. Chwilami zdało mi się, że widzę ich naprawdę, jak siedzą obok mnie w widmowym zmierzchu, całe owo bractwo umarłych, w przebrzmiałych staroflorenckich strojach, z długiemi blademi twarzami; w chudych dłoniach trzymają złotem okładane modlitewniki; szepczą tajemniczo i melancholijnie kiwają do siebie głowami. Kwilący ton konającego w oddali dzwonka przypomniał mi znowu chorego księdza, któregom widział na procesyi, i rzekłem do siebie: Ten także już umarł i przybywa tutaj, ażeby odprawić pierwszą mszę nocną, i teraz zaczyna się dopiero na dobre smutne widzenie. Nagle jednak podniosła się ze stopni ołtarza wdzięczna postać zakwefionej...

Tak, to była ona, sam jej żywy cień spłoszył białe upiory; teraz ją tylko widziałem; szybko wybiegłem za nią z kościoła, a gdy przed wrotami podniosła zasłonę, ujrzałem Franceski załzawione oblicze. Podobne było do tęsknej białej róży, uperlonej rosą nocy i oblanej blaskiem miesiąca. Francesko, kochasz mię? Pytałem długo,—odparła mi krótko. Odprowadziłem ją do hotelu Croce di Malta,

gdzie stała razem z Matyldą. Ulice wyludniły się, domy spały z zamkniętemi, niby oczy, oknami; tu i owdzie jeno z za drewnianych rzęs błyszczało światełko. A w górze na niebie wystąpiła z obłoków szeroka, jasno zielona polana, a po niej pół-księżyc płynął, niby srebrną gondolą, po morzu szmaragdów. Daremniem błagał Franceskę, żeby spojrzała choć raz jeden na naszego powiernika,—cała w marzeniu, główkę miała pochyloną. Jej chód, zwykle tak wesoło powiewny, był teraz jakby kościelnie odmierzony; jej kroki były posępnie katolickie; poruszała się jakby, podług taktu uroczystych organów..... Po drodze przed każdym obrazkiem świętym czyniła znak krzyża na głowie i piersiach,—daremniem starał się jej dopomódz przy tem. Ale gdyśmy przechodzili na rynku koło kościoła świętego Michała, na którym świeciła z ciemnej niszy Matka Bolesna z marmuru, ze złoconymi mieczami w sercu i koroną z lampki na głowie, wtedy Franceska oplotła swem ramieniem moją szyję, i całując mię szeptała: Cecco, Cecco, caro Cecco!

Z całym spokojem przyjąłem te pocałunki na swoje dobro, choć wiedziałem dobrze, że przeznaczone były właściwie dla bolońskiego abbate, sługi kościoła rzymsko-katolickiego. Mimo że protestant, nie robiłem sobie skrupułów z przyczyny tego....., i zaraz z miejsca zsekularyzowałem pobożne całusy Franceski . . . . . .

...Wyznać muszę, niestety, iż rzeczone całusy—to było wszystko, com owej nocy zdobył. Franceska postanowiła obrócić noc tę na cel zbawienia swej duszy modłami i klęczeniem. Próżno błagałem, by mi pozwoliła dzielić z sobą swe pobożne praktyki; gdy się znalazła w swoim pokoju, zamknęła mi drzwi przed nosem. Daremniem stał za niemi jeszcze godzinę całą i prosiłem, by mię wpuściła i wzdychałem wszelkiemi westchnieniami i udawałem pobożne łzy, i składałem najświętsze przysięgi — rozumie się z odpowiedniem zastrzeżeniem w duchu,—czułem, że staję się powoli jezuitą, że staję się zupełnym niegodziwcem . . .

...Francesko! wołałem, gwiazdo moich myśli! Myśli mojej duszy! — vita della mia vita! Moja piękna, obcałowywana, smukła, katolicka Francesko! . . . . . [1])

---

[1]) W rękopisie oryginału łączy się z tem, prawdopodobnie jako nowy rozdział, następujący ustęp:

Nadszedł wreszcie wielki dzień, po którym miał przyjść jeszcze większy wieczór. O ósmej już byłem na nogach i pospieszyłem do ogrodu Boboli, gdzie każdemu cyprysowi i każdemu posągowi szeptałem: Dzisiaj benefis Franceski, dziś będzie tańczyć! Ale ciemne drzewiny stały nieruchome, a białe posągi marmurowe nie zrobiły żadnej miny. Potem dla zabicia czasu obszedłem wszystkie kościoły. Pierś moja była tak pełna, że nawet tum wydał mi się za ciasnym. W San Lorenzo nie mogłem się wstrzymać od głośnego śmiechu z rozrzutnego przepychu Medyceuszów — O wy biedacy! cóż pomogą wam wszystkie te bogate grobowce! Nie możecie widzieć, jak tańczy Franceska! W Santa Croce przechadzałem się długo i z nudów czytałem napisy na grobowcach — szukałem imienia Boccaccia, alem go nigdzie nie znalazł. Dla czegóż niema go w Santa Croce? Wszystko jedno! Samo to pytanie oddaje mu więcej czci, niż najświetniejszy pomnik. A Aretino jest? Tak, jest, nikt bowiem nie da się pozbawić przyjemności uważania grobu obskurnego, pobożnego księdza, nazwiskiem Aretino, za grób wesołego żartownisia, i tym sposobem mądry traf wzniósł mu pomnik, jakiego odmówiłaby mu wątpliwa mądrość. Michał Angelo, Dante, Galileo — te nazwiska nie są dziś w stanie wzruszyć mię,

Ta rozpacz niepokoju zapędziła mię do galeryi Uffizi. W trybunie, przed posągiem Venus Medycejskiej, siedział w wysokim fotelu mój przyjaciel, Marchese di Gumpelino, cały zatopiony w refleksyach artystycznych, które od czasu do czasu szeptem komunikował stojącemu za nims ludze.

Ponieważ żaden z nich nie spostrzegł mię, więc usłyszałam następującą rozmowę:

Hirsch, zobaczno te nogi!

Panie Gumpel, co ja mam robić z nogami?

To wszystko dla twojej edukacyi! Zobaczno nogi! Boże! Boże! te nogi...

Ja znajduję, że są bardzo brudne...

Ręce są nowe i głowa jest prawdopodobnie nowa i niektórzy mówią: całkiem za mała. Ależ Boże! Boże! te nogi! O, tam wysoko wisi Venus Tycyana, to możesz widzieć, że malarstwo nie może tego dokonać, co sztuka rzeźbiarska. Ale mięso! Boże, Boże! co za mięso! Tycyan z przydomkiem Vercelli, urodził się w Wenecyi w roku 1477, a umarł w roku 1576.

I to wszystko ja mam zachować w pamięci, panie Gumpel? Co ja mam robić! Na moje stare lata mam jeszcze uczyć się na pamięć nóg Wenery? . . . . . .

ROZDZIAŁ VII.

Gdy następnego dnia słońce znowu serdecznie uśmiechało się z nieba, zgasły zupełnie smutne myśli i uczucia, jakie zbudziła we mnie procesya poprzedniego wieczoru

---

Ja mówię, w razie potrzeby, bo póki jestem w Hamburgu, to tego nie potrzebuję — ale, kto może wiedzieć, mogę się znaleść w innem miejscu...

Ażeby uniknąć rozmowy o sztuce, wysunąłem się po cichutku, nie zwróciwszy uwagi ani pana, ani służącego, i chwytałem się innych sposobów zabicia czasu, do których należał obiad jako też wizyta u signory Laury, dokąd zaciągnął mię gwałtem jej własny kochanek, przyjaciel mój Wiliam, z którym spotkałem się nad Arno. Ale wszelkie roztaczania wdzięków, ba, nawet drobne jej rubaszności, nie mogły odwrócić myśli mojej od Franceski, i jak tylko wybiła szósta, ucałowałem Williama i jego ukochaną i uciekłem.

Nie gniewaj się na mnie, Wiliamie, żem cię tak bezlitośnie opuścił. Obok Franceski i Matyldy jesteś mi najmilszem wspomnieniem z Włoch. Jak często, jak rozkosznie często śmieliśmy się z wzajemnych swych wiarołomstw! Jakże szczęśliw byłem, gdym mógł ucałować piękne twe czoło i najprzyjaźniej w świecie ozdobić je malutkimi rożkami! Czy pamiętasz jeszcze jakeś na Ponte Vecchio, akurat w tem samem miejscu, gdzie niegdyś zakłuty został wielki Buondelmonte, zauważył ze zdziwieniem, że mam na sobie twoje buty? Ale całkiem zadowolił cię mój wykręt: że stały przy sofie Laury, gdzie po ciemku włożyłem je zamiast swoich. Jeszcze teraz noszę skórzane spolia opima.

Dosyć o tem, mam teraz opowiedzieć, jak mię niecierpliwość gnała do mieszkania Franceski. Oto pachnę znowuż wonią pomady signory Letycyi, słyszę znowu tony gitary i wzdychający śpiew profesora:

Ach, znowu pierś ta rozkoszy swe wrota otwiera,
Amenaido! jedyna ty moja tęsknoto!
Łez mych gorących
I moich pragnień ty celu jedyny!

Signora Letycya stała przed małem lustrem i robiła wielką toaletę, a biednemu Bartolo kazała dziś zamiast spluwaczki trzymać przed sobą puszkę ze szminką i od czasu do czasu wyrzucała parę szalonych recitativ, którym profesor wtórował gitarową burzą.

Zaś na sofie leżała piękna Franceska, jeszcze cała w czarnym jedwabnym negliżu i uśmiechnięta, jak dziecię w dzień swych narodzin. . . . . .

. . . . . .

i które sprawiły, że życie wydało mi się chorobą, a świat— lazaretem [1]).

Całe miasto roiło się od wesołego tłumu. Był to pstry i wyświątecznionу ludek, w którym fyrknęło tu i owdzie czarne kleszątko.

Huczało to i śmiało się i gadało, nie słychać prawie było dudnienia dzwonów, które zapraszały do katedry na wielką mszę. Jest to ładny, prosty kościół [2]), którego fasadę z różnokolorowego marmuru ozdobiono owemi krótkiemi, jedna na drugiej budowanemi kolumienkami, co tak filuterno-smutnie na nas spogląda-ją. Wewnątrz filary i ściany ubrane były czerwonem suknem, a pogodna muzyka rozlewała się na falującą ciżbę ludzi. Szedłem pod rękę z signorą Franceską, a gdym przy wejściu podał jej święconą wodę i dusze nasze zostały roskosznie zelektryzowane wilgotnem dotknięciem palców, odebrałem jednocześnie i ja elektryczne porażenie w nogę, ażem ze strachu omal nie przewrócił koziołka przez klęczące wieśniaczki, co, ubrane całkiem biało i obwieszone długimi kolczykami i łańcuszkami z żółtego złota na szyjach, zbitą masą zaścielały podłogę. Obejrzawszy się, ujrzałem klęczącą również kobietę, która się wachlowała, a za wachlarzem dostrzegłem chichoczące

---

[1]) W rękopisie oryginału łączy się z tem jeszcze następujące zdanie:

Tylko w ciemnościach katolicyzm może nas pokonać; jasny dzień rozwiewa wrażenie jego posępnych cieniów.

[2]) W przeddzień swego wyjazdu do Paryża, Heine podarował pisarzowi Augustowi Lewald, z którym wówczas przebywał bardzo często w Hamburgu, wizerunek owego kościoła w Lucca, a pod nim umieścił następujący wiersz:

Widzisz kościołek na tym obrazku,
Gdzie w świętej grozie osoby trzy:
Lady Matylda z signorą Franceską
I doktór Heine słuchali mszy.

oczy mylady. Pochyliłem się do niej, a ona tchnęła mi roztęskniona w ucho: Delightful!

Na miłość Boską! szepnąłem jej, bądź pani poważną, nie śmiej się pani, bo naprawdę mogą nas wyrzucić!

Ale nie pomagały prośby i błagania. Szczęściem mowy naszej nie rozumiano. Bo gdy mylady podniosła się i szła za nami po przez tłum do głównego ołtarza,— poddała się szalonemu swemu humorowi bez najmniejszegu skrupułu, jak gdybyśmy stali na Apeninach. Drwinkowała sobie ze wszystkiego, nawet biedne malowidła na ścianach nie były bezpieczne od jej strzał.

Spojrzcie-no! wołała i lady Ewa jest tutaj, z domu Żebro, jak ona rozprawia z wężem! To dobry pomysł ze strony malarza, że dał wężowi ludzką głowę z ludzką twarzą; ale byłoby jeszcze stokroć dowcipniej, gdyby tę twarz uwodziciela przyozdobił wojskowymi wąsikami...

Jakoż, starym freskom, co się nam ukazały między czerwonemi na ścianach draperyami, udało się wiejącą z nich powagą odstraszyć do pewnego stopnia brytańskie kpinkarstwo. Były na nich twarze z owych bohatersk.ch czasów Lukki, o których tak wiele mówi się w historycznych księgach Machiavela, tego Salustyusza romantyzmu, i których duch wieje ku nam tak płomiennie z pieśni Danta, tego katolickiego Homera. Toż z owych min przemawiają surowe uczucia i barbarzyńskie myśli średniowiecza, jakkolwiek tu i owdzie, dokoła niemych ust młodzieńczych, błąka się uśmiechem wyznanie, że nie wszystkie róże były wówczas tak całkiem kamienne i owinięte krepą i jakkolwiek z poza spuszczonych pobożnie rzęs nie jednej owoczesnej Madonny błyska przebiegle miłosne mrugnienie. W każdym razie podniosły jest ów nastrój, co do nas przemawia z owych malowideł starofloreneckich, jest to owa właściwa heroiczność, którą rozp znajemy u starożytnych w marmurowych posągach bogów i która polega nie, jak twierdzą nasi estetycy, na

wiekuistym spokoju bez namiętności, lecz na wiekuistej namiętności bez niepokoju. I niektóre późniejsze obrazy olejne, wiszące w katedrze lukkańskiej, przenika, może jako echo tradycyi, ów staroflorencki duch. Uderzyły mię szczególnie Gody w Kanie jakiegoś ucznia Andrzeja del Sarto, malowane trochę twardo i szorstko skomponowane. Zbawiciel siedzi między narzeczoną i faryzeuszem, którego kamienna, dekalogowa twarz dziwuje się genialnemu prorokowi, co miesza się wesoło z tłumami wesołych, i uracza towarzystwo cudami, jeszcze większymi, niż cuda Mojżesza. Bo tamten potrafił wydobyć jedynie wodę, ten zaś—dosyć było, by wyrzekł słówko, a wnet wszystkie czary napełniały się najlepszem winem. Daleko większe, prawie po wenecku kolorowane, jest płótno jakiegoś nieznajomego, wiszące tuż obok; wesołe szkliwo farb w przedziwny sposób tłumi tam, przenikająca nawskroś boleść. Wyobraża ono Maryę, jak wziąwszy maści, szacownego nardu, namaszcza nią stopy Chrystusowe i wyciera je swymi włosami. Chrystus siedzi tam w kole swych uczniów, jako piękny, światły Bóg; który wkrótce tak wiele cierpieć będzie, a któremu namaszczająca cześć jaką się okazuje umarłym, teraz się już należy i zostaje oddaną; uśmiecha się, rozrzewniony, ku klęczącej niewieście, co wiedziona w miłości swej trwożnem przeczuciem, spełnia ów czyn miłosierny — czyn, który nie będzie zapomniany póty, póki istnieć będą ludzie cierpiący, i który ku pokrzepieniu cierpiącej ludzkości po przez tysiącolecia woń swą rozlewać będzie. Okrom ucznia, co leżał na sercu Chrystusa i zapisał też ów czyn, żaden z apostołów nie zdaje się rozumieć jego znaczenia.

Ależ co za zajadle prawowierne miny pan robisz, drogi doktorze, szepnęła Matylda; obserwowałam pana właśnie, i wybacz pan, jeśli go obrażę przypadkiem, ale wyglądałeś, jak dobry chrześcianin. . . . . .

ROZDZIAŁ VIII.

Arcybiskup, poważny starzec, sam odprawiał mszę i jeśli wyznać całą prawdę, to nie tylko ja, ale poniekąd i mylady przejęta była do głębi serca duchem, jaki wieje ze świętej tej czynności, oraz wielebnością starca, który ją spełniał. Każdy starzec sam przez się jest już kapłanem, a ceremonie katolickiej mszy są przecież tak starodawne, że stanowią bodaj to jedyne, co ocalało z dziecięcego wieku świata i jako przypomnienie pierwszych przodków wszystkich ludzi, mają prawo do naszej czci. Patrz, mylady, rzekłem, każdy ruch, który pani tutaj dostrzegasz, sposób składania dłoni i wyciąganie rąk, to dyganie, to umywanie rąk, to okadzanie się, ten kielich, bah, cały strój tego człowieka, od mitry do kraju stuły, wszystko to pozostałość kapłaństwa, o którego przedziwnej istocie opowiadają nam coś niecoś najstarsze dokumenty — najstarszego kapłaństwa, co zgłębiło pierwszą mądrość, wynalazło pierwszych bogów, ustaliło pierwsze symbole i młodą ludzkość...

Pierwsze otumaniło, dodała mylady gorzkim tonem, i sądzę, doktorze, iż z najranniejszego wieku świata nie zostało nam nic, prócz niewesołych formuł oszustwa. I są one wciąż jeszcze skuteczne. . . . . .

...W istocie, mylady, to co innego.

ROZDZIAŁ IX.

Po mszy było jeszcze wiele różnych rzeczy do widzenia i słyszenia, a zwłaszcza kazanie wielkiego, jak pień krępego mnicha, którego rozkazująco-zuchwała, starorzymska twarz przedziwnie odbijała od grubego, żebraczego habitu, tak, że wyglądał, jak imperator ubóstwa. Prawił o niebie i piekle i chwilami wpadał w najwścieklejszy zapał. Odmalowane przezeń niebo było nieco z barbarzyńska przeładowane. Było tam i wiele złota, srebra, drogich kamieni, szacownych potraw i win z najlepszych lat. A przytem stroił tak błogo mlaskające miny; gdy pomiędzy aniołkami z białemi skrzydełkami, sam mniemał się być aniołkiem z białemi skrzydełkami, wówczas wysuwał się i wsuwał w habit w błogiem zachwyceniu. Mniej zabawnym, nawet bardzo praktycznie poważnym był opis piekła. Tu był on już daleko więcej w swoim żywiole. Piorunował szczególnie na grzeszników, którzy nie wierzą już tak prawdziwie po chrześcijańsku w prastary ogień piekła, i roją sobie nawet, że on w ostatnich czasach ostygł trochę i że wkrótce całkiem wygaśnie. „A gdyby nawet“—wołał—„piekło było na wygaśnięciu, to ja, ja sam własnym oddechem rozżarzyłbym nanowo resztę tlejących głowni, aż buchnęłyby znowu dawnem swem zarzewiem!“ Gdy się słyszało ten głos, który niby wicher północny słowa te wygrzmiewał, gdy się widziało pałające oblicze, czerwoną, bawolą szyję i potężne pięście tego człowieka, wówczas owej piekielnej groźby nie brało się za hyperbolę.

I like this mane, rzekła mylady.

Tym razem masz pani słuszność, odparłem, i mnie podoba się on więcej, niż niejeden z naszych łagodnych, homeopatycznych dusz pasterzy, co wlewają $^{1}/_{10000}$ rozumu do wiadra moralnej wody i w niedziele usypiają nas nią z kazalnicy.

Tak, doktorze, dla jego piekła mam respekt, ale do jego nieba nie mam prawdziwego zaufania. Wogóle bowiem w zapatrywaniach swych, dotyczących nieba, bardzo wcześnie dałam się uwikłać tajemnej wątpliwości. Będąc jeszcze małą w Dublinie, leżałam często na krzyżu w trawie i patrzyłam w niebo i myślałam sobie, czy też niebo rzeczywiście zawiera tyle cudownych rzeczy, jak opiewają. Jednakże, pomyślałam, czem się to dzieje, że z tych śliczności nie spadnie coś kiedy na ziemię, ot naprzykład jaki kolczyk brylantowy, albo sznur pereł, albo choćby

kawałek ciasta ananasowego, i że wciąż jeno częstują nas z góry gradem, albo śniegiem, albo wreszcie zwyczajnym deszczem? To nie jest całkiem w porządku, myślałam sobie.

Po co to mówisz, mylady? Dlaczegoż nie zamilczeć raczej o tem wątpieniu? Niedowiarkowie, nie wierzący w niebo, nie powinni stwarzać prozelitów. Mniej naganne a nawet chwalebne jest nawracanie ze strony tych ludzi, co mają wspaniałe niebo i co jego cudownych rzeczy nie chcą zagarniać samolubnie dla siebie i dla tego to zapraszają swoich bliźnich, ażeby przyłączyli się do nich, i póty nie zaznają spokoju, aż tamci przyjmą uprzejmie ich zaproszenie.

Jedna rzecz dziwiła mię zawsze, doktorze. Widzimy tylu możnych tego gatunku, jak w charakterze prezesów, wice-prezesów, albo sekretarzów towarzystw misyjnych zaprzątnięci są gorliwie przysposabianiem do nieba jakiego starego spleśniałego żyda żebraka oraz zaskarbianiem przyszłego jego w niebie towarzystwa, a jednak żaden z nich nie pomyśli o tem, ażeby teraz już, na ziemi, przypuścić go do udziału w swych rozkoszach i zaprosić go np. w lecie do swojej willi. Nie brak tam z pewnością smakołyków, które nieborakowi równie smakowałyby, jak gdyby je zajadał w samem niebie.

To łatwe do wytłomaczenia, mylady, roskosze niebieskie nie kosztują ich nic, no, i jest to przecie podwójna przyjemność, gdy można bliźnich swych tak tanim kosztem uszczęśliwić. Ale do jakichże to rozkoszy może zaprosić niedowiarek?

Do żadnych, doktorze, jedynie tylko do długiego, spokojnego snu, a ten bywa niekiedy dla nieszczęśliwego bardzo pożądanym, osobliwie gdy go za wiele dręczono przedtem natrętnemi zaproszeniami do nieba.

Piękna kobieta wyrzekła to z kłującо-gorzkim akcentem, a ja nie bez powagi odparłem: Kochana Matyldo, w moich postępkach na tym świecie nie dbam nawet

o to, czy istnieje niebo i piekło; jestem za wielki i dumny ażeby miała mną kierować żądza niebiańskich nagród albo obawa piekielnych kar. Dążę do dobrego, bo jest piękne i ciągnie mię ku sobie nieprzeparcie a nienawidzę złego, że szpetne i wstrętne dla mnie. Byłem jeszcze małym chłopcem, kiedym czytał Plutarcha, a czytuję go i dziś jeszcze co wieczór w łóżku, i omal nie skoczę czasem na równe nogi, ażeby czemprędzej wziąć ekstrapocztę i stać się wielkim człowiekiem — a już wówczas podobało mi się opowiadanie o kobiecie, co szła przez ulice Aleksandryi, w jednej ręce mając miech skórzany, wodą napełniony, a w drugiej płonącą żagiew i wołała ludziom, że chce wodą zalać ogień piekła, a żagwią podpalić niebo, ażeby nie z obawy przed karą wstrzymywano się od złego, i nie z żądzy nagrody spełniano to, co dobre [1]). Wszystkie nasze postępki tryskać powinny ze źródła bezinteresownej miłości, niezależnie od tego, czy istnieje byt pośmiertny, czy nie.

Więc pan i w nieśmiertelność nie wierzysz?

O, mylady jesteś przebiegłą! Ja miałbym o niej wątpić? Ja, którego serce coraz głębiej i głębiej puszcza korzenie w najdalsze tysiącolecia przeszłości i przyszłości, ja, co jestem sam jednym z najwieczniejszych ludzi, którego każde tchnienie—wiekuistem życiem, każda myśl — gwiazdą przedwieczną, ja miałbym nie wierzyć w nieśmiertelność?

---

[1]) Opowiadanie owo znajduje się nie w Plutarchu, lecz w słynnej średniowiecznej książce historycznej J. de Joinville'a (1223—1318), zatytułowanej Histoire de St. Louis. Joinville, który monarsze swemu towarzyszył w jego wyprawach krzyżowych do Egiptu, opowiada tę historyę na wiarę mnicha kaznodziei Iwona. Iwon, posłany do sułtana Damaszku w charakterze parlamentarza, tam właśnie dowiedział się o podanej wyżej agitacyi pewnej saracenki.

Ja sądzę, doktorze, że potrzeba do tego porządnej porcyi próżności i zarozumiałych uroszczeń, ażeby zakosztowawszy na tym padole tylu dobrych i pięknych rzeczy, żądać jeszcze od miłego Boga nieśmiertelności.

Człowiek, arystokrata zwierząt, wmawiający sobie, że jest czemś lepszem, niż wszystkie jego współtwory pragnąłby i ów przywilej wieczności wyrobić sobie u tronu króla świata dworacko-chwalczymi i sławiącymi hymnami i czołobitnem błaganiem. O, ja wiem, co znaczą te drgania ust, nieśmiertelny panie!

ROZDZIAŁ X.

Signora prosiła, ażebyśmy poszli z nią do klasztoru, w którym przechowuje się krzyż cudotwórczy, największa w całej Toskanii osobliwość. I dobrze się stało, żeśmy wyszli z katedry, albowiem szaleństwa mylady byłyby nas w końcu wplątały w awanturę. Tryskała cała humorem i dowcipem; były to same milutkie, trzpiotowskie pomysły, zuchwałe, jak młode kocięta, igrające w majowem słonku. Przy wyjściu z katedry umoczyła palec wskazujący po trzykroć w święconej wodzie i pokropiła się tyleż razy, mrucząc: Dem, Cephardeyim, Kinnim [1]), co ma wedle jej zapewnienia oznaczać formułę arabską, za pomocą której czarownice przemieniają ludzi w osłów.

Przed Katedrą, na piazza, mustrował się oddział wojska w mundurach prawie całkiem austryackich, podług

[1]) Jest to maleńka mistyfikacya, z rodzaju tych, co się dosyć często napotykać dają u Heinego. Odnośna formułka, która właściwie brzmi: Dam Cephardea Kinnim (krew, żaby, komary), nie jest arabską, lecz hebrajską, i wzięta została z opowiadania o plagach egipskich w Hagadzie, odczytywanej w wieczór wielkanocny, który Heine opisał w swoim Rabbi von Bacharach. Przy wyliczaniu pojedyńczych plag starym zwyczajem za każdym razem maczano wskazujący palec w kielichu wina i krople wina rzucano na ziemię.

niemieckiej komendy. A przynajmniej doszły moich uszów wyrazy niemieckie: Präsentiert's Gewehr! Fuss Gewehr! Schultert's Gewehr! Rechtsum! Halt! [1]).

Sądzę, że u wszystkich włochów, jak i u niektórych innych narodów europejskich komenderuje się po niemiecku. Mamyż się my, niemcy, — pysznić tem? Czyż mamy w świecie tak dużo do rozkazywania, że język niemiecki stał się aż językiem rozkazów? Albo może nam tyle rozkazują, że posłuszeństwo najsnadniej pojmuje mowę niemiecką? [2]).

Mylady nie zdaje się być zwolenniczką parad i rewij. Z ironiczną bojaźnią odciągnęła nas stamtąd. Nie lubię, mówiła, znajdować się zbyt blisko takich oto ludzi z szablami i strzelbami, zwłaszcza, gdy, jak się to zdarza na mustrach nadzwyczajnych, maszerują szeregami w większej liczbie. A nuż którykolwiek z pośród owych tysięcy dostanie nagle bzika i na miejscu zakłuje mię bronią, którą ma już w ręku? Albo też nagle zmądrzeje i pomyśli: „Cóż masz do ryzykowania? do stracenia? Nawet jeśli cię pozbawią życia? Choćby nawet, ów drugi świat, który nam obiecują po śmierci, nie był tak bardzo idealnym, jak o nim trąbią, choćby nawet nie wiem jak był zły, — to jednakże mniej, niż ci teraz dają, mniej, niż 6 grajcarów dziennie, nie mogą ci tam dawać, — a więc

[1]) Prezentuj broń! Do nogi broń! Na ramię broń! Na prawo! Stój! (*Przyp. tłom.*)

[2]) W rękop. orygin. przypada tu jeszcze urywek: Nie wiem, ale zdaje mi się, że gdy samowola spotyka się z niewolą, wówczas słyszy się niemiecką mowę i widzi niemiecką cierpliwość. Ta właśnie cierpliwość musi być przyczyną, że z pomocą żołnierzy niemieckich najwięcej można dokazać. Włosi są z pewnością również silni i mężni, jak austryacy, ale zawsze dadzą się im ujarzmić. Albowiem nie męstwo, lecz cierpliwość rządzi swiatem.

zrób sobie żarcik i zakłuj tę małą angielkę z impertynenckim nosem!“ Czyż nie będę wówczas w największem niebezpieczeństwie? Gdybym była królem, podzieliłabym moich żołnierzy na dwie klasy. Jednym kazałabym wierzyć w nieśmiertelność, ażeby byli mężni w bitwie i nie bali się śmierci, i używałabym ich tylko podczas wojny. Zaś drugich przeznaczyłabym do parad i rewij; ażeby jednak nie wpadło im do głowy, że nie mają nic do ryzykowania, w razie, gdyby z psoty zgładzili kogoś, pod karą śmierci zabroniłabym im wierzyć w nieśmiertelność. Ba! dodałabym im nawet trochę masła do ich razowca, ażeby jak najwięcej zasmakowali w życiu. Pierwszym natomiast, owym nieśmiertelnym bohaterom, uczyniłabym życie dobrze cierpkiem, ażeby nauczyli się gardzić niem, jak się należy i ażeby paszczę działa uważali za wejście do lepszego świata.

Mylady, rzekłem, kiepskim byłabyś pani regentem. Nie wiele pani wiesz o rządzeniu, a z polityki nie rozumiesz nic zgoła. Gdybyś pani była czytała „Roczniki polityczne!“...

Ach, ja rozumiem ją może lepiej, niż pan, drogi doktorze. Bardzo wcześnie zaczęłam się z nią zaznajamiać i kiedym była jeszcze małą w Dublinie...

I leżałam na krzyżu, w trawie — i dumałam nad tem, albo nie— jak w Ramsgate...

Spojrzenie, podobne do lekkiego wyrzutu niewdzięczności, wypadło z oczów mylady, wnet jednak wrócił jej uśmiech, i ciągnęła rzecz swą dalej: kiedym była jeszcze małą w Dublinie i umiałam już siedzieć na rożku stołeczka, na którym opierały się nogi mojej matki, zadawałam zawsze mnóstwo pytań: co robią krawcy, szewcy, piekarze, słowem wszyscy na świecie ludzie. A matka objaśniała mię: krawcy robią ubranie, szewcy robią obuwie, piekarze pieką chleb. Gdym zaś z kolei zapytała: A co robią książęta? Matka odpowiedziała: Rządzą. Wiesz co, kochana mateczko, rzekłam wówczas, — gdybym

ja była księciem, to na jeden cały dzień przestałabym rządzić, li dla tego, ażeby widzieć, jak wtedy wygląda na świecie. Drogie dziecię, odparła matka, tak też czynią niektórzy książęta i wtedy stosownie do tego wygląda świat.

Doprawdy, mylady, twoja matka miała racyę. Zwłaszcza tu we Włoszech, bywają tacy królowie i łatwo to zauważyć w Piemoncie i Neapolu.

Ależ, doktorze kochany, takiemu oto włoskiemu księciu nie można brać za złe, że tam tego lub owego dnia nie rządzi, z powodu nadmiernego upału. Zachodzi jeno obawa, ażeby carbonari nie skorzystali czasem z podobnego dnia. W ostatnich bowiem czasach uderzało mię szczególnie, że rewolucye wybuchały zawsze w takie dni, kiedy nie było rządów. Gdyby karbonarowie pomylili się kiedy, sądząc, że w danym dniu nie ma rządów, a tymczasem, wbrew wszelkim oczekiwaniom, rządy trwałyby, wówczas potraciliby swoje głowy. Dla tego też karbonarowie nie mogą być nigdy dosyć przezornymi i muszą rozważnie wypatrywać porę.

Z drugiej strony najwyższą polityką książąt powinno być zupełne trzymanie w sekrecie dni, w które nie rządzą; w takie dni powinni raz jeden przynajmniej zasiąść na swojej stolicy i temperować pióro, albo zapieczętować parę kopert albo liniować białe arkusze, a to wszystko dla pozoru, ażeby naród, co ciekawie zagląda w okna pałacu, myślał na pewno, że rządy idą zwykłym trybem. [1])

---

[1]) W rękopisie oryginału przypada tu jeszcze następujący urywek: Gdy się zdarzy, że przez lenistwo, albo w skutek innych jakich zajęć, jak łowy, metresy, kongresy, bale, parady, i t. p. książęta długi czas nie rządzą, a potem nagle z obawy przed demagogami, znowu wkładają czemprędzej mundur książęcy i chwytają za kańczug państwowy, wówczas z najszybszą szyb-

Podczas gdy tego rodzaju uwagi wybiegały z subtelnych usteczek mylady, dokoła pełnych ust Franceski błąkał się uśmiech zadowolenia. Mówiła niewiele. Atoli chód jej nie był już teraz tak wzdychającej abnegacyi pełen, jak poprzedniego wieczoru; stąpała raczej zwycięsko—każdy krok brzmiał, jak głos trąby; raczej jednak zwycięstwo duchowne, niż świeckie wyzierało z jej ruchów;

---

kością chcieliby wszelkie zaległości wyrównać i mało że nie wyjezą w natężeniu swem ze skóry, i w dodatku biorą sobie jeszcze do pomocy kilku wprawnych katów i tym podobnych ekspedytorów, i tak puszczają cugle swoim żądzom, że człeka ciarki przechodzą. Tak właśnie zrobił król Sardyński i tych demagogów, którym głów nie ścięto, zesłał na galery. Widziałem ich kilku w porcie genueńskim i w duchu chwaliłem Boga, mego Stwórcę i miłościwszy jeszcze rząd pruski.

Ach, muszę przyznać w duchu, że nasi niemieccy prowodyrowie daleko prędzej zasługują na galery, niż włoscy, a to dla swej głupoty i pedanteryi. Włosi wiedzieli, czego chcą, i chcieli czegoś wykonalnego i sprawiedliwego. Chcieli urzeczywistnić owe idee, króre najmędrsi ludzie tej ziemi uznali za słuszne i za które najlepsi przelali swą krew. Żądali równości praw dla wszystkich ludzi na ziemi, nie chcieli króla, szlachty, króla klechów, lecz tylko króla ludu.

W czasie, kiedy wszystkie prawie narodowości przestają istnieć, kiedy niema już w Europie narodów, a tylko partye, i gdzie wielka ta prawda nigdzie nie została głębiej odczutą, jak w wielostronnych, kosmopolitycznych Niemczech,—w tym kraju, który najpierwej i najgłębiej odczuł humanitarność, powstała właśnie czarna sekta, która wylęgła prze-idyotyczne mrzonki o niemieckości, ludowości i pra-żołędziożerstwie i zapragnęła ziścić je jeszcze bardziej idyotycznymi środkami. Nie byli to ignoranci, bo czytali wszystko. Byli jeno wielostronni w ograniczoności. Nie byli to bynajmniej francuscy, powierzchowni demagogowie. Byli gruntowni, krytyczni, historyczni. Umieli nawet oznaczyć dokładnie stopień czystości krwi, potrzebny do tego, ażeby przy nowym porządku rzeczy zostać uprzątniętym z drogi....

była prawie obrazem tryumfującego kościoła: nad jej głową unosiła się niewidzialna głorya. A oczy, śmiejące się z poza łez, były znowu tak pra-dziecięce! W pstrej fali tłumu, przepływającej obok nas,—nic, nawet najmniejsza część stroju nie uszła badawczego jej wzroku. Ecco! wykrzykiwała wówczas, co za szal! Marchese powinien mi kupić takiego właśnie kaszmiru na turban, gdy będę miała tańczyć Rokselanę. Ach! obiecał mi także krzyż z dyamentami.

Biedny Gumpelino! na turban dasz się łatwo namówić, ale krzyż przyprawi cię jeszcze nie o jedną kwaśną godzinę. Lecz signora będzie cię póty dręczyć i na torturach trzymać, aż się w końcu i na to zgodzisz.

ROZDZIAŁ XI.

Kościół, gdzie można oglądać cudowny krzyż lukkański, należy do klasztoru, którego nazwiska w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć.

Kiedyśmy wchodzili do kościoła, przed wielkim ołtarzem leżał na klęczkach jaki tuzin mnichów, modlących się w milczeniu. Chwilami tylko, jak gdyby w chórze, ten lub ów bąknął kilka urywanych słów, które w samotnych kolumnadach ponure dosyć budziły echo. W kościele mrok panował; tylko przez małe, pomalowane okna—różnobarwne światło padało na łyse głowy i brunatne habity. Miedziane, pozbawione blasku lampy skąpo oświetlały zczerniałe freski i ołtarzowe obrazy; od ścian odrzynały się drewniane głowy świętych, jaskrawo pomalowane, i przy niepewnem świetle, niby żywe, szczerzyły zęby... Mylady krzyknęła głośno i wskazała nam tuż przy naszych stopach płytę nadgrobną, a na niej wypukło rzeźbioną, sztywną postać biskupa z mitrą i pastorałem, złożonemi rękoma i odtrąconym czyjąś stopą nosem. Ach, szepnęła mi, ja sama nastąpiłam mu niedelikatnie na

kamienny nos, i teraz gotów mi się dzisiejszej nocy przyśnić i będzie dopiero nos!

Zakrystyan, blady, młody mnich, pokazał nam cudowny krzyż i opowiedział przytem cuda, przezeń sprawione. . . . . .

....Sądzę, że wszystko na świecie jest cudem, a cała jego historya legendą.

Czyżby i mnie udzieliła się wiara w cuda, pod wpływem której Franceska z dzikim zapałem całowała krzyż? Gniewało mię również dzikie kpinkarstwo dowcinej brytanki. Raziło mię ono może tembardziej, że sam nie czułem się całkiem od niego wolnym, a nie widziałem w nim zgoła nic chwalebnego. Trudno zaprzeczyć, że żądza szyderstwa, rozkosz, znajdowana w sprzecznościach rzeczy, ma w sobie coś niegodziwego, podczas gdy powaga spokrewnia się raczej z lepszemi uczuciami — cnota, zmysł wolności, nawet miłość sama są bardzo poważne. A jednak bywają serca, w których żart i powaga, złośliwość i namaszczenie, żar i chłód tak cudacznie się z sobą łączą, że trudno jest wydać o nich sąd. Takie właśnie serce pływało w piersi Matyldy; niekiedy była to mrozem przejmująca wyspa lodowa, z której gładkiego zwierciadła tęsknie wykwitały najgorętsze lasy palm; niekiedy znów entuzyastycznie płomienny wulkan, który za chwilę zasypuje śmiejąca się lawina śniegu. Nie była ona bynajmniej złą; przy całem swem wyuzdaniu, nie była nawet zmysłową; więcej powiem: według mnie chwytała ona tylko komiczną stronę zmysłowości i bawiła się nią, jak widokiem błazeństw maryonetkowych. Było to jakieś humorystyczne łakomstwo, rozkoszna ciekawość: jakie ten lub ów stary wyjadacz będzie robić miny w miłosnych opałach? Jakże odmienną ze wszech miar była Franceska! W jej myślach i uczuciach panowała katolicka jedność. We dnie był to blady omdlewający księżyc, a w nocy rozpalone słońce — księżycu moich dni! Słońce moich nocy! Ach, ja cię już nie ujrzę nigdy!

Masz pan racyę, rzekła mylady, ja wierzę i w cudotwórczość krzyża. Jestem przekonana, że jeśli marchese nie będzie zanadto kutwić z brylantami obiecanego krzyżyka, to z pewnością zdziała u signory świetny, jak brylanty, cud: oto w końcu będzie ona tem tak olśnioną, że zakocha się w jego nosie. Słyszałam także nieraz o cudowności pewnych krzyżów orderowych, które były w stanie człowieka porządnego przemienić w nicponia.

W ten sposób śliczna ta kobieta stroiła sobie żarciki ze wszystkiego; kokietowała biednego zakrystyana; przed biskupem z odtrąconym nosem plotła jeszcze zabawne ekskuzy, przyczem najuprzejmiej zastrzegła się przeciw ewentualnej jego rewizycie, a kiedyśmy doszli do kropielnicy, koniecznie chciała mię znowu przemienić w osła.

Nie wiem, czy był to nastrój rzeczywisty, nawiany samem miejscem, czy też, że chciałem może jak najbardziej szorstko odbić żart, który mię w gruncie rzeczy gniewał, dosyć, że wpadłszy w należyty patos, rzekłem:

Mylady, nie lubię kobiet szydzących z religii [1]). Piękne kobiety bez religii, to kwiaty bez zapachu; podobne są one do owych zimnych, trzeźwych tulipanów, co to z swych chińskich porcelanowych doniczek tak porcelanowo na nas patrzą i gdyby umiały mówić, objaśniłyby nas z pewnością, jak to one powstały w sposób całkiem naturalny z cebulek, jak to wystarcza na tym padole nie mieć złej woni i jak to zresztą, co się tyczy zapachu, rozsądny kwiat może się całkiem obejść bez zapachu.

Już na sam wyraz „tulipan“ mylady zaczęła gwałtownie gestykulować, a kiedym mówił, idyosynkrazya jej do tego kwiatu działała tak silnie, że w rozpaczy zatkała

---

[1]) W rękopisie oryginału przypada tu jeszcze następujące zdanie: Wszystkie religie są święte, bo przy całej rozmaitości form zewnętrznych tchną one jednym i tym samym duchem świętym. To — religia religij.

sobie uszy. Była to na poły komedya, ale na poły też poważna uraza, gdy, obrzuciwszy mię gorzkiem spojrzeniem, z głębi serca i z ostrem szyderstwem spytała: A którą to z obecnych religii, posiadasz pan, kwiecie drogocenny?

Ja, mylady, posiadam je wszystkie, aromat duszy mojej wznosi zię ku niebu i odurza nawet przedwiecznych Bogów!

ROZDZIAŁ XII.

Ponieważ signora nie mogła rozumieć naszej rozmowy, którą prowadziliśmy przeważnie po angielsku, więc wpadła, Bóg wie dla czego, na pomysł, że my się sprzeczamy o to, czyi rodacy mają wyższość. Chwaliła więc anglików tak samo, jak i niemców, chociaż w gruncie serca pierwszych uważała za niemądrych, a drugich za głupich. Bardzo źle trzymała o prusakach, których kraj według jej geografii leży jeszcze dalej za Anglią i Niemcami, szczególnie zaś źle trzymała o królu pruskim, wielkim Federigo, którego nieprzyjaciółka jej, signora Sarafina tańczyła zeszłego roku w benefisowym swoim balecie. Dziwna wogóle rzecz, jak król ten, mianowicie Fryderyk Wielki, żyje jeszcze ciągle w teatrze włoskim i w pamięci włoskiego ludu.

Nie, rzekła mylady, nie słuchając słodkiego szczebiotu signory, nie, tego człowieka niema potrzeby przemieniać w osła; nietylko, że co dziesięć kroków zmienia swój sposób myślenia i ustawicznie przeczy sobie samemu, ale nadto chce jeszcze nawracać, i gotowam nawet myśleć— że jest to zamaskowany jezuita. Muszę teraz dla własnego bezpieczeństwa układać pobożne minki, inaczej bowiem gotów mię wydać swym współobłudnikom, świętobliwym dyletantom inkwizycyi, a ci spalą mię in effigie, ile że policya nie pozwala im jeszcze rzucać w płomienie i samych osób. Ach, czcigodny panie, nie myśl tylko, żem tak mądra, na jaką zakrawam, nie brak mi bynajmniej

religii, nie jestem tulipanem, dalibóg nie jestem tulipanem i na miłość boską, byle tylko nie tulipanem; wolę raczej uwierzyć we wszystko! I teraz już wierzę, w najważniejsze rzeczy z tych, które podaje biblja; wierzę że Abraham spłodził Izaaka, Izaak Jakóba, a Jakób znów Judę, wierzę również, iż ten poznał synową swą, Tamarę na gościńcu. Wierzę też, że Lot z córkami swemi trochę za wiele pił. Wierzę, że połowicy Putyfara został w ręku surdut bogobojnego Józefa. Wierzę, że obadwaj starcy, co przestraszyli kąpiącą się Zuzannę, byli bardzo starzy. A nadto wierzę, że praojciec Jakób wpierw oszukał swego brata a potem swego teścia, że król Dawid dał Uryaszowi dobre miejsce przy armii; że Salomon sprawił sobie tysiąc żon, a potem narzekał, że wszystko znikome. I w dziesięcioro przykazań wierzę, i większość ich nawet wypełniam; nie pożądam nigdy wołu bliźniego mego, ani jego służącej, ani jego krowy, ani jego osła. Nie pracuję w sobotę, jako w dzień siódmy, w którym Pan Bóg odpoczywał; więcej nawet, ponieważ niewiadomo na pewno, który dzień jest tym siódmym dniem spoczynku, więc dla ostrożności nie robię nic przez cały tydzień. Co się zaś tyczy przykazań Chrystusa, to spełniam zawsze najważniejsze, a mianowicie to, że należy kochać nawet swoich wrogów—albowiem, niestety, ci ludzie, których najbardziej w naiwności swej kochałam, byli mi najgorszymi wrogami.

Na miłość Boską, mylady, nie płacz!—wołałem, gdy akcent najboleśniejszej goryczy wypełznął znowu z wesołego przekomarzania się, niby padalec z pośród klombu kwiatów. Znałem ja przecie ten ton, przy którym kryształowe, mimo swe koncepta, serce przedziwne tej kobiety drżało wprawdzie zawsze silnie, ale nigdy zbyt długo, i wiedziałem, że jak łatwo się zjawia, tak również łatwo daje się spłoszyć pierwszej lepszej uciesznej uwadze, którą ktoś przy niej zrobił, albo która jej samej przemknęła przez myśl. Podczas gdy ona, oparta o wrota klasztorne-

go dziedzińca, tuliła pałający policzek do zimnych głazów, a długimi swymi włosami ocierała ślady łez w oczach, ja starałem się rozbudzić na nowo jej dobry humor, mistyfikując jej własną, żartobliwą modą, biedną Franceskę. Udzieliłem jej najważniejszych wiadomości o wojnie Siedmioletniej, którą się tak bardzo interesowała i którą wciąż jeszcze miała za nieskończoną. Opowiedziałem wiele ciekawych rzeczy o wielkim Federigo z Sanssouci, dowcipnym bożku w cholewach, co wynalazł monarchię pruską, a w młodości swej grał bardzo ładnie na flecie i pisał wiersze francuskie. Franceska pytała mię, kto zwycięży, prusacy czy niemcy? Albowiem, jak się rzekło wyżej, uważała pierwszych za całkiem odrębny naród, i jest to we Włoszech rzecz zwykła, że pod nazwą niemców, rozumieją austryaków. Signora zdziwiła się nie pomału, gdym jej powiedział, że sam dłuższy czas mieszkałem w Capitale della Prussia, mianowicie w Berlinie, mieście, które w geografii leży całkiem u góry, niedaleko bieguna lodowatego. Wzdrygnęła się, gdym jej odmalował niebezpieczeństwa, na jakie jest się niekiedy narażonym, gdy zajdzie komuś drogę niedźwiedź północny. Trzeba bowiem wiedzieć, droga Francesko, objaśniałem, że na Szpicbergu moc niedźwiedzi leży załogą i te przychodzą od czasu do czasu na jeden dzień do Berlina, ażeby, ot, przez patryotyzm pewnie, zobaczyć „Niedźwiedzia i Baszę“ [1]) albo też zjeść sobie raz porządnie u Beyermana w Café royal i wypić szampana, co bardzo często kosztuje ich więcej, niż z sobą przynoszą. W tym ostatnim wypadku jednego z niedźwiedzi trzymają tam na uwięzi póty, aż wrócą jego kamraci i zapłacą, i stąd to powstało wyrażenie „przywiązać niedźwiedzia“. Wiele niedźwiedzi mieszka w samem mieście, bah, mówią nawet, że Berlin pochodzenie swoje zawdzięcza niedźwiedziom; właściwie nazywa się „Bärlin“. Niedźwiedzie miejskie są zresztą bardzo obłaskawione, a niektóre z nich tak nawet wykształcone, że piszą najpiękniejsze tragedye i komponują najśliczniejszą muzykę. Wilki napotkać tam można również często; że zaś z powodu zimna noszą one warszawskie kożuchy baranie, więc nie tak łatwo ich rozpoznać. Gęsi edredonowe latają tam dokoła i śpiewają arye brawurowe a renifery pędzą na wsze strony, jako znawcy sztuki. Poza tem żyją berlińczycy bardzo umiarkowanie i pracowicie, a większość siedzi po sam pępek w śniegu i pisze dogmatyki, książki budujące i historye święte dla panien z klas wykształconych, katechizmy, kazania na wszystkte dni roku, psalmy elohaiczne [2])—i są przytem nader moralni, albowiem siedzą po pępek w śniegu.....

[1]) „Der Bär und der Bassa“—wodewil w jednym akcie Scribego, przerobiony z francuskiego przez Karola Bluma, Berlin (1820).

ROZDZIAŁ XIII.

Jeśli signora mię nie zrozumiała, tedy ty, czytelniku miły, pewno zrozumiesz mię lepiej. I mylady zrozumiała mię, a to zrozumienie przywróciło jej dobry humor. Kiedym jednak — nie wiem, czy z miną poważną—chciał obstawać przy zdaniu, że dla ludu pewna określona religia jest niezbędną, nie mogła się znowu powstrzymać, ażeby mi nie zaprzeczyć we właściwy sobie sposób.

Naród musi mieć religię! wołała. Słyszałam już tysiące głupich i krocie faryzejskich ust, głoszących żarliwie to zdanie . . . . . .

A jednak to prawda mylady. Podobnie, jak matka nie na wszystkie pytania swego dziecka odpowiedzieć może, gdyż nie pozwala na to stopień jego pojętności, tak

[2]) Eloha — wyraz hebrajski, oznaczający Boga a także króla w modlitwach i psalmach (*Przyp. tłóm.*)

samo istnieć musi jakaś religia pozytywna, jakiś kościół, któryby na wszystkie nadzmysłowe pytania narodu mógł, zgodnie z jego pojętnością, odpowiadać całkiem poglądowo i kategorycznie.

Niestety! doktorze, to właśnie porównanie pańskie przywodzi mi na pamięć pewną historyę, która ostatecznie nie bardzo za pańskiem zdaniem przemawia. Kiedym była jeszcze małą w Dublinie...

I leżałam na krzyżu...

Ależ doktorze, z tobą nie można przecie słowa rozsądnego przemówić. Nie uśmiechaj-że się pan tak bezwstydnie i słuchaj! Kiedym była jeszcze małą, w Dublinie, i siedziałam u nóg matki, spytałam ją pewnego razu, co się robi ze staremi tarczami księżyców? Kochane dziecię, rzekła matka, stare księżyce Pan Bóg tłuczkiem od cukru rozbija na kawałki i robi z nich małe gwiazdeczki. Tego, oczywiście mylnego objaśnienia, nie można matce mojej brać za złe, gdyż przy najlepszych nawet wiadomościach astronomicznych, nie byłaby jednak w stanie wyjaśnić mi całego systemu słońca, księżyca i gwiazd, a na pytania nadzmysłowe dawała odpowiedzi zmysłowo określone. Byłoby atoli lepiej, gdyby objaśnienie odłożyła do wieku dojrzalszego, a przynajmniej nie wymyślała kłamstwa. Gdym bowiem zeszła się z małą Łucyą, a na niebie była pełnia, i ja tłómaczyłam jej, jak to zrobią z niej małe gwiazdeczki, — wyśmiała mię, mówiąc. że jej babka, stara O'Meara, opowiadała jej, jako księżyce są potem zjadane w piekle, jako melony ogniste, a że tam niema cukru, więc posypują je pieprzem i solą. Jeśli przedtem Lucie śmiała się z mojego zdania, nieco ewangelicznie naiwnego, to teraz ja śmiałam się jeszcze więcej z jej ponuro-katolickiego poglądu; od wyśmiewania przyszło do poważnej kłótni: zaczęłyśmy sobie dawać klapsy, podrapałyśmy się do krwi, oplułyśmy się polemicznie, aż wreszcie przyszedł ze szkoły mały O'Doxnell i rozdzielił nas. Chłopiec ten wyniósł ztamtąd lepsze wiadomości o niebie, znał się na matematyce i spokojnie przełożył nam błędność obu naszych zdań i niedorzeczność naszego sporu. I cóż się stało? My, dziewczęta, stłumiłyśmy wnet swoją kłótnię o poglądy i dałyśmy sobie ręce, ażeby małego, spokojnego matematykusa porządnie wykułakować.

Mylady, zły jestem, gdyż masz słuszność. Ale tego zmienić niepodobna. Ludzie po wszystkie czasy będą się kłócić o wyższość tych pojęć religijnych, które im wszczepiono za młodu, a rozumny będzie zawsze cierpiał podwójnie. Niegdyś było, co prawda, inaczej; nikomu wtedy nie przychodziło do głowy zachwalać szczególnie nauki i święta swojej religii, albo co gorsza narzucać je komuś. Religia była miłą sercu tradycyą, świętą historyą, zbiorem świąt pamiątkowych i mysteryów, przekazanym przez przodków; były to niby rodzinne sacra narodu, a grekowi wydałoby się chyba zgrozą, gdyby jakiś obcy, nie z jego plemienia, żądał religijnej z nim wspólności. A jeszcze bardziej uważałby za nieludzkie, ażeby podstępem i przymusem doprowadzić kogoś do tego, iżby religię, przyrodzoną rzucał dla jakiejś obcej. Ale oto przyszedł naród z Egiptu, ojczyzny krokodylów i kapłaństwa, i oprócz chorób skórnych i kradzionych naczyń ze złota i srebra przyniósł . . . . . .

.....Goddamn! Ten pra-naród nieszczęścia!

O Matyldo, jest on już od dawna przeklęty i wlecze swe męki potępieńcze po przez tysiącolecia. O, ten Egipt! Jego fabrykaty urągają czasowi, jego piramidy stoją wciąż jeszcze niewzruszone, jego mumie są również niezniszczalne, jak dawniej, i również niezniszczalną jest mumia narodu, co snuje się po ziemi, owinięta w swe starodawne zwoje, liter pełne, jakiś stwardniały odłam wszechdziejów, upiór, dla rozrywki handlujący wekslami i staremi spodniami. Czy widzisz, mylady, tego tam starego, z oczami widma i białą brodą, której koniuszczek znowu zdaje się czernieć.

Alboż to nie są ruiny starych mogił rzymskich?

Tak, właśnie tam siedzi ów starzec i w tej chwili odprawia może, swe modły, Matyldo, ponure modły, w których opłakuje swoje cierpienia i oskarża ludy, co dawno już znikły z powierzchni ziemi i żyją jeszcze tylko w baśniach piastunek — ale on w boleści swej prawie nie dostrzega, że siedzi na grobach tych właśnie wrogów, których zagładę u Boga sobie wymodlił.

ROZDZIAŁ XIV.

W rozdziałach poprzednich mówiłem o religiach pozytywnych, o tyle tylko, o ile, jako kościoły, pod nazwą religij państwowych, obdarzone są jsszcze przez państwo szczególnymi przywilejami. Istnieje wszakże pewien rodzaj świętobliwej dyalektyki, kochany czytelniku, który ci dowiedzie najzwięźlej w świecie, że przeciwnik kościelności podobnej religii państwowej jest zarazem wrogiem religii i państwa, wrogiem Boga i króla, albo też, jak opiewa zwykła formuła, wrogiem tronu i ołtarza. Ja jednak mówię ci, że to fałsz, ja czczę wewnętrzną wartość każdej religii i schylam głowę przed interesami państwa. A jeśli nawet nie hołduję tak bardzo antropomorfizmowi, to jednak wierzę we wspaniałość Boga, a jeśli nawet książęta są tak bezrozumni, że sprzeciwiają się duchowi narodu, albo też tak nieszlachetni, że obrażają jego organa postponowaniem i prześladowaniem, to jednak zostaję z najgłębszego swego przekonania stronnikiem księcia, zasady monarchicznej. Nie tron jest mi nienawistny, lecz jedynie owo nawietrzne a dobrze urodzone robactwo, co się zagnieżdża w szparach starego tronu, a którego charakter tak dokładnie odmalował nam Montesquieu w następujących słowach: „Ambicya w związku z próżniactwem, pospolitość w związku z wyniosłością, żądza zbogacenia się bez pracy, wstręt do prawdomówności, czołganie się, zdrada, niewierność, wiarołomstwo, pogarda dla obowiązków obywatela, obawa cnoty książęcej, i łaknienie książęcego występku.“ Nie ołtarz jest mi nienawistny, lecz nienawistne mi są gadziny, co czają się pod próchnem starych ołtarzy, owe zdradziecke węże, co to umieją śmiać się z niewinnością kwiatów, a jednocześnie wtryskują potajemnie jad swój w kielich życia, wsykują oszczerstwo w ucho pobożnego, owe układne czerwie z miękkiemi słowy:

Mel in ore verba lactis
Fel in corde, fraus in factis [1]) . . . . . .

Natomiast przekonany jestem, że dożyjemy czasu, kiedy książęta nie zechcą już być maryonetkami w rękach swych błękitnych poniewierców, kiedy złamią etykiety, wyskoczą ze swych marmurowych bud, i ze wstrętem zrzucą z siebie błyszczące szmaty, co miały imponować narodowi, czerwony płaszcz, co po katowsku grozę budził, dyamentową obręcz, którą im wkładano na uszy, ażeby je zamknąć na głos narodu, złotą laskę, którą im dano do rąk, jako rzekomą oznakę władzy. A wówczas oswobodzeni książęta będą wolni, jak reszta ludzi i swobodnie będą się między nimi przechadzać, i swobodnie czuć, i swobodnie żenić się, i swobodnie zdania swe wygłaszać, i to będzie emancypacyą książąt [2]).

ROZDZIAŁ XV.

I cóż poczną arystokraci, gdy zostaną ogołoceni z swych ukoronowanych środków do życia, gdy książęta

[1]) Dawny wiersz, wyśmiewający jezuitów:
W ustach miód ma, mlecznie gada,
W sercu kot, a w czynach zdrada. (*Przyp. tłóm.*)

[2]) Trzech rozdziałow następnych w wydaniu francuskiem niema zupełnie. Rozdział XVI Heine wcielił następnie w francuskie wydanie „Szkoły romantycznej“.

staną się własnością narodu i prowadzić będą uczciwe rządy z woli narodu, tego jedynego źródła władzy?..... Owóż arystokracyi i klerowi nie pozostanie wtedy nic innego, jak zawrzeć z sobą przymierze i przeciw owemu nowemu porządkowi rzeczy knuć i intrygować.

Próżne usiłowania! Płomienny olbrzym — Czas — kroczy spokojnie dalej, głuchy na dochodzące z dołu szczekania zajadłych kleszcząt i paniąt. Ach! Jak skomlą one za każdym razem, gdy oparzą sobie pyski o nogę owego olbrzyma, albo gdy stąpnie im nieumyślnie na łby, że aż obskurny jad wytryska! Ich zajadłość zwraca się wówczas tem chytrzej przeciw pojedynczym dzieciom czasu, i, bezsilni wobec masy, usiłują na jednostkach ostudzić tchórzliwe swoje duszki.

Ach! musimy przyznać, że nie jedno nieszczęsne dziecię czasu nie mniej boleśnie czuje mimo to ukłucia, jakie zadawać potrafią w ciemności klechy i pankowie. Cóż, że glorya zajaśnieje nad ranami zwycięzcy, skoro nie mniej przez to ociekają krwią, nie mniej przez to cierpią! Dziwne jest owo męczeństwo, które przechodzą w naszych czasach tego rodzaju zwycięzcy; tu się nie kończy na odważnem wyznaniu swojej wiary, jak w wiekach dawniejszych, kiedy to męczennicy znajdowali chybkie rusztowanie albo gromki, wiwatujący stos. Istota męczeństwa .....straciła wiele z wewnętrznej swej błogości wiary; stała się raczej zrezygnowaną wytrwałością, uporczywym stoicyzmem, dożywotniem konaniem. I oto zdarza się najświętszym nawet męczennikom, że w szarych, zimnych godzinach skrada się do nich zwątpienie. Nie ma nic okropniejszego nad owe godziny, kiedy to Marcus Brutus począł wątpić o istnieniu cnoty, za którą oddał wszystko! A niestety! to był rzymianin, żył wówczas, gdy kwitnęła Stoa; my zaś jesteśmy z nowszego i miększego materyału a przytem widzimy, jak dojrzewa filozofia, co wszelkiemu zapałowi przyznaje jeno znaczenie względne i w ten sposób unicestwia go samego w sobie, albo co najmniej wyobojętnia w świadomą sobie donkiszoteryę?

Ach! C! chłodni i mądrzy filozofowie! z jakim litościwym uśmiechem patrzą oni na owe samomęczeństwa i szaleństwa biednego jakiegoś Don Kiszota, i przy całej swej szkolarskiej mądrości nie dostrzegają, że owa donkiszoterya jest jednakże tem, co w życiu najgodniejsze uwielbienia, bah, że to życie samo, i że ta donkiszoterya cały świat ze wszystkiem, co na nim filozofuje, muzykuje, orze i ziewa—do śmielszego lotu oskrzydla. Albowiem masy razem z filozofami nie są niczem innem, jak tylko jednym kolosalnym choć bezwiednym Sancho Pansą, który, mimo swój trzeźwy strach przed batem i chłopski rozsądek, towarzyszy jednak szalonemu rycerzowi we wszystkich jego niebezpiecznych przygodach, zwabiony obietnicą nagrody. Wierzy on w nią, bo jej pożąda, ale bardziej jeszcze party mistyczną władzą, jaką entuzyazm wywiera zawsze na tłumy, jak to widzimy we wszystkich politycznych i religijnych przewrotach, a może uawet i codziennie w najdrobniejszych wypadkach.

Tak np. ty, czytelniku miły, jesteś mimowolnie Sancho Pansą waryata—poety, któremu towarzyszysz przez manowce tej książki, potrząsając wprawdzie głową, ale zawżdy towarzyszysz.

ROZDZIAŁ XVI.

Dziwna rzecz! „Życie i czyny pomysłowego hidalga Don Kiszota z La Manchy, opisane przez Miguela de Cervantes Saavedra“—były pierwszą książką, jaką czytałem, kiedym doszedł już do lat rozsądniejszych i znał się cokolwiek na pismie. Pomnę jeszcze dokładnie ową młodocianą dobę, kiedy to pewnego wczesnego ranka, wymknąłem się z domu i pobiegłem do ogrodu dworskiego, ażeby tam spokojnie czytać Don Kiszota. Był piękny dzień majowy; w cichem świetle poranka leżała kwitnąca wiosna, zasłuchana w pochwały słowika, lubego swego pochlebcy, a ten

śpiewał jej pieśń zachwytu tak pieszczotliwie-miękko, tak omdlewająco-entuzyastycznie, że najwstydliwsze pąkowia rozchyliły się, a miłością dyszące trawy i wonne słońca promienie całowały się jeszcze namiętniej, a drzewa i kwiaty drżały z czystego npojenia. Ja zaś usiadłem na starej, omszałej ławie kamiennej w tak zwanej alei westchnień w pobliżu wodospadu i radowałem maleńkie swe serduszko wielkiemi przygodami śmiałego rycerza. W dziecięcej swej uczciwości brałem tam wszystko za rzetelną prawdę; jakkolwiek śmiesznie igrał z biednym bohaterem los, ja myślałem, że tak być musi, że to należy do bohaterstwa: zarówno owo urągowisko świata, jak i rany ciała i tamto bolało mię tak samo dotkliwie, jak te odczuwałem duszą moją. Byłem dzieckiem i nie znałem ironii, którą Bóg tchnął w świat i którą naśladował wielki poeta w drobnym swym drukowanym światku—i byłem w stanie gorzkie łzy wylewać, gdy szlachetnemu rycerzowi za całą jego szlachetność płacono niewdzięcznością i cięgami. A że, niewprawny jeszcze w czytanie, każde słowo wymawiałem głośno, więc mogły się przysłuchiwać ptaszęta i drzewa, strumień i kwiaty, a że tego rodzaju niewinne stworzenia, tak samo jak dzieci, nic o ironii świata nie wiedzą, więc również brały wszystko za szczerą prawdę i wraz ze mną opłakiwały cierpienia biednego rycerza; nawet stary, wysłużony dąb szlochał, a wodospad potrząsał silniej swą białą brodą i zdawał się kląć podłość świata... Czuliśmy, iż bohaterstwo rycerza nie staje się wcale mniej podziwu godnem przez to, że lew nie mając ochoty do walki, odwraca się doń tyłem, czyny zaś jego tem godniejsze są uwielbienia, im słabszem i bardziej wyschłem ciało jego, im rdzawszym rynsztunek, co go osłaniał i im nędzniejszym człapak, który go niósł. Pogardę mieliśmy dla niskiego pospólstwa, co się tak szturchańczo znęcało nad nim, a bardziej jeszcze dla wysokiego pospólstwa, co zdobne w barwne płaszcze z jedwabiu, wytworne frazesy i książęce tytuły, drwiło sobie z człowieka, o tyle wyższego siłą ducha i szlachetnością. Rycerz Dulcynei w pojęciu mojem rósł coraz wyżej i tem bardziej zyskiwał moją miłość, im dalej wczytywałem się w przedziwną książkę. A że to miało miejsce codzień w tym samym ogrodzie, więc już w jesieni dobiegłem do końca historyi,— i ach, nigdy nie zapomnę owego dnia, kiedym przeczytał o opłakanym pojedynku, w którym rycerz tak haniebnie musiał paść.

Był to dzień posępny; obrzydliwe chmury przeciągały po szarem niebie, zżółkłe liście boleśnie spadały z drzew; ciężkie krople łez zwisały u ostatnich kwiatów, co smutnie powiądłszy, chyliły konające główki; słowiki oddawna umilkły, zewsząd drętwo patrzał na mnie obraz znikomości. Serce moje omal nie pękło, kiedym czytał, jak szlachetny rycerz, ogłuszony i zdruzgotany, leżał na ziemi i nie podnosząc przyłbicy, jak gdyby mówił z grobu, rzekł słabym, chorym głosem do zwycięzcy: „Dulcynea jest najpiękniejszą kobietą na świecie, a ja najnieszczęśliwszym na ziemi rycerzem; ale nie przystoi, ażeby moja słabość zaprzeczyła tej prawdzie—dobij swą lancą, rycerzu!“

Ach! Tym błyszczącym rycerzem Srebrnego księżyca, co pokonał najbardziej mężnego i szlachetnego z ludzi—był przebrany golibroda.

ROZDZIAŁ XVII.

Wiele wody upłynęło od tego czasu. Wiele nowych majów przekwitło przez ten czas, ale brakło im zawsze ich potężnego uroku; albowiem nie wierzę już, niestety, w lube kłamstwa słowika, pochlebcy wiosny; wiem, jak szybko więdnie jej uroda, a gdy ujrzę najświeższy pąk róży, już widzę oczami ducha, jak rozkwita boleśnie czerwona, jak potem blednie, by iść na rozwianie wichrom. Wszędzie widzę zaczajoną zimę.

Ale w piersiach moich kwitnie jeszcze owa płomienna miłość, co stęskniona unosi się ponad ziemię, szybuje zuchwale po rozległych, ziejących przestworzach nieba, i tam, odtrącona przez chłodne gwiazdy, znów wraca do domu, na maluczką ziemię, by śród westchnień i okrzyków „hurra!“ przyznać, że bądź co bądź nie ma w całem stworzeniu nic piękniejszego i lepszego nad serce człowiecze. Ta miłość—to zapał, jest on zawsze boskiego rodu, niezależnie od tego, czy spełnia czyny mądre, czy bezrozumne. A zatem małe pacholę wcale nie nadaremnie szafowało swemi łzami nad cierpieniem durnego rycerza, jak nie nadaremnie później niejednej nocy w studenckiej swej izdebce płakał młodzian nad zgonem najświętszych bohaterów wolności, nad królem Agisem spartańskim, nad Cajusem i Tyberyuszem Gracchami z Rzymu . . . . .

Teraz, kiedym przywdział swą toga virilis i sam chcę być mężem, skończyły się płacze i trzeba stać się mężem, na podobieństwo wielkich poprzedników, żeby znowu w przyszłości i jeśli się Bogu spodoba, być opłakiwanym przez chłopców i młodzieńców.

Tak, na nich tylko jeszcze liczyć można w obojętnych naszych czasach. Albowiem oni zapalają się jeszcze płomiennem tchnieniem, co wieje ku nim ze starych ksiąg i dlatego też rozumieją płomienne serca teraźniejszości.

Młodość jest bezinteresowną w uczuciach i myślach i dlatego—to prawdę rozumie ona i czuje najgłębiej i nie zna sknerstwa tam, gdzie chodzi o odważny udział w wyznaniu wiary lub w czynie. Starsi ludzie są samolubni i małoduszni; myślą oni więcej o interesach swych kapitałów, niż o interesach ludzkości; spokojnie puszczają swe okręciki na korytko życia, niewiele troszcząc się o żeglarza, co na otwartem morzu walczy z falami; albo też z lepką uporczywością wczołgują się na wyżyny burmistrzostwa lub prezesostwa klubów swoich i wzruszają ramionami na bohaterów, których burza zrzuciła z kolumny sławy. A może i opowiadają przytem, że i oni również

w młodości swej chcieli głową przebić mur, ale się następnie pojednali z murem, albowiem mur to absolut, mur to ustawa, to to, co istnieje samo w sobie, co przez to samo, że istnieje, już jest rozumne...[1])

Ach!—nie chcę ja zrywać, jak Cham, zasłony, pokrywającej wstyd ojczyzny, ale to okropne, jak u nas zdołano nawet niewolnictwo zrobić gadatliwem i jak filozofowie i historycy niemieccy męczą swoje mózgownice, ażeby wszelki gwałt, choćby najniedorzeczniejszy i najbardziej chamski, usprawiedliwić, jako rozumny i prawnie uzasadniony.

Honorem niewolnika jest milczenie, powiada Tacyt; owi filozofowie i historycy są przeciwnego zdania i wskazują na honorowe wstążeczki w pętelkach surdutów.

A może wy macie słuszność, a jam tylko Donkiszot i czytanie wszelkiego rodzaju cudownych książek przewróciło mi we łbie, podobnie, jak szlachcicowi z La Manchy; może Jan Jakób Rousseau był moim Amadysem Galskim, Mirabeau moim Rolandem albo Agramantem [2]), a ja sam zanadtom się wgłębił w bohaterskie czyny paladynów francuskich i rycerzów Okrągłego stołu, jakim był konwent narodowy. Zaiste moje szaleństwo i owe idées fixes, którem z owych ksiąg wyssał, są wprost przeciwnego rodzaju, niż szaleństwo i idées fixes rycerza z La Manchy; ten chciał odnowić konającą epokę rycerstwa, ja natomiast chciałbym doszczętnie zniszczyć wszystko, co z owej doby ocalało. Mój kolega brał wiatraki za olbrzymów, ja zaś w dzisiejszych naszych olbrzymach widzę tylko chełpliwe wiatraki tamten wziął skórzane mie-

---

[1]) Aluzya do w ten mniej więcej sposób wyrażonej mądrości państwowej Hegla (*Przyp. tłom.*)

[2]) Amadis de Gaula—najstarszy romans rycerski z końca trzynastego wieku. Maugis d'Aigremont—czarnoksiężnik Malegis—jest to bohater cyklu legend frankońsko—karolińskiego.

chy z winem za potężnych czarodziejów, ja zaś w dzisiejszych naszych czarodziejach widzę jeno skórzany miech od wina; tamten brał gospody żebracze za warowne zamki, a poganiających osły za kawalerów, dziewki od krów za dworskie damy, ja natomiast uważam nasze zamki warowne za oberże włóczęgów, naszych kawalerów za oślich poganiaczów, nasze damy dworskie za ordynarne dziewki od krów. Jak tamten uważał ów teatr maryonetek za akcyę państwową, tak ja uważam akcye państwowe za czyste komedye maryonetek — ale również walecznie, jak waleczny manchijczyk, uderzam i ja w drewnianą gospodę! Ach! takie bohaterstwo nieraz daje mi się również we znaki, jak jemu, i podobnie jak on, wiele cierpieć muszę dla honoru mojej damy. Gdybym chciał się go wyprzeć, przez nikczemne tchórzostwo lub dla marnego zysku, mógłbym sobie żyć wygodnie na tym „będącym“ rozumnym świecie i poprowadziłbym do ołtarza piękną Maritornę [1]) i przyjąłbym błogosławieństwo opasłych czarodziejów i ucztowałbym ze szlachetnymi poganiaczami osłów i płodziłbym bezgroźne nowele i wszelakie inne niewolniczątka! Zamiast tego wszystkiego, zdobny w trzy barwy mojej damy, muszę leżeć wciąż w szrankach i przebijać się przez niewysłowione męki i nie wywalczam sobie ani jednego zwycięstwa bez wylania kilku kropel krwi serdecznej. Dzień i noc jestem w opałach, albowiem owi wrogowie są tak podstępni, że nie jeden, ugodzony przeze mnie śmiertelnie, przybierał minę żyjącego i wszelkie możliwe postacie, tak, iż mi dzień i noc zaprawiać mógł trucizną. Ile cierpień znieść już musiałem przez takie fatalne widziadła! Gdzie tylko kwitło coś drogiego mi, tam wślizgiwały się cnytre te upiory i gniotły nawet najniewinniejsze pączki. Wszędzie, nawet tam gdziebym się tego najmniej spodziewać

[1]) Maritornes—występująca w Don Kiszocie dziewka z Austryi.

mógł, odkrywam na ziemi ich lepkiej flegmy ślady, i gdybym się nie miał na ostrożności, mógłbym niebezpiecznie poślizgnąć się, i to nawet w domu najdroższych mi osób. Możecie się uśmiechać i podobną obawę uważać za czcze urojenia, podobne do urojeń Don Kiszota. Ale bóle, choćby urojone, nie tracą przez to na swej bolesności, a gdy sobie kto uroi, że wypił trochę cykuty, może dostać wycieńczenia, a w żadnym razie nie utyje z tego. A pogłoska, jakobym utył, jest oszczerstwem, przynajmniej nie dostałem żadnej tłustej synekury.

Z tłuszczu stryjowskiego również nikt u mnie źdźbła nie wyśledzi. Uroiłem sobie, że próbowano wszystkiego, ażeby mię uczynić chudym: kiedym był głodny, karmiono mię padalcami, kiedym miał pragnienie, pojono mię piołunem; wlewano mi piekło w serce, ażem płakał jadem i wzdychał ogniem; wgryzano się aż w sny moich nocy— i oto widzę je teraz, ohydne larwy, arystokratyczne twarze lokajskie z wyszczerzonymi zębami, pełne groźby, nosy bankierskie, mordercze oczy, przeszywające mię z pod kapturów, blade ręce w mankietach z gołymi nożami...

Nawet stara kobieta, co obok mnie mieszka i sąsiaduje ze mną o ścianę, uważa mię za waryata i zapewnia, że wygaduję przez sen najdziksze rzeczy, a zeszłej nocy słyszała nawet wyraźnie, jakem wołał: „Dulcynea jest najpiękniejszą kobietą na świecie, a ja najnieszczęśliwszym na ziemi rycerzem; ale nie przystoi, ażeby moja słabość zaprzeczyła tej prawdzie — dobij swą lancą, rycerzu!“

Późniejszy dopisek.

(Listopad 1830).

Nie wiem, co za dziwny pietyzm wstrzymał mię od złagodzenia w czemkolwiek pewnych wyrażeń, które przy późniejszem przeglądaniu niniejszych kartek wydały mi się nieco zanadto cierpkiemi. Rękopis był już wyblakły i zżółkły, jak trup, i nie miałem odwagi kaleczyć go. Wszystko przed laty napisane ma z natury swej takie prawo nietykalności, a cóż dopiero te tu kartki, należące niejako do mglistego wczoraj. Albowiem są one pisane na rok prawie przed trzecią hedżirą[1]) burbońską, w czasie, który był daleko więcej cierpkim, niż najbardziej cierpkie wyrażenie, w czasie, kiedy zakrawało na to, że zwycięstwo wolności odwleczone być może o całe stulecie. A przynajmniej traciło się otuchę, widząc, jakie poważne twarze robią nasi rycerze, jak każą pomalowywać na świe-

[1]) Hedżira—po arabsku ucieczka, a mianowicie ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny, od niej liczą muzułmanie lata erę. (*Przyp. tłom*).

żo i jaskrawo wyblakłe herby, jak ćwiczą się z mieczem i spisą w Monachium i Potsdamie, jak dumnie siedzą na swoich rumakach, jak gdyby mieli pędzić do Quedlinburga, ażeby kazać się na nowo wydać u Gotfryda Bassena[1]) Jeszcze bardziej nieznośne były tryumfująco-przebiegłe ślepki naszych klesząt, co tak chytrze umiały ukrywać swoje długie uszy pod kapturem, żeśmy przygotowani byli na najbardziej zdradzieckie sztuczki. Niepodobna było zgoła przewidzieć, że ci rycerze tak rospaczliwie wypudłują wszystkie swe strzały i to po większej części bezimiennie albo co najmniej dając nura, z odwróconą twarzą, jak rejterujące baszkiry.

Również trudno było wiedzieć zawczasu, że wężowa chytrość naszych popiąt tak pójdzie na marne—ach! doprawdy, to prawie litość budzi, gdy się widzi, jak kiepsko używają one najprzedniejszego swego jadu; we wściekłości swej bowiem rzucają nam arszenik wielkimi kawałami w głowę, zamiast wsypywać go nam miłośnie łutami do zupy; gdy się widzi, jak ze starej bielizny dziecięcej wygrzebują zastarzałe pieluchy swoich wrogów, węsząc nieczystości: jak nawet ojców swych wrogów wykopują z mogił, ażeby sprawdzić, czy nie byli czasem obrzezani! O głupcy! Zdaje im się, że odkryli, iż lew należy właściwie do rodzaju kociego i przyrodnicze to odkrycie osykiwać będą na wsze strony tak długo, aż wielki kociak na ich własnem mięsie sprawdzi swoje ex ungne leonem! O nędzarze z pod ciemnej gwiazdy, którym nie prędzej rozjaśni się we łbach, aż sami zawisną na latarniach! Jelitami osła pragnąłbym ostrunić moją lirę, by wysławić godnie tych strzyżonych bałwanów!

Potężna radość mię ogarnia! W chwili, gdy siedzę i piszę, pod mojem oknem rozlega się muzyka i po elegij

[1]) U G. Bassena w Quedlinburgu wyszła w drugim dziesiątku lat tego wieku większa część romansów rycerskich i fantastycznych.

nej furyi przeciągłych melodyj poznaję ów hymn, którym piękny Barbaroux[1]) i jego towarzysze witali miasto Paryż; poznaję owe alpejskie korowody wolności, na których dźwięk szwajcarzy w Tuilleryach dostawali nostalgii, ową tryumfującą, przedzgonną pieśń Żyrondy, starą, słodką kołysankę....

Co za pieśń! Przenika mię nawskroś płomieniem i radością i zapala we mnie płonące gwiazdy entuzyazmu i rakiety szyderstwa!

Tak, nie powinno i tych braknąć w wielkim fajerwerku czasu! Dźwięczące ognia potoki niechaj się śpiewem rozleją w śmiałe kaskady, tak, jak Ganges rzuca się z wyżyn Himalajów! A ty, nadobna satyro, córo sprawiedliwej Temidy i koźlonogiego Pana, użycz mi swej pomocy! Przecież ty po kądzieli z rodu tytanów pochodzisz, i jak ja nienawidzisz wrogów twej familii, cherlaczych uzurpatorów Olimpu! Użycz mi miecza twojej matki, abym ją stracił, nienawistną tę narzeczoną, i daj mi fletni swego ojca, ażebym ją zagwizdał na śmierć!

Ale oto słyszą już śmiertelne gwizdanie — i strach paniczny ich ogarnia i uciekają znowu w zwierzęcych postaciach, jak wtedy, kiedyśmy Pelionem nakryli Ossę!

Wyrządzano nam biednym tytanom wielką krzywdę, karcąc ponurą dzikość, z jaką srożyliśmy się przy owym szturmie niebios. Ach! Tam w głębiach Tartarosu było okropnie i ciemno i słyszeliśmy jeno wycie Cerbera i szczęk kajdan, i można nam wybaczyć, że trochę nieokrzesanie wyglądamy w porównaniu z owymi bogami comme il faut, co wytworni i uobyczajeni w wesołych salonach Olimpu tak się raczyli lubym nektarem i słodkiemi muz koncertami.

Nie mogę dalej pisać, albowiem muzyka pod memi oknami upaja mię i coraz potężniej porywa.... Aux armes!

---

[1]) Charles Barbaroux (1767—1794) — jeden z najwybitniejszych żyrondystów.

OSTATNIE SŁOWO[1])

(pisane 29 Listopada)

Pognębione, aresztanckie czasy były w Niemczech, kiedym pisał drugi tom „Obrazów z podróży“ i pisząc oddawał je do druku. Zanim jednak ukazał się, zaczęto o nim przebąkiwać śród publiczności: mówiono, że książka moja ma podnieść wylękłego ducha wolności i że zarządzają już środki, ażeby ją zakneblować. Wobec takich pogłosek należało ukończyć dzieło jak najspieszniej i wypuścić je z pod tłoczni. Ponieważ winno było zawierać oznaczoną liczbę arkuszy, ażeby uniknąć zaczepek cenzury, więc w kłopocie tym podobny byłem do Benvenuta Cellini, kiedy, odlewając swego Perseusza, nie miał dosyć spiżu i dla napełnienia formy rzucić musiał do tygla wszystkie cynowe talerze, jakie miał pod ręką. Naturalnie, łatwo można było cynę, a zwłaszcza cynowy koniec książ-

---

[1]) „Ostatnie słowo“ początkowo następowało po „Dopiskach do obrazów z podróży.“ W wydaniu francuskiem brakuje zdań od początku rozdziału do urywka: „To największy twój człowiek!“

żki, od lepszego spiżu odróżnić; lecz kto znał się na rzemiośle, ten nie zdradził majstra.

Ale jak wszystko na świecie może powrócić, tak i teraz zdarza się oto, wypadkowym sposobem, że przy tych „Dodatkach“ zachodzi podobna trudność, i oto znów musiałem wrzucić do tygla całą masę cyny i pragnąłbym, ażeby moje odlewy z cyny przypisano jedynie potrzebie chwili.

Ach! toż przecie cała ta księga powstała z potrzeby chwili, równie jak i dawniejsze pisma podobnego kierunku; bliżsi przyjaciele autora, świadomi jego stosunków prywatnych, wiedzą doskonale, jak mało popycha go do trybuny miłość własna i jak wielkie są ofiary, które składać musi za każde swobodniejsze słówko, jakie od owego czasu wyrzekł, i da Bóg!—wyrzecze jeszcze. Teraz słowo jest czynem, którego następstw nie można obliczyć — alboż może kto wiedzieć, czy w końcu nie będzie musiał wystąpić, jako męczennik słowa?

Od wielu lat czekam napróżno, by przemówili owi odważni mówcy, co niegdyś na zebraniach niemieckiego burszenszaftu tak często prosili o głos i tak często zwyciężali mię krasomówczym swym talentem i mówili tyle obiecujących rzeczy; wówczas byli tak pochopni do gadania, a teraz są tak uparci w milczeniu. Jakże szydzili oni wówczas z francuzików i z włoskiej Babel i z nie-niemieckiego, swawolnego zdrajcy ojczyzny, który wychwalał francuzików! Ową pochwałę wielki tydzień potwierdził....

Ach, wielki tydzień Paryża! Duch wolności, co stamtąd owionął Niemcy, wywrócił wprawdzie tu i owdzie nocne świece, tak, że nie jedne czerwone firanki książęce zajęły się płomieniem, a niejedna mitra rozgrzała się pod płonącą szlafmycą; ale stare hajduki, mające zaufanie policyi niemieckiej, wloką już swoje wiadra pożarne i wietrzą jeszcze czujniej, niż przedtem i kują tem mocniej tajemne kajdany, i dostrzegam już, jak sklepia się nad narodem niemieckim tęższy jeszcze mur ciemnicy.

Biedny narodzie jeńców! Nie upadaj duchem w swej niedoli! O gdybym mógł mówić katapultami[1])! O gdybym falarykami[2]) strzelać mogło moje serce!

Topnieje arystokratyczna skorupa lodu na mojem sercu, dziwna żałość zakrada się do niego, byłażby to miłość—miłość dla niemieckiego narodu? A może to choroba! Dusza moja drży i coś mię pali w oku, a jest to stan nie pożądany dla pisarza, który powinien panować nad przedmiotem i pozostawać objektywnym, jak się patrzy, jak tego wymaga szkoła, jak to czynił i Goethe—dożył on w ten sposób osiemdziesięciu lat i został ministrem i człekiem zamożnym—biedny narodzie niemiecki!—to największy twój człowiek!

Brak mi jeszcze kilku stronic ósemki; opowiem więc pewną historyjkę, która mi od wczoraj majaczeje w głowie—jest to historya z życia Karola V[3]), ale to już dawno temu, jakem ją słyszał i szczegółów nie pamiętam dokładnie. Takie rzeczy zapominają się łatwo, jeśli się nie pobiera osobnej zapłaty za wyczytywanie tych historyj co pół roku z zeszytu. Ale czyż to ma jakie znaczenie, że się zapomniało nazwisk miejscowości i dat owych historyj? Byleby tylko ocalał w pamięci ich sens wewnętrzny,

---

[1]) Katapulta—olbrzymia machina do wyrzucania strzał z dzirytów, używana przez greków. (*Przyp. tłom.*)

[2]) Falaryk—prawdopodobnie byk Falarysa. Według pomysłu rzeźbiarza Perylausa w byku tym, jak w piecu, miano piec żywcem buntowników. Tyran Agrygentu, Falarys, oburzony, samego wynalazcę kazał w nim zamęczyć. Od tego czasu „byk Falarysa“ stał się synonimem udręczeń, podsuwanych ciemiężcom.

[3]) „Z życia cesarza Maksymiliana“ opiewa właściwie wydanie francuskie. Maksymilian I został w roku 1488 napadnięty przez zbuntowanych mieszczan Gandawy i długi czas trzymany w więzieniu w Brydze (Brügge.) W więzieniu odwiedzał go kilkakrotnie nadworny jego błazen, Kunc von der Rosen, który czynił też kilka razy usiłowania oswobodzenia go.

ich morał. On to właśnie dzwoni mi w duchu i nastraja mię żałośnie; pobudza aż do łez. Boję się, że zachoruję.

Biedny cesarz wzięty został przez nieprzyjaciół swych do niewoli i siedział w ciężkiem więzieniu. Zdaje mi się, że to było w Tyrolu. Siedział tak samotny w swym smutku, opuszczony przez wszystkich swych rycerzy i dworzan, i nikt nie przybywał mu z pomocą. Nie wiem, czy miał on już wówczas to białe, jak ser, oblicze, którego konterfekt widać na obrazach Holbeina. Ale owa, wzgardą dla ludzi wydęta, warga dolna, wystawała z pewnością jeszcze silniej, niż na owych obrazach. Musiał przecież pogardzać ludźmi, co w słonecznym blasku szczęścia, tak pełni poświęcenia, łasili mu się, a teraz zostawili samego w ponurej niedoli. Wtem otwarły się drzwi więzienia i wszedł człowiek, otulony płaszczem, który gdy odrzucił—cesarz poznał w nim swego wiernego Kunca[1]) von der Rosen, nadwornego trefnisia.

O ojczyzno niemiecka! Drogi narodzie niemiecki! Jam twoim Kuncem von der Rosen.

Człowiek, którego właściwym urzędem krotochwila i którego jedynym obowiązkiem było rozśmieszać cię w dni szczęścia, ten człowiek wdziera się do twego więzienia w dobie nieszczęścia; tu oto pod płaszczem przynoszę tobie wolne twoje berło i piękną koronę, — czy poznajesz mię, cesarzu mój? Jeśli nie w mojej mocy oswobodzić, tedy pragnę cię bodaj pocieszyć, ażebyś miał przy sobie kogoś, co mógłby pogadać z tobą o najudręczeńszem twojem udręczeniu, i natchnąć cię otuchą, i lubił ciebie i którego najlepszy żart i najlepsza krew są do usług twoich. Albowiem ty, narodzie mój, jesteś prawdziwym cesarzem, prawdziwym panem kraju—wola twoja jest udzielną i daleko prawowitszą, niż owo purpurowe Tel est notre plaisir, co powołuje się na prawo boskie, nie mając do tego żadnych innych tytułów prócz olejkarskiej szarlataneryi strzyżonych kuglarzów—twoja wola, narodzie mój, jest jedynem prawoważnem źródłem wszelkiej władzy. Jeśli nawet w okowach swych ulegniesz, to jednak w końcu zwycięży słuszne twoje prawo; zbliża się dzień wyzwolenia, nowa era się zaczyna—cesarzu mój, noc minęła, a na świecie zorza poranna już gore.

[1]) Kunz—Konrad (*Przyp. tłom.*)

Kunc von der Rosen, trefnisiu mój, mylisz się. Goły topór bierzesz pewnie za słońce, a zorza poranna to jeno krew.

Nie, mój cesarzu, to słońce, choć wspina się od zachodu,—od sześciu tysięcy lat widziano je zawsze wschodzącem od wschodu, czas więc już będzie, by w biegu swym raz się odważyło na zmianę.

Kunc von der Rosen, trefnisiu mój, gdzieżeś podział dzwonki z czerwonej twej czapki? Wygląda ona teraz tak dziwnie, czerwona czapka twoja.

Ach, cesarzu mój, wściekły na waszą niedolę, takem potrząsał głową, że błazeńskie dzwonki odpadły od czapki,—nic ona jednak przez to nie straciła.

Kunc von der Rosen, trefnisiu mój, co tam trzeszczy i łamie się na dworze?

Cicho bądźcie! To piła i siekiera cieśli, i wnet runą drzwi waszej turmy i wolni będziecie, cesarzu mój!

Azalim naprawdę cesarzem? Ach! toż to błazen mi o tem mówi!

O, nie wzdychajcie drogi mój panie, to powietrze więzienia tak wam odbiera odwagę; gdy odzyskacie władzę, znowu w żyłach swych uczujecie odważną krew cesarską i będziecie dumni, jak cesarz, i wyniośli i miłościwi i niesprawiedliwi i uśmiechnięci i niewdzięczni, jak wogóle książęta.

Kunc von der Rosen, trefnisiu mój, a gdy ja odzyskam wolność, co ty zamyślasz zrobić z sobą?

Przyszyję sobie nowe dzwonki do czapki...

A jakże mam wynagrodzić twą wierność?

Ach, drogi panie, nie każcie mię zabijać.

BIBLIOTEKA PODLASKA im. Łukasza Górnickiego Nr 510491 Inwentarz Główny

Ważniejsze omyłki drukarskie.

Na str.	wiersz.		zamiast:	powinno być:
92	16	od góry	dzierzkę	dzieżkę
118	7	„	zielonmi	zielonymi
119	14	„	całun	całus
135	18	„	daszek	flaszek
137	14	„	Toodoryka	Teodoryka
143	16	„	ziemskie	rzymskie
173	6	od dołu	(pod górę)	pod górę
174	7	od góry	Renisgate	Ramsgate
201	2	„	furor	furorę
201	7	od dołu	Adryadna	Aryadna
217	12	„	starozakonne	starokonne
231	11	od góry	anatispas	antispas
251	4	„	Platonowych	Platenowych
251	7	„	utyskując	utykając
261	11	od dołu	kwiciokwiku	kociokwiku
262	2	„	w niżyka	w mżyka
270	10	„	zapewnić.	zapewnić:
277	19	od góry	przyczyn	przyczyni
310	2	„	może, swe	może swe
318	1	od dołu	Austryi	Asturyi
319	1	„	erę	ery

510491
Sz
Kol.: 2 bibl. M. i R. Śliwowskich.
XIX w.
Książnica Podlaska
im. Ł. Górnickiego w Białymstoku
KP-BG-0518564